

FRANCIS & TAYLOR
BOOKS

Frances Noyes Hart



*Sprawa
Bellamy'ego*

ISKRY

Frances Noyes Hart

Sprawa Bellamy'ego

Przełożył

Aleksander Bogdański

ISKRY • WARSZAWA 1977

Tytuł oryginału

THE BELLAMY TRIAL

Okładkę projektował

MIECZYŚLAW KOWALCZYK

Redaktor

HELENA BRON

Redaktor techniczny

PAWEŁ HOŁOZUBIEC

Korektor

JOLANTA ROSOSIŃSKA

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”,

Warszawa 1977 r.

Wydanie III.

Nakład 100.000+275 egz.

Ark. wyd. 18,1. Ark. druk. 24,0.

Papier druk, mat, ki. VII 60 g, rola 93 cm.

Skład tekstu techniką Linotron 505 TC

Druk ukończono w lipcu 1977 r.

Dom Słowa Polskiego

Zam. Nr515/k/77

Cena zł 45.-

Rozdział 1

Rudowłosa dziewczyna westchnęła z ulgą, siadając w jednym z krzeseł pierwszego rzędu. Szóste miejsce od przejścia - tak, zgadza się. Upewniła ją o tym tabliczka z numerem, umieszczona na oparciu krzesła ze złocistego dębu. Rząd A, miejsce 15, zarezerwowane dla filadelfijskiej „Planety”. Oba sąsiednie miejsca były wolne. Jakże przyjemna jest świadomość, że w Redfield, choćby tylko na razie, można jeszcze znaleźć cztery stopy nie zajętej przestrzeni. Dziewczyna wciąż nie mogła ochłonąć z osłupienia, w jakie wprowadził ją straszliwy zgiełk panujący tam, na zewnątrz sali, na korytarzach.

Drżącymi palcami poprawiła mały, przystrojony w czarne pióra kapełusik. Nie szybko potrafi zapomnieć ten rozszalały tłum. Warczał na nią - tak, dosłownie warczał, kiedy z trudem torowała sobie wśród niego drogę, uzbrojona w magicznie działający niebieski bilet, który otwierał zarówno ten sezam, jak i miejsce przeznaczone dla prasy. Dziewczynie

raz jeszcze zabiło serce, gdy przypomniała sobie, jak oni się pchali, tłoczyli, gnietli, a potem z przyjemnością rozejrzała się dokoła.

A więc tak wygląda sala sądowa! Z jakiegokolwiek miejsca się na nią spojrzęło, sala nie robiła wrażenia ani zbyt dużej, ani zbyt imponującej. Od biedy mogła pomieścić trzysta osób, podczas gdy na korytarzach i na ulicach tłoczyło się i chodziło tam i z powrotem skromnie licząc trzy tysiące ludzi pełnych nadziei, że jakoś uda się powiększyć jej rozmiary. Sala zbudowana była w kształcie wachlarza, stało w niej dziesięć rzędów krzeseł ze złocistego dębu, które w tej chwili szczelnie wypełniali pełni ponurego tryumfu ludzie. Trzy pierwsze rzędy starannie oznaczono białymi tabliczkami, zmieniając je w ten sposób w miejsca zarezerwowane dla prasy.

Tak blisko, że rudowłosa dziewczyna mogła jej nieomal dotknąć ręką, biegła niska balustrada, za którą znajdowała się mała, podobna do sceny pusta przestrzeń - nie było na niej aktorów, natomiast stłoczono tam wiele krzeseł i stołów. W głębi widniała mała platformka, na której stało kryte czarną skórą krzesło o wysokim oparciu, i jeszcze jedno, jeszcze mniejsze podwyższenie, trochę niżej niż poprzednie; otaczała je balustrada i stało tam też krzesło, ale już daleko mniej wygodne. Krzesło sędziego, miejsce dla świadków - dziewczyna westchnęła z podniecenia, którego nie była w stanie opanować, a równocześnie tuż obok siebie usłyszała uprzejmy głos:

- Halo! Pozdrawiam cię, obcy przybyszu, lub witaj, przyjaciółko, bo nie wiem, jak panią nazywać. Czy mogę się jakoś dostać do krzesła obok pani nie wyrządzając wielkiej szkody ani jej samej, ani jej nóżkom?

Rudowłosa dziewczyna ze skruszoną miną podniosła się niezgrabnie na nogi, same w sobie najzupełniej niewinne, zagrządzające jednak

wąskie przejście, i zwróciła zaczerwienioną i zmieszaną twarz w stronęesołego krytyka, który w tym czasie zajęty był umiejętnym wciskaniem się w niezbyt obszerne krzesło. Wysoki i chudy młody człowiek, o prostym nosie, mysiego koloru włosach, bystrych szarych oczach i wyrazie twarzy zatwardziałego cynika, znikającym, gdy tylko się uśmiechnął. Na sobie miał znoszone tweedowe ubranie i krawat w groszki. Przyciskał do piersi trzy zatemperowane ołówki i spory plik blankietów telegraficznych. Najwidoczniej był reporterem. Rudowłosa dziewczyna uśmiechając się niepewnie, a zarazem przymilnie, usiłowała ukryć swój złoty ołówek i oprawny w skórę notes.

- Pisze pani reportaż dla nowojorskiej gazety? - zapytał łaskawie ten wysłannik Olimpu.

- Nie - pokornie odpowiedziała rudowłosa. - Dla filadelfijskiej „Planety”. A pan dla nowojorskiej?

- Uhm. Dla „Sfery”. Robi pani szkice z sali sądowej?

- Mam nadzieję, że będę je robić - odpowiedziała dziewczyna z takim zapałem, że reporter spojrzął na nią lekko zdziwiony. - Widzi pan, nie wiem, czy uda mi się uchwycić właściwy nastrój. Bo ja nie jestem normalnym sprawozdawcą.

- Ach tak? A czym pani jest właściwie, jeśli można zapytać. Specjalistką od daktyloskopii?

- Jestem... jestem pisarką - odparła rudowłosa. Jej drobniutka postać przybrała przy tym wyraz uroczystej powagi. - To moje pierwsze zlecenie. - Straszne, że jąkała się wtedy, kiedy jej najwięcej zależało na tym, by tego uniknąć.

Reporter spojrzął na nią surowo.

- Pisarka, co? Oryginalna, z prawdziwego zdarzenia pisarka, szwendająca się w terenie, z wiecznym piórem, ogromnym zasobem słów,

osoba o nieograniczonych możliwościach i tak dalej. No, mogę się założyć, o co tylko pani zechce, że najdalej za cztery dni będzie pani paradować po tych marmurowych salach i głosić temu zwariowanemu światu, że jest pani dziennikarką.

- Och, nie odważyłabym się na coś takiego! Czy panowie wszyscy nazywacie się dziennikarzami?

Reporter wyglądał tak, jakby za chwilę miał się udławić.

- Niech pani to sobie dobrze zapamięta - powiedział dobitnie. - W dniu, w którym usłyszysz pani, że nazywam siebie dziennikarzem, ma pani pełne prawo nazwać mnie, nie, zostawmy to, dama i tak nie mogłaby użyć takiego słowa. Natomiast, jeżeli pani kiedykolwiek nazwie mnie dziennikarzem, proszę się z tego śmiać. A jeżeli na dodatek złoży pani uroczystą przysięgę, że siebie też pani tak nigdy nie nazwie, wprowadzę panią trochę w zawodowe tajniki, ponieważ jest pani małym, biednym, nie orientującym się w niczym stworzonkiem, które pisze i które nie miało nic lepszego do roboty, jak pojawić się na procesie o morderstwo. Poza tym, zrobię to jeszcze dlatego, że ma pani rude włosy. Chce się pani czegoś dowiedzieć?

- Och! - zawołała dziewczyna. - Naprawdę nigdy nie przypuszczałam, że ktoś taki okropny może być aż tak miły. Wszystko chcę wiedzieć. Ale zacznijmy od samego początku.

- Dobrze. W razie gdyby pani nie wiedziała, gdzie się w tej chwili znajduje, jest pani na sali sądowej w Redfield, stolicy okręgu Bellechester, dwadzieścia pięć mil od wielkiej metropolii Nowy Jork. A jeżeli chce się pani dowiedzieć, o co tu chodzi, powiem pani, że jest to największy w naszym stuleciu proces o morderstwo. Mniej więcej co dwa lata odbywa się taki największy proces stulecia. Konkretnie jest to sprawa

z oskarżenia publicznego przeciw Susan Ives i Stephenowi Bellamy o świadome, rozmyślne i popełnione z premedytacją zabójstwo na Madeleine Bellamy.

- Proces o morderstwo - powiedziała miękko rudowłosa dziewczyna. - Uważam, że to powinno być coś najwspanialszego na świecie.

- Tak? Naprawdę tak pani myśli? - spytał reporter i przez chwilę nie musiał się wysilać na udawanie cynika. - Każę panią obudzić jutro koło siódmej rano, chociaż zawsze szkoda budzić kogoś, kto może mieć tak piękne sny jak ten. Ona to nazywa najwspanialszą rzeczą na świecie. No, no!

Rudowłosa dziewczyna obrzuciła reportera wojowniczym spojrzeniem.

- Sam pan jest „no, no”. Niech pan będzie tak dobry i powie mi, co może być wspanialszego od morderstwa?

- Nie, to raczej pani niech mi na to odpowie - zażądał reporter.

- Bardzo proszę. Otóż oświadczam panu, że jedyna rzecz, którą może pan zainteresować każdego człowieka, zaczynając od prezydenta Stanów Zjednoczonych, a kończąc na dzentelmenie, co wywozi śmiecie, to dobra powieść kryminalna. A jeżeli jest tam jeszcze jakiś wątek miłośny, ma pan prawdziwe szczęście, bo trafił pan na kombinację, którą najchętniej wybierali najwięksi pisarze wszystkich czasów, by ścisnąć serca i mrozić szpik w kościach potomnych.

- Ejże, ejże! Czy pani aby troszeczkę nie przesadza? Wszyscy wielcy pisarze? A co z Wordsworthem?

- Phi! - zawołała gwałtownie ruda dziewczyna. - Wordsworth! A co Sofokles, Eurypides, Szekspir, Browning? Wie pan, co to jest *Pierścień i księżga*? Proces o morderstwo. A *Otello* to nie historia o morderstwie? A czym jest *Hamlet*, jak nie pięcioma opowieściami o morderstwie? A

Makbet? A Beatrice Cenci? Albo Lamia? Albo Zbrodnia i kara? Albo Carmen? Albo...

- Poddaję się - oświadczył stanowczo reporter. - Chociaż nie, niech pani jeszcze chwileczkę poczeka. Czy to są rzeczywiście historie morderstw? Ale z pani naprawdę miłośniczka literatury, chociaż wygląda pani tak spokojnie!

Ruda dziewczyna całkowicie zignorowała tę uwagę.

- A czy nie mógłby mi pan w takim razie wyjaśnić, dlaczego to jest najbardziej fascynujący i zajmujący temat na świecie?

- Nie - szybko odpowiedział reporter. - Tak... właściwie, jak to pani wytłumaczyć? Powiedzmy tak i nie.

- Jest tak dlatego, że morderstwo jest czymś bardzo realnym - stwierdziła rudowłosa dziewczyna, nagle poważniejąc. - Przypuszczam, że to jedyna absolutnie prawdziwa rzecz na świecie. Coś, co sprawia, że człowiek nic sobie nie robi ani ze swojego życia, ani z cudzego. A to daje do myślenia, nie uważa pan?

- Hm, niby tak - wolno przyznał reporter. - Jeżeli pani ujmuje to w ten sposób, to owszem, jest się nad czym zastanowić.

- Na nas to też działa - powiedziała dziewczyna. - Jesteśmy dzisiaj wszyscy tacy rozważni, tacy kompetentni i przemyślni, przechodzimy automatycznie przez zmechanizowany świat, potęgujemy nasze mizerne emocje, sami sobie dostrajamy nasze małe sensacyjki, aż nagle słyszymy na ulicy okrzyk: „Morderstwo!” Wtedy przystajemy, przenika nas dreszcz, oglądamy się przez ramię i widzimy, że na drogę, którą idziemy, pada cień dzikusa wymachującego okrwawioną pałką, i wtedy dopiero dociera do nas, jak piękne, niebezpieczne i dobre jest życie.

- Chyba panią rozumiem - powiedział zamyślony reporter. - Dziwne, w tym, co pani mówi, jest jakiś rozmach. To daje równie podniecające

uczucie, jakie się ma, kiedy człowiek przysuwa się do trzaskającego na kominku ognia, mając na nogach wygodne pantofle, a w rękę szklankę czegoś gorącego i słodkiego, i zaczyna się przysłuchiwać wyjącej na dworze wichurze, i patrzy, jak po czarnych szybach spływa deszcz. Nic na świecie nie jest w stanie dać człowiekowi takiego poczucia ciepła, bezpieczeństwa i zacisznej wygody, jak dobra burza albo dobre morderstwo, prawda?

- Tak, nic na świecie - zgodziła się rudowłosa dziewczyna i dodała z zadumą: - Morderstwo interesowało mnie zawsze, i to bardziej niż cokolwiek innego.

- Serio? Niech pani temu jednak zbytnio nie ulega. Na pani miejscu traktowałbym to jako hobby. Przy pani obecnych poglądach któregoś pięknego dnia zostanie pani diabelnie szczęśliwą wdową po jakimś facecie. Dobrze pani strzela?

- A pan pewnie myśli, że morderstwo to okropnie zabawna historia, tak? - Miękki do tej pory głos dziewczyny nagle zabrzmiał ostro.

Twarz reportera zmieniała się raptownie.

- Nie. Bynajmniej tak nie myślę - powiedział krótko. - Myślę, że morderstwo jest czymś ohydny, brudnym, obrzydliwym i zwierzęcym, czymś, co nie pozwala mi zasnąć w nocy, dopóki nie uodpornię się na tyle, by zdobyć się na odpowiednią ilość poczucia humoru w stosunku do tych kłownów, których nazywamy ludźmi. Oczywiście, że i ja sam jestem jednym z tych ludzi, ale bynajmniej się tym nie chwale. A jeśli sprawia pani przykrość przypuszczenie, że nic nie potrafi mną wstrząsnąć, to powiem od razu: do głębi wstrząsa mną fakt, że taka drobinka jak pani, która ma takie wspaniałe rude włosy i te urocze dołeczki na buzi, musi niemal dosłownie wspinać się na tę poręcz, żeby w swoim zapale dowiedzieć się, o co tu chodzi.

- Myślę, że mężczyźni to gatunek najzabawniejszy na świecie -

mruknęła ruda dziewczyna. - I uważam, że to... że to bardzo wzruszające, iż to panem tak wstrząsnęło. Ale widzi pan, mój dziadek, który był tak surowy i szkocki, i ciasny w swoich poglądach, że nikt mu w tym nie mógł dorównać, powiedział mi, kiedy miałam czternaście lat, że wielki proces o morderstwo jest najwspanialszym widowiskiem dramatycznym, jakie świat może człowiekowi ofiarować. A on raczej powinien wiedzieć, co mówi, bo był jednym z najświetniejszych sędziów, jacy kiedykolwiek chodzili po ziemi.

- No cóż, może za jego czasów byli słynni sędziowie. A do tego mówiła pani, że był Szkotem, prawda? Tak, oni to lepiej tam urządzają. W Anglii też - bukiety kwiatów na biurkach urzędników, sędziowie postrojeni w peruki, cała masa purpury i złota i wszyscy najwięksi prawnicy kraju mierzący swoje siły, i nigdy żadnemu z nich nie wymknie się ani jedno nieodpowiednie słowo...

- Dziadek zawsze mówił, że taki proces przypomina polowanie - przerwała mu energicznie dziewczyna. - Sędzia jest gospodarzem polowania, adwokaci występują w roli psów gończych, które pędzą z dzikim ujadaniem po świeżym śladzie, a cała reszta - sędziowie przysięgli, publiczność i obserwatorzy galopują tuż za nimi, depcząc im niemal po piętach.

- Tak, naturalnie - ponuro wtrącił reporter. - A zwierzyzna czeka związana, zakneblowana i w kajdankach, dopóki jej nie dopadną i nie rozszarpią na strzępy. Tak, naprawdę wielkie polowanie, naprawdę wielkie!

- Ależ to nie na ludzi się poluje, niemądry człowieku, tylko na prawdę.

- Na prawdę! - Reporter śmiał się tak głośno, długo i szczerze, że kilkanaście osób obejrzało się w ich stronę. - No, niejednego się pani nauczy, zanim pani stąd wyjdzie! Polowanie na prawdę, tak? No, więc

niech pani uważnie posłucha: jeżeli się pani spodziewa znaleźć tu coś takiego, oszczędzi pani sobie wielu gorzkich chwil wracając najbliższym pociągiem do Filadelfii. Prawda! Niechże pani zrozumie, że nie mam zamiaru dyskredytować procesów o morderstwo z punktu widzenia ciekawości, jaką wzbudzają. Dobrze prowadzony proces ma wszystkie najlepsze cechy pierwszorzędnej walki psów i znakomitej krzyżówki, a to już powinno zapewnić każdemu dostateczną dawkę podniecenia. Ale jeśli pani przypuszcza, że strony procesowe uczciwie starają się dojść do wyjaśnienia...

Czysty, wysoki głos jak nóż przeciął szmery i ściszone rozmowy.

- Sąd! Wysoki sąd!

Na sali rozległ się lekki hałas, gdy ludzie wstawali z krzesel.

- Kto to jest? - zapytał podniecony głos przy ramieniu reportera.

- Najwyższy i najprzystojniejszy woźny sądowy w całych Stanach Zjednoczonych. Nazywa się Ben Potts. Najlepszy falset poza Rosyjskim Kościołem Ortodoksyjnym. Niech pani z łaski swojej zwróci uwagę na jego rozdziałek pośrodku głowy i te zakręcone loki. A oto we własnej osobie jego wysokość sędzia Anthony Bristed Carver.

- Sąd! Wysoki sąd! - wołał śpiewnym głosem woźny.

Wysoka postać w spływającej fałdami czerni wolno zbliżała się w stronę krzesła na podwyższeniu, które natychmiast przybrało wygląd tronu. Gładko zaczesana szpakowata głowa i orla twarz sędziego Carvera stanowiły ozdobę każdej sali sądowej. Przez chwilę sędzia wpatrywał się błyszczącymi, głęboko osadzonymi oczami w salę, potem usiadł i jednym zdecydowanym ruchem sięgnął po młotek.

- I będzie z niego robił użytek, niech mi pani wierzy- mruknął reporter z przekonaniem. - Najsurowszy staruch na sędziowskim fotelu.

- Gdzie są więźniowie? Skąd oni przyjdą?

- Oskarżeni, jak kapryśnie na razie wolą być nazywani, wchodzą przez tamte małe drzwi na lewo od sędziowskiego pokoju. Ten ogromny stary patałach z czerwoną twarzą i piaskowymi włosami, który rozmawia z młodym człowiekiem w szylkretowych okularach, to adwokat pani Ives, Dudley Lambert, a ten w ciemnych okularach, Harrison Clark, jest obrońcą Bellamyego.

- A gdzie prokurator?

- O, pan Farr może się pojawić prawie wszędzie, jak Mefistofeles w *Fauście* albo jak to dziecko, które w tak właściwym momencie nie wiadomo skąd pojawiło się w tej sprawie. To spec od wszelkiego rodzaju niespodzianek... ale co też za głupstwa pani opowiadam! Przecież stoi tam i rozmawia z sędzią i obrońcą.

Rudowłosa dziewczyna szybko pochyliła się do przodu. Smukły mężczyzna, oparty z wystudiowaną swobodą o balustradę otaczającą majestat prawa, nasuwał na myśl przedziwne skrzyżowanie świetnie zapowiadającego się członka nowojorskiej partii demokratycznej z najmłodszym i najprzystojniejszym spośród hiszpańskich inkwizytorów. Czarne włosy w pełni zasługujące na miano kruczych, blada twarz o regularnych rysach, której do doskonałości brakowało jedynie jakiegoś niewielkiego szczegółu, podłużne niebieskie oczy, w których czaiły się niespokojne ogniki, i długie, wysmukłe ręce. A jednak było w tym wszystkim coś, co raziło. Może ciemna marynarka leżała na nim odrobinię za dobrze albo ten pawio-błękitny krawat z brokatu... W każdym razie subtelna elegancja prokuratora sprawiała, że Lambert mimo strzechy szpakowatych włosów wyglądał przy nim jak niezdarne, skwaszone, czerwone na twarzy dziecko.

- Wchodzą! Wchodzą! - Nawet zrównoważony, kpiący głos reportera tym razem lekko zadrżał.

Na lewo od krzesła sędziowskiego otworzyły się drzwiczki i weszło przez nie dwoje ludzi; zrobili to z taką swobodą i spokojem, jakby mieli zamiar usiąść przed kominkiem i napić się herbaty. Szczupła postać w jasnobrązowym tweedowym kostiumie z jedwabną rudawą chusteczką pod szyją i w małym, tego samego koloru pilśniowym kapelusiku, spod którego spływały dwa pasma bładozłotych włosów. Orzechowe oczy pod ciemnymi brwiami i piękne usta, których kształt zdradzał stanowczość, szlachetność i wrażliwość. Rudowłosa dziewczyna pomyślała, że to najpiękniejsze usta, jakie widziała w życiu. Kobieta lekkim, chłopcym krokiem przeszła niewielką przestrzeń do krzesła, przy którym stał Lambert. W ogóle wyglądała jak chłopiec - dzielny, dumny chłopiec, zmierzający po wawrzyn zwycięzcy. Czy morderczynie chodzi w ten sposób?

Za nią szedł Stephen Bellamy. Na rękawie jego ciemnej marynarki rzucała się w oczy opaska z krepy; od Sue Ives był wyższy zaledwie o kilka cali, miał ciemne, lekko przyprószone siwizną włosy i pełną wdzięku, wrażliwą twarz o oliwkowej cerze. Kiedy usiedli, uśmiechnął się do swej towarzyszki króciutkim, poważnym i pełnym współczucia uśmiechem, a potem z uwagą zwrócił się w stronę sędziego. Czy mordercy uśmiechają się w taki sposób?

Rudowłosa dziewczyna zapatrzyła się w niego bezmyślnie.

- Och, Boże - jęknął reporter. - Dlaczego ten stary osioł Lambert pozwolił jej pokazać się tutaj w takim stroju? Gdyby miał choć tyle rozsądku, co Bóg daje zdechłej kaczkę, byłby wiedział, że powinna mieć na sobie coś czarnego, coś, co wzbudzałoby współczucie, a nie paradować

tu w brązowych sportowych półbutach. Zupełnie jakby się wybierała nie na krzesło elektryczne, ale na partię golfa!

- Niechże się pan uspokoi! - ofuknęła go z pasją rudowłosa dziewczyna. - Sam pan nie wie, co mówi! Proszę spojrzeć. Co oni teraz robią? Co to za koło?

- Do losowania sędziów przysięgłych. Wygląda na to, że zaraz zaczynają. Tak, już zaczęli. To szeryf puszcza w ruch koło. Wywołuje nazwiska...

- Timothy Forbes!

Krępy mężczyzna z małymi, sprytnymi oczkami i rudym wąsem zaczął się przepychać ku przodowi.

- Numer pierwszy. Proszę zająć miejsce na ławie przysięgłych.

- Długo to potrwa? - spytała dziewczyna.

- Aleksander Petty!

- W takim tempie nie potrwa długo - odpowiedział reporter obserwując, jak w stronę ławy przysięgłych podchodzi malutki mężczyzna o rozwichrzonej czuprynie, w okularach w stalowej oprawie i wyświeconym na łokciach ubraniu. - Widzę, że to się odbędzie tak szybko, jak tylko pozwala procedura. Obie strony chcą jak najprędzej zacząć i nie są skłonne do wysuwania ostatecznych zarzutów; przypuszczalnie nikt nie będzie atakował samego oskarżenia, chyba że byłyby po temu jakieś bardzo ważne powody.

- Eliphalet Slocum!

Starszy mężczyzna o bystrej twarzy i ustach zaciśniętych jak stalowa pałapka dołączył do sędziów przysięgłych.

- Losują ze specjalnej listy - wyjaśnił reporter zniżając ostrożnie głos, gdy sędzia Carver znacząco spojrział w jego kierunku. - Redfield jak na swoje rozmiary ma dosyć duże możliwości. Wszyscy wyraźnie

niepożądani zostali z góry wyłączeni, co oszczędza masę czasu.

- Cezar Smith!

Pan Smith puścił się przed siebie klusem; w jego okrągłej, dobrodusznej twarzy pobłyskiwały ku ubawionym widzom trzy złote zęby.

- Robert Angostini!

Smagły, elegancki mężczyzna z jedwabistymi czarnymi wąsikami prześliznął się koło pana Smitha.

- Numer piąty, proszę zająć miejsce na ławie przysięgłych... George Hobart.

Sympatyczny młodzieniec w brązowej kurtce z paskiem zbliżył się energicznym krokiem.

- Kto to teraz wchodzi? - ledwie dosłyszalnym szeptem spytała rudowłosa.

- Gdzie?

- Na ławę świadków... tam, w samym rogu przy oknie. Ten wysoki mężczyzna z miłą starszą panią.

Reporter obejrzał się i jego znudzoną twarz ożywiło zainteresowanie.

- Ten? To Pat Ives i jego matka. Prokurator wezwał ją na świadka. Bóg jeden wie po co!

- Lubię takie starsze damy w czepeczkach - oświadczyła rudowłosa.

- Jaki on jest?

- Pat? Niech mu się pani dobrze przyjrzy, to sama pani zobaczy.

Dziewczyna posłusznie spojrzała w tamtą stronę. Patrzyła długą chwilę. Czarne włosy, niebieskie, pociemniałe od bólu oczy, osadzone w wymęczonej, pięknej młodej twarzy, przejrzyste białej, i desperacko zaciśnięte usta, których kształt świadczył o niezbyt surowym podejściu do życia.

- Nie wygląda na człowieka bardzo zadowolonego - zauważyła łagodnie.

- Jego wygląd znakomicie odzwierciedla to, czym jest - sucho zauważył reporter. - Młody pan Ives należy do szkoły romantycznej - rozumie pani, co chcę powiedzieć - gwardzista, trubadur, wieczny wędrowiec i kochanek; pojedynek przy blasku świec, w świetle księżyca, gra w kości, siodło, na koń i już go nie ma. To typ, który natychmiast partaczy, kiedy się tylko zetknie z brutalną rzeczywistością, jak rozlana nafta, zakrwawiona odzież czy zatęchły salonik włoskiego robotnika. Jeżeli wplącze się w coś takiego, od razu ma podkrążone oczy, o trzy stopnie podwyższoną temperaturę i niespokojne sny. Trochę go także denerwują reporterzy.

- Czy przeprowadzał pan z nim wywiad? - spytała rudowłosa tonem nabożnego szacunku.

- Hm, ładnie to pani nawet określiła - mruknął reporter z zadumą. - Wybrałem się do domu Ivesów z kilkoma specjami wieczorem po aresztowaniu Sue Ives i Bellamy'ego. Jeśli dobrze pamiętam, było to dwudziestego pierwszego czerwca. Zadzwoniliśmy do drzwi bez większego przekonania, że nas wpuszczą. Ale drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że wpadliśmy do hallu dosłownie na zbity łeb. Stał w nich dobroduszny pan Ives. W koszuli i z takim antypatycznym wyrazem twarzy, jakiego w życiu nie oglądałem.

„Wejdźcie, panowie - powiada, ale brzmiało to równie antypatycznie. - Jeśli się nie mylę, mówię z panami reprezentującymi prasę, nieprawdaż?” Potwierdziliśmy jego przypuszczenie bez zbytniego entuzjazmu i weszliśmy. „Przystąpmy od razu do rzeczy - oświadczył. - Darujmy sobie to bezsensowne certolenie. Panowie z pewnością chcecie wiedzieć, czy byłem kochankiem Madeleine Bellamy i czy zamordowała ją moja żona. O to chodzi, prawda?”

Rzeczywiście chodziło nam o to, ale sposób, w jaki to sformułował, nie wydawał się nam najwłaściwszy.

„Tak - mówił dalej Ives - dam panom wyraźną odpowiedź na wyraźne pytanie. Zbierajcie się stąd do wszystkich diabłów!” I otwiera frontowe drzwi tak szeroko, że mogłaby się w nich zmieścić cała armia.

Właśnie w momencie, kiedy się zastanawiałem nad jakąś znakomitą odpowiedzią, ktoś w głębi hallu zawołał miłym, łagodnym głosem: „Och, Pat, kochanie, uważaj! Dzieci pobudzisz. Jestem pewna, że panowie zechcą przyjść innym razem”. I pani Margaret Ives szybko podbiegła do syna, położyła mu rękę na ramieniu i uśmiechnęła się do nas miłym, zakłopotanym i grzecznym uśmiechem.

A kochany Pat również się uśmiechnął, choć dużo mniej grzecznie, i powiedział: „Jestem pewny, że zechcą przyjść. Tego jestem pewny. Godzina czwarta rano jest także odpowiednią porą”. Zgodziliśmy się, że to pora równie dobra jak każda inna, i wyszliśmy. No, więc tak to było. Ale jeżeli nie będzie pani uważała, skompletują skład sędziów, zanim pani zrozumie, skąd wiem, że pan Ives jest człowiekiem romantycznym, któremu realizm działa na nerwy. Jaki numer idzie teraz do ławy przysięgłych?

- Otto Schultz!

Pulchny siwowłosy cherubin podbiegł szybkim krokiem.

- Numer dziesięć, proszę zająć miejsce!

- Jozjasz Morgan!

- Do licha, będą mieli cały komplet w niespełną godzinę! - cieszył się reporter. - Niech pani popatrzy, jaką doskonałą, ostrą twarz ma ten Morgan. Mogę się założyć, że facet, który by go spróbował nabić w butelkę, gorzko by tego pożałował!

- Charles Stuyvesant!

Charles Stuyvesant uśmiechnął się przyjaźnie do szeryfa; jego piękna, szpakowata głowa i potężne bary odbijały od reszty kolegów albo zbyt

wytwornych, albo zbyt zaniedbanych.

- Numer dwunasty, proszę zająć miejsce na ławie przysięgłych. Wy wszyscy i każdy z osobna przysięgacie uroczyście, że słusznie i sprawiedliwie będziecie sądzić Stephena Bellamy'ego i Susan Ives oraz że wydadcie słuszny wyrok zgodnie z prawem i ustalonymi dowodami. Tak wam dopomóż Bóg!

Wśród poważnego szmeru potwierdzanej przysięgi rudowłosa dziewczyna dopytywała się nerwowo:

- Co będzie teraz?

- Nie wiem. Prawdopodobnie przerwa. Zaraz, chwileczkę, sędzia przemawia do ławy przysięgłych.

W ciszy imponująco zabrzmiał głęboki głos sędziego Carvera:

- Panowie sędziowie, otrzymacie obecnie normalnie udzielane napomnienie: nie wolno wam omawiać żadnych kwestii dotyczących procesu ani między sobą, ani też podejmować dyskusji na ten temat z kimkolwiek innym; wolno to wam uczynić jedynie wewnątrz całego sędziowskiego zespołu. Nie wolno wam ani formułować, ani wyrażać opinii o słuszności wysuwanych wniosków. Winniście się wstrzymać od prowadzenia z kimkolwiek rozmów, jak i od wysłuchiwania jakichkolwiek opinii na tematy związane z obecną sprawą. Gdyby zaistniał tego rodzaju wypadek, powinniście o tym natychmiast donieść sądowi. Nie jest wskazane, abyście wyrabiali sobie jakąkolwiek opinię aż do chwili, gdy oskarżeni wypowiedzą się na temat stawianych im zarzutów. Wreszcie, wyrok swój powinniście oprzeć jedynie na postanowieniach prawa, o których zostaniecie poinformowani przez sąd na samym końcu pouczenia. Do tej chwili więc nie będziecie w stanie wydać wyroku na podstawie litery prawa, dlatego też musicie się wstrzymać ze swoim osądem.

Ogłaszam przerwę w rozprawie. Zbierzemy się ponownie o godzinie pierwszej.

Rudowłosa dziewczyna zwróciła na reportera oczy, ze zdumienia wielkie jak spodki.

- Czy oni nie wrócą przed pierwszą?
- Nie.
- No, to co będziemy robili?
- Na najbliższym rogu jest całkiem przyzwoity lokal.

Dziewczyna przecząco machnęła ręką.

- Nie, nie, to niemożliwe. Nie potrafiłabym niczego przełknąć. Niemożliwe.

- No, niechże się pani trzyma. Jeżeli posiedzi tu pani jak dobre grzeczne dziecko, może przyniosę pani jabłko. Niczego nie obiecuję, ale może przyniosę.

Kiedy wrócił z jabłkiem, dziewczyna siedziała na swoim miejscu, wiercąc się i wpatrując w ławę przysięgłych oczami jeszcze bardziej okrągłymi niż poprzednio.

- Czy już zaraz się zacznie? - spytała patrząc niechętnie na jabłko.
- Chyba tak. Proszę teraz zjeść jabłko, a ja pokażę pani, co mam w kieszeni.

- Co pan pokaże?

- Listę sędziów przysięgłych. Nazwiska, adresy, wiek, zawody i w ogóle wszystko. Dwóch ma poniżej trzydziestki, trzech poniżej czterdziestki, czterech mniej niż pięćdziesiąt, dwóch mniej niż sześćdziesiąt, jeden ma sześćdziesiąt dwa. Jest między mmi trzech kupców, dwóch urzędników, dwóch farmerów, pracownik ubezpieczeń, rachmistrz, spec od aparatów radiowych, jubiler i bankier. Moim skromnym zdaniem, całkiem niezgorza lista. Chyba tylko Charles Stuyvesant nie będzie przyjemnie spędzał czasu na tej sali. To jeden z najbogatszych nowojorskich bankierów.

- Wygląda na to - powiedziała dziewczyna. - Co oni będą robić, kiedy wrócą?

- No, jak okażą się grzeczni, to prokurator palnie im ładną mowę.

- Kto jest prokuratorem? Ktoś znany?

- Daniel Farr. Bardzo obiecujący chłopak około czterdziestki, świetnie znany w tych stronach. Gdyby go pani zapytała, co sądzi bezstronnie o swoich możliwościach, na pewno odpowiedziałby, że przy odrobinie szczęścia w ciągu najbliższych dziesięcin dni powinien zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

- A co pan o nim myśli?

- No cóż, myślę, że mógłby nim zostać, ale dodaję równocześnie, że nie uważam tego bynajmniej za powód do chwały tychże Stanów Zjednoczonych. Jest nieprawdopodobnie bystry, ale mimo to nie uważam go za bardzo wybitnego prawnika. Zanadto lubi tanie efekciarstwo i jak na mój skromny gust, stosuje chwytty poniżej pasa. Poza tym trzyma się zasady, że sędziowie przysięgli nie mają o niczym pojęcia, co łatwo zresztą gruntownie udowodnić, ale może również działać trochę na nerwy nie znającemu się na rzeczy obserwatorowi. Zajmuje się także poezją, nie, nie, ani Amy Lowell, ani Ezra Pound, tylko coś w tym guście: „Nie mógłbym tak ciebie kochać, droga, gdybym więcej nie kochał honoru” albo „Jak drogie są memu sercu przeżycia minionego dzieciństwa!” Wie pani, tego rodzaju historyjki - głębia myśli.

- Czy cieszy się powodzeniem?

- Och, w każdej dziedzinie. Dwadzieścia lat temu był szefem chłopców noszących przybory do golfa w klubie podmiejskim w Rosemont. Pięć lat wcześniej sam był tam takim chłopcem. Ameryka, moje dziecko, to kraj wielkich możliwości. Farr jest niezrównany,

kiedy zaczyna perorować na temat rozpróżnionych bogaczy - można być bogatym, jeśli się nie jest nierobem albo tak zwanym dobrze urodzonym. Natomiast jeżeli ktoś należy do tej diabelskiej elity, to według niego lepiej, żeby uwiązał sobie kamień przy szyi i utopił się w jeziorze.

- Czy on wciąż jeszcze mieszka w Rosemont?

- Nie. Już od dziewiętnastu lat tu nie mieszka. Nie wierzę jednak, by zapomniał choćby jeden napiwek czy burę, jaką oberwał w dawnych dobrych czasach. Niekiedy staje raptem jak wryty i zaczyna się nad tym zastanawiać.

- A jaki jest ten Lambert?

- O, to całkiem inna para kaloszy, całkowicie inna para kaloszy, jeśli mogę się tak wyrazić. Pan Dudley Lambert jest prawnikiem, który wie wszystko, co tylko można wiedzieć na temat testamentów, zarządów powierniczych i mas spadkowych, ale ani odrobinę więcej. Jeżeli w tej chwili jest równie znakomity jak dwa lata temu, kiedy go słyszałem na jednej rozprawie, jest straszny. Nie mogę się doczekać jego przemówienia.

Rudowłosa dziewczyna pobladła.

- No, to w takim razie dlaczego ona go wzięła?

- To bardzo długa i zawiła historia. Lambert był kompanem starego Curtissa Thorne'a - zajmował się jego majątkiem i w ogóle wszystkim - będąc zaś zatwardziałym starym kawalerem po ukończeniu trzydziestego roku życia, ubóstwiał dzieci Thorne'a. Sue była jego oczkiem w głowie. Jeszcze do dnia dzisiejszego nazywa go wujkiem Dudleyem; kiedy doszło do zerwania stosunków między Sue a jej ojcem, Lambert stanął po jej stronie. To, że zwróciła się do niego, kiedy wybuchła ta afera, wydaje mi się całkiem naturalne. Zawsze prowadził wszystkie jej sprawy, a poza tym prawdopodobnie zdołał w nią wmówić, że jest najlepszym

prawnikiem po tej stronie Gór Skalistych. Zresztą najgłębiej w to wierzy.

- Ile on ma lat?

- Sześćdziesiąt trzy. Wystarczająco dużo, żeby mieć więcej rozumu. Proszę zresztą nie brać tego wszystkiego, co pani opowiedziałem o tych ludziach, zbyt dosłownie; uważam tylko za swój obowiązek poinformować panią, że nie cieszą się oni bynajmniej wielką popularnością u prasy. Jedyny na świecie człowiek, który mówi mniej niż Dudley Lambert, to Daniel Farr. Obrońcą Stephena Bellamy'ego jest młody wspólnik Lamberta, całkowicie pod jego wpływem. Byłby z niego nawet dość przyjemny facet, gdyby nie cierpiał na szczękościsk.

- Czy oni wam w ogóle nic nie powiedzieli? - spytała ze współczuciem rudowłosa dziewczyna.

- Mówią nam, że zostało popełnione morderstwo - ponuro odpowiedział reporter. - Musi pani jednak wiedzieć, że jest to jedyna sprawa o morderstwo popełnione na terenie Stanów Zjednoczonych, w której każdy, kto wie na ten temat choćby najdrobniejszy szczegół, traktuje prasę jak opuszczoną sierotę. Z rozprawy wstępnej nie przedostało się na zewnątrz ani jedno słówko, nie podano nam nazwiska ani jednego świadka. Dowody prokuratury przeciwko Stephenowi Bellamy i Susan Ives stanowiły pilnie strzeżoną tajemnicę między Danielem Farrem a Danielem Farrem. A obrona jest w równym stopniu gadatliwa. Uwaga, wchodzi Ben Potts. Zaczynamy na nowo.

Rudowłosa dziewczyna nie słuchała, co mówi reporter. Obserwowała ciemną sylwetkę prokuratora, który powoli zbliżał się w stronę niewielkiej przestrzeni, gdzie w sztywnych, niewygodnych krzesłach spokojnie i skromnie siedziało dwunastu mężczyzn. Dwunastu mężczyzn - dwunastu szarych, zwyczajnych, przeciętnych mężczyzn. Dziewczyna głęboko

zaczepnęła powietrza i na chwilę odwróciła głowę. Kurtyna poszła w górę.

- Wysoki sędzie - głos prokuratora był bardzo niski, ale brzmiał tak przenikliwie, jakby rozlegał się przy samym uchu. - Wysoki sędzie i panowie sędziowie przysięgli! W nocy dziewiętnastego czerwca 1926 roku, prawie cztery miesiące temu, zostało popełnione szczególnie okrutne i bezlitosne morderstwo, niecałe dziesięć mil od miejsca, w którym zebraliśmy się, by sędzić dwoje ludzi oskarżonych o dokonanie tego czynu. Tej letniej nocy, jakby stworzonej dla młodości, piękna i miłości, młoda, piękna kobieta, bez pamięci oddana swemu uczuciu, szła wśród blasku gwiazd na spotkanie ukochanego. Nie miała prawa się z nim spotkać. Była żoną innego mężczyzny, on był mężem innej kobiety. Ale miłość uczyniła ją lekkomyślną; przyszła w czarnym luźnym płaszczu zarzuconym na białą, ozdobioną koronkami suknię i w srebrnych balowych pantofelkach na nogach stworzonych do tańca, które tej nocy tańczyły po raz ostatni. Zmierzała do domku ogrodnika w jednej z najświetniejszych i największej zarazem majątności w okolicy, zwanej popularnie Sady. W momencie gdy popełniono morderstwo, domek był nie zamieszkały i wystawiony na sprzedaż. Kobieta szła szybko w obawie, iż się spóźni i może narazić ukochanego na chwile oczekiwania. Ale nie miłość czekała na nią w niewielkim saloniku małego domku.

Jeżeli wy, panowie, którzy zebraliście się tutaj, by sędzić jej morderców, pomyślcie z odrazą o tej pięknej, podnieconej radością, oczarowanej kobiecie spieszącej wśród nocy na umówione spotkanie, pamiętajcie, że było to spotkanie nie z ukochanym, ale ze śmiercią, i odnieście się do niej z pobłażaniem. Zapłaciła dużo większą cenę za zbrodnię nierozsądnej, ale jakże głębokiej miłości, niż wiele cnotliwych jej siostr.

Następnego ranka około godziny dziewiątej w domku ogrodnika zjawiał się pan Herbert Conroy, pośrednik handlu nieruchomościami, z reflektantem, który pragnął obejrzyć posiadłość. Kiedy zbliżył się do niewielkiej werandy, spostrzegł ze zdziwieniem, iż drzwi frontowe są lekko uchylone. Myśląc, że mogli się tam dostać włamywacze, otworzył je szerzej i wszedł do wnętrza.

Na parterze z wąskiego korytarza wchodzi się na prawo do saloniku - poprzedni użytkownicy nazywali go salonikiem frontowym. Pan Conroy przekroczył próg pokoju i oczom jego ukazał się doprawdy przerażający widok. Przed nim rozciągnięta na podłodze leżała młoda kobieta w białej, ozdobionej koronkami wieczorowej sukni. Obok niej znajdował się przewrócony stolik. Albo rozegrała się tu jakaś walka, albo stolik przewrócił się w momencie, gdy kobieta upadała. Koło jej nóg walały się okruchy potłuczonego szkła od lampy, porcelanowego abażuru i mosiężna lampa.

Biała suknia kobiety była zbroczona krwią od góry do dołu, jedwabne pończochy przypominały zaschlą skorupę, nawet srebrne pantofle były zaplamione. Wiedziano, że wychodząc z domu miała na sobie sznur pereł, obrączkę i trzy pierścionki z szafirami i brylantami. Biżuterii nie znaleziono. Kobietą leżącą na podłodze, kobietą, którą zasztyletowano z takim okrucieństwem i premedytacją, kobietą, której wspaniałą suknię zamieniono na straszliwe pośmiewisko, była Madeleine Bellamy, a o zamordowanie jej obwinia się dwoje siedzących przed wami oskarżonych.

Oskarżonym jest Stephen Bellamy, mąż zamordowanej. Obok niego siedzi Susan Ives, żona Patricka Ivesa, kochanka Madeleine Bellamy, z którym ofiara zbrodni szła się spotkać w ten tragiczny czerwcowy wieczór.

Morderstwo to, moi panowie, jest czynem ohydny i odrażającym. Sądzę, że zgodzicie się z tymi określeniami: ohydne i odrażające. Jest ono odrażające, ponieważ zgodnie z tezą prokuratury popełnione zostało przez kobietę z dobrego środowiska, dobrze wychowaną, subtelną, dla której sama myśl o czymś podobnym powinna być wstrętna; ponieważ kobietę ową popchnęły do zbrodni pobudki szczególnie niskie, ponieważ u jej boku znajdował się kochający mąż, którego zazdrość przemieniła w bestię tak dziką, że śmierć własnej żony stała się dla niego bardziej cenna niż jej życie. Zbrodnia ta jest szczególnie odrażająca i z tego względu, że, jak zamierzamy wykazać, tych dwoje ludzi, mając jeszcze na rękach krew zamordowanej, posiadało dość opanowania, spokoju i przezorności, aby usunąć klejnoty, które miała na sobie, a tym samym stworzyć pozory, iż motywem zbrodni był rabunek.

Abyście, panowie, mogli w pełni uchwycić doniosłość dowodów, jakie mamy zamiar wam przedłożyć, uważam za konieczne zapoznanie was w głównych zarysach z tłem, na jakim ci aktorzy odegrali swe tragiczne role. Tak krótko, jak to będzie tylko możliwe, postaram się je panom naszkicować.

Okręg Bellechester - wasz okręg, panowie, i dzięki Bogu również mój okręg, posiada tyle pięknych domów i uroczych miejscowości, co każdy okręg w tym lub w jakimkolwiek innym stanie, ale nie ma miłszej miejscowości niż Rosemont, małe osiedle położone mniej więcej dziesięć mil na południe od tego budynku sądowego. Miejscowość ta jest pięknie rozwijającą się osadą, w której jednak prawdziwy ośrodek zainteresowania stanowi klub podmiejski położony około dwóch mil poza jej granicami. Wokół tego właśnie ośrodka zbudowano kilka uroczych domów; w najpiękniejszym z nich, chaotycznie rozplanowanym, przerebionym z dawnego budynku farmerskiego, mieszkał Patrick Ives z żoną.

Patrick Ives jest mężczyzną w wieku około trzydziestu dwóch lat, któremu zupełnie niespodziewanie udało się zostać współnikiem jednego z najbardziej konserwatywnych i dobrze prosperujących banków inwestycyjnych w Nowym Jorku. Używam słowa „nadszpieganie” celowo, ponieważ mniej więcej siedem lat temu, kiedy Patrick Ives żenił się z Susan Thorne i po raz pierwszy w życiu zabrał się do poważnej pracy, wywołało to powszechne zdumienie. Do tego momentu, z wyjątkiem dwóch lat spędzonych na froncie, gdzie zresztą znakomicie się odznaczył, większość czasu spędzał, jak się zdawało, na doskonaleniu się w grze w golfa i w tańcu, a dopiero resztki wolnych chwil, jakie mu jeszcze pozostawały, poświęcał niemrawo prowadzonej agencji handlu nieruchomościami. Zgodnie z wszelkimi opiniami był i jest nadal lubiany, miły w obejściu i ogromnie popularny.

- Chwileczkę, panie Farr! - Niski głos sędziego Carvera przeciął raptownie wywody prokuratora. - Czy ma pan zamiar udowodnić te wszystkie twierdzenia?

- Oczywiście, wysoki sędzie.

- Nie chcę pana w niczym krępować, ale niektóre z nich wydają mi się posunięte nieco za daleko.

- Mogę zapewnić wysoki sąd, że prokuratura wykaże powiązanie tych wszystkich faktów ze sprawą.

- Bardzo proszę. Może pan mówić dalej.

- W okresie, kiedy popełniono morderstwo, dom pana Ivesa zamieszkiwała jego żona, Susan Thorne Ives, dwoje dzieci, Peter i Polly, w wieku pięciu i sześciu lat, jego matka, pani Margaret Ives, dla której był zawsze niezwykle dobrym synem - oprócz tego guwernantka, panna Kathleen Page, i sześcioro czy siedmioro służby. Jedynym spośród domowników, który w tej chwili nas interesuje, jest Susan lub - jak ją

nazywają przyjaciele - Sue Ives.

Pani Ives to osoba w wysokim stopniu wybitna. Jako najmłodsze dziecko i jedyna córka niezmiernie bogatego Curtissa Thorne'a Wychowywała się w posiadłości starego Thorne'a Sady, ubóstwiana zarówno przez ojca, jak i dwóch braci. Matkę straciła niedługo po przyjściu na świat. Nie istniał taki luksus ani zachcianka, do których by nie była przyzwyczajona od najwcześniejszego dzieciństwa. Wykazywała wielkie zdolności w nauce, a równocześnie wyróżniała się we wszystkich ćwiczeniach fizycznych. Towarzystwo, w sposób bardzo wyraźny, interesowało ją niewiele, natomiast ani w golfie, ani w tenisie nie było takiego trofeum, którego by natychmiast nie zdobyła. Opierając się na miejscowych plotkach, nie miała zbyt wielkiego powodzenia u mężczyzn, mimo swego dowcipu, wyrobienia towarzyskiego i uroku - możliwe, że była po prostu zbyt dowcipna i wyrobiona towarzysko jak na ich gusta. W każdym razie doprowadziła do tego, że w całym osiedlu aż zawrzało, kiedy siedem lat temu uciekła z przystojnym i nie mającym grosza przy duszy Patrickiem Ivesem, który dopiero co wrócił z wojska.

Stary Curtiss Thorne nie cierpiał Patricka Ivesa i miał dla córki zupełnie inne plany. Wydziedziczył ją i w dwa lata później zmarł, sam doszczętnie zrujnowany krachem swego przedsiębiorstwa podczas deflacji w 1921 roku. Co działo się z Patrickiem i Susan Ives przez trzy lata po ich ucieczce, tego nie wie nikt. Zniknęli w kotłowniku Nowego Jorku. Pani Margaret Ives pojechała do nich i jakoś musieli sobie radzić, żeby nie zginąć z głodu. Susan urodziła dwoje dzieci i w końcu Patrickowi udało się namówić bank inwestycyjny, z którym obecnie jest związany, ażeby zaangażowano go na próbę jako agenta trudniącego się sprzedażą

obligacji. Okazał się w tych sprawach prawdziwym geniuszem i jego kariera stała się czymś zupełnie wyjątkowym. Dzisiaj jest na Wall Street uważany za jednego z najlepiej zapowiadających się młodych ludzi.

Pod koniec czwartego roku Ivesowie wraz z dziećmi wrócili do Rosemont. Kupili mniej więcej o milę od terenów klubu stary farmerski dom z należącymi doń siedmioma czy ośmioma akrami ziemi, przebudowali go, założyli ogród, kort tenisowy i stali się najbardziej poszukiwaną w towarzystwie młodą parą w całym Rosemont. Na pozór wydawali się idealnie szczęśliwi. Dwoje uroczych dzieci, śliczny dom, masa pieniędzy, dość podobne upodobania. Wszystko to powinno by stworzyć z życia istny raj, nieprawdaż? Tak, a tymczasem po tej gładkiej, wygodnej, pokrytej kwiatami i przystrojonej girlandami ścieżce Patrick i Susan Ives zmierzali prosto do piekła. Ażeby zrozumieć, w jaki sposób mogło do tego dojść, musicie, panowie, dowiedzieć się czegoś o dwojgu innych ludziach i o ich życiu.

Mniej więcej o półtorej mili od domu Ivesów, na samych krańcach osiedla stał inny dom farmerski, ale tego nikt nie przebudowywał. Mały, odrapany, w bardzo złym stanie - ani kortu tenisowego, ani ogrodów. Obok niego był jedynie tani przenośny garaż otoczony kawałkiem ziemi, ogrodzonym wałącym się płotem. Wszystko jest względne na tym świecie. Dla mieszkańców kamienic czynszowych i ruder taki dom byłby niemal pałacikiem. Mieszkańcom kamiennych pałaców ciągnących się wzdłuż Hudsonu wydałby się obskurną rudera. Natomiast dla Madeleine Bellamy, która w nim mieszkała, stanowił źródło ustawicznego upokorzenia i zdenerwowania.

Mimi Bellamy - według wszelkiego prawdopodobieństwa można twierdzić, że nikt w całym Rosemont nie słyszał od dnia, w którym

została ochrzczona, by ktokolwiek nazwał ją Madeleine - Mimi Bellamy była osobą o wprost zdumiewającej piękności.

Spójrzcie, panowie, na jej zdjęcie wycięte z miejscowej gazety - fatalnie wykonane, fatalnie odbite, wielokrotnie powiększone, a jednak nawet te wszystkie braki i usterki nie mogą zaćmić blasku jej urody. Zdjęcie to zostało zrobione niedługo przed śmiercią, ściśle mówiąc, niecałe dwa miesiące. Nie jest ono w stanie oddać jej kolorytu, czerwono-złoty włosów, niebieskich jak morze oczu, niezrównanego rumieńca triumfującej młodości, która otaczała ją jakimś zaczarowanym kręgiem. Może jednak ten zimny, czarno-biały i bezcielesny obraz roześmianej młodej kobiety w kwiecistej sukni da wam, panowie, wystarczające wyobrażenie o jej pełnym ciepła uroku i łatwiej pozwoli zrozumieć tę niewiarygodną katastrofę, do jakiej urok ten doprowadził.

Właśnie w tym celu pokazuję panom to zdjęcie, jak również po to, by przypomnieć wam, jeżeli odczuwacie litość w stosunku do innej kobiety, że nigdy już na tym świecie nie rozlegnie się jej dziewczęcy śmiech - młody, beztroski i radosny. Proszę was uroczyście, panowie, abyście zechcieli o tym pamiętać.

Mimi Dawson Bellamy była córką wiejskiej krawcowej, która wyszła za mąż za Fryderyka Dawsona, człowieka pochodzącego ze znacznie wyższej sfery niż ona, gdyż był wcale nieźle sytuowanym pośrednikiem handlu nieruchomościami w Rosemont. W żadnym jednak wypadku nie należał do miejscowej elity i nie był nawet członkiem podmiejskiego klubu.

Oboje z żoną zajmowali wygodny, bezpretensjonalny dom w pewnym oddaleniu od głównej ulicy, a obok, w pensjonacie sąsiadującym z ich parcelą, mieszkała pani Margaret Ives ze swoim synem Patrickiem.

Pani Ives, wdowa, cieszyła się dużym szacunkiem w osiedlu, do którego przybyła przed wielu laty; wykazywała ogromną zapobiegliwość w staraniach o powiększenie swoich mizernych dochodów - udzielała lekcji muzyki, naprawiała bieliznę, opiekowała się małymi dziećmi, których matki poszły do kina, i robiła wszystko, co było w jej mocy, aby pomóc synowi, którego głównym, jak się zdawało, wkładem do stworzenia im dobrobytu było szczere przywiązanie do matki. Stan taki utrzymywał się w każdym razie tak długo, dopóki Patrick nie ukończył dwudziestego pierwszego roku życia. Wtedy to pan Dawson wziął go do pomocy w handlu nieruchomościami, mając nadzieję, że urok osobisty i ujmujący sposób bycia młodego człowieka wyrównają brak doświadczenia i pracowitości. W pewnej mierze przewidywania te się spełniły, z tym jednak, że owe walory Patricka wywarły dużo większe wrażenie na pięknej córce Dawsona niż na klientach. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Prześliczne, przedwcześnie rozwinięte siedemnastoletnie dziecko i przystojny dwudziestodwuletni chłopak widywani byli wszędzie razem. Wszyscy wiedzieli, że Mimi Dawson i Pat Ives „chodzą ze sobą” i że któregoś dnia staną przed ołtarzem.

W rok później Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Patrick Ives natychmiast zgłosił się do wojska i jako jeden z pierwszych znalazł się we Francji. W całym osiedlu twierdzono, że jeśli tylko wróci żywy i cały, ożeni się z Mimi. Ale w obliczeniach tych nie brano w rachubę Mimi.

Wojna, moi panowie, zmieniła nie tylko mapę Europy. Zmieniła całkowicie układ społeczny w wielu miejscowościach Ameryki, między innymi w sposób drastyczny i zadziwiający zmieniła układ stosunków w Rosemont, w okręgu Bellechester. Po raz pierwszy od chwili, gdy

powstał klub podmiejski, i od tego momentu, gdy wielu mieszkańców Nowego Jorku odkryło, że można mieszkać na wsi, a pracować w mieście, bariera oddzielająca mieszkańców osiedla od członków klubu obniżyła się i ponad tą obniżoną barierą przeszła Mimi Dawson prosto w środowisko pań organizujących kółka krawieckie, trykotarskie, kółka Czerwonego Krzyża, kółka mające na celu wyrabianie szarpi, kółka, które w okresie wojny powstawały dosłownie jak grzyby po deszczu. Co więcej, Mimi weszła prosto w zaczarowany krąg towarzyski, dotąd osiągalny dla niej jedynie w marzeniach; ale co ważniejsze, weszła prosto w życie Elliota Farwella.

Elliot Farwell był młodszym bratem pani Dallas. W jej domu zbierało się kółko Czerwonego Krzyża, którego pani Dallas była przewodniczącą. Wielu miejscowym dziewczętom zaproponowano przystąpienie do grupy pań trudniących się wyrobem szarpi. Koniec końców prowadziliśmy tę wojnę po to, żeby na świecie zapanowała demokracja, dlaczego więc samemu nie być demokratą? Para rąk z osiedla była tak samo dobra - a może nawet i lepsza - jak para rąk z klubu. Tak więc mała Mimi Dawson zasiadła obok sławnej panny Thorne, nawijając pęczki bawełny na niewielkie drewnianki, a potem, z coraz większą regularnością, zaczęła wracać do domu nowym samochodem pana Farwella, oczywiście bez wiedzy i zgody jego siostry, której demokratyczne przekonania mogłyby nie wytrzymać takiej próby.

Elliot Farwell był jednym z dwóch czy trzech młodych ludzi, jacy pozostali w Rosemont. Wada wzroku nie pozwoliła mu na służbę w żadnym rodzaju broni, siedział więc spokojnie w domu, organizując w mieście jakieś nikomu niepotrzebne przedsięwzięcia. Musiałby jednak być ślepy, żeby nie zauważyć urody Mimi Dawson. Jeśli zaś chodzi o

ściśłość, zauważył ją tak dokładnie, że w trzy miesiące po zawarciu pokoju i na trzy tygodnie przed powrotem Patricka Ivesa państwo Dawson, wprawiając w osłupienie cały tamtejszy światek, ogłosili zaręczyny swej córki z panem Elliotem Farwellem. Prawdopodobnie Susan Thorne, której młody Farwell przez szereg lat okazywał umiarkowane względy, nie była w tym światku osobą, na której by ta wiadomość zrobiła najmniejsze wrażenie.

Tak przedstawiały się sprawy, kiedy odwróciła się fala płynąca do Europy i kiedy na samym szczycie powracającej fali wjechał major Patrick Ives w butach z ostrogami, w pasie koalicyjnym, obwieszony odznaczeniami - prosto, przez ciągle jeszcze obniżoną barierę, w sam środek towarzystwa grupującego się w klubie podmiejskim. Był, co uznac należy za rzecz zupełnie naturalną, zachwycony swoim nowym otoczeniem, a fakt, że zastał zainstalowaną już w tym gronie Mimi - razem z jej narzeczonym - nie zdawał się w najmniejszym nawet stopniu wpływać ujemnie na jego doskonale samopoczucie. Od dnia, w którym po raz pierwszy rozegrał z Susan Thorne partię golfa, towarzyszył jej wiernie i nieustępliwie jak jej własny cień. Otwarcie i gwałtownie wyrażane niezadowolenie Curtissa Thorne'a nie zrobiło na nim wrażenia i nadal pozostali niepoprawni i nierozdzielni. Widać było wyraźnie, że cały świat przestał dla nich istnieć, tak jak nie istniał dla Farwella i jego narzeczonej. I w środek tej idyllicznej sceny, mniej więcej miesiąc później, zabłąkał się nasz ostatni aktor, Stephen Bellamy.

Stephen Bellamy był starszy od nich wszystkich - siedem lat od Susan Thorne i Patricka Ivesa, dwanaście lat od promiennej Mimi. Był najserdeczniejszym przyjacielem Douglasa, starszego brata Susan, i młodszym współnikiem Curtissa Thorne'a. Dobrze spisał się na wojnie,

sprawy zawodowe szły mu doskonale i według ogólnego mniemania stanowią najlepszą partię w Rosemont. Był inteligentny, wytworny i bardzo zamożny. Wszyscy doskonale wiedzieli, że Curtiss Thorne chętnie by go widział w roli zięcia i że przed wojną właśnie on i Elliot Farwell mieli największe szanse na uzyskanie ręki Susan.

W przeciągu tygodnia od jego powrotu - straciła obu. Spokojny, pełen rezerwy, o konserwatywnych poglądach Stephen Bellamy w sposób jeszcze bardziej gwałtowny i poniżający niż Elliot Farwell stał się ofiarą wdzięków Mimi Dawson. Fakt, że była zaręczona z innym mężczyzną, jego co najmniej dobrym znajomym, nie zdawał się go ani przez chwilę odstraszać. W każdym razie trzeci tydzień czerwca 1919 roku przyniósł cichej, trzymającej się z dala od wszystkiego, co nowe, osadzie Rosemont trzy wstrząsające wydarzenia, po których nie mogła ochłonąć przez wiele następnych miesięcy. W poniedziałek, po gwałtownej publicznej kłótni z Farwellem, Mimi Dawson zerwała z nim zaręczyny, w środę Sue Thorne uciekła z Patrickiem Ivesem, a w czwartek, w tymże budynku sądowym, zawarli ślub przed sędzią pokoju panna Dawson i pan Bellamy.

Długa jest droga od tego niezwyklego czerwcowego tygodnia do innego czerwca, ale proszę, abyście panowie zechcieli przebyć ją wraz ze mną. W ciągu następnych siedmiu lat rzucone w tych odległych dniach nasiona - nasiona niezgody, bólu, zazdrości i złej woli - wzeszły i rozrosły się w potężny krzew, obwieszony gorzkimi owocami. Bliski był dzień ich zbioru, a ręce zbierających miały być czerwone. Ale tego cichego, słonecznego popołudnia dziewiętnastego czerwca 1926 roku tym, którzy siedzą w cieniu fatalnego krzewu, miejsce to wydaje się miłe i pełne spokoju.

Jest godzina piąta w klubie podmiejskim Rosemont. Ludzie, których wam pokrótce przedstawiłem, siedzą na trawniku przed budynkiem klubowym; właśnie nadchodzą gracze w golfa. Jest to najprzyjemniejsza i najweselsza chwila dnia. Widzimy tam również czekającą na męża Mimi Bellamy. Przyjechała ich małym wozem, aby go zabrać na kolację. Samochód stoi zaparkowany tuż obok lśniącego wozu Sue Ives, za którego kierownicą siedzi ulizany i równie lśniący szofer; Mimi Bellamy myśli prawdopodobnie, co to za dziwny los sprawia, że jednego człowieka spotykają w interesach same niepowodzenia, a drugiemu wszystko udaje się i idzie jak z płatka. Pracowity i inteligentny Stephen Bellamy nigdy nie podniósł się po ciosie, jaki spadł na niego po krachu przedsiębiorstwa Curtissa Thorne'a. Wciąż jeszcze dzielnie walczy o utrzymanie dachu nad głową swej uroczej małżonki, ale jest to wszystko, na co go stać. Prawdą jest, że mają służącą i człowieka, który wykonuje wszystkie niezbędne prace, ale Sue Ives wyszła za miejscowego nicponia, a teraz ma ośmioro służby, trzy samochody i najpiękniejsze ogrody w całym Rosemont. Tak oto los wy kierowuje na głupców najsprytniejszych spośród nas.

Zebrani w małych grupkach siedzą George Dallas z żoną, Elliot Farwell i Richard Burgoyne, młody człowiek, z którym Elliot do spółki wynajmuje kawalerskie mieszkanie w małym domku niedaleko osady; są tam również Ned Conroy z żoną i Sue Ives, której mąż nie mógł zagrać w golfa, bo mimo sobotniego popołudnia zatrzymały go w mieście sprawy zawodowe. Znalazła sobie jednak innego kawalera. Siedzi na schodach klubu, trochę na uboczu, zatopiona w rozmowie z Elliotem Farwellem, który wypija już trzecią szklankę rozcieńczonej whisky z lodem. Panowie, gdybym mógł uczynić coś takiego, żebyście podsłuchali tę pozornie przypadkową, w rzeczywistości zaś jakże doniosłą rozmowę,

prowadzoną pod maską towarzyskiej uprzejmości, wiele spraw, obecnie dla was zaciemnionych, stałoby się jasne jak dzień. Proszę was, panowie, o cierpliwość i uwagę, dopóki ten moment nie nadejdzie. Ale przyrzekam wam, że nadejdzie.

Proponuję, abyście na razie zostawili tych ludzi na oświetlonym słońcem trawniku. Inni opowiedzą wam, co się wydarzyło od tej słonecznej chwili aż do momentu strasznego, pogrążonego w ciemnościach, kiedy to w domku ogrodnika uniósł się nóż i opadł. Zagłębiłem się tak w mroczną przeszłość, z której po kolei wysuwały się te postaci, nie po to, by uraczyć was bezsensowną opowieścią o podmiejskim klubie i małej osadzie. Zrobiłem to dlatego, iż uważałem za niezbędne zapoznać was, panowie, z podstawowymi faktami, w świetle których wyraźniej przemówią dowody, jakie wkrótce zacznę wam przedstawiać. Jest rzeczą nieuniknioną, że każdy z was zada sobie pytanie: jak to możliwe, aby kobieta, znajdująca się przed wami, pełna wdzięku, dobrze wychowana, wolna od wszelkich trosk, opanowana i inteligentna - jak to możliwe, aby ta kobieta zabiła drugą kobietę w sposób brutalny, świadomy, z pełną premedytacją? Jak to możliwe, by siedzący obok niej mężczyzna, dżentelmen z urodzenia i wychowania, na którego życiu aż do chwili obecnej nie było najmniejszej skazy, mógł jej w tym pomagać i zachęcać do wykonania tak haniebnego zamiaru?

Pytacie, jak to możliwe. Otóż, panowie, oświadczam wam, że zamierzamy udowodnić, że te rzeczy nie są możliwe; zamierzamy udowodnić, że te rzeczy są pewne. Nie mówię ani pochopnie, ani lekkomyślnie, kiedy zapewniam, że prokuratura jest przekonana, iż będzie mogła to udowodnić w sposób wykluczający jakąkolwiek wątpliwość. Nie chodzi mi o wyrok skazujący, nie jestem ogarem, który

tropi ofiarę. Jeżeli po przedstawieniu przeze mnie wszystkich dowodów dojdziecie w waszych sercach do przekonania, że ten mężczyzna i ta kobieta to ludzie niewinni, będziecie doprawdy szczęśliwi, a ja w swoim sercu nie znajdę chęci pozbawienia was tego szczęścia. Jednakże do moich najprzykrzejszych obowiązków należy przedłożyć wam fakty i pozwolić im mówić samym za siebie.

Proszę was, panowie, abyście zechcieli zachować to w pamięci: Susan Ives jest kobietą przyzwyczajoną do luksusu i świadomości, iż ma zapewniony byt. Raz już, w sposób brutalny, tego ją pozbawiono. Możemy się jedynie domyślać, jakie straszliwe ślady pozostawiły na jej wytwornej, pełnej radości życia kobiecie te trzy lata spędzone w Nowym Jorku, lata, którym tak bez chwili wahania wyszła na spotkanie. Być może wystarczy powiedzieć, że ślady te zapadły w nią dość głęboko, by zamknąć jej usta na zawsze. Nie udało się ustalić, czy wspominała o nich choćby jednemu człowiekowi, mimo że wielu o to pytałem. Żyła pod groźbą powtórzenia się tego koszmaru. Zasady religijne, jak się o tym przekonacie, nie pozwalały jej ani zgodzić się na rozwód, ani go żądać, a była zbyt inteligentna, żeby w pełni nie zdawać sobie sprawy, że gdyby Patrick Ives uciekł z Mimi Bellamy, straciłby nieuchronnie swoją pozycję w ultrakonserwatywnym domu bankowym, co w konsekwencji doprowadziłoby do tego, iż nie byłby absolutnie w stanie dostarczać środków utrzymania jej i dzieciom, nawet gdyby tego pragnął.

Pozycja młodej kobiety zdanej całkowicie na samą siebie, obarczonej w dodatku dwojgiem małych dzieci, nie jest godna pozazdroszczenia i naszym zdaniem Susan Ives chwyciła się desperackich środków zaradczych. Do obaw jej musiała się dołączyć straszliwa nienawiść względem kobiety, która zamieniła jej słoneczną, spokojną egzystencję

w jakiś koszmarny sen. Chciwość, miłość, zemsta - każde morderstwo popełnione na tym świecie, którego nie spowodował cios zadany po pijanemu, ma u podłoża jeden z tych trzech motywów. Panowie, prokuratura utrzymuje, że w przypadku Susan Ives w grę wchodziły te wszystkie trzy motywy.

Jeśli chodzi o Stephena Bellamy'ego, bałwochwalcza miłość do żony stanowiła całą treść jego życia, szarego i bezbarwnego poza światłem i kolorystyką, jakie ona do niego wniosła. Kiedy odkrył, że jego uwielbienie zostało wydrwione, ogarnęło go szaleństwo. Ci dwoje, którzy stoją przed wami, oskarżeni są o złamanie świętego prawa, na którym opiera się bezpieczeństwo całego społeczeństwa, z takim trudem wyprowadzonego z chaosu i lęku. A teraz przystąpimy do wykazania wam, dlaczego postawiliśmy tych ludzi w stan oskarżenia.

Będziemy postępować za nimi od pierwszego kroku na tej mrocznej drodze, która zawiodła ich do domku ogrodnika, aż do samego progu, a nawet przekroczymy ten próg. Tam ich zostawię - mój obowiązek będzie spełniony. Potem już tylko wy będziecie musieli go wypełnić. Jestem do głębi przekonany, że gdyby nawet było to dla was bardzo bolesne, nie-nawistne czy nawet przerażające - nie cofniecie się przed spełnieniem swojego obowiązku.

Afektowany, dziwacznie brzmiący głos nagle umilkł. Zapanowała cisza - przez chwilę trwała jakby w zawieszeniu, pogłębiała się, potem nagle przemieniła w niepohamowaną, dziką wrzawę.

- Cisza! Cisza!

Głos Bena Potts'a i młotek sędziego Carvera przywróciły spokój.

- Raz na zawsze przypominam, że sala sądowa nie jest miejscem przeznaczonym na rozmowy. Jak długo państwo się na niej znajdują, proszę o zachowanie spokoju. Ogłaszam przerwę. Sąd zbierze się w dniu jutrzejszym o godzinie dziesiątej.

Rudowłosa dziewczyna z trudem stanęła na zeszywniałych nogach. Pierwszy dzień procesu Bellamy'ego był skończony.

Rozdział 2

Ruda dziewczyna spóźniła się. Zegar nad drzwiami sali sądowej wskazywał trzy minuty po dziesiątej. Zdyszana rzuciła się na krzesło obok wysokiego, szczupłego mężczyzny i zapytała tragicznym szeptem:

- Zaczęli już?

- Nie - odparł młody człowiek, którego nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi. - Niech się pani uspokoi. Nie straciła pani jeszcze ani jednego słówka. Kapelusz zsunął się pani zupełnie na jedno oko.

- Biegłam całą drogę od samej stacji - wykrztusiła rudowłosa. - W tej okropnej dziurze nie ma ani jednej taksówki. A wczoraj to poszedł pan sobie, zanim miałam czas zapytać, co, pan sądzi o mowie prokuratora.

- Może wyszedłem właśnie dlatego.

- Nie, naprawdę, co pan myśli o tym przemówieniu?

- Wydaje mi się, że biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, spisał się tak dobrze, jak można się było spodziewać. W każdym razie lepiej, niż oczekiwałem.

- On chyba nie potrafi udowodnić tego wszystkiego, prawda? - spytała dziewczyna.

- Otóż to! Jeżeli się uważnie temu przyjrzymy, jedyną rzeczą posiadającą jakiegokolwiek znaczenie, którą, jak zapowiedział, udowodni, jest fakt, że Bellamy i Sue Ives spotkali się i razem poszli do frontowego saloniku w domu ogrodnika, żeby stanąć tam przed Mimi Bellamy. To

jest jego koncepcja. I, moim zdaniem, wcale dobra koncepcja. Cała reszta to tylko fantazja i górnolotne słowa powiązane ze sobą jedynie po to, żeby wywołać w sędziach przysięgłych litość, przerażenie, uprzedzenie i podejrzliwość. Biorąc pod uwagę cel, w jakim te słowa zostały wypowiedziane, wcale nieźle je dobrał.

- Myślałam, że główną ideą prokuratora jest wykrzycie prawdy, a nie przeforsowanie wyroku skazującego - oświadczyła poważnie rudowłosa dziewczyna.

- To jest ideał, a nie idea, moje dziecko. Nie odniosła chyba pani wrażenia, by sugerował ławie przysięgłych, żeby niezależnie od tego, iż przeciw pani Ives i Stephenowi Bellamy istnieją poważne poszlaki, wzięła pod uwagę możliwość, że wiele innych osób mogło popełnić morderstwo? Czy tak pani to rozumiała?

- Przecież najwyraźniej powiedział, że nie jest ogarem tropiącym zwierzynę.

- No, jeżeli naprawdę nim nie jest, to w każdym razie przypomina go do złudzenia. Co pani mówiła na temat Farra i klasyków? Zwróciła pani uwagę na to jego powiedzenie o „nierozsądnej, ale jakże gorącej miłości”? To nawet lepsze niż: „Nie mogłem kochać cię, droga, tak bardzo”.

Wysoki, czysty głos Bena Potts'a poderwał ich gwałtownie na nogi.

- Sąd idzie!

W małych drzwiach na podium ukazała się wysoka postać sędziego Carvera. Jego wspaniałej sylwetce dodawała powagi opadająca w luźnych fałdach jedwabna toga. Za nim postępowali sędziowie przysięgli, obrońcy, oskarżeni. Pani Ives miała na głowie ten sam kapeluszek...

- Sąd! Wysoki sąd!

- Czy pan Conroy znajduje się na sali?

- Pan Herbert Conroy! - zawołał woźny.

Wszystkie głowy odwróciły się, żeby popatrzeć na drobną postać spieszenie idącą przejściem w stronę miejsca dla świadków.

- Czy przysięga pan uroczyście, że zeznania, jakie pan złoży sądowi i ławie przysięgłych w sprawie obecnie rozpatrywanej, będą prawdą, całą prawdą i tylko prawdą, tak panu dopomóż Bóg?

- Przysięgam.

Pan Conroy, wstępując na niskie podwyższenie, rozejrzał się dokoła wyblakłymi niebieskimi oczyma, jakby zastanawiając się, którędy można by się stąd wydostać.

- Panie Conroy, czym pan jest z zawodu?

- Jestem pośrednikiem w handlu nieruchomościami.

- Czy pańskie biuro mieści się w Rosemont?

- Nie, sir. Moje biuro znajduje się w Nowym Jorku. Mieszkam jednak w Brierdale, mniej więcej trzy mile na południe od Rosemont.

- Czy posiada pan w swojej gestii nieruchomość Thorne'ów zwaną Sady?

- Tak jest.

- Do kogo należy ta posiadłość?

- Pan Curtiss Thorne zapisał ją w testamencie dwóm swoim synom, Charlesowi i Douglasowi. Charles zginął na wojnie, wobec czego przeszła ona w całości na starszego syna, Douglasa. W tej chwili on jest jedynym właścicielem.

- I on polecił ją sprzedać?

- Sprzedać lub wdzierżawić, raczej jednak sprzedać.

- Czy miał pan na nią jakieś oferty?

- Żadnej, którą można by uznać za zadowalającą. To zbyt wielka nieruchomość, żeby się mogła nadawać na podmiejską siedzibę dla

przeciętnego klienta. Jest tam ponad osiemdziesiąt akrów ziemi i dwudziestoczeropokojowy dom. Jednak po południu dziewiętnastego czerwca 1926 roku pokazałem zdjęcia tego obiektu pewnemu dżentelmenowi z Cleveland, który właśnie zamierzał przenieść swoje przedsiębiorstwo na Wschód. Bardzo mu się podobały i niczego nie kwestionował, jeśli chodzi o cenę, z tym oczywiście, że posiadłość okaże się taka jak na zdjęciach.

- Był pan w tym czasie w Nowym Jorku?

- Tak. Zaproszenie na obiad nie pozwoliło mi zabrać go tego samego popołudnia do Rosemont. Ponieważ jednak chciał obejrzeć obiekt jak najprędzej, bo następnego popołudnia wyjeżdżał na Zachód, umówiliśmy się, że zawiozę go tam na drugi dzień o dziewiątej rano.

- I tak pan zrobił?

- Tak jest.

- A teraz, panie Conroy, niech pan będzie tak dobry i powie nam, co się wydarzyło, kiedy przyjechał pan z tym dżentelmenem do Sądów rankiem dwudziestego czerwca.

- Wyjechaliśmy z Nowego Jorku moim otwartym samochodem i znaleźliśmy się przed domkiem dozorczy chyba kilka minut po dziewiątej. Miałem wziąć klucze leżące pod wycieraczką przed domkiem ogrodnika, który znajduje się w połowie drogi między domkiem dozorczy a głównym budynkiem...

- Chwileczkę, panie Conroy. Czy domek dozorczy był zamieszkały?

- Nie. W tym właśnie okresie wszystkie domy na terenie posiadłości stały puste. Za czasów pana Curtissa Thorne'a w domku dozorczy mieszkał szofer z rodziną, w domku ogrodnika ogrodnik z rodziną i był tam jeszcze jeden niewielki dom na zachodniej granicy posiadłości. Zajmował go jakiś farmer. Wszystkie te budynki od pewnego już czasu

stały puste, z wyjątkiem domku ogrodnika, którego mieszkańcy otrzymali dwumiesięczny urlop na odwiedzenie swoich rodziców we Włoszech. Czy mam mówić dalej?

- Proszę.

- Domek ogrodnika jest niskim pięciopokojowym budynkiem. Stoi na zakręcie drogi i, praktycznie biorąc, jeśli podchodzi się do niego od głównej alei wjazdowej, jest całkowicie zasłonięty otaczającymi go wsząd wysokimi krzewami. Bzy, syringi i różne inne takie krzewy. Jest tam jeszcze mała dróżka, która odbiega od głównej alei i okrąża domek. Podjechaliśmy nią i weszliśmy na schody prowadzące na frontową werandę, ponieważ mój klient chciał obejrzeć wnętrze. Kiedy schyliłem się po klucze, spostrzegłem ze zdumieniem, że drzwi były lekko uchylone. Podniosłem klucze, otworzyłem szerzej drzwi i wszedłem do środka, przypuszczając, że musieli tu przede mną zajrzeć włamywacze.

Pan Conroy przerwał na chwilę swoją zrównoważoną, dokładną relację, a jego blada twarz pobladła jeszcze bardziej.

- Czy mam mówić dalej? - spytał.

- Oczywiście.

- Na lewo znajdowała się jadalnia, do której drzwi były zamknięte, po prawej stronie pokój nazywany salonikiem. Drzwi były otwarte, ale z korytarza widziało się tylko niewielki fragment pokoju; zdałem sobie sprawę, że stało się hi coś strasznego, dopiero w chwili, gdy przekroczyłem próg. W rogu pokoju, przeciwnie do drzwi...

- Chwileczkę, proszę pana. Czy pański klient był razem z panem, kiedy pan wchodził do pokoju?

- Szedł o krok za mną. W rogu pokoju leżało... leżało ciało młodej kobiety w białej wieczorowej sukni. Obok przewrócony stolik, a u jej

stóp lampa. Potłuczone szkiełko i klosz, i trochę oliwy rozlanej na podłodze. W całym pokoju unosił się bardzo silny zapach nafty - naprawdę ogromnie silny.

Wygląd pana Conroya wskazywał, że nie czuje się najlepiej, jakby ciągle jeszcze gnębił go zapach rozlanej nafty.

- Panie Conroy, czy kobieta leżała zwrócona w pana stronę głową, czy nogami?

- Nogami. Jej głowa opierała się o róg niskiej ramy - coś w rodzaju metalowej balustradki, biegnącej dokoła podstawy specjalnego typu pieca.

- Czy zauważył pan coś jeszcze?

- Owszem. Krew.- Conroy obejrzał się szybko dokoła, jakby go przeraził dźwięk tego słowa, i zniżył głos. - Całą masę krwi.

- Na sukni?

- Głównie na sukni. Wydaje mi się, że również dywan był zakrwawiony, chociaż tego nie jestem pewny. Ale przede wszystkim na sukni.

- Co może nam pan powiedzieć o tej sukni?

I znowu przerażony wzrok Conroya powędrował dokoła.

- O sukni? Cała był przesiąknięta krwią, sir. Mogę się chyba właśnie tak wyrazić: była przesiąknięta krwią.

- Nie, nie, chodzi mi o to, jaka to była suknia. Wieczorowa?

- Nie bardzo dokładnie sobie przypominam. Sądzę, że można ją tak określić. Ale nie suknia balowa, rozumie pan, po prostu lekka suknia ozdobiona koronkami, z małym dekoltem na plecach i krótkimi rękawkami. To pamiętam dokładnie, że ramiona tej pani były gołe.

Prokurator, który niedbale przerzucił jakieś papiery i broszury ułożone na wieku kwadratowego pudełka, odsunął je niecierpliwym ruchem

na bok i wydobyl coś z wnętrza.

- Czy to była ta suknia, panie Conroy?

Serca wszystkich zebranych przeszło długie skrzypnięcie krzesła gwałtownie odsuniętego przez Conroya do tyłu. Dźwięk ten miał w sobie nieledwie cechy ludzkiego głosu. Prokurator nonszalancko powiewał przed wytrzeszczonymi oczami agenta jakimś wymiętym przedmiotem - była to biała suknia pokryta smugami, plamami i kroplami tego najbardziej złowieszczonego dla ludzkich oczu koloru - dziwnej, rdzawej, straszliwej czerwieni zakrzepłej krwi.

- Tak - powiedział Conroy niemal szeptem - tak, tak, to jest ta... to jest ta suknia.

Zafascynowany wzrok widzów oderwał się od sukni i przeniósł na dwoje oskarżonych. Susan Ives nie patrzyła na suknię. Głowę trzymała jak zawsze uniesioną wysoko - wargi miała spokojnie zaciśnięte, natomiast jej oczy były uparcie utkwione w kartce papieru, którą trzymała w obciążonych rękawiczkami palcach. Widać było, że treść kartki całkowicie pochłaniała jej uwagę.

Stephen Bellamy nie czytał. Siedział obserwując tę kupkę koronek i krwi, jakby miał przed sobą głowę Meduzy. Jego pusty, skierowany przed siebie wzrok przykuwało do niej coś nieubłaganego, coś nie dającego się wprost znieść. Twarz miał równie spokojną jak Susan Ives, z wyjątkiem okropnego, ledwo dającego się zauważyć drgania mięśni otaczających zaciśnięte usta.

- Czy krew na tej sukni była zakrzepła, kiedy widział ją pan po raz pierwszy, panie Conroy?

- Nie. Nie była zakrzepła.

- Czy przekonał się pan o tym dotykając jej?

Mała, schludna postać Conroya zdawała się kurczyć w sobie.

- Nie. Nie dotykałem tego. Nie musiało się jej dotykać, żeby zobaczyć. To... to było zupełnie wyraźnie widać.

- Rozumiem. Proszę o przekazanie tej sukni do identyfikacji.

- Zgadzam się - oświadczył spokojnie sędzia Carver. Przez chwilę przyglądał się sukni dokładnie i z powagą, a potem powrócił do swoich notatek.

- Zrozumiał pan? - spytał energicznie Farr wręczając - suknię urzędnikowi sądowemu. - Przekazuję ją jako dowód rzeczowy.

- Są jakieś sprzeczności? - spytał sędzia Carver.

- Wysoki sędzie, nie widzę konieczności, aby...

Sędzia ostro przerwał Lambertowi:

- Nie proszono pana o arbitraż w tej kwestii, panie Lambert. O ile mi wiadomo, prokurator prowadził tę sprawę bez pańskiej pomocy. Wnosi pan sprzeciw, a jeśli tak, na jakiej podstawie?

Czerwona twarz Lamberta stała się jeszcze czerwiejsza. Otworzył usta, rozmyślił się jednak i zamknął je z głośnym klapnięciem.

- Nie wnoszę sprzeciwu.

- Panie Conroy, zauważył pan, czy pantofle były również poplamione krwią?

- Tak... tak, były dość mocno poplamione.

- Jakie to były pantofle?

- Błyszczące, na bardzo wysokich obcasach i miały chyba coś w rodzaju niewielkich, jasnych i błyszczących sprzączek.

- Takie jak te? - Raz jeszcze pomysłowy prokurator sięgnął do kwadratowego pudełka i zręcznie ustawił obiekt swoich poszukiwań na krawędzi barierki otaczającej miejsce dla świadków. Była to para srebrnych pantofelków ozdobionych sprzączkami ze sztucznych diamentów.

Zbytkowe i wystarczająco niepraktyczne, żeby je mogła nosić nawet najgłupsza z kobiet, tak małe, że mieściły się w męskiej dłoni; mieniące się, niedorzeczne i kokietyjne. Stały teraz na ciemnej krawędzi barierki, a ich sprzączki błyszczały ochoczo wśród pociemniałych i złowieszczych plam, które przeistoczyły je z wesołych, ślicznych zabawek w symbole tragedii.

- To są te pantofle - oświadczył Conroy trzęsącym się, ledwie dosłyszalnym głosem.

- Przekazuję je jako dowód rzeczowy.

- Nie wnoszę sprzeciwu. - Ton głosu Lamberta stanowił sprzeciw sam w sobie.

- No a teraz, panie Conroy, czy byłby pan tak dobry powiedzieć nam, co pan zrobił bezpośrednio po swoim odkryciu?

- Powiedziałem do mojego klienta: „Popelniono tu przestępstwo. Musimy zawiadomić policję”.

- Nie, nie, co pan powiedział, panie Conroy. Chodzi mi o to, co pan zrobił.

- Wróciłem do samochodu razem z moim klientem, zamykając za sobą drzwi kluczem, który znalazłem pod wycieraczką, a potem szybko, jak to było tylko możliwe, pojechałem do komendy policji w Rosemont i zameldowałem o swoim odkryciu.

- Co pan im powiedział?

- Zameldowałem, że znalazłem zwłoki pani Bellamy w domku ogrodnika na terenie posiadłości starego Thorne'a i że wygląda na to, iż została zamordowana.

- Ach! Więc pan rozpoznał panią Bellamy?

- Tak. Była przyjaciółką mojej bratowej, która mieszka w Rosemont. Zetknąłem się z nią dwa razy.

- A potem, co pan zrobił?

- Uznałem, że nic więcej me mogę w tej sprawie zrobić, ale spróbowałem połączyć się telefonicznie z Douglasem Thorne'em, żeby mu powiedzieć, co się stało. Niestety, nie udało mi się go złapać i razem z moim klientem natychmiast wróciłem do Nowego Jorku.

- Czy klient zrezygnował z dalszego oglądania posiadłości?

Po raz pierwszy Conroy pozwolił sobie na mały, blade, nieśmiały cień uśmiechu.

- Tak. Zdecydował, że wobec zaistniałych okoliczności nie zamierza dalej prowadzić pertraktacji. Nie uznał tego, co się stało, jeżeli mogę się tak wyrazić, za szczególnie pomyślny omen.

- No cóż, trudno się dziwić. Panie Conroy, kiedy był pan w tym saloniku, zauważył pan może, czy pani Bellamy miała na sobie jakąś biżuterię?

- O ile mnie pamięć nie myli, to nie.

- Jest pan tego całkiem pewny?

- Nie mógłbym przysiąc, ale prawie z całą pewnością nie miała. Byłem w tym pokoju nie więcej niż minutę, rozumie pan, ale wciąż mam przed oczyma bardzo wyraźny jego obraz; tak, bardzo wyraźny obraz.

Conroy zmęczonym ruchem przesunął ręką po wysokim czole i ten wyraźny obraz, o którym mówił, zdał się nagle wyłaniać przed oczami osób zgromadzonych na sali.

- Nie widział pan narzędzia zbrodni?

- Nie. Nie potrafiłbym przysiąc, że go tam nie było, ale ja na pewno go nie widziałem.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, powiedział pan, że wychodząc zamknął pan drzwi domku jednym z kluczy, które pan wyjął spod wycieraczki. Ile kluczy tam było?

- Chyba siedem albo osiem. Zaraz: klucz od domku dozorczy, od stojącego naprzeciw garażu, od tylnych i frontowych drzwi głównego

budynku i od piwnicy - może były tam jeszcze jakieś inne.

- Czy nie przyszło panu nigdy na myśl, panie Conroy, że to dosyć nieroztropne trzymać klucze w tak mało zabezpieczonym miejscu?

- Nie uważaliśmy tego za miejsce mało zabezpieczone, sir. Domek ogrodnika stoi daleko od drogi i wydawało się nam mało prawdopodobne, żeby ktoś mógł tam znaleźć te klucze.

- Kogo pan ma na myśli mówiąc „my”, panie Conroy?

Conroy poruszył się niespokojnie.

- Miałem na myśli pana Douglasa Thorne'a i siebie.

- To pan Thorne wiedział, że te klucze były tam trzymane?

- No tak, naturalnie.

- Dlaczego „naturalnie”, panie Conroy?

- Powiedziałem naturalnie... powiedziałem naturalnie dlatego, że to właśnie pan Thorne je tam schował.

- Rozumiem. A kiedy pan Thorne je tam schował?

- Poprzedniego wieczoru.

- Poprzedniego wieczoru? - Nawet w głosie prokuratora zabrzmiała nuta zaskoczenia.

- Tak.

- O której godzinie?

- Nie potrafię określić dokładnie.

- No dobrze, ale może w przybliżeniu.

- Nie mogę określić stanowczo nawet w przybliżeniu.

- Czy było to przed godziną siódmą wieczór?

- Nie sądzę.

- W jaki sposób dowiedział się pan, że pan Thorne ma zamiar zostawić tam te klucze?

- Telefonicznie.

- Pan Thorne dzwonił do pana?

- Nie. Ja dzwoniłem do niego.
- O której godzinie?
- Mniej więcej pół do szóstej wieczór, dziewiętnastego.
- Rozumiem. Czy zechce pan być tak dobry i powtórzy nam treść tej rozmowy?
 - Przez jakiś czas usiłowałem złapać pana Thorne'a i w jego domu w Lakedale, i w mieście.
 - To pan Thorne nie mieszka w Rosemont?
 - Nie. Mieszka po drugiej stronie Lakedale, jakieś dwanaście mil w stronę Nowego Jorku. Kiedy go nareszcie złapałem po jego powrocie z partii golfa, wytłumaczyłem mu, że następnego ranka możliwie najwcześniej muszę się koniecznie dostać do domku ogrodnika, i zaproponowałem, żeby podjechał tam po obiedzie i zostawił klucze pod wycieraczką. Przeprasilem go za tyle kłopotu, na co mi odpowiedział, że to nie żaden kłopot, ponieważ...
 - Nie, panie Conroy, nie, nie chodzi o to, co on odpowiedział, ale o to, co pan mówił.
 - Nie przypominam sobie, żeby powiedział jeszcze coś, co może mieć jakiegokolwiek znaczenie.
 - Czy wie pan, o której godzinie pan Thorne zwykle jada obiad?
 - Nie wiem.
 - Ile czasu potrzeba, pańskim zdaniem, żeby się dostać samochodem z domu pana Thorne'a do Sadów?
 - Odległość wynosi jakieś czternaście mil. Wyobrażam sobie, że to zależy całkowicie od tempa jazdy.
 - Przy normalnej szybkości zajęłoby to prawdopodobnie jakieś trzydzieści pięć do czterdziestu minut?
 - Możliwe.
 - W takim razie, jeżeli pan Thorne skończył obiad około ósmej, mógł się zjawić w Sadach na krótko przed dziewiątą?

- Naprawdę nie mogę panu tego powiedzieć, panie Farr. Wie pan na ten temat dokładnie tyle samo co ja.

Mała, strapiiona twarz Conroya przybrała na chwilę wyraz niemal wyzywający, który zniknął dopiero pod wpływem rozbrajającego, tak rzadko pojawiającego się uśmiechu prokuratora.

- Chyba ma pan rację, panie Conroy. - Po czym Farr gwałtownie obrócił się w stronę woźnego sądowego. - Czy pan Douglas Thorne znajduje się na sali?

- Pan Douglas Thorne! - zawołał woźny wysokim, ładnym falsetem.

Wysoki, szczupły i wytworny mężczyzna, opalony na ciemny brąz, podniósł się szybko ze swego miejsca w czwartym rzędzie.

- Jestem, sir.

- Panie Thorne, może pan będzie tak uprzejmy porozmawiać ze mną po zakończeniu posiedzenia? Dziękuję. To by było wszystko, panie Conroy.

Lambert podszedł do miejsca dla świadków w dziwnie ostrożny sposób.

- Panie Conroy, pan Thorne przywiózł te klucze jedynie pod wpływem pańskiej sugestii, czy tak?

- Oczywiście.

- Wziąwszy pod uwagę to, co pan wie na ten temat, mógł je tam zostawić o godzinie ósmej a nawet jedenastej?

- Oczywiście.

- To wszystko, panie Conroy.

- Nie mam więcej pytań - powiedział krótko prokurator. - Proszę wezwać doktora Paula Stanleya.

- Doktor Paul Stanley!

Człowiek, który zajął miejsce Herberta Conroya, był mężczyzną o dostatnim wyglądzie. Na głowie miał gęstą siwą czuprynę. Usiadł i dobrotnie zwrócił w stronę prokuratora miłą, inteligentną twarz.

- Czym pan jest z zawodu, doktorze Stanley?
- Jestem chirurgiem. We wczesnej młodości byłem lekarzem ogólnie praktykującym, czyli czymś, co znamy dziś jedynie ze słyszenia.

Uśmiechnął się ujmująco do prokuratora, a zatłoczona sala odetchnęła z ulgą. Miły, spokojny człowiek po zastraszonej malutkiej pośredniczce od sprzedaży nieruchomości.

- Czy dokonywał pan uprzednio autopsji zwłok, doktorze?
- Często.
- A w tym wypadku dokonał pan autopsji zwłok Madeleine Bellamy?

- Tak jest.
- Gdzie pan zobaczył zwłoki po raz pierwszy?
- We frontowym pokoju domku ogrodnika w posiadłości Thorne'a.
- Czy słyszał pan zeznania pana Conroya?
- Tak.
- Czy zwłoki znajdowały się w pozycji opisanej przez świadka?
- Dokładnie w takiej samej. Później celem przeprowadzenia oględzin zostały przeniesione do znajdującej się naprzeciw jadalni.

- Proszę nam opowiedzieć, w jakich okolicznościach zobaczył pan zwłoki po raz pierwszy.

- Bardzo proszę. - Doktor Stanley usiadł wygodnie w krześle i obrócił się nieco w stronę sędziów przysięgłych, którzy z wdzięcznością spojrzeli w jego przyjazną twarz. Gdyby doktor Stanley opowiadał, jak holował swego największego pstrąga w tym roku, nie mógłby mieć chyba miłszego wyrazu twarzy. - Pojechałem do tego domku razem z moim przyjacielem Eliasem Duttonem, koronerem, i dwoma czy trzema policjantami stanowymi. Pan Conroy przekazał nam klucze do domku;

znaleźliśmy wszystko dokładnie tak, jak to opisał.

- Czy były widoczne ślady walki?

- Ma pan na myśli zwłoki?

- Tak. Jakieś zadrapania, sińce, podarte lub porozrzucane części odzieży?

- Nie. Absolutnie żadnych śladów walki z wyjątkiem przewróconego stołu i lampy.

- Czy mogły się one przewrócić podczas upadku pani Bellamy?

- Stół bardzo łatwo mógł się wtedy przewrócić; leżał przy głowie pani Bellamy, niemal na zwłokach. Natomiast lampa znajdowała się przy nogach.

- Czy mogła się tam potoczyć z przewracającego się stołu?

- To jest możliwe, ale mało prawdopodobne. Na podłodze walały się również okruchy szkielek i abażuru, i to jakieś sześć stóp od stołu.

- Rozumiem. Niech nam pan teraz powie, doktorze, co było przyczyną śmierci pani Bellamy.

- Serce pani Bellamy zostało przebite jakimś ostrym narzędziem, najprawdopodobniej nożem.

- Czy była tylko jedna rana?

- Tak.

- Czy może pan ją opisać?

- Tuż ponad sercem znajdowało się na skórze czyste nacięcie, długie na około trzy czwarte cala. Narzędzie zagłębiło się w ciało mniej więcej na trzy cale i przeszło między żebrami ponad sercem.

- Czy do zadania takiego ciosu konieczna jest duża siła fizyczna?

- Nie. Gdyby nóż trafił na żebro, trzeba by znacznej siły, żeby go odchylić, w tym jednak wypadku narzędzie nie napotkało żadnej przeszkody.

- Więc kobieta obdarzona dużą siłą mogłaby zadać taki cios?

- Och, oczywiście, nawet kobieta nie mająca tej siły albo dziecko, albo przeciętnie zbudowany mężczyzna. Z charakteru rany w żadnym wypadku nie można wnioskować o sile, z jaką ją zadano.

- Rozumiem. - Prokurator sięgnął niedbale do stołu sekretarza sądowego i wręczył doktorowi Stanleyowi odrażający łańchman, który był białą wieczorową suknią Madeleine Bellamy. - Czy poznaje pan tę suknię, doktorze?

- Oczywiście.

- Może byłby pan tak dobry i wskazał nam, w którym miejscu nóż przedziurawił materiał.

Doktor Stanley zręcznie obracał suknię swymi pełnymi wycucia palcami. W jego fachowych, zgrabnych ruchach było coś, co zdawało się wyzwalać ją z jakiegoś przerażającego elementu grozy - odwrócone spojrzenia z wolna powróciły w tamtą stronę.

- Nóż przeszedł dokładnie w tym miejscu. Jeśli przyjrzy się pan dobrze, zauważy pan przecięte nitki. O tu, gdzie plama krwi jest najmniejsza.

- Tak. Czy pańskim zdaniem, doktorze, tego rodzaju rana powoduje natychmiastową śmierć?

- Nie. Nie natychmiastową. Śmierć następuje jednak bardzo szybko.

- W ciągu minuty?

- W ciągu kilku minut. Na skutek gwałtownego wykrwawienia.

- Czy można przyjąć, że ofiara jest w tym krótkim czasie zdolna do wydawania krzyków, jęków lub tym podobnych odgłosów?

- No cóż, w takiej sprawie dość trudno cokolwiek generalizować. W tym jednak konkretnym przypadku istnieje podstawa, by wątpić, że po zadaniu ciosu ofiara krzyczała.

- Jaka jest podstawa tego przypuszczenia?

- Pan Conroy zeznał już chyba, że głowa pani Bellamy opierała się o róg metalowej ramy pieca - była to ostro zakończona balustradka, wysoka mniej więcej na sześć cali. Jestem przekonany, że kiedy ofiara otrzymała cios, zachwiała się, uchwyciła stolika i upadła, tyłem głowy uderzając o balustradkę z taką siłą, że całkowicie straciła przytomność. Stwierdziłem silne obtłuczenie tylnej części głowy i właśnie to nasunęło mi taki wniosek.

- Rozumiem. Czy kiedy pan widział panią Bellamy, miała na sobie jakąś biżuterię? Naszyjnik, pierścionki, broszki?

- Nie widziałem na niej żadnej biżuterii.

- Jakiego rodzaju nożem, według pana, doktorze, posłużył się zabójca?

- Cóż, dość trudno odpowiedzieć na to pytanie. Rana nie odznaczała się niczym szczególnym. Mogła zostać zadana prawie każdym nożem o ostrym ostrzu szerokim mniej więcej na trzy czwarte cala i długim na trzy do czterech cali. Różne to mogły być noże. Albo sztylet, albo mały nóż kuchenny, albo duży składany nóż kieszonkowy, albo jakikolwiek nóż składany.

- A czy tym można było dokonać zabójstwa?

Prokurator rzucił na wyciągniętą dłoń doktora mały, ciemny przedmiot i usunął się na bok, aby sędziowie przysięgli, którym z ciekawości aż oczy wychodziły z orbit, mogli go lepiej obejrzeć. Był to nóż. Duży składany nóż kieszonkowy z szorstką, pomarszczoną kościaną rękojeścią.

Lambert podbiegł do świadka z trudem hamując pośpiech.

- Czy włącza pan ten nóż do dowodów rzeczowych?

- Nie włączam.

Sędzia Carver pochylił się do przodu, przy czym jego czarna jedwabna toga zaszeleściła złowieszczo.

- Co to za nóż, panie Farr?
- Jest to nóż, wysoki sędzie, nóż, którego związek ze sprawą mam zamiar wykazać nieco później. Na razie proszę o przekazanie go do identyfikacji jedynie w celu objęcia protokołem.

- Powiada pan, że będzie pan mógł wykazać jego związek ze sprawą?

- Bezwzględnie.

- W porządku. Może pan odpowiadać na pytania, doktorze.

Doktor oglądał nóż z powagą, jego oczy błyszczały zainteresowaniem.

- Mogę go otworzyć?

- Proszę.

W zapierającej dech ciszy dał się wyraźnie słyszeć lekki szczeł, kiedy wysunęło się duże ostrze. Doktor Stanley pochylił się nad nim uważnie, z zadumą przesunął wskazującym palcem po lśniącej powierzchni noża i podniósł głowę.

- Owszem - oświadczył. - Można to bez trudu zrobić tym nożem.

Prokurator zatrzasnął ostrze z zagadkowym uśmiechem.

- Dziękuję panu. To by było wszystko.

- Panna Kathleen Page!

Zanim jeszcze przebrzmiało echo stanowczego wezwania, już się pojawiła - delikatna, poważna zjawa, cała ubrana na szaro, zaczynając od kapełusza z piórami, a kończąc na maleńkich buciczkach zapiętych na sprzączki. Miała bladą owalną twarz, która z powodzeniem mogła należeć do najmłodszej i najmniejszej Madonny Botticellego. Przymglone oczy, harmonizujące z kolorem jej sukni, obramowane przesadnie wielkimi rzęsami; smutne, przymilne małe usta; gładko zaczesane sploty ciemnych włosów. Na sali podniósł się szmer zainteresowania; narzmiął, ale natychmiast zamarł pod orlim wzrokiem sędziego Carvera.

- Panno Page, gdzie pani obecnie pracuje?
- Jestem bibliotekarką w filii biblioteki publicznej w Nowym Jorku.
- Czy to pani stałe zajęcie?
- Przez ostatnie sześć miesięcy.
- Czy była pani bibliotekarką również przedtem?
- Chodzi panu o okres bezpośrednio przed tym?
- W ogóle przedtem.
- Byłam pomocniczą bibliotekarki w White Plains w latach 1921-1925.
- A potem?
- W lutym 1925 roku przechodziłam ciężką gripę. Czułam się po niej bardzo niedobrze i lekarz poradził mi, żebym się postarała o jakieś zajęcie na wsi, gdzie mogłabym dużo spać i przebywać na świeżym powietrzu.
- I zdecydowała się pani na każde zajęcie, byleby tylko odpowiadało tym warunkom?
- Tak. Doktor Leonard podsunął mi myśl, żebym spróbowała popracować jako guwernantka. Jedna z jego pacjentek szukała na pewien czas guwernantki dla dzieci i doktor poradził mi, żebym tego spróbowała.
- I spróbowała pani?
- Tak.
- Kto był tą pacjentką sugerowaną przez doktora Leonarda?
- Pani Ives.

Jak gdyby to nazwisko miało w sobie magnes, wszystkie twarze na sali sądowej zwróciły się w kierunku jego właścicielki. A ona siedziała w swojej krótkiej tweedowej spódniczce i luźnym żakiecie, w jasnym, niedużym pilśniowym kapelusiku głęboko naciśniętym na błyszczące włosy; oczy utkwiała w złożonych rękach. Na dźwięk swego nazwiska uniosła głowę, krótko i obojętnie spojrzała na chciwe, pełne ciekawości

twarze zwrócone w jej stronę, trochę dłużej, z jeszcze większą obojętnością, na anielskie oblicze panny Page, ocienione opadającym piórem, i znowu utkwiała wzrok w swoich rękawiczkach. Na pastwę wścibskich oczu pozostało jedynie lekkie skrzywienie warg - ładne, pełne ironii, niezbadane. Wzrok widzów z powrotem powędrował ku świętoszkowatej osobie siedzącej na miejscu dla świadków.

- Jak długo była pani zatrudniona u pani Ives?

- Do czerwca 1926 roku.

- Do którego czerwca?

- Do dwudziestego pierwszego.

- W takim razie w nocy dziewiętnastego czerwca była pani jeszcze zatrudniona u pani Ives?

- Tak.

- Może powie nam pani z łaski swojej, co pani robiła tego dnia o ósmej wieczorem?

- Skończyłam kolację tuż przed ósmą i właśnie zabierałam się do czytania w dzieciennym pokoju dzieci, kiedy przypomniałam sobie, że zostawiłam książkę na dole, koło piaskownicy przy końcu ogrodu, gdzie bawiłam się z dziećmi przed kolacją. Zeszłam więc po nią na dół.

- Czy miała pani jakąś okazję stwierdzić, która to była godzina?

- Tak. Przechodząc usłyszałam, jak zegar w jadalni wybija ósmą. Zwróciłam na to specjalną uwagę, bo pomyślałam sobie: „Ósma godzina, a na dworze jeszcze zupełnie jasno”.

- Czy wychodząc z domu nie spotkała pani nikogo?

- Zaraz za drzwiami dzieciennego pokoju spotkałam pana Ivesa. Przyjechał dość późno na obiad i nie przyszedł do tej pory na górę powiedzieć dzieciom dobranoc. Zapytał, czy dzieci są już w łóżkach. Mam mówić dalej?

- Oczywiście.

- Odpowiedziałam, że są w łózkach, ale jeszcze nie śpią, i prosiłam, żeby ich zanadto nie rozbawił. Trzymał w ręku łódkę dla małego Petera i bałam się, że jak go rozbawi, to potem już w ogóle sobie z nim nie poradzę.

- Łódkę? Co to była za łódka?

- Mała żaglówka. Model szkunera. Pan Ives pracował nad nim od pewnego czasu.

- Sam go zrobił?

- Tak. Miał wielki talent do takich rzeczy. Polly zrobił przepiękny dom dla lalek.

- Wysoki sędzie...

- Proszę w miarę możliwości odpowiadać wyłącznie na pytania, pan-no Page.

- Tak, wysoki sędzie.

Pełna pokory skrucha przebijająca w aksamitnym głosie panny Page mogła być wzorem dla wszystkich przyszłych świadków.

- Czy pan Ives kochał dzieci?

- Och, tak, uwielbiał...

- Sprzeciwiam się temu pytaniu, wysoki sędzie.

Początkowe utarczki tym razem zmieniły się w prawdziwe trzęsienie ziemi, które poderwało na nogi ważącego dwieście pięćdziesiąt funtów Lamberta.

- Dobrze, panie Lambert. Może się pan wypowiedzieć. Na jakiej zasadzie wnosi pan sprzeciw?

- Wnoszę sprzeciw przeciwko całemu sposobowi przesłuchiwania świadka. Jest nieistotny, nieudolny i pozbawiony związku ze sprawą. Jakie panna Page posiada kwalifikacje, by wydawać sąd o uczuciach pana Ivesa wobec dzieci? A jeśli nawet jej opinia ma jakiegokolwiek znaczenie, co jego uczucie do dzieci ma wspólnego z zaborstwem tej kobiety?

Z przyczyn, których nawet nie usiłuję zgłębić, widzę, że uczony przedstawiciel] oskarżenia po prostu marnuje czas sądu.

- Może pan pozwoli sądowi mieć swoje zdanie na ten temat. - Piękne oczy sędziego Carvera spoczęły z wyrazem krytycyzmu na stojącej przed nimi i wyrażającej protest górze ciała. - Panie Farr, udzielam panu głosu.

- Stwierdzam oczywiście, wysoki sądzie, mimo całego należnego szacunku dla znakomych słów mego oponenta, że mówi on wierutne nonsensy. Panna Page jest doskonale...

Młotek sędziego Carvera opadł z głośnym łomotem.

- Panie Farr, sąd zmuszony jest prosić pana raz na zawsze, aby się pan ściśle trzymał tematu. Czy może pan wykazać związek, jaki pańskie pytanie ma ze sprawą?

- Z całą pewnością. Zdaniem oskarżenia pani Ives doskonale zdawała sobie sprawę, że gdyby jej mąż zdecydował się na rozwód, walczyłby zaciekłe o zachowanie przynajmniej częściowej opieki nad dziećmi, które, jak twierdzi panna Page, uwielbiał. Co więcej, pani Ives jako osoba wierząca miała bardzo poważne zastrzeżenia odnośnie rozwodu. Dlatego też, jeśli chciała zachować przy sobie dzieci, zasadniczą dla niej sprawą było uwolnienie się od kogoś, kto mógłby zagrażać jej małżeństwu. Aby to udowodnić, rzeczą konieczną jest ustalenie uczuć pana Ivesa. Dla wszystkich więc powinno być jasne, że panna Page należy do osób, które znakomicie mogą przedstawić stan tych uczuć. Twierdzą, że moje pytanie jest całkowicie związane ze sprawą i istotne oraz że uważam pannę Page za osobę jak najbardziej powołaną do udzielenia odpowiedzi.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Wnoszę o wyłączenie.

- Pan Ives uwielbiał dzieci, a dzieci uwielbiały jego. Spędzał z nimi

prawie cały czas.

- A czy pani Ives kochała dzieci?
- Sprzeciwiam się na tej samej zasadzie, wysoki sędzie.
- Dopuszczam pytanie.
- Wnoszę o wyłączenie.
- O, tak. Była do nich bardzo przywiązana.
- Tak samo przywiązana jak pan Ives?
- Przepraszam, wysoki sędzie...

Sędzia Carver spojrział na rozgorączkowanego Lamberta z umiarkowanym zainteresowaniem.

- To pytanie jest chyba posunięte zbyt daleko, panie Farr. Sugeruje odpowiedź.

- Proszę bardzo, wysoki sędzie. Sformułuję je inaczej. Czy po zachowaniu pani Ives można było wnioskować, że kocha dzieci tak samo jak pan Ives?

- O, tak, tak sędzę... chociaż, oczywiście, pani Ives nie należy do osób wylewnych.

- Rozumiem. Nie jest osobą wylewną. Jest zimna i pełna rezerwy, tak?

Surowy głos sędziego Carvera ostro przeciął delikatny, strapiony i wzruszony szept panny Page:

- Panie Farr, sąd pragnie pozostawić panu tyle swobody, ile tylko możliwe, ale wydaje się nam, że tą szczególną kwestią zajął się pan już w sposób wystarczający.

- Całkowicie ustępuję wobec zdania wysokiego sądu... Panno Page, czy pani Ives towarzyszyła mężowi, kiedy spotkała go pani, jak wchodził do dzieciennego pokoju niosąc w ręku łódkę?

- Nie, pani Ives powiedziała już dzieciom dobranoc przed obiadem.

- Czy pan Ives wszedł do dzieciennego pokoju, zanim pani zeszła na dół?

- Minął mnie i wszedł do dzieciennego pokoju dzieci. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że stamtąd poszedł do ich sypialni.

- To bez znaczenia. Chodzi mi jedynie o fakty, o których pani wie na pewno. Więc powiada pani, że tam są dwa dziecienne pokoje?

- Tak.

- Czy może pani powiedzieć, jak są położone?

- Dzienny pokój dzieci i sypialnia znajdują się w prawym skrzydle domu na drugim piętrze.

- Jakie inne pokoje są jeszcze na tym piętrze?

- Mój pokój, łazienka i mała szwalnia.

- Proszę nam powiedzieć, jaki jest rozkład domu, przyjmując, że stoimy w głównych drzwiach wejściowych.

- Chwileczkę, muszę się zastanowić... minąwszy drzwi, wchodzi się do bardzo dużego hallu, który zajmuje prawie całą środkową część domu. Ta część była kiedyś starym domem farmerskim, a skrzydła, gdzie faktycznie znajdują się wszystkie pokoje, dobudowała pani Ives. Kazała zburzyć całą wewnętrzną konstrukcję starego domu i zostawić jedynie zewnętrzne ściany. W ten sposób powstał ogromny hall, wysoki na dwa piętra, z otaczającymi go na pierwszym i drugim piętrze galeriami, które prowadzą do skrzydeł. W głębi hallu są schody prowadzące na lewą galerię i drugie, które idą na prawo. Obawiam się, że nie tłumaczę tego dość jasno, ale to jest nieco skomplikowane.

- Bardzo jasno to pani przedstawia. Proszę nam powiedzieć, jaki jest rozkład pokoi, tak jak go widzimy wchodząc przez główne drzwi.

- Proszę. Na prawo znajduje się mała garderoba i duży salon. Jest ogromny i zajmuje faktycznie cały parter prawego skrzydła. Nad nim są pokoje państwa Ives.

- Czy państwo Ives zajmują oddzielne pokoje?

- Nie. Mają bardzo dużą sypialnię i z jednej strony mieści się garderoba i łazienka pani Ives, a z drugiej garderoba i łazienka pana Ivesa. Na drugim piętrze są pokoje dzieciinne i mój. Na lewo od wejścia jest na dole niewielki pokój na kwiaty.

- Pokój na kwiaty?

- Pokój, w którym układało się kwiaty. Pani Margaret Ives bardzo często go używała. Były tam półki z wazonami, zlew i duży stół z porcelanowym blatem. Stał tam też telefon i...

- Wysoki sędzie, czy mógłbym zapytać, do czego to wszystko zmierzają? - Głos Lamberta trząsał się ze zniecierpliwienia.

- Owszem. Może pan. Sąd właśnie pragnął zapytać o to samo. Czy te tak wyczerpujące pytania są konieczne, panie Farr?

- Bezwarunkowo konieczne, wysoki sędzie. Mogę zapewnić pana Lamberta, że prowadzą do bardzo interesujących wniosków, aczkolwiek on może uważać samą drogę, jak i cel, do którego wiodą, za wysoce nieprzyjemne. Obiecuję, o ile możliwości, się streszczać.

- W porządku. Proszę mówić dalej, panno Page.

Panna Page podniosła swe przejrzyste, pełne wzruszającego potępienia dla własnej osoby oczy.

- Tak mi ogromnie przykro! Ale zupełnie zapomniałam, na czym skończyłam.

- Mówiła nam pani, że w pokoju na kwiaty był telefon.

- Tak, tak. Stoi w pierwszym pokoju na lewo, jak się wchodzi. To właściwie jest część hallu.

- Chce pani powiedzieć, że ten pokój nie ma drzwi?

- Nie, skądże. Ma drzwi. Chciałam po prostu powiedzieć, że wchodzi się do niego, zanim się wejdzie do lewego skrzydła. Ten pokój jest jakby odpowiednikiem garderoby z prawej strony. Oba przypominają raczej dwa wielkie schowki, z tym tylko, że mają okna.

- Na co te okna wychodzą?
- Na frontową werandę... czy mam dalej mówić o pokojach?
- Proszę. Ale możliwie najkrócej.
- Pierwszym pokojem w lewym skrzydle jest gabinet pana Ivesa. Łączy się z jadalnią. Oba te pokoje tworzą parter skrzydła. Nad nim jest pokój pani Margaret Ives i łazienka, dwa pokoje gościnne i jeszcze jedna łazienka. A w tym samym miejscu na drugim piętrze są pomieszczenia dla służby.

- Ile tam było służby?

- Zaraz... sześcioro, jak mi się wydaje, ale w domu mieszkali tylko cztery dziewczęta.

- Proszę je wymienić.

- No, więc kucharka, Anna Baker; pokojówka podająca do stołu, Melanie Cordier; druga pokojówka, Katie Brien, i Laura Roberts, osobista służąca pani Ives, a zarazem szwaczka. Zajmowały cztery małe pokoiki na drugim piętrze lewego skrzydła. Bracia James i Robert MacDonald, szofer i ogrodnik, mieszkali w pomieszczeniach nad garażem. O, jeszcze była praczka, ale nie przypominam sobie jej nazwiska. Nie mieszkiała w domu, tylko przychodziła cztery razy tygodniowo.

- Wymieniła pani całą służbę?

- Tak.

- I opisała pani cały rozkład domu?

- Tak... z wyjątkiem pomieszczeń gospodarczych. Wchodzi się tam przez drzwi na tyłach wielkiego hallu. Do kuchni, pralni, jadalni dla służby i kredensu połączonego z jadalnią. Wszystkie te pomieszczenia są na tyłach domu. Mam je opisać?

- Nie, dziękuję. Możemy teraz wrócić do pani początkowych zeznań. Czy idąc w stronę piaskownicy spotkała pani poza panem Ives jeszcze kogoś?

- W domu nikogo. Natomiast idąc przez rozarium minęłam panią Margaret Ives. Pracowała tam zwykle od obiadu aż do zmroku. Kiedy przechodziłam, zapytała mnie, czy dzieci już śpią, a ja odpowiedziałam, że jest u nich pan Ives.

- Co pani robiła potem?

- Znalazłam książkę na huśtawce przy piaskownicy i poszłam przez trawnik z powrotem w stronę domu. Kiedy weszłam na schody, usłyszałam głos pani Ives dochodzący z pokoju na kwiaty, na lewo od drzwi wejściowych. Mówiła bardzo cicho, ale okno na werandzie było otwarte i słyszałam wyraźnie każde jej słowo.

- Czy mówiła do kogoś, kto znajdował się w pokoju?

- Nie. Telefonowała. Chyba już wspominałam, że telefon na dole był właśnie w tym pokoju. Podawała numer Rosemont 200.

- Czy znała pani ten numer?

- Bardzo dobrze. Zamawiałam go dla pani Ives wiele razy.

- Czyj to był numer, panno Page?

- Pana Bellamy'ego.

Słowa te wywołały ogromne zainteresowanie; wszystkie spojrzenia pobiegły w stronę umęczonej, śniadej twarzy Stephena Bellamy'ego. Rozjaśniał ją dziwny, przyjazny, krzepiący na duchu uśmiech skierowany do Susan Ives. Natomiast na jej twarzy widać było zaskoczenie. Przez chwilę patrzyła na niego chłodno, po czym na jej rozchylone wargi, które ułożyły się w poważny wyraz dający poznać, że zrozumiała to milczące pozdrowienie, powrócił normalny kolor. Jakiś czas patrzyli na siebie, a potem ich oczy znowu przybrały zwykły, pełen czujnej uwagi, niezgłębiony wyraz. Ich oczu, które z ociąganiem odwrócili od siebie, tak wyraźnie, jakby krzycząc ponad tymi pełnymi napięcia twarzami, wołały: „Odwagi!”

- Powiedziała pani, panno Page, że wyraźnie mogła pani usłyszeć, co mówi pani Ives?

- Bardzo wyraźnie.

- Zechce nam to pani powtórzyć?

- Powiedziała... - Panna Page zmarszczyła czoło, usiłując sobie przypomnieć te słowa, a potem ciągnęła już pewnie: - Powiedziała: „To ty, Stephen?... Tu Sue. Sue Ives. Czy jest Mimi?... Jak dawno wyszła?... Jesteś pewny, że tam poszła?... Nie, zaczekaj, to bardzo ważne. Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć. Czy możesz tu być wozem za dziesięć minut?... Nie, nie pod dom. Stań na zakręcie tej drogi na tyłach. Przyjdę przez tylną bramę... Czy Elliot nic ci nie powiedział?... Nie, nie zwracaj sobie tym głowy... tylko się pośpiesz”.

- Czy to wszystko, co ona powiedziała?

- Powiedziała jeszcze do widzenia.

- I nic więcej?

- Nic więcej.

- Co pani zrobiła potem?

- Zawróciłam ze schodów na werandę, okrążyłam dom z prawej strony, weszłam przez boczne drzwi i udałam się na górę do dzieciennego pokoju.

- Dlaczego tak pani zrobiła?

- Nie chciałam, żeby pani Ives wiedziała, że podsłuchałam jej rozmowę. Pomyślałam, że gdyby przypadkiem zobaczyła, jak wchodzę przez boczne drzwi, nie przyjdzie jej do głowy, że mogłam ją stamtąd usłyszeć.

- Rozumiem. Czy kiedy pani przyszła do dzieciennego pokoju, pan Ives jeszcze się tam znajdował?

- Tak. Kiedy usłyszałam, że wróciłam, wyszedł z dziecinnej sypialni i powiedział, że dzieci już zasypiają.

- Czy jeszcze coś mówił?

- Tak. Wciąż trzymał w ręku tę łódkę i powiedział, że chce coś tam poprawić przy sterze i że przyniesie ją z powrotem jutro rano.

- A czy pani mówiła coś do niego?

- Tak.

- Proszę powtórzyć, o czym pani z nim rozmawiała.

- Powiedziałam, że podsłuchałam rozmowę telefoniczną jego żony z panem Bellamy i że według mnie powinien o tym wiedzieć.

- Powtórzyła mu pani treść rozmowy?

- Tak. Ale nie wtedy. Kiedy już miałam zacząć, z dołu zawołała pani Ives i zapytała pana Ivesa, czy ma jeszcze zamiar pójść na pokera do państwa Dallasów... Mam opowiadać dalej?

- Oczywiście!

- Pan Ives odpowiedział, że tak, a pani Ives zawołała, że w takim razie ona wybierze się do Conroyów, którzy przed obiadem proponowali jej, żeby poszła z nimi do kina. Pan Ives zapytał, czy ma ją podwieźć, a ona odparła, że nie, bo to bardzo niedaleko, i że spacer dobrze jej zrobi. Wydaje mi się, że od razu wyszła przez frontowe drzwi. Słyszałam, jak się za nią zatrzaskiwały.

- Co pani zrobiła potem?

- Powiedziałam: „Pańska żona poszła na spotkanie ze Stephenem Bellamy”.

- I co się wtedy stało?

- Pan Ives powiedział: „Niech pani nie robi z siebie ostatniej idiotki!”

Panna Page uśmiechnęła się potulnie i z uznaniem, gdy po drugiej stronie barierki dał się słyszeć podniesiony szmer głosów.

- Czy pani coś na to odpowiedziała?

- Po prostu powtórzyłam mu rozmowę telefoniczną.

- Słowo w słowo?

- Słowo w słowo, a kiedy skończyłam, zawołał: „Mój Boże, ktoś jej powiedział”.

- Sprzeciwiam się. Wnoszę o skreślenie tego z protokołu. - Oszałały z wściekłości krzyk Lamberta rozległ się głośno na sali. - Co powiedział pan Ives...

- Zgadzam się na wyłączenie z protokołu.

Ton sędziego Carvera wyrażał najsurowszą naganę, ale nie zrobiło to na prokuratorze żadnego wrażenia. Przez chwilę stał wpatrując się w świętoszkowatą twarz panny Page, na której pojawił się błysk tryumfu, a potem, robiąc krótki, pełen wyrazu gest w stronę Lamberta, nagle przekazał ją na łaskę i niełaskę obrony.

- To by było wszystko - oświadczył. - Nie mam więcej pytań.

- Dzisiaj też nie będzie pani jadła lunchu?

- Nie. Muszę wysłać to sprawozdanie.

Rudowłosa dziewczyna z dumą wskazała na nieporządnie złożony stos blankietów telegraficznych i mocno pogryziony ołówek. Złoty ołówek i oprawny w czarną skórę notes zostały z pogardą wyrzucone przez okno taksówki, którą wczoraj wieczorem wracała do pensjonatu.

- Ja też. Wykończymy je tutaj, a potem wysłę je razem. To dla pani.

Rudowłosa dziewczyna posłusznie wzięła jabłko, czując, że ogarnia ją fala ciepła. To doprawdy coś cudownego pracować u boku prawdziwego reportera. Ogarnął ją taki zapał, poczuła tyle koleżeńskości i dobrej woli, że na jej policzkach wystąpiły dwa pałające rumieńce. Zawód reporterki! Nie istniało nic, co można by z tym porównać. Absolutnie nic. Jej ołówek szybko biegał po papierze w szale pracowitości.

Minęło dobre pięćdziesiąt minut, zanim reporter się odezwał, i to jedynie, by odpowiedzieć na jej pytanie:

- Co... co pan o niej myśli?
- O kim?
- O Kathleen Page.
- Hm, nie ma pani przypadkiem pod ręką kawałka wyborowego ma-
sła?

- Po co panu masło?

- Żeby zobaczyć, czy się rozpułynie w jej ustach.

- qNa pewno by się nie rozpułnęło - oświadczyła - rudowłosa i zaraz
dodała z pasją: - Nie cierpię jej, tej obrzydliwej, pełnej hipokryzji, po-
zbawionej jakichkolwiek zasad ropuchy!

- No, no, nie tak ostro! Mam nadzieję, że nie pozwoli sobie pani,
żeby coś z tego dostało się do pani sprawozdania.

- Najpewniej to ona sama zamordowała Mimi Bellamy - ponuro
stwierdził najświeższy członek prasy. - Absolutnie nie uważam, żeby w
pewnym momencie nie była do tego zdolna. Ona...

- Sąd idzie!

Rudowłosa dziewczyna poderwała się na nogi; na jej policzkach
wciąż jeszcze płonęły rumieńce, kiedy złowrogim wzrokiem obserwowa-
ła, jak panna Page z gracją podchodzi do miejsca dla świadków.

- No, mam nadzieję, że dadzą jej teraz niezłą szkołę - mruknęła do
reportera przez zaciśnięte zęby.

W pewnej chwili wydawało się, że jej życzenie istotnie się spełni.

Lambert ciężkim krokiem ruszył groźnie w stronę miejsca dla świad-
ków. Jego czerwona twarz była ponura i nieubłagana.

- Bardzo wiele pamięta pani z tego, co się działo owego krytyczne-
go wieczoru, prawda, panno Page?

- Mam wyjątkowo dobrą pamięć.

Jej głos stanowił najznakomitszą mieszaninę dumy i pokory.

- A czy przypadkiem pamięta pani książkę, którą pani wtedy czytała?

- Jak najbardziej.

- Proszę nam podać jej tytuł.

- *Cytherea*, jedna z dawnych powieści Hergesheimera.

- Czy była to pani własność?

- Nie. Pochodziła z gabinetu pana Ivesa.

- Pożyczył ją pani?

- Nie.

- To może pani Ives ją pani pożyczyła?

- Nikt mi jej nie pożyczał. Po prostu wzięłam ją na jakiś czas z gabinetu.

- Rozumiem. Dostała pani pozwolenie na korzystanie z książek znajdujących się w gabinecie pana Ivesa?

Panna Page siedziała milcząco, wpatrując się uporczywie w adwokata, i tylko lekki rumieniec pod czystą, białą skórą zdradzał, że usłyszała jego słowa.

- Dostała pani? - dopytywał się z wściekłością Lambert, pochylony w jej stronę.

- Co dostałam?

- Zezwolenie na korzystanie z biblioteki pana Ivesa.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby ujmować to w ten sposób. Przypuszczałam, że nikt nie może mieć absolutnie żadnych zastrzeżeń, żebym od czasu do czasu wzięła sobie jakąś książkę.

- Rozumiem. Uważała się pani za członka rodziny?

- Raczej nie.

- Czy jadała pani razem z państwem Ives?

- Nie.

- Spędzała pani z nimi wieczory?

- Nie.

Ocienione długimi rzęsami oczy panny Page były tak samo błyszczące i spokojne jak zawsze, ale ciemne plamy na policzkach sięgały jej teraz do szyi.

- Była pani urażona taką sytuacją, prawda?

Głos prokuratora wynurzył się z ciszy jak szczęk wysuwanego z pochwy miecza.

- Wnoszę sprzeciw! Sprzeciwiam się temu pytaniu. Parafrazując powiedzenie mego uczonego oponenta, zapytam, jaki związek ma uraza względnie zadowolenie panny Page z zabójstwem tej kobiety?

- Aby zacytować znakomitą uprzednio udzieloną odpowiedź mego przeciwnika, wysoki sędzie, odpowiadam, że ma jak największy związek. Jest naszym zdecydowanym zamiarem zakwestionować prawdziwość panny Page. Mamy nadzieję wykazać, że nienawidziła ona pani Ives i nie zawahałaby się jej zaszkodzić.

- Ach, więc to zamierza pan wykazać, tak? - spytał prokurator z kamiennym spokojem.

Nawet łoskot sędziowskiego młotka nie skłonił go do odwrócenia głowy choćby o cal. W dalszym ciągu z niewzruszonym spokojem wpatrywał się w kobietę siedzącą na miejscu dla świadków, która poważna i zamyślona, nie spuszczała oczu pod jego spojrzeniem. W czasie krótkiej i zręcznej interwencji prokuratora rumieniec zniknął całkowicie z jej twarzy. Panna Page była znowu chłodna i spokojna jak małe źródółko w lesie.

- Może pani odpowiedzieć na pytanie, panno Page - rzekł surowo sędzia.

- Chciałabym prosić o powtórzenie pytania.

- Pragnąłem się dowiedzieć, czy fakt, że była pani traktowana raczej jak ktoś ze służby, a nie domowników, wywoływał w pani urazę.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że byłam traktowana jak służąca - odpowiedziała uprzejmie panna Page.

- Nigdy nie przyszło pani do głowy?
- Ani przez chwilę.
- Była pani całkowicie i pod każdym względem zadowolona ze swojej sytuacji?

- Całkowicie.
- Nigdy nie miała pani żadnych powodów, aby się uskarżać?
- Nigdy.
- Panna Page, czy to jest pani pismo? Niech się pani nie trudzi odczytywaniem. Proszę mi tylko powiedzieć, czy to pani pismo.

Panna Page posłusznie pochyliła się nad kwadratowym kawałkiem bładoniebieskiego papieru.

- Wygląda jak moje pismo.
- Ja nie pytam, jak to wygląda, tylko czy to jest pani pismo.
- Doprawdy nie mogę na to odpowiedzieć. Można doskonale podrobić czyjeś pismo, nieprawdaż?

- Czy pani mnie stawia pytania, czy ja pani?

Panna Page pozwoliła sobie na lekki, ledwo uchwytny uśmiech.

- Wydaje mi się, że pan mnie ma je stawiać.
- Wobec tego proszę odpowiadać na pytania. Czy zgodnie z pani najlepszym przekonaniem to jest pani pismo?

- Albo rzeczywiście nim jest, albo ktoś je doskonale podrobił.

Rozwścieczony Lambert porwał nic nikomu nie winien kawałek papieru sprzed nosa swej ofiary, której nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi, i wyciągnął go w stronę sekretarza sądowego takim ruchem, jakby trzymał w ręku coś nieczystego.

- Proszę o włączenie tego listu do dowodów rzeczowych.
- Jedną chwileczkę - odezwał się uprzejmie prokurator. - Nie chcę tracić cennego czasu sądu na wnoszenie bezużytecznych sprzeciwów,

ale wydaje mi się, że ten list nie został jeszcze zidentyfikowany przez pannę Page, a skoro wyraźnie widać, iż nie chce go pan przeczytać z jakichś tajemniczych powodów, których nie ośmielam się nawet odgadywać, muszę niestety wnieść sprzeciw przeciwko włączeniu go do dowodów.

- Czego ten list dotyczy, panie Lambert? - spytał łagodnie sędzia.

Lambert odwrócił pałającą twarz w jego stronę.

- Dotyczy dokładnie tego, co zawiera jego treść, wysoki sędzie. To list panny Page do jej byłej pracodawczyni, pani Ives. Jestem wprost zaskoczony, że jej kręactwa są tolerowane chociażby przez minutę. Ja...

- Proszę łaskawie pozwolić, by w czasie tej rozprawy sąd decydował, co ma być tolerowane, a co nie - odezwał się sędzia głosem, z którego wszelkie ślady uprzejmości zniknęły jak uniesione lodowatym podmuchem. - Jaką datą oznaczony jest list, o którym mowa...?

- Siódmego maja 1925 roku.

- Czy pisała pani tego dnia list do pani Ives, panno Page?

- To było tak dawno, wysoki sędzie! Naprawdę nie mogłabym złożyć takiego oświadczenia pod przysięgą.

- A czy odświeżyłaby pani swoją pamięć, gdyby pani ten list przejrzała?

- Och, z całą pewnością.

- Panie Lambert, wydaje mi się, że jeżeli zależy panu na włączeniu tego listu do dowodów, będzie lepiej, jeśli pozwoli go pan przejrzeć świadkowi.

Raz jeszcze Lambert groźnie podsunął pannie Page niebieski kwadracik papieru, któremu przyglądała się długo i z namysłem, a więc w sposób bynajmniej nie obliczony na uspokojenie gwałtownego oburzenia, jakie nim miotano w tej chwili. Kiedy skończyła czytać, uniosła pogodną

twarz w kierunku jego rozwścieczonego oblicza.

- Tak - powiedziała. - To mój list.

Lambert wyrwał go jej niegrzecznie.

- Ponownie proszę o włączenie tego listu do dowodów rzeczowych.

- Nie wnoszę sprzeciwu - oświadczył łagodnym tonem prokurator.

- No a teraz, kiedy się pani wzmocniła duchowo treścią tego listu, proszę o wyjaśnienie, jak pani godzi niektóre zawarte w nim zdania z pewnymi zeznaniami złożonymi pod przysięgą dzisiejszego popołudnia:

Droga Pani Ives!

Chciałabym zwrócić Pani uwagę na fakt, że przez ostatnie trzy wieczory podawane mi posiłki były najwidoczniej uznane przez Pani służbę za nie nadające się do spożycia. Ponieważ nie chce Pani porozmawiać ze mną na ten temat osobiście, jestem zmuszona uciec się do drogi listownej i prosić Panią tą drogą o przyjęcie do wiadomości, że jest dosłowną niemożliwością spożywać rodzaj jedzenia, jakie ostatnio mi się podaje. Gotowana baranina, do złudzenia przypominająca wygotowane ścierki, duszona rzepa i jakaś biała galareta, która, jak mnie później poinformowano, miała być ryżem, oraz dziwnie pachnąca mieszanina suszonych moreli i kwaśnego mleka stanowiły menu wczorajszego wieczornego posiłku. Dała mi Pani niedwuznacznie do zrozumienia, iż uważa mnie za coś w rodzaju przepłacanej służącej, ale muszę się przyznać, że nie byłam przygotowana na to, iż jednym z moich obowiązków będzie powolne konanie z głodu.

Z wyrazami szacunku

Kathleen Page

Proszę teraz łaskawie pogodzić swoje oświadczenie, jakoby nigdy pani nie przyszło do głowy, że jest pani traktowana jak służąca, z tym zdaniem: „Dała mi Pani niedwuznacznie do zrozumienia, iż uważa mnie za coś w rodzaju przepłacanej służącej...”

- To był głupi list, pisany w zdenerwowaniu, w okresie, kiedy wciąż jeszcze odczuwałam skutki fizycznego i psychicznego załamania. Nawet zupełnie wyleciało mi z głowy, że kiedykolwiek coś takiego napisałam.

- Czyżby? Zupełnie wyleciało pani z głowy, tak? I nigdy o tym pani nie pomyślała, aż do dzisiejszego dnia? No dobrze, wobec tego niech nas pani jeszcze raz uraczy próbką swojej cudownej pamięci i powie, jaki wpływ wywarł ten list na pani stosunki z panią Ives.

- Jak najbardziej pozytywny - odpowiedziała panna Page z najczarniejszym uśmiechem. - Pani Ives uprzejmie wyrównała wszystkie niedociągnięcia, na które ja trochę nierozważnie się uskarżałam, i cała sprawa została wyjaśniona i załatwiona jak najlepiej.

- Co? - zdumiony głos Lamberta huknął na sali jak wystrzał z karabinu.

- Powiedziałam, że wszystko zostało załatwione jak najlepiej - odrzekła panna Page pogodnie i usłużnie, podnosząc przy tym lekko głos.

Widać było, że stawiający jej pytania obrońca wpadł w zupełne osłupienie.

- Panno Page, przez panią nie dowierzam własnym uszom. Czy nie jest prawdą, że pani Ives natychmiast po otrzymaniu tego listu posłała po panią, dała pani jednomiesięczne wynagrodzenie zamiast wypowiedzenia i zażądała, żeby pani następnego dnia opuściła jej dom?

- Nie ma nic bardziej odległego od prawdy.

Łagodna stanowczość tej odpowiedzi spowodowała, że Lambertowi głos odmówił posłuszeństwa. Dwa razy otworzył usta nie wydając

żadnego dźwięku, ale za trzecim razem z jego gardła wydobyło się coś na kształt ryku:

- Czy pani twierdzi, że nie upadła pani przed panią Ives na kolana, zalewając się łzami i mówiąc, że wyrzucenie pani w tej chwili byłoby równoznaczne z wyrokiem śmierci, i nie błagała jej pani o przebaczenie jeszcze tym razem?

- Powiedziałam panu - oświadczyła panna Page z kamiennym spokojem - że nie miało miejsca nic, co choćby w przybliżeniu przypominało opisywane przez pana zajście. Pani Ives było niesłychanie przykro, wykazała ogromnie dużo zrozumienia i nie padło ani słowo na temat opuszczenia przeze mnie jej domu.

Nad potężnymi barkami Lamberta zawisła groźba bliskiej apopleksji.

- Czy pani zaprzecza, że dwa dni przed dokonaniem tego morderstwa pani zuchwalstwo raz jeszcze doprowadziło do sceny, która zakończyła się wymówieniem pani pracy, i że miała pani wyjechać w najbliższy poniedziałek?

- Zaprzeczam temu z całą stanowczością.

- Sceny, która wybuchła z tego powodu, że podczas gdy pani Ives bawiła w mieście, pojechała pani razem ze swoim przyjacielem na trzygodzinną wycieczkę na wieś, a kiedy pani Ives zadzwoniła z miasta, prosząc o samochód, bo wróciła tego popołudnia zamiast następnego dnia, powiedziano jej, że pani wzięła wóz, i ona musiała przyjechać taksówką?

- To także nie jest prawda.

- Nie jest prawda, że tego popołudnia pojechała pani na spacer z młodym człowiekiem?

- To jest prawda. Ale przed swoim wyjazdem pani Ives wyraziła na to zgodę.

Lambert na sekundę zwrócił purpurową twarz w stronę Susan Ives. A

ona uniósłszy głowę przypatrywała się ze skupieniem i pogardą swojej byłej guwernantce, której przejrzyste oczy biegały z obrońcy na prokuratora i - z powrotem. Nawet uczucie pogardy nie potrafiło zapobiec szczerze rozbawionemu skrzywieniu jęj warg, kiedy przysłuchiwała się tym bezczelnym odpowiedziom udzielanym najuprzejmiejszym głosem. Było zupełnie jasne, że z tej strony Lambert nie może spodziewać się pomocy. Zwrócił się znowu do świadka:

- Panno Page, czy pani wie, co to jest krzywoprzysięstwo?
- Wysoki sędzie...

Błyskawiczna odpowiedź panny Page przerwała słowa prokuratora.

- Jest to dające się udowodnić fałszywe zeznanie złożone pod przysięgą, nieprawdaż?

- Jedną chwileczkę, panno Page. Wysoki sędzie, z całym szacunkiem pozwalam sobie zauważyć, że sposób przesłuchiwania świadka przez pana Lamberta jest w najwyższym stopniu niewłaściwy. Nie kwestionowałem tego do tej pory, ponieważ nie chcę przedłużać rozmowy nie kończącymi się sporami o drobnostki, ale, o ile mogę się zorientować, pan Lambert po prostu zabawiał sędziów przysięgłych zajmującymi epizodzikami, co do których nie mam najmniejszej wątpliwości, że są jedynie wytworem jego bujnej wyobraźni. Że jest tak, jak mówię, potwierdzają zeznania panny Page. Są one jednak bardzo zręcznie obliczone na to, by w oczach sędziów przysięgłych przedstawić świadka w niekorzystnym świetle. Kiedy natomiast pan Lambert posuwa się tak daleko, że insynuuje w zupełnie niedwuznaczny sposób, jakoby zaprzeczenie przez świadka tym fantastycznym historiom było krzywoprzysięstwem, nie mogę dłużej...

- Czy wysoki sąd uważa tę orację za właściwą? - Głos Lamberta trząśł się z pasji.

- Nie uważam, sir. Nie uważam również, żeby to była jedyna niewłaściwość, jaką popełniono. Nie widzę powodu, aby w trakcie przesłuchiwania świadka pytać go o definicję krzywoprzysięstwa. Jednakże otrzymał pan na to odpowiedź. Może pan dalej zadawać pytania.

- Panno Page, kiedy pani usłyszała, że pani Ives rozmawia z kimś przez telefon, dlaczego nie weszła pani do domu?

- Bo ciekawiło mnie, co mówi.

- A więc podsłuchiwała pani, tak?

- Tak.

- Czy pani zdaniem podsłuchiwanie jest rzeczą piękną, uczciwą i przyzwoitą?

- Och! - odpowiedziała panna Page ze swoim najbardziej rozbajającym uśmiechem - nie zamierzam twierdzić, że jestem wolna od ludzkich słabostek.

- Dobrze. To bardzo uspokajające. Czy może pani wyjaśnić, dlaczego pani Ives nie słyszała, że znajduje się pani na werandzie?

- Nie byłam na werandzie. Właśnie wchodziłam na schody, ale się zatrzymałam, żeby posłuchać. Miałam na nogach tenisówki i kiedy szłam przez trawnik, nic nie było słychać.

- Powiedziała pani, że mogła słyszeć słowa pani Ives bardzo wyraźnie?

- Tak, naturalnie.

- W takim razie ktokolwiek inny mógłby je słyszeć równie dokładnie jak pani?

- Każdy, kto by stał tam, gdzie ja.

- Umawiała się na spotkanie, o którym nikt nie miał wiedzieć, i mimo to mówiła dostatecznie głośno, by ją mógł usłyszeć każdy, kto by tamtędy przechodził?

- Prawdopodobnie sądziła, że nikt nie będzie tamtędy przechodził.

- Wysoki sędzio, proszę o skreślenie tego z protokołu, gdyż świadek nie był o to pytany.

- Nie pytano pani, co myślała pani Ives, panno Page. Pan Lambert chciał się dowiedzieć, czy ktoś przechodzący tamtędy mógł usłyszeć rozmowę pani Ives.

- Każdy, kto by przechodził tą drogą co ja, mógłby doskonale ją słyszeć.

- Czy mógł ją usłyszeć pan Patrick Ives?

- Pan Patrick Ives był na górze.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Pytałem, czy Patrick Ives mógł usłyszeć tę rozmowę tak samo jak pani.

- Gdyby tam był, owszem.

- Panno Page, czy mogłaby pani raz jeszcze powtórzyć nam tę rozmowę?

- Całą rozmowę?

- Oczywiście.

- Pani Ives powiedziała - na twarzy panny Page pojawił się znowu wyraz skupienia- powiedziała: „To ty, Stephen?... Tu Sue. Sue Ives. Czy jest Mimi?... Jak dawno wyszła?... Jesteś pewny, że tam poszła?... Nie, zaczekaj, to bardzo ważne... Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć. Czy możesz tu być wozem za dziesięć minut?... Nie, nie pod dom. Stań na zakręcie tej drogi na tyłach. Przyjdę przez tylną bramę... Czy Elliot nic ci nie powiedział?... Nie, nie zwracaj sobie tym głowy... tylko się pośpiesz. Do widzenia”.

Lambert uśmiechnął się. Ale okrutny był ten jego uśmiech.

- No tak, dobrze, bardzo dobrze, naprawdę, panno Page. Każde słowo się zgadza, prawda? Powiedziałbym, że zupełnie jakby się pani tego nauczyła na pamięć.

- Bo rzeczywiście się nauczyłam - żywo przyznała panna Page.

Uśmiech zniknął z twarzy Lamberta. Pozostała na niej tylko wściekłość.

- Ach, nauczyła się pani na pamięć! Prawdopodobnie w drodze od frontowych schodów do bocznego wejścia?

- Niezupełnie. Zapisałam tę rozmowę, zanim weszłam bocznym wejściem.

- Co pani zrobiła?

- Zapisałam. Większą część jeszcze wtedy, gdy pani Ives rozmawiała. Ostatnie zdanie i chyba jedno poprzednie dodałam, zanim weszłam do domu.

Lambert konwulsyjnie uchwycił opadającą ku dołowi szczękę.

- Co pani mówi? Domyślam się, że przyniosła pani z piaskownicy podręczną maszynę do pisania, wieczne pióro i pudełko papieru.

Panna Page uśmiechnęła się grzecznie i z wyrozumiałością.

- Nie. Natomiast w kieszeni swetra miałam dziecinne kredki.

- I tuzin bloków rysunkowych?

- Nie. Zapisałam to na pustej stronie *Cytherei*, proszę pana.

- Po co pani to zrobiła? - Głos Lamberta brzmiał tak, jak głos kogoś, kto długo i z wysiłkiem biegnie za umykającym mu celem.

- Bo wydawało mi się to ważne i nie chciałam się pomylić.

- Aha. Więc według tego, co pani powiedziała, natychmiast zaniósła pani tę wiadomość prosto do jej męża, żywiąc w sercu miłą nadzieję, że obojgu zrujnuje pani życie. Wiadomość, którą jak sama pani mówi, zdobyła pani podsłuchując osobę tak dla pani miłą i uczynną.

- Och, nie, naprawdę żywiąc raczej nadzieję, że ich uratuję. Pan Ives był dla mnie jeszcze bardziej uprzejmy niż jego żona. Chciałam im pomóc za wszelką cenę.

- I to miał być właśnie sposób okazania im pomocy?
- Prawdopodobnie dosyć głupi - oświadczyła z pokorą panna Page. - Ale jedyny, jaki mi przyszedł na myśl. Bałam się, że może chcą razem uciec; i wydawało mi się, że pan Ives mógłby temu jakoś zapobiec. Rozumie pan, nie zdawałam sobie sprawy z prawdziwego znaczenia tej rozmowy.
- Jakiego prawdziwego znaczenia?
- Z faktu, że ktoś musiał pani Ives powiedzieć o aferze jej męża z panią Bellamy, zanim tego wieczoru wyszła z domu - oświadczyła łagodnie panna Page.
- Wysoki sędzie - odezwał się zrezygnowany głos. - Wysoki sędzie, proszę o skreślenie tego zdania z protokołu, gdyż nie stanowi odpowiedzi na pytanie.
- Sąd nie kwalifikuje tego w ten sposób. Zażądał pan, aby panna Page ostatecznie zinterpretowała tę rozmowę telefoniczną - i uczyniła to.
- Czy mogę zgłosić sprzeciw, wysoki sędzie?
- Oczywiście.
- A więc zgodnie z bajeczką, w którą według pani uwierzy łała przysięgłych, twierdzi pani, że powodowały panią wyłącznie szlachetne zamiary, kiedy podsłuchiwała pani swoją dobrodziejkę i niczego nie podejrzewającemu mężowi przynosiła pani radosne wieści o zdradzie - wieści zaczerpnięte z rzekomej rozmowy, której była pani jedynym świadkiem i mianowanym przez samą siebie protokolantem?
- Mam nadzieję, że sędziowie przysięgli mi uwierzą - oświadczyła potulnie panna Page. Przez krótką chwilę jej niewinne oczy wpatrywały się wzruszająco w dwanaście obojętnych, pozbawionych wyrazu twarzy.
- A ja sędzę, że jest pani nastawiona zbyt optymistycznie - powiedział z naciskiem Lambert. - To by było wszystko, panno Page.

- Jedną chwileczkę - wtrącił niedbale prokurator. - Panno Page, kiedy pan Lambert spytał panią, czy ktokolwiek mógł podsłuchać tę rozmowę, nie dopuścił, aby pani wytłumaczyła, dlaczego to było wprost niepodobieństwem. Może najpierw to sobie wyjaśnimy. Gdzie znajdowała się wtedy pani Margaret Ives?

- W rozarium.

- To znaczy tam, gdzie zwykle chodziła po obiedzie, prawda?

- Myślę, że chodziła tam zawsze o tej porze. Normalnie pracowała w ogrodzie mniej więcej godzinę, póki się nie ściemniło, ponieważ była to najchłodniejsza pora dnia.

- Czy z gabinetu można zobaczyć rozarium?

- Jak najdokładniej: z okna jest widok na niewielki brukowany taras, z którego schodzi się do rozarium.

- W takim razie pani Ives bez większych trudności mogła sprawdzić czy pani Margaret Ives była w ogrodzie?

- Och, naturalnie!

- Gdzie zwykle bywa służba o tej porze?

- Zazwyczaj jadała obiad w tylnej części budynku, po tym, jak cała rodzina skończyła jeść.

- A co z panem Patrickiem Ivesem?

- Pani Ives wiedziała, że poszedł na górę. Powiedział mi, że zanim poszedł na górę, pomagała mu umocować w jego gabinecie małą chorągiewkę.

- I przypuszczała, że pani również jest na górze, prawda?

- Tak. Nigdy nie schodziłam na dół po obiedzie. Jadłam w dziecięcym pokoju.

- Czy pan Ives dużo przebywał w swoim gabinecie? Mam na myśli, czy często tam pracował?

- Nie wiem, jak często w nim pracował; miał tam duży zbiór książek technicznych, ale mimo to nie wydaje mi się, żeby wiele pisał. Stało tam ogromne płaskie biurko, którego używał jako pewnego rodzaju warsztatu.

- Na którym robił łódki i domki dla lalek?

- Tak.

- I przechowywał w nim swoje narzędzia i materiały?

- Tak.

- Czy to biurko było widoczne od drzwi?

- Tak. Stało na wprost drzwi do hallu.

- Czy ktoś przechodzący z pokoju na kwiaty do podnóża schodów, które prowadzą do dziecinnego pokoju, musiał je mijać?

- Nie można by wtrli drzwi w żaden sposób ominąć.

- Czy od drzwi wejściowych można było zobaczyć przedmioty znajdujące się na biurku?

- Naturalnie. Gabinet nie jest duży.

Prokurator zrobił dwa wielkie kroki w stronę miejsca dla świadków. Na krótki moment w jego ręku zaślśnił jakiś nieduży, ciemny i błyszczący przedmiot.

- Panno Page, czy widziała pani kiedy ten nóż?

Panna Page delikatnie uniosła nóż w swych smukłych palcach i przyglądała mu się z powagą i pewnym niesmakiem.

- Tak - stwierdziła spokojnie.

Zdawało się, że przez salę powiał nagle słaby wiatr. Słaby, zimny, złowrogi wiatr.

- Gdzie?

- Na biurku w gabinecie Patricka Ivesa, po południu dziewiętnastego czerwca 1926 roku.

Głosem prawie tak łagodnym, jak głos panny Page prokurator oświadczył:

- To by było wszystko, panno Page. Jest pani wolna.

Równie lekko i zwinnie jak przyszła, panna Page wysunęła się z miejsca dla świadków i opuściła salę. Zakończył się drugi dzień procesu Bellamy'ego.

Rozdział 3

Och, wiedziałam, że się spóźnię, wiedziałam! - biadała rudowłosa dziewczyna przepychając się rozpaczliwie wśród trzech zdenerwowanych i bynajmniej nie okazujących jej pomocy dziennikarzy, upuszczając po drodze ołówki i notes, parę szarych rękawiczek i popielnicową etolę; wpatrywała się przy tym błagalnie w groźne oblicze Bena Potts'a, tego króla woźnych sądowych. - Spóźniam się wszędzie, odkąd jestem w tym obmierzłym mieście. Zupełnie jak Alicja z krainy czarów. Biegam jak szalona i nie ruszam się z miejsca. Kto teraz mówi, co się tu działo?

- Na razie to pani zdaje się mówić najwięcej - odpowiedział niezbyt uprzejmie reporter. - Natomiast dotychczasowe wydarzenia ograniczyły się do piętnastominutowego wybuchu prawnych sporów, pełnych siarki i ognia piekielnego, jakie słyszy się raz na tysiąc lat. Brali w nich udział Mefisto Farr, który dowodził, że, byłoby ładniej włączyć ten składany scyzoryk do dowodów rzeczowych, i rozplomieniony Lambert twierdzący, iż byłoby to wprost okropne. Lambert przegrał, nóż został włączony do dowodów i teraz otwierają na sali okna, żeby trochę oczyścić atmosferę. Poza tym wszystko jest w najlepszym porządku. Nikt się do niczego nie przyznał, jest jeszcze bardzo wcześnie, a w tej chwili miejsce dla świadków zajmuje Douglas Thorne. Jednym słowem, sprawa się posuwa!

Rudowłosa popatrzyła z uznaniem na wysokiego, szczupłego

dżentelmena; opalony na brąz, miał włosy koloru piaskowego i wygląd pełen naturalnej dystynkcji, poza tym ładne ręce i ładne oczy.

- Panie Thorne, czym się pan zajmuje z zawodu?

Miły głos:

- Jestem członkiem nowojorskiej giełdy.

- Czy jest pan krewnym oskarżonej Susan Ives?

- Mogę z dumą oświadczyć, że jestem jej starszym bratem.

Jego miłe oczy uśmiechnęły się do drobnej postaci w codziennym tweedowym kostiumie i po raz pierwszy od chwili, kiedy Sue Ives znalazła się na sali sądowej, uśmiechnęła się swobodnie i spontanicznie - przyjaznym, radosnym uśmiechem wspomniał jak sztandar.

Prokurator podniósł ostrzegawczo rękę.

- Proszę ściśle odpowiadać na pytania, panie Thorne, a będziemy uważali pańskie uczucia dla siostry za bezsporne. Czy jest pan właścicielem starej posiadłości Thorne'ów zwanej Sady?

- Tak.

- Jedynym właścicielem?

- Jedynym.

- Dlaczego pańska siostra nie jest współwłaścicielką tej posiadłości?

- Ojciec przestał uważać moją siostrę za swoją spadkobierczynię w momencie, gdy wyszła za mąż za Patricka Ivesa. Od pierwszej chwili czuł do niego gwałtowną niechęć, a małżeństwo Sue było wyraźnie wbrew jego życzeniu.

- Czy pan podziela tę niechęć?

- Do Patricka? Nie. Wtedy prawie go nie znałem, a później bardzo polubiłem.

- I lubi go pan nadal?

Szare oczy o miłym wyrazie nagle spoważniały i popatrzyły wprost

w oczy prokuratora, w których błyskały gorące błękitne ogniki.

- Trudno mi kategorycznie odpowiedzieć na to pytanie. Chyba najdokładniej odpowiem mówiąc, że na razie wstrzymuję się od wyrażania opinii o moim szwagrze i jego zachowaniu.

- To jest stanowczo niezadowolająca odpowiedź, panie Thorne.

- Bardzo mi przykro, ale za to najuczciwsza.

- Dobrze, sformułujemy to inaczej : jest pan przywiązany do siostry, prawda?

- Bardzo głęboko.

- Przyznaje pan, że zależy panu na jej szczęściu?

- Nie bardzo mi odpowiada słowo „przyznaje”. Stwierdzam z własnej woli, że bardzo mi zależy, aby była szczęśliwa.

- I zrobiłby pan wszystko, żeby zapewnić jej szczęście?

- Zrobiłbym bardzo wiele.

- Wszystko?

Douglas Thorne pochylił się nad barierką otaczającą miejsce dla świadków i jego twarz przybrała surowy wyraz.

- Jeżeli przez „wszystko” rozumie pan popełnienie zabójstwa, panie Farr, moja odpowiedź brzmi „nie”.

Młotek sędziego Carvera opadł z głośnym łoskotem.

- Pańska konkluzja jest całkowicie nie na miejscu, panie Thorne. Zarządzam skreślenie jej z protokołu.

- Proszę łaskawie odpowiedzieć na moje pytanie, panie Thorne. Czy zrobiłby pan wszystko, aby zapewnić swojej siostrze szczęście?

- Nie.

Raz jeszcze uśmiech Sue Ives zabłysnął jak sztandar.

- Panie Thorne, czy siostra rozmawiała z panem kiedykolwiek na temat pierwszych dwóch czy trzech lat jej pobytu w Nowym Jorku?

- Mam niejasne, ogólne wrażenie, że rozmawialiśmy o pewnych aspektach tego pobytu, takich jak warunki bytowe w tym czasie...

- Nie chodzi nam o niejasne, ogólne wrażenie. Nie wie pan dokładnie, gdzie byli i co robili w tym czasie?

- W tej chwili nie mogę sobie nic przypomnieć.

- Czy pańska siostra, do której jest pan tak przywiązany, nigdy nie komunikowała się z panem w tym okresie?

- Mniej więcej w tydzień po tym, jak opuściła Rosemont, dostałem od niej list, w którym napisała, że jej zdaniem na razie lepiej będzie zerwać wszelkie więzy z Rosemont, ale że jej uczucia wobec nas pozostały nie zmienione.

- Nie pytam pana o treść tego listu. Czy to jedyny znak życia, jaki otrzymał pan od niej w czasie jej pobytu w Nowym Jorku.

- Z wyjątkiem życzeń na Boże Narodzenie nie miałem od niej żadnych wiadomości przez z górą dwa lata. Potem zaczęła pisywać dość regularnie.

- Panie Thorne, czy był pan w posiadłości Sady o jakiegokolwiek godzinie w dniu dziewiętnastego czerwca 1926 roku?

- Byłem.

Na sali zapanowało ogólne poruszenie, a potem przetoczyła się po niej fala szmerów. „Teraz - szumiało. - Teraz! Nareszcie!”

- O której godzinie?

- Nie potrafię dokładnie określić czasu, kiedy tam przyjechałem, ale sądzę, że musiało to być niedługo po dziewiątej wieczór.

Szmer przerodził się w lekki hałas. „Dziewiąta godzina... dziewiąta...”

- A o której pan stamtąd wyjechał?

- To mogę ściśle określić. Wyszedłem z głównego budynku w Sadach dokładnie dziesięć minut przed dziesiątą.

„Dziesiąta godzina... dziesiąta...”

- Cisza! - huknął młotek sędziego Carvera.
- Cisza! - zawołał śpiewnie Ben Potts.
- Proszę nam powiedzieć, co pan robił w Sadach w ciągu tej godziny?

- To było dużo krócej niż godzina. Prawie przed samym obiadem zadzwonił do mnie pan Conroy prosząc, żebym zostawił klucze w domku ogrodnika; chętnie się na to zgodziłem, bo już od jakiegoś czasu chciałem przywieźć z biurka w głównym budynku kilka starych książek rachunkowych. Nie zauważyłem, która dokładnie była godzina, kiedy opuszczałem Lakedale, ale musiało być gdzieś około pół do dziesiątej, bo jedliśmy obiad o pół do ósmej, a przed wyjazdem zapaliłem jeszcze cygaro. Jechałem w dość dobrym tempie, powiedzmy trzydzieści pięć mil na godzinę, i poszedłem prosto do głównego budynku.

- Nie wstępował pan do domku ogrodnika?

- Nie. Ja...

- Ale przechodził pan koło niego idąc od domku dozorczy w stronę głównego budynku?

- Nie. Przyjeżdżając z Lakedale zawsze wjeżdżam przez River Road. Pierwszy wjazd z tej drogi prowadzi prosto z tyłów posiadłości do głównego budynku, natomiast wjazd, przy którym stoi domek dozorczy, jest po drugiej stronie, przy szosie z Rosemont. Czy mam mówić dalej?

- Oczywiście.

- Kiedy przyjechałem, właśnie zaczynało się ściemniać; elektryczność była wyłączona, więc nie zatrzymałem się dłużej w domu, zabrałem tylko papiery. Kiedy wróciłem do samochodu, zdecydowałem, że go tam zostawię i pójdę do domku ogrodnika i z powrotem piechotą. Wieczór był bardzo ładny, a w jedną stronę nie szło się dłużej niż dziesięć

minut. Zacząłem iść...

- Mówi pan, że w tym czasie było już ciemno?
- Kiedy zacząłem iść, było dość ciemno, a kiedy zbliżałem się do domku ogrodnika, było zupełnie ciemno.
- Czy świecił księżyc?
- Nie wydaje mi się. Pamiętam, że w drodze do domu zauważyłem gwiazdy, ale czy był księżyc, tego nie jestem pewien.
- Idąc do domku ogrodnika nie spotkał pan nikogo?
- Absolutnie nikogo.
- Czy nie zauważył pan niczego, co by zwróciło pańską uwagę?
- Nie.
- I niczego pan nie słyszał?
- Owszem - odpowiedział Douglas Thorne tak spokojnie i obojętnie, jak dotąd mówił „nie”.

Prokurator zrobił szybki krok w jego stronę.

- Mówi pan, że coś słyszał? Co to było takiego?
- Słyszałem krzyk kobiety.
- I nic więcej?
- Owszem. Mniej więcej sekundę później usłyszałem męski śmiech.
- Męski śmiech? - W głosie prokuratora zabrzmiało niedowierzanie.
- Jakiego rodzaju był ten śmiech?
- Nie wiem, jak to określić - odpowiedział prosto Thorne. - Był to zupełnie normalny, zwyczajny śmiech mężczyzny o dość niskim głosie. Nie uderzyło mnie w nim nic nadzwyczajnego.
- Czy nie uderzyło pana jako coś nadzwyczajnego, że w takim opustoszałym miejscu, o tak późnej porze słyszy pan kobiecy krzyk, a potem męski śmiech?
- Nie. Przyznaję otwarcie, że nie. W pierwszej chwili pomyślałem, że widocznie dozorca z żoną wrócili z wakacji wcześniej, niż przypuszczaliśmy, ale potem przyszło mi do głowy, że to jakaś para młodych

ludzi ze wsi używa sobie na cudzym terenie - co, jak pozwolę sobie za-
uważyć, nie jest rzeczą niespotykaną.

- Nie słyszał pan żadnych słów? Jakichś głosów?

- Nie. Kiedy usłyszałem ten krzyk, byłem o jakieś sto metrów od
domku ogrodnika.

- Czy nie uważał pan, że ten głos mógł być krzykiem śmiertelnie
przerażonej kobiety?

- Nie - odpowiedział Douglas Thorne. - Rzecz jasna, gdybym tak
uważał, zrobiłbym coś, żeby to sprawdzić. W pierwszej chwili, kiedy go
usłyszałem, zaniepokoiłem się trochę, ale uspokoił mnie ten śmiech,
który zabrzmiał zaraz potem. Nie wiem, czy ktoś może z odległości stu
metrów rozróżnić krzyk przerażenia, bólu, zdumienia, czy mniej lub
bardziej prawdziwego protestu. W każdym razie ja na pewno nie.

Prokurator z irytacją potrząsnął głową. Wydawało się, że prawie nie
słucha jasnych wypowiedzi świadka.

- Czy jest pan zupełnie pewny, że słyszał pan ten śmiech? Wyraźnie
go pan słyszał?

- Jak najwyraźniej.

- Czy z miejsca, w którym się pan wtedy znajdował, widział pan
domek ogrodnika?

- Nie. Zakręt drogi i wysokie krzaki całkiem go zakrywały. Widać
go dopiero, jak się jest tuż przy nim.

- Więc nie wie pan, czy wtedy, kiedy pan słyszał ten krzyk, w dom-
ku się świeciło?

- Nie. Wiem tylko tyle, że kiedy doszedłem tam w chwilę później, w
oknach było ciemno.

- Co pan zrobił, jak pan doszedł do domku?

- Gdy szedłem po schodkach, zauważyłem, że się nigdzie nie świeci,
ale na wszelki wypadek, gdyby głosy, które słyszałem, należały do

ogrodnika i jego żony zupełnie odruchowo zadzwoniłem i spróbowałem otworzyć drzwi, żeby zapowiedzieć ranny przyjazd pana Conroya. Drzwi były zamknięte.

- Miał pan do nich klucz, prawda?

- Tak. Ale nie widziałem powodu, żeby tam wchodzić, skoro ogrodnika nie było w domu.

- Nie słyszał pan żadnych odgłosów dochodzących z wewnątrz?

- Nie.

- Ani z zewnątrz?

- Wszędzie panowała głucha cisza.

- Czy nikt nie mógł w tym momencie przejść obok pana?

- Na pewno nie.

- Panie Thorne, czy było możliwe, żeby ktoś znajdujący się w domu słyszał, jak pan się zbliża?

- Myślę, że tak. Wieczór był bardzo cichy, a główny podjazd, którym szedłem, wysypany jest żwirem. Mała dróżka dookoła domu nie jest niczym wysypana, ale ten ktoś z całą pewnością musiałby mnie słyszeć, kiedy szedłem po schodach. A poza tym wydaje mi się, że gwizdałem.

- Czy ktoś mógłby się ukrywać w otaczających dom krzakach?

- Bardzo łatwo. Te krzaki są dość wysokie.

- Ale pan nie zauważył nikogo?

- Nikogo.

- Co pan zrobił, kiedy doszedł do wniosku, że w domu nie ma nikogo?

- Schowałem klucze pod wycieraczkę, jak było uzgodnione, i wróciłem do głównego budynku. Kiedy wsiadałem do samochodu, w świetle jednego z reflektorów spojrzałem na zegarek. Była dokładnie za dziesięć dziesiąta.

- Co spowodowało, że spojrzał pan na zegarek?
- Przyszło mi na myśl, że będąc w sąsiedztwie mógłbym wpaść na kilka minut do siostry, ale kiedy zobaczyłem, że dochodzi dziesiąta, zmieniłem zamiar i pojechałem prosto do Lakedale.

- Panie Thorne, kiedy następnego ranka rozeszła się wiadomość o morderstwie, musiał pan doskonale zdawać sobie sprawę, że jest pan w posiadaniu informacji, które by mogły mieć wielką wartość dla prokuratury. Dlaczego nie przekazał ich pan natychmiast?

Douglas Thorne spojrzał w oczy prokuratora pewnym, spokojnym wzrokiem, przy czym w jego twarzy nie było ani wyrazu wyzwania, ani niepokoju.

- Ponieważ, mówiąc zupełnie otwarcie, nie miałem ochoty choć w najmniejszym stopniu być zamieszany w aferę o morderstwo. Zastanawiałem się, co powinienem zrobić w tej sprawie, jeszcze dwa dni później, kiedy została aresztowana moja siostra i pan Bellamy i kiedy prasa podała, że prokuratura posiada pewne informacje, jakoby morderstwa dokonano dziewiętnastego między godziną 20.45 a 21.45 wieczorem. Doszedłem jednak do wniosku, że moje skąpe informacje nie mają żadnego znaczenia, i zatrzymałem je dla siebie.

- Chyba w tej chwili zdaje pan sobie w pełni sprawę, iż postępując w ten sposób, postawił się pan w wysoce dwuznacznej sytuacji?

- Nic podobnego, panie Farr. Być może jestem niezwykle tępy, ale zapewniam pana, że nie zdaję sobie sprawy z niczego takiego.

- Niech pan pozwoli to sobie wyjaśnić. Opierając się na pańskich własnych słowach, musiał pan usłyszeć ten krzyk między godziną 21.30 a 21.35, przyjmując, że spędził pan trzy do czterech minut na werandzie domku ogrodnika i że dziesięć minut zabrała panu powrotna droga do głównego budynku. I znowu zgodnie z pańskimi słowami, przybył

pan na miejsce zbrodni w trzy minuty po tym, jak pan usłyszał ten krzyk, i zastał pan wszystko pogrążone w ciemności, milczeniu i w największym porządku. Prokuratura zakłada, że gdzieś w tej niczym nie zakłóconej ciemności, dosłownie w zasięgu pańskiej wyciągniętej ręki, stała pańska ubóstwiana siostra. Całkowity zbieg okoliczności, nieprawdaz?

- Całkowitym zbiegiem okoliczności jest fakt, że może pan coś podobnego zakładać - zauważył Douglas Thorne z niebezpiecznym błyskiem w oczach. - Nie wiem nic o żadnym skandalu związanym z zbiegiem okoliczności.

- No, ten szczególny rodzaj zbiegu okoliczności zaprowadził już niejednego do więzienia za współudział w przestępstwie po jego dokonaniu - stwierdził ponuro prokurator. - O której wrócił pan do Lakedale tego wieczoru?

- O pół do jedenastej.

- Czy ktoś pana widział?

- Kiedy przyjechałem, zastałem na werandzie moją żonę.

- Czy jeszcze ktoś pana widział?

- Nikt.

- To wszystko, panie Thorne. Nie mam więcej pytań.

Lambert podszedł do miejsca dla świadków nieomal tanecznym krokiem. Jego szeroka twarz pałała źle ukrywanym podnieceniem.

- Panie Thorne, będę pana trudił tylko dwoma pytaniami. Mój uczony oponent pytał, czy w sąsiedztwie domku ogrodnika nie zauważył pan niczego niezwykłego. Ja chciałbym tylko zapytać, czy nigdzie w pobliżu nie widział pan w jakimkolwiek momencie samochodu?

- Nie widziałem nawet śladu żadnego samochodu.

- Na przykład małego chevroleta, powiedzmy samochodu pana Bellamy'ego?

- Nie widziałem żadnego samochodu.
- Dziękuję, panie Thorne. To będzie wszystko.

Ponad tryumfujący radością głos Lamberta wzbijała się fala przyciszonych szeptów: „Ot, cała koncepcja prokuratora wzięła w łeb”; „Sto punktów dla obrony”; „Chłopie, rozumiesz, na czym wic polega? Za jednym zamachem ustalił czas popełnienia morderstwa i wyciągnął z tego i Sue, i Steve'a”; „Ale go piorunem załatwił” „Patrz na Farra, jak mu mina zrzedła”.

- Cisza! - śpiewnie zawołał Ben Potts.

Prokurator podszedł do miejsca dla świadków na odległość sześciu cali; jego źrenice wyglądały jak główki od szpilek.

- Zapewnia nas pan, że nie widział żadnego samochodu, panie Thorne?

- Tak jest.

- Ale pan nie jest w stanie stwierdzić, że nie było tam żadnego samochodu?

- To całkiem oczywiste. Jeżeliby tam był jakiś samochód, musiałbym go zauważyć.

- Nie. Naprawdę proszę mi wierzyć, że w tym nie ma nic oczywistego. Gdyby ktoś zaparkował samochód na tyłach domku, na tej małej okrężnej drodze, czy byłby go pan zauważył?

- Powinienem był widzieć światła.

- A gdyby światła były zgaszone?

- Wtedy - wolno powiedział Douglas Thorne - prawdopodobnie bym go nie zobaczył.

- W żadnym momencie nie zachodził pan na tyły domku?

- Nie.

- Wobec tego jest oczywiste, że nie mógłby pan zobaczyć tego samochodu.

- Powiedziałem już panu, że nie wydaje mi się, abym w tych warunkach mógł go zobaczyć.

- A gdyby samochód stał zaparkowany z wygaszonymi światłami gdzieś między domkiem dozorca a domkiem ogrodnika, to również by go pan nie zobaczył, prawda, panie Thorne?

- Prawdopodobnie nie.

- Ale nie przypuszcza pan chyba ani na chwilę, że dwunastu rozsądnych, inteligentnych ludzi uwierzy, iż para morderców zaparkowałaby samochód w miejscu wyraźnie widocznym, z zapalonymi światłami, żeby zauważył go każdy przechodzień wtedy, jak oni wykonują swoje zadanie?

- Sprzeciwiam się temu pytaniu! - wykrzyknął Lambert. - Wnoszę sprzeciw! Pytanie zawiera odpowiedź, wysoki sędzie, i jest w wysokim stopniu...

- Uchylam pytanie.

- Doskonale, panie Thorne. To by było wszystko.

Lambert, przysłuchujący się tym pytaniom z żalosną twarzą, z której zginęły resztki radosnego podniecenia, jakby je kto zmył kubłem lodowatej wody, dzielnie się opanował.

- Jedną chwileczkę, panie Thorne. Ale faktem jest, że nie widział pan żadnego samochodu?

- Tak. To jest fakt bezsporny.

- Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

- Ale jest również faktem - zauważył prokurator uśmiechając się złowieszczo - że samochód mógł się tam znajdować, a pan go mógł nie widzieć. Tak czy nie?

- Tak jest.

- To wszystko. Proszę wezwać pannę Florę Biggs.

Na twarzy prokuratora pozostał nikły, ponury uśmieszek.

- Panna Flora Biggs!

Panna Biggs mogła być przystojną kobietą dziesięć lat temu, zanim fatalna otyłość nie objęła jej stopniowo od zgrabnych, obciągniętych jedwabnymi pończochami kostek u nóg aż po zaokrąglony podbródek wznoszący się nad sznurem sztucznych pereł. Bo wszystko na pannie Biggs było imitacją - coś puszystego, co miało być futrzanym kołnierzem, na pluszowym płaszczu, który miał imitować innego rodzaju futro; sztuczna róża koloru wypłowiałej purpury, usiłująca ukryć się na niemal maskaradowym kołnierzu; perły wielkości dużych kościanych guzików, wyłaniające się nieśmiało ze zbyt złotych włosów; strzała z fałszywych brylantów spinająca fałdy purpurowego aksamitnego toczka, który nie miał wiele wspólnego z aksamitem; nerwowe palce obciągnięte zamiszowymi rękawiczkami, które były raczej kiepskim rodzajem bawełny, zaciskały się na torebce z wężowej skóry zrobionej z wytłaczanego materiału - jednym słowem wszystko to razem było biedną, marną i tandetną imitacją tego, co nosi dobrze ubrana kobieta. A jednak w tych drobnych, pospolitych rysach, należących do przystojnej niegdyś dziewczyny, w okrągłych jasnoniebieskich oczach z zaczerwienionymi powiekami, które patrzyły smutno i beznadziejnie, było coś szczerego, wzruszającego i rozrzewniającego. Bo z tych zaczerwienionych oczu wyzierała nieśmiało dobra, płochliwa dziewczynka w białej wykrochmalonej sukience, przyprawiona, by popisywać się przed towarzystwem - dobra, płochliwa dziewczynka, która nazywa się Florrie Biggs. I mała Florrie Biggs popłakała sobie.

- Gdzie pani mieszka, panno Biggs?

- W Rosemont, przy Mapie Street dwadzieścia jeden - odpowiedziała prawie szeptem.

- Proszę troszeczkę głośniej, wszyscy chcemy panią słyszeć. Czy znała pani Madeleine Bellamy, panno Biggs?

Łzy, które dotąd czały się w okrągłych niebieskich oczach, polały się nagłym strumieniem, złobiąc małe ścieżki na mocno upudrowanych policzkach.

- Tak, sir, znałam.

- Czy to była bliska znajomość?

- Tak, sir. Tak mi się wydaje. Poznałam ją mając dziesięć lat. Chodziłyśmy razem do szkoły podstawowej i do gimnazjum. Była ode mnie trochę młodsza, ale uważałyśmy się za najlepsze przyjaciółki.

Łzy spokojnie spływały po jej twarzy, a panna Biggs ocierała je niecierpliwie niezgrabnymi, obciążniętymi w rękawiczki palcami.

- Lubiła ją pani?

- Tak, sir. Strasznie ją lubiłam.

- Czy w latach 1916, 1917 często ją pani widywała?

- Tak, sir. Mieszkałam zaledwie o trzy domy od niej. Widywałam ją codziennie.

- Czy znała pani również Patricka Ivesa?

- Tak, sir, dość dobrze go znałam.

- Czy w 1916 roku mówiono dużo na temat względów, jakimi darzył pani przyjaciółkę?

- Wszyscy wiedzieli, że byli zakochani w sobie po uszy - odpowiedziała prosto panna Biggs.

- Czy przypuszczano, że są zaręczeni?

- Nie, sir. Ja nie wiem, czy byli, ale wszyscy myśleli, że będą.

- Czy o stosunkach między nimi mówiono otwarcie wśród ich przyjaciół?

- Oczywiście.

- Czy pani rozmawiała kiedykolwiek na ten temat z panem Ivesem albo z panią Bellamy?

- Z Patem nigdy, ale Mimi mówiła na ten temat bardzo często.

- Czy przypomina sobie pani, co mówiła o tym podczas pierwszej rozmowy?

- Wydaje mi się, że pierwszy raz to było wtedy, kiedyśmy się okropnie pokłóciły na ten temat. - Na wspomnienie dawnej sprzeczki niebieskie oczy Florrie znowu napełniły się łzami. - Byliśmy na pikniku; Pat i Mimi odłączyli się od reszty towarzystwa i po jakimś czasie poszliśmy do domu bez nich. Kiedy wrócili, było już strasznie późno i powiedziała Mimi, że powinna być ostrożniejsza, kiedy się znajduje z takim człowiekiem jak Pat Ives. Wtedy ona wpadła w okropną złość i powiedziała, że doskonale wie, co robi, i że sama potrafi się o siebie troszczyć, że jestem zwyczajnie zazdrosna i żebym pilnowała swoich spraw. Och, bardzo ostro wtedy do mnie mówiła.

Głos panny Biggs załamał się, przeszedł w głęboki szloch i nagle cała zatłoczona sala sądowa zniknęła... Był ciepły lipcowy wieczór i na małej wiejskiej uliczce głośno rozlegały się donośne, rozzłoszczone głosy dwojga dziewcząt. Raz jeszcze Mimi Dawson, zuchwała w swej młodszej piękności, tłumaczyła małej Florrie Biggs, żeby nie pchała perkatego nosa w cudze sprawy. I nagła przykrość, jaką odczuła tego dawnego, odległego wieczora przebijająca teraz w szlochu Florrie.

- Czy potem znowu o nim kiedyś mówiła?

- Tak. Oczywiście że mówiła. Mówiła o nim prawie cały czas, to znaczy, kiedyśmy się pogodziły.

- Czy powiedziała pani, że mają zamiar się pobrać?

- Nie mówiła tak wyraźnie, ale jej rozmowy ciągle obracały się wokół tego tematu: czy będzie dobrze, jeśli się pobiorą, albo czy będą szczęśliwi w Rosemont, albo czy nie lepiej byłoby mieszkać w Nowym Jorku - rozumie pan, takie zastanawianie się bez przerwy.

Prokurator wyglądał na człowieka pełnego współczucia.

- Tak, rozumiem. A czy nie mówiła nic bardziej określonego?

- Pamiętam, jak raz mi powiedziała, że nie zastanawiałaby się minuty, gdyby wiedziała, że Pat będzie dobrym mężem.

- A czy z tego, jak i z innych jej uwag odniosła pani wrażenie, że to właśnie ona odkładała decyzję, a pan Ives parł do zawarcia małżeństwa?

- Tak, sir - powiedziała panna Biggs i zaraz dodała poważnie: - Ona chyba myślała, że ja tak uważam.

Na sali rozległ się ciepły, życzliwy szmer rozbawienia, na co ona podniosła zdumione niebieskie oczy.

- Tak, tak. A teraz proszę mi powiedzieć, panno Biggs, jak zapatrywało się wasze towarzystwo na sytuację między nimi, kiedy pan Ives wyjechał do Francji?

- Wszyscy uważali, że się z całą pewnością pobiorą - powiedziała panna Biggs i dodała cicho: - Niektórzy z nas myśleli, że już się pobrali.

- Co było powodem takiego przypuszczenia?

Panna Biggs niespokojnie poruszyła się w krześle.

- Och, nic specjalnego. Tylko że oni się wydawali tak strasznie w sobie zakochani i Pat zawsze wynajmował samochody, żeby zawozić ją do Redfield i... w różne inne miejsca. Przestali pokazywać się między nami... a wtedy dużo ludzi się pobierało. Wie pan, te wojenne małżeństwa... - Łagodny, niepewny głos rozplął się w ciszy.

- Rozumiem. A jaką reputację miał pan Ives wśród waszej paczki, panno Biggs? Czy to był zrównoważony, ciężko pracujący młody człowiek?

- Wydaje mi się, że nie pracował tak bardzo ciężko.

Szmer rozczarowania był na tyle głośny, by dojść do uszu Patricka Ivesa. Na krótką chwilę jego białą twarz rozświetlił najradośniejszy, wzbudzający sympatię uśmiech, ale natychmiast zniknął; równie szybko oczy, na moment niebieskie, znów powróciły do zimnej, szarej barwy.

- Czy cieszył się popularnością?
- Wszyscy go bardzo lubili - żywo powiedziała panna Biggs. - Wydaje mi się, że był najpopularniejszym człowiekiem w Rosemont. Znakomicie tańczył, grał na ukulele, doskonale jeździł na łyżwach i wspaniale umiał naśladować innych i... i w ogóle wszystko umiał.
- W takim razie, dlaczego ostrzegła pani swoją przyjaciółkę przed poślubieniem takiego wzoru doskonałości?
- Jak, proszę?
- Dlaczego powiedziała pani Mimi Dawson, że nie powinna przedstawiać zbyt dużo z Patem Ivesem?
- Och, no cóż, myślę, że tak jak ona powiedziała, byłam po prostu głupia i nie powinnam się mieszać w nie swoje sprawy.
- Powiedziała pani, panno Biggs: „Z takim człowiekiem jak Pat Ives”. Jakiego rodzaju człowieka miała pani na myśli? Kogoś, kto grał na ukulele? Czy może on grał jeszcze na czymś innym?
- Na cóż, grał trochę w karty, w pokera, wie pan, i inne gry, i... i w bilard.
- Jednym słowem hazard, co?
- Przepraszam, wysoki sędzie - zauważył chmurnie Lambert. - Czy jest dopuszczalne, żeby to się ciągnęło w nieskończoność? Celowo nie protestowałem przeciwko temu zdumiewającemu sposobowi przesłuchiwania świadka...
- Sąd przychyła się do pańskiego zdania, panie Lambert. Jaki to ma związek z aktem oskarżenia, panie Farr, czy pan Ives grał na ukulele, czy na organach?
- Dla oskarżenia jest rzeczą jak najbardziej zasadniczą wykazanie, że pan Ives był człowiekiem lekkomyślnym i że właśnie ta lekkomyślność prostą drogą doprowadziła do zabójstwa Madeleine Bellamy. Twierdzimy, że tak samo jak w Rosemont w miesiącach poprzedzających

wojnę, tak w roku 1926 postawił na kartę swoje bezpieczeństwo, szczęście i honor i podobnie jak w tamtych dniach postawił również na kartę szczęście, honor i bezpieczeństwo kobiety - tej samej kobiety, z którą odnowił związek zerwany przed dziewięciu laty zrządzeniem losu. Twierdzimy...

- Tak. No cóż, a sąd twierdzi, że pańskie badanie idące po tej linii było dostatecznie wyczerpujące i co więcej, że pozostaje pod znakiem zapytania jego związek z obecnym problemem. Może pan kontynuować przesłuchanie.

- Bardzo proszę, wysoki sędzie... Czy w roku 1919, po powrocie pana Ivesa, w dalszym ciągu widywała pani często pannę Dawson?

- Nie, sir - cicho odpowiedziała panna Biggs. - Nie bardzo często.

- Dlaczego?

- Głównie dlatego, że zaczęła przebywać w towarzystwie z podmiejskiego klubu. Cały czas spędzała z panem Farwellem.

- Tak jest. Czy kiedykolwiek potem odnowiła z nią pani bliskie stosunki?

- Nie, sir. Nigdy.

- Dziękuję, panno Biggs. To wszystko. Nie mam więcej pytań.

Kiedy szeroka twarz Lamberta zwróciła się w stronę zapłakanych, przestraszonych oczu, malował się na niej prawie ojcowski wyraz.

- Panno Biggs, powiedziała pani, że przez wiele lat nie łączyły panią żadne bliskie stosunki z panią Bellamy?

- Nie, sir. Żadne.

- Czy po ślubie pani Bellamy nigdy nie zwierzała się pani ze swych uczuć do pana Ivesa?

- Nie, sir. Nigdy mi się z niczego nie zwierzała.

- Czy widywała ją pani po tym, jak wyszła za męża?
 - O, tak. Widziałam ją. Byłam tam dwa czy trzy razy na herbacie.
 - Czy te wizyty wypadły przyjemnie?
 - Była bardzo grzeczna i miła... tak, sir.
 - Ale nie wyczuła pani, że miała ochotę z czegoś się zwierzyć?
 - Nie prosiłam jej, żeby mi się z czegoś zwierzała - powiedziała panna Biggs. - W ogóle o nic jej nie prosiłam, absolutnie o nic.
 - Ale gdyby było coś, z czego by się chciała zwierzyć, byłoby zupełnie naturalne, gdyby opowiedziała to pani. Kobiety z reguły zwierząc się swoim najlepszym przyjaciółkom, prawda?
 - Chyba tak.
 - O ile pani wiadomo, żadne niewłaściwe stosunki nie łączyły pani Bellamy z panem Ivesem w okresie poprzedzającym jej śmierć?
 - Nawet nie wiem, czy go widywała - odpowiedziała Florrie Biggs. Lambert uśmiechnął się z wdzięcznością.
 - Dziękuję, panno Biggs. To wszystko.
 - Jedną chwileczkę!
- Prokurator również przybrał ojcowski wygląd, o tyle oczywiście, o ile pozwalało na to jego posępne oblicze.
- Pan Lambert zapytał panią w tej chwili, czy byłoby czymś zupełnie normalnym, gdyby ona zwierzała się pani, jak to z zasady kobiety zwierząc się swoim najlepszym przyjaciółkom. Czy przed samą śmiercią, a także przez poprzednie lata była pani najlepszą przyjaciółką Mimi Bellamy, czy nie?
 - Nie, sir. Chyba nie byłam.
 - Nie łączyło pani żadne bliższe uczucie i stosunki między wami były raczej luźne, prawda?
 - Nie wiem, co pan rozumie mówiąc „między wami” - odparła

panna Biggs. Jej brzydka, pospolita, obrzmiała twarz stała się nagle piękną i pełną godności. - Kochałam ją bardziej niż kogokolwiek. Była moją jedyną, najlepszą w życiu przyjaciółką.

- Dziękuję, panno Biggs. To wszystko.

Potknęła się lekko, schodząc ze stopnia na miejscu dla świadków, raz jeszcze otarła niecierpliwymi palcami oczy i odeszła.

- Proszę wezwać panią Margaret Ives!

- Pani Margaret Ives!

Salę sądową przebiegł gwałtowny dreszcz emocji. Przejściem po drugiej stronie z pełną precyzją dystynkcją szła w stronę miejsca dla świadków drobna stara kobieta.

Tak spokojnie, jakby to było jej codzienną czynnością, pani Ives podniosła smukłą rękę w czarnej rękawiczce, złożyła przysięgę i postawiła nogę w wytworonym buciku na schodek prowadzący na miejsce dla świadków. Usiadła bez pośpiechu, rozpięła pod szyją czarny futrzany kołnierz, złożyła ręce na balustradzie i podniosła dzielne, pogodne ciemnoniebieskie oczy na spotkanie lodowato przenikliwego wzroku prokuratora. Spod staroświeckiego toczka, przybranego kokardą z czarnej koronki i szpilek z dżetu, lekko przebłyskiwały srebrne włosy; na policzkach sędziwej damy widoczny był słabiutki cień rumieńca, a na jej ustach błąkał się nieśmiały, miły uśmieszek.

„Typ matki - pomyślała rudowłosa dziewczyna - który by można wymyślić, gdyby się miało dużo fantazji”.

- Pani Ives, czy jest pani matką Patricka Ivesa?

- Jestem.

Jej miły głos brzmiał czysto i jasno jak dzwoneczek.

- Słyszała pani zeznania panny Biggs?

- O, tak. Słuch mam jeszcze doskonały. - Jej nikły uśmieszek

pogłębił się i na chwilę zmienił w wyraz przyjaznego rozbawienia.

- Czy orientowała się pani w okresie wybuchu wojny, co łączy Madeleine Bellamy z pani synem?

- Wiedziałam, naturalnie, że w sposób bardzo widoczny okazywał jej względy, ale z całą pewnością nie zdawałam sobie sprawy, że poważnie zastanawiali się nad możliwością małżeństwa. Oboje wydawali mi się zupełnymi dzieciakami.

- Czy syn zwierzał się pani ze swych zamiarów?

- Jestem przekonana, że gdyby miał tego rodzaju zamiary, na pewno by to zrobił, ale niczego mi nie mówił.

- Czy miał do pani całkowite zaufanie?

- Mam nadzieję, że tak. Wierzę w to.

Spojrzenie ciemnoniebieskich oczu spoczęło z litością na odwróconej w kierunku okna twarzy i zaraz powróciło, żeby spokojnie spotkać się ze wzrokiem prokuratora.

- Kiedy ta sprawa z panią Bellamy odnowiła się w 1926 roku, czy zwierzył się pani z tego?

- Nie.

- Okazał więc tym samym, że nie ma do pani całkowitego zaufania, nieprawdaż?

- Albo że raczej nie ma z czego i się zwierzać - powiedziała miło pani Ives.

Prokurator z irytacją potrzęsął głową.

- Zapewniam panią, że prokuratura posiada wystarczająco dużo materiału, by udowodnić, iż miał się z czego zwierzać. Jednakże nie zamierzam sprawiać pani więcej przykrości, niż to naprawdę konieczne. Jak dawno przybyła pani do Rosemont?

- Mniej więcej przed piętnastu laty.

- Była pani wdową i musiała pani sama zarabiać na utrzymanie?

- Nie. To nie jest najbardziej ściśle. Nie utrzymywałam się sama i nie byłam wdową.

Błede rumieńce pod staroświeckim toczkiem trochę pociemniały, natomiast głos pani Ives brzmiał jeszcze wyraźniej i czyściej niż poprzednio.

- Chce pani powiedzieć, że w okresie, kiedy przyjechała pani do Rosemont, mąż pani jeszcze żył?

Prokurator nawet nie starał się ukryć zdziwienia.

- Nie wiem, czy żył, czy nie. Odszedł ode mnie siedemnaście lat przed moim przyjazdem do Rosemont. Trzy lata temu dotarła do mnie wiadomość, że umarł, ale nie dowiedziałam się kiedy.

- Nie chciałbym dłużej zatrzymywać się przy sprawach na pewno dla pani bolesnych, ale muszę wyjaśnić tę sprawę. Czy była pani rozwiedziona?

- Bynajmniej nie jest to dla mnie bolesne - powiedziała łagodnie matka Patricka Ivesa, zaciskając ręce na krawędzi balustradki otaczającej miejsce dla świadków. - Było to już tak dawno, a od tego czasu zdarzyło się w moim życiu bardzo wiele. Nigdy nie mieliśmy rozwodu. Mąż mój był ode mnie młodszy i nasze małżeństwo nie było udane. Opuścił mnie dla znacznie młodszej kobiety.

- Czy w Rosemont utrzymywało się przekonanie, że jest pani wdową?

- Wszyscy w Rosemont uważali mnie za wdowę, z wyjątkiem Pata, który wiedział prawdę jeszcze jako całkiem mały chłopiec. Nie było chyba mądrze z mojej strony, że się nie przyznałam, ale nienawidzę litości. - Znowu miło się uśmiechnęła do prokuratora. - Falszywa duma to chyba jedyny luksus, na jaki mogłam sobie pozwolić w tych czasach.

- Powiada pani, że sama utrzymywała pani zarówno siebie, jak syna?

- Nie. Pat brał wszystkie drobne prace, jakie mógł dostać, od czasu gdy jako sześciolatek sprzedawał gazety na rogu ulicy.

Na chwilę uśmiech zniknął z jej twarzy; patrzyła na prokuratora mocnym, prawie surowym wzrokiem, jakby go chcąc zmusić, by odważył się zaatakować jej słowa; przez moment wyglądało na to, iż rzeczywiście tak postąpi, ale nagle zmienił zamiar.

- Czy wieczorem dziewiętnastego czerwca była pani w ogrodzie?

- W rozarium? Owszem.

- Czy widziała pani pannę Page idącą w stronę piaskownicy?

- Wydaje mi się, że tak, chociaż nie przypominam sobie niczego, co by utrwaliło ten fakt w mej pamięci.

- Czy widziała pani swoją synową?

- Tak.

Po twarzy pani Ives przesunął się ledwo dostrzegalny cień - cień wątpliwości i wahania. Pobiegła wzrokiem za spojrzeniem prokuratora, tam gdzie siedziała jej synowa, przysłuchując się ze spokojną uwagą. Na jeden krótki moment spotkały się ich oczy. Cień zniknął.

- W jakim szła kierunku?

- Przechodziła wzdłuż rozarium w stronę tylnej bramy.

- Chwileczkę, pani Ives. Jak daleko jest z domu pana Ivesa do Sądów?

- No cóż, to zależy od tego, którądy się jedzie. Drogą jest chyba prawie dwie mile, ale jeśli pójść ścieżką przecinającą łąki na północ od domu, to nie wypadnie więcej niż jedna mila.

- Czy wie pani, w którym miejscu kończy się ta ścieżka?

- Wydaje mi się, że wychodzi na małą altankę czy też teatrzyk w posiadłości Thorne'ów.

- Daleko od domku ogrodnika?
- Och, nie. Panna Page powiedziała, jak mi się zdaje, że to całkiem niedaleko. Chodziła tamtędy prowadząc przy różnych okazjach dzieci do teatryku, a ponieważ synowa nic o tym nie wiedziała, rozmawiałam na ten temat z Patem.
- Czy ktoś inny z domowników również chodził tą ścieżką?
- O ile wiem, to nie.
- A teraz proszę mi powiedzieć, czy pani Susan Ives, mijając panią w ogrodzie, mówiła coś do pani?
- Tak.
- Co powiedziała?
- O ile mogę sobie przypomnieć, powiedziała, że idzie do kina z Conroyami i że nie jest pewna, czy wróci, zanim położę się do łóżka. Dodała jeszcze, że Pat poszedł na pokera.
- Nic więcej?
- To wszystko, co pamiętam.
- Czy tego wieczoru widziała ją pani po raz drugi?
- Tak.
- Może pani powiedzieć kiedy?
- Dwa razy ją widziałam. Dwie albo trzy minuty po tym, jak przeszła koło mnie w rozarium, wróciła i prawie biegnąc poszła w stronę domu. Pracowałam wtedy w najodleglejszym kącie ogrodu przy pergoli i nie rozmawiałam z nią. Zdawała się bardzo śpieszyć, więc pomyślałam, że prawdopodobnie czegoś zapomniała, torebki albo może chustki na głowę, bo nie miała kapelusza. Jakąś minutę później wyszła z domu i pobiegła z powrotem ścieżką w stronę tylnej bramy.
- Czy miała chustkę na głowie?
- Nie.
- A torebkę?

- Nie przypominam sobie, ale może miała.
- Nie powiedziała czegoś do pani?
- Nie.
- I to były te dwa razy, o których pani wspomniała?

- Och, nie - poprawiła go łagodnie pani Ives. - Uważałam, że te dwa spotkania stanowią jedno. Tego wieczoru widziałam ją jeszcze raz, ale znacznie później.

I znowu na sali dało się słyszeć to dziwne poruszenie - odgłos setek ciał przesuwających się o cal bliżej ku krawędzi krzesel.

- Wielki Boże - mruknął z nabożeństwem reporter. - Ona stworzy tej kobiecie alibi! Uważaj, stary lisie!

Prokurator, upomniany w tak niedelikatny i niedosłyszalny sposób, energicznie postąpił do przodu.

- O której godzinie widziała pani swoją synową, pani Ives?

- Trzeba przyznać, że ma mocne nerwy - ciągnął nie stropiony reporter. - Albo prawdopodobnie stawia na to, że stara dama nie dopuści się krzywoprzysięstwa, nawet by uratować żonę swojego syna. Ja raczej też na to liczę.

Pani Ives, która siedziała bez słowa, wpatrując się w splecione ręce, podniosła ku prokuratorowi spokojną twarz i odezwała się po raz pierwszy tak, jakby ważyła każde słowo:

- Trudno mi powiedzieć, która dokładnie była godzina, bo nie patrzyłam na zegarek. Wiem jednak, że leżałam już pewien czas w łóżku i zgasiłam światło. Powiedziałabym, że mogło być około wpół do jedenastej. Pamiętam, że kiedy wróciłam do domu, było już zupełnie ciemno, a o tej porze roku jest jasno jeszcze długo po dziewiątej.

- Czy zawsze pracowała pani w ogrodzie aż do zapadnięcia zmroku?
- Tak. Praca w ogrodzie jest dla mnie zarówno odpoczynkiem, jak

zajęciem. - Pełne spokoju oczy pani Ives uśmiechnęły się do prokuratora, jakby oczekiwała, że znajdzie w nim bratnią duszę. - Ogromnie lubiłam te godziny po obiedzie. Bardzo często, jak było zbyt ciemno, by dłużej pracować, przedłużałam je, siedząc na ławce w porośniętej różami altance, i myślałam o pracy, która mi się udała. Zanim wracałam do domu, zawsze było już ciemno.

- A tego wieczoru dziewiętnastego czerwca też było już ciemno?

- Tak. Było ciemno już od jakiegoś czasu.

- Czy wróciwszy do domu poszła pani prosto do łóżka?

- Nie. Zatrzymałam się chwilę w pokoju na kwiaty, żeby zostawić tam koszyk z narzędziami i trochę się oporządzić. Pracując w ogrodzie człowiek się zawsze powala. - I znowu ten delikatny, przyjazny uśmiech.

- Właśnie jak stamtąd wychodziłam, zobaczyłam Melanie, pokojówkę podającą do stołu; gasiła światła w salonie i pomyślałam sobie, że musi być dziesiąta, bo zawsze, kiedy nikogo nie było w domu, gasiła światła o tej porze. Potem poszłam na górę i położyłam się. Nie upłynęło wiele czasu, odkąd zgasiłam światło, gdy usłyszałam, że otwierają się frontowe drzwi, i pomyślałam: „To musi być Sue”.

- A nie przyszło pani do głowy, że to może być pani syn?

- Och, nie! Kiedy Pat grał w karty, nigdy nie wracał przed dwunastą.

- Powiada pani, że widziała panią Ives. Czy przyszła prosto na górę do pani pokoju?

- Nie. Przypuszczam, że jakieś piętnaście minut po tym, jak usłyszałam zamykanie drzwi. Mój pokój jest w lewym skrzydle domu, wie pan, i zawsze zostawiam drzwi troszkę uchylone. Sue podeszła do drzwi i zapytała szeptem: „Czy mama jeszcze nie śpi?” Powiedziałam, że nie, a

wtedy ona weszła i powiedziała: „Przyniosłam ci owoce. Postawię je na stoliku”.

- Czy zawsze tak robiła?

- Nie, nie zawsze. To było zajęcie Pata, ale żadne dziecko na świecie nie pamięta tak o wszystkim jak Sue i pewnie miała na uwadze, że Pata nie ma w domu.

Jej oczy, pełne miłości i spokoju, raz jeszcze uśmiechnęły się do Sue.

- Czy zapaliła pani światło?

- Nie.

- Nie zamierzała pani jeść owoców?

- Och, nie. Nie bardzo dobrze śpiam i odłożyłam sobie owoce na wczesne godziny ranne.

- W takim razie nie mogła pani wyraźnie zobaczyć pani Ives?

- Mogłam jak najwyraźniej. W hallu paliło się bardzo jasne światło.

- Czy w jej wyglądzie nie uderzyło pani nic niezwykłego?

- Absolutnie nie.

- Czy była ubrana w to samo, w czym widziała ją pani poprzednio?

- Suknię miała tę samą, ale wydaje mi się, że zdjęła płaszcz.

„Aaach!” odezwała się sala przyciszonym westchnieniem.

- Jaki to był płaszcz, pani Ives?

- Kremowy, flanelowy płaszczyk.

Nawet zmruczeniem powiek pani Ives nie dała po sobie poznać, że zrozumiała złowieszczy sens tego westchnienia.

- Czy pani Ives jeszcze coś powiedziała?

- Owszem. Spytałam, czy podobał jej się film, a ona odparła, że nie poszła do Rosemont, bo idąc do Conroyów spotkała po drodze Stephena Bellamyego, który zaproponował, że podwiezie ją swoim samochodem.

Powiedział jej, że film w Rosemont jest stary i że oboje go już widzieli, i zaproponował, żeby pojechali przez River Road zobaczyć, co grają w Lakedale. Tam okazało się, że ten film także widzieli, więc pojechali z powrotem trochę okrężną drogą i wrócili do domu.

- Czy to wszystko, co powiedziała?

- O ile sobie przypominam, życzyła mi jeszcze przyjemnych snów i pocałowała mnie na dobranoc.

Pod tym miłym i bezpośrednim wzrokiem twarz prokuratora stwardniała.

- Gdzie zazwyczaj trzymano owoce, o których pani wspomniała, pani Ives?

- Wydaje mi się, że w małej lodówce w kredensie.

- Czy w kredensie jest zlew?

- Tak.

Prokurator powoli podszedł do miejsca dla świadków i dziwnie złowieszczy tonem zapytał:

- Pani Ives, jak pani sądzi, czy w czasie, jaki upłynął od momentu, w którym usłyszała pani, że ktoś zamyka frontowe drzwi, do chwili, kiedy w pani sypialni zjawiła się pani Ives, zdażyłaby ona umyć ręce pod tym zlewem w kredensie?

- Och, naturalnie.

Nie było ani sekundy wahania w tej szybkiej odpowiedzi, ani na sekundę na uniesionej ku górze, lekko zdziwionej twarzy nie pojawił się żaden cień, ale przez salę znów powiał zimny wiatr. Ponad tym głosem czystym, bez zająknięcia wypowiadającym tę krótką odpowiedź, słysząc było szum spływającej wody - wody, która zabarwiła się na czerwono, kiedy Sue, zawsze pamiętająca o wszystkim Sue, myła ręce, by czekającej matce zanieść owoce.

- To wszystko, pani Ives - oświadczył prokurator. - Nie mam więcej pytań.

Pani Ives spokojnie odwróciła głowę w stronę czerwonej twarzy Lamberta.

- Zatrzymam panią tylko chwileczkę, pani Ives. - Pompatyczny głos Lamberta zmienił się w ton najbardziej przyjaznego zainteresowania.

- Czy pani Ives po przyjsciu do pani pokoju zachowywała się zupełnie normalnie?

- Jak najbardziej normalnie.

- Żadnego niezwykłego podniecenia?

- Nie była podniecona w najmniejszym stopniu.

- Pan Farr pytał, czy syn zwierzał się pani kiedykolwiek ze stosunków łączących go z panią Bellamy. A ja pytam, czy dawał kiedykolwiek do zrozumienia, że czuje się nieszczęśliwy?

- Nigdy.

- A pani Ives?

- Również nigdy.

- Jakie było pani zdanie o ich wzajemnym stosunku?

- Sądziłam... - po raz pierwszy czysty głos zawahał się i załamał. Ale zmusiła go, żeby brzmiał tak jak dotąd. - Sądziłam, że byli najszcześliwszymi ludźmi na świecie - oświadczyła matka Patricia Ivesa.

- Dziękuję pani - powiedział uprzejmie Lambert. - To wszystko.

- Chce pani kanapkę? - usłużnie zapytał reporter zbierając swoje manatki.

- Proszę - potulnie odpowiedziała rudowłosa dziewczyna.

- Na pewno nie ma pani ochoty na mały spacer? Ten drugstore naprawdę nie jest najgorszy.

- Zawsze się boję, że może mi się coś stać i potem już nie wrócę - wyjaśniła rudowłosa. - Że mnie coś przejedzie, aresztują mnie, uprowadzą albo coś podobnego. Poproszę o jedną kanapkę z sałatą.

- Proszę, pani kanapka - powiedział reporter wróciwszy po chwili. - Dwie, żeby pani wiedziała, że mam serce na właściwym miejscu. Ta różowa, wyglądająca jak trucizna, to z galaretką porzeczkową, a tamta druga, zielona jak samo zdrowie - z sałatą. To się nazywa właściwie zestawiony posiłek! Niech się pani zaraz bierze do jedzenia!

Rudowłosa dziewczyna posłusznie i z wdzięcznością zabrała się do kanapek.

- Lubię patrzeć na dziennikarzy - odezwała się, kiedy z „właściwie zestawionego posiłku” nie zostało nic poza kilkoma okruchami.

- Dziesięć tysięcy razy dzięki! - odpowiedział dziennikarz. - A ja obojętnie lubię patrzeć na damy piszące książki.

- Chcę powiedzieć, że dziennikarze podobają mi się, bo mają w sobie tyle... tyle żywotności - wyjaśniła spokojnie rudowłosa, nie spuszczając oczu z dziewczyny w płomiennie kolorowej bluzce. Przyglądała się jej tak uparcie, by pewny siebie młody człowiek siedzący obok nie zauważył, iż wzbudza w niej zainteresowanie, jakiego nie powinna okazywać prawdziwa dama.

- No, w takim razie tylko tysiąc podziękowań - powiedział reporter - i to dosyć umiarkowanych. Wyglądamy żywotnie? Naprawdę? To płomienny hołd dla pani! Na pewno poczuje się pani głęboko zawstydzona, kiedy powiem, że nie miałem nic podobnego na myśli, wynosząc pod niebo wygląd pisarek. W dzień i w nocy strasznie mi się podobają ich uszka ukryte we włosach i dyskretny użytek, jaki robią z dołeczków na twarzy, i bezsensowna długość ich rzęs. Niech pani trochę nad tym pomyśli!

Rudowłosa dziewczyna myślała, a tymczasem i dołączki, i kolory na jej twarzy się pogłębiły. Kiedy skończyła rozmyślać, zapytała grzecznie:

- Czy to prawda, że obrońca pana Bellamy'ego złamał nogę?

- Trudno o prawdziwszą prawdę. Zleciał ze schodów w metrze wczoraj wieczór o godzinie 11.45, a dziś rano znajdował się już bezpiecznie w szpitalu. Lambert przejmuje obronę Bellamy'ego; on i tych dwóch zaaferowanych ważniaków, którzy siedzą koło niego za stołem. Wciąż przeglądają te prawnicze tomiska i są pomocnikami obrońcy - nawet nie wiadomo, co to znaczy... No, zjawił się Ben Potts! Dobry chłop z tego Bena... Uwaga, zaczynamy!

- Pan Elliot Farwell!

W stronę miejsca dla świadków ciężko ruszył krępy, szeroki w barach osobnik z włosami tak ulizanymi, że wyglądały jak natłuszczona skóra; miał wytrzeszczone oczy i niebiesko-sine, wydatne szczęki.

- Panie Farwell, gdzie pan był około piątej po południu dziewiętnastego czerwca?

- W klubie podmiejskim Rosemont.

Głos Farwella trudno było nazwać przyjemnym; gardłowy, posępny, zgrubiały i szorstki na skutek używania jakichś nie cieszących się najlepszą sławą napoi.

- Co pan robił?

- Tak się trochę kręciłem po golfie i wypilem kilka kieliszków.

- Widział pan panią Ives?

- Tak.

- Rozmawiał pan z nią?

- Tak.

- Zechce nam pan podać treść rozmowy?

Wielkie ciało Farwella poruszyło się niespokojnie w krześle.

- Co pan rozumie przez „treść rozmowy”?

- No, żeby pan powtórzył w ogólnych zarysach to, co powiedział pan pani Ives.

- Hm, mówiłem jej... - Ochryply głos umilkł z zakłopotania. - Muszę na to odpowiedzieć?

- Oczywiście, panie Farwell. - W głosie sędziego Carvera dało się wyczuć zniecierpliwienie.

- Powiedziałem jej, żeby miała oko na swego męża - desperacko wypalił Farwell.

- Czy podał jej pan powód, dla którego miałyby to zrobić?

- Naturalnie.

- No, to niech pan zechce nam też go podać.

- Powiedziałem jej, że on wygłupia się z Mimi.

- Nie podał jej pan żadnych bliższych szczegółów?

- Powiedziałem, że się spotykają.

- Gdzie?

- W domku ogrodnika w Sadach.

Wszyscy siedzący dość blisko miejsca dla świadków mogli dostrzec, jak na czole Farwella ukazują się małe kropelki potu.

- Skąd pan o tym wiedział?

- Orsini mi mówił.

- Kto to jest Orsini?

- Taki gość do wszystkiego, co pracuje u Bellamych. Zajmuje się ogrodem, pali w kotłowni i robi różne tego rodzaju rzeczy.

- Jak doszło do tego, że Orsini panu o tym opowiadał?

- Dwa razy widziałem, jak pani Bellamy wsiadała sama do autobusu idącego w stronę Perrytown, i powiedziałem Orsiniemu, że dostanie

dziesięć dolarów, jeśli się dowie, dokąd ona jeździ. Odpowiedział, że nie musi się dowiadywać, bo już wie.

- Czy wyjaśnił panu, skąd ma te wiadomości?

- Tak. Wiedział stąd, że to właśnie on sam pożyczał jej klucza do tego domku. Mimi jakoś się dowiedziała, że on ma klucz, i opowiedziała mu bzdurną historię, jak to ona chce ćwiczyć na fortepianie, który ogrodnik miał w domku; pożyczał jej tego klucza, ile razy poprosiła, a ona zawsze zapomniała go oddać i robiła to dopiero na drugi dzień rano.

- A skąd się ten klucz wziął u niego?

- Ogrodnik Thorne'ów był jego przyjacielem i wyjeżdżając na urlop do Włoch zostawił mu klucz, bo miał w piwnicy piwo domowej roboty i chciał, żeby Orsini je dopilnował.

- Czy wie pan, kiedy pani Bellamy ostatni raz pożyczała klucza?

- Wiem. Około południa dziewiętnastego czerwca. Przechodziłem koło jej domu trochę przed pierwszą, chciałem więc wstąpić i zapytać, czy nie zje ze mną lunchu w klubie; Orsini naprawiał furtkę w parkanie. Powiedział mi, że Mimi wyjechała samochodem jakieś pół godziny temu i że prosiła go o klucz, bo jak powiedziała, chce trochę poćwiczyć. Więc poszedłem za nią.

- Do domku ogrodnika?

- Tak.

- Była tam?

- Nie.

- Skąd pan wie, że jej tam nie było, panie Farwell?

- Bo koło domku nie stał żaden samochód i nie słyszałem muzyki.

Ton Farwella zabrzmiał beczelnie wyzywająco, ale prokurator całkowicie to zignorował.

- Czy wszedł pan do domku?

- Nie. Był zamknięty.
- I co pan wtedy zrobił?
- Kiedy stałem na werandzie, zaczęło padać, więc zatrzymałem się i zagrałem w „orła i reszkę”, czy mam iść do klubu licząc, że pogoda się poprawi i będzie można zagrać w golfa, czy wracać do siebie. Wypadła reszka, więc poczekałem kilka minut i poszedłem do klubu.

- Kogo pan tam zastał?

- Pana Bellamyego, Dicka Burgoyne'a, Conroyów, Dallasów, Sue Ives - całą naszą paczkę. Po lunchu przejaśniło się i prawie wszyscy poszli na tor golfowy. Sue zagrała w dwie pary z Conroyami i Steve'm Bellamy, który przyjechał pociągiem o drugiej. Mimi grała z Burgoyne'em, a ja z George'em Dallasem. Wszyscyśmy skończyli grać w odstępkach kilkuminutowych i siedzieliśmy, żeby się czegoś napić i pogadać.

- I to właśnie wtedy powiedział pan pani Ives o tej historii z jej mężem?

- Wtedy.

- Czy był tam pan Ives?

- Nie. Telefonował, że nie będzie mógł przyjechać wcześniej niż pod wieczór.

- A co pana skłoniło, żeby opowiedzieć pani Ives tę historię, panie Farwell?

Wydatne szczęki Farwella zarysowały się jeszcze wyraźniej.

- Chyba trochę za dużo wypłem, a poza tym miałem dosyć tej całej historii. Uważałem, że Sue to wspaniała dziewczyna i niedobrze mi się robiło na widok, jak Ives sobie bezkarnie pozwala.

- Co pani Ives na to powiedziała?

- Że zwariowałem, na co jej oświadczyłem, iż mogę się z nią założyć

o tysiąc dolarów, że Mimi i Pat będą opowiadać na temat dzisiejszego wieczoru jakieś dziwne bajeczki, a naprawdę to spotykają się w domku. Powiedziałem jej jeszcze, że tydzień temu ukryłem się w krzakach koło domku dozorczy, kiedy Sue była w Nowym Jorku, i widziałem ich oboje na podjeździe; Mimi szła piechotą, a dziesięć minut potem przyjechał Pat. To zrobiło na niej wrażenie; ale nie wiedziała, na ile jestem trzeźwy.

Umilkł i w tej chwili rozległ się podniesiony, pełen zniecierpliwienia głos prokuratora:

- I co dalej, panie Farwell?

- Niedługo po tym podszedł do nas George Dallas i powiedział, że jeżeli Sue ma ochotę, to wracając do domu wpadnie do nich i pokaże jej, jak się robi ten nowy cocktail, o którym opowiadała, i że będzie mogła zrobić Patowi przy obiedzie niespodziankę. Sue zgodziła się, więc wszyscy pojechaliśmy do niej. Wszyscy z wyjątkiem Mimi i Bellamy'ego. Oni pojechali kilka minut wcześniej na obiad.

- Czy rozmawiał pan jeszcze później z panią Ives na ten temat?

- Nie w taki sposób, żeby to można nazwać rozmową. U niej w domu była cała paczka i wszyscyśmy rozmawiali.

- A ona nic o tym nie wspominała?

- Owszem. Podeszła do mnie, kiedy wychodziłem i szukałem kapełusza, i powiedziała; „Elliot, nie wspominaj nikomu o tym, co mnie mówiłeś, dobrze?” Powiedziałem, że dobrze. A ona na to: „Obiecuj. Nie chcę, żeby to doszło do Pata, zanim się zdecyduję, co z tym zrobić”. - Powiedziałem, że naturalnie, że obiecuję, i zaraz się wyniosłem.

W ciszy panującej na sali głos jego zabrzmiał nieprzyjemnie i wyzywająco, niemniej jednak Farwell trzymał głowę uparcie odwróconą od czystych, z uwagą obserwujących go oczu Sue Ives. Oczy te rozszerzyły się teraz, pojawił się w nich wyraz gorzkiej ironii, kiedy człowiek, który

obiecał milczeć, tak otwarcie łamał przyrzeczenie.

- Och! — wyszeptała z pasją rudowłosa dziewczyna. - Co za cham! Próbuje tak wszystko przedstawić, jakby to ona zrobiła, jakby już wtedy miała ten zamiar.

- Niechże pani da spokój! - zaprotestował bezstronnie reporter. - Niechże pani będzie sprawiedliwa dla tego biedaka. Poza tym on składał przysięgę, a prokurator i tak nieźle się do niego dobiera. Ale niech pani uważa, bo przepuścimy coś ważnego!

- A co się działo po tym, jak zjedliście z panem Burgoyne'em obiad?

- Cholernie bolała mnie głowa, więc postanowiłem, że mimo wszystko nie pojedę do Dallasów na pokera, ale zostanę w domu i poczytam powieść detektywistyczną, którą sobie przyniosłem. Zadzwoiłem do George'a zapytać, czy będzie miał dosyć partnerów beze mnie, a kiedy powiedział, że tak, zdecydowałem, że na dzisiaj mam dosyć, i poszedłem na górę do sypialni.

- Czy widział się pan z Burgoyne'em, zanim on wyszedł?

- Tak. Zajrzał przez drzwi, kiedy się właśnie przebierałem w płaszcz kąpielowy, i zapytał, czy może ma mi co załatwić. Powiedziałem, że nie, niech tylko przeprosi ode mnie George'a.

- Czy potrafi pan określić, która to mogła być godzina?

- Musiała być mniej więcej za piętnaście dziewiąta. Mieli się zejść o dziewiątej, a on szedł pieszo.

- A potem, po jego wyjściu, długo pan czytał?

- Czytałem bez przerwy; gdzieś koło pół do dziesiątej wstałem na papierosa, ale nie mogłem znaleźć zapalek i zacząłem szukać zapalniczki we wszystkich kieszeniach ubrania do golfa. Niebyło jej. Przypomniałem sobie, że używałem jej idąc do domku - miałem ją w kieszeni razem

z drobnymi. I nagle znowu sobie przypominałem, że kiedy stojąc na werandzie wyjmowałem monetę, chcąc zagrać w „orła i reszkę”, wyjąłem także chusteczkę do nosa i usłyszałem, że coś upadło na podłogę. Rozejrzałem się, ale nie zwróciłem na to większej uwagi, bo myślałem, że to po prostu jakaś moneta stoczyła się z werandy. Kiedy uprzytomniłem sobie potem, że to musiała być zapalniczka, zrobiło mi się diablo nieprzyjemnie.

- Czy może pan wyjaśnić dlaczego, panie Farwell?

- Bo nie chciałem, żeby ktokolwiek wiedział, że kręciłem się koło domku ogrodnika, a wewnątrz zapalniczki był wygrawerowany napis.

- Napis z pańskim nazwiskiem?

- Nie. Była tam dedykacja: „Elliotowi od Mimi. Boże Narodzenie 1918”.

Trywialny głos nagle zadrzał, pospolita twarz zbladła, „Elliotowi od Mimi. Boże Narodzenie 1918.”

- Co pan zrobił stwierdziwszy, iż zgubił pan zapalniczkę?

- Zwymyślałem się od ostatnich i poszedłem na dół szukać zapalek.

Nie mogłem ich znaleźć w tym całym diabelskim domu, a byłem za leniwy, żeby się jeszcze raz ubierać, więc zadzwoniłem do Dicka do Dallasów i poprosiłem, żeby wracając koniecznie przyniósł zapalki.

- O której godzinie pan telefonował?

- Nie patrzyłem na zegarek. Kiedy zacząłem szukać zapalek, było pół do dziesiątej. Może za piętnaście albo za dziesięć dziesiąta.

- Poszedł pan z powrotem do łóżka?

- Tak. Czytałem jeszcze trochę. Kiedy Dick wrócił, drzemałem, ale światło się paliło.

- Która była godzina?

- Trochę po pół do jedenastej.

Prokurator stał wpatrując się badawczo w pospolite rysy Farwella, a potem szybko potrząsnąwszy wąską, gładko zaczesaną i pięknie osadzoną głową, powziął decyzję.

- Panie Farwell, kiedy pierwszy raz opowiedział pan historię, którą usłyszeliśmy przed chwilą?

- Dwudziestego pierwszego czerwca.

- Gdzie?

- W pańskim biurze.

- Na czyje żądanie?

- Na...

Lambert, który dotychczas niespokojnie wiercił się na krześle, podawał się na równe nogi, wydając przy tym ryk protestu, który uniemożliwił Farwellowi udzielenie odpowiedzi, choć już otwierał usta.

- Sprzeciwiam się, wysoki sędzie, sprzeciwiam się! Jaka to różnica, czy świadek złożył zeznanie w biurze prokuratora, czy w gmachu Metropolitan Opera? Ważne jest, że powiedział to tutaj, a wszystko inne celowo gmatwa sprawę.

- Sąd jest skłonny zgodzić się z panem, panie Lambert. Co ma na celu ustalenie kiedy, gdzie i dlaczego pan Farwell złożył to zeznanie, panie Farr?

- To, wysoki sędzie, że jedynie na usilne namowy prokuratury pan Farwell złożył szereg oświadczeń, które mylnie zrozumiane przez ławę przysięgłych mogły się okazać dla niego bardzo niekorzystne. Nie ma nawet jednej szansy na sto, że obronie udałoby się podczas przesłuchiwania świadków wydobyć na światło dzienne fakt, iż pan Farwell był w pobliżu domku ogrodnika w dniu dziewiętnastego czerwca. Niemniej, kierowany chęcią przedstawienia sędziom przysięgłym możliwie wszystkich faktów, celowo i rozmyślnie zrobiłem to sam. Aby jednak

być w zupełnym porządku wobec pana Farwella, chciałbym przedstawić okoliczności, w jakich te informacje uzyskałem.

Sędzia Carver wodził z namysłem swymi pięknymi, bystrzymi oczyma od czerwonej, okrągłej jak księżyc w pełni twarzy Lamberta do przypominającego czarno-białą akwafortę oblicza prokuratora, zimnego jak lód, choć za tym chłodem kryło się gorączkowe napięcie, a potem wzrok jego powędrował jeszcze dalej, aby zatrzymać się na świadku. Kiedy sędzia po chwili znów spojrzął na prokuratora, w jego spojrzeniu malował się lekki niesmak. I może właśnie ten niesmak przeważył szalę. O sędzim Carverze mówiono, że jest równie bezstronny, co bezwzględny.

- Dobrze, panie Farr. Sąd nie widzi nic niewłaściwego w przedstawieniu tych okoliczności, ale w sposób możliwie najkrótszy.

- Czy mogę wnieść sprzeciw odnośnie tej decyzji, wysoki sędzie? - spytał Lambert z czerwono-fioletową twarzą.

- Oczywiście.

- Rankiem dwudziestego pierwszego czerwca - zaczął prokurator - poprosiłem pana Farwella, żeby zgłosił się u mnie w biurze. Kiedy się zjawił, powiedziałem mu, że jesteśmy w posiadaniu informacji, które w bezpośredni sposób uwikłają go w tę ohydną zbrodnię, i że szczerze mu radzę opowiedzieć wszystko, co tylko wie na ten temat. Natychmiast się zastosował do mojej rady i powiedział dokładnie to samo, co zeznawał tutaj przed chwilą. Przyznam otwarcie, że jego słowa były dla mnie pewnym zaskoczeniem, ale w najmniejszym stopniu nie wpłynęły na zmianę aktu oskarżenia. Dlatego właśnie postanowiłem wezwać pana Farwella na świadka, żeby mógł sam przedstawić panom te fakty.

- Czy pańska informacja wikłająca pana Farwella w tę zbrodnię dotycząca zagubionej zapalniczki, panie Farr? - poważnie spytał sędzia Carver.

- Nie, wysoki sędzie. Chodziło mi o telefon pani Ives do pana Belamyego, kiedy zapytała, czy Elliot nie powiedział mu czegoś. Wśród znajomych pani Ives nie ma innego Elliota.

- Czy zapalniczka znajduje się w tej chwili w posiadaniu prokuratora?

- Nie, wysoki sędzie - uprzejmie odparł Farr. - Gdyby tak było, w pewnym stopniu uprościłoby to sytuację oskarżenia.

Prokurator krótkim, ale badawczym spojrzeniem obrzucił podnieconą twarz Lamberta.

- Czy to wszystko, co chciał pan przedstawić sądowi, panie Farr?

- Tak jest, wysoki sędzie. Nie mam dalszych pytań.

- Jaka to była zapalniczka, panie Farwell? - złowieszczo zadudnił głos Lamberta.

- Niewielka srebrna, zapalniczka, pokryta czarną emalią, którą zapala się jedną ręką. Sprowadzono ich bardzo dużo z Anglii w 1917 i 1918 roku.

- Czy ktokolwiek sugerował panu, że ta zapalniczka mogłaby ewentualnie stać się potężnym atutem przeciwko panu, w razie gdyby dostała się w ręce obrony? - Widać było, iż Lambert stara się, żeby to pytanie brzmiało uprzedzająco grzecznie.

- Nie - odparł wojowniczo Farwell. - Nikt mi nie mówił nic podobnego.

Prokurator, zanim zwrócił w stronę przysięgłych twarz pałającą świętym oburzeniem, pozwolił sobie na przelotny, ironiczny uśmiezek skierowany pod adresem przeciwnika.

- Panie Farwell, oświadczył pan prokuratorowi, że zanim opowiedział pan pani Ives tę historię o jej mężu, wypił pan jeden czy dwa kieliszki. A może wypił pan więcej?

- Może wypilem trzy lub cztery. Nie przypominam sobie.
- Trzy, cztery po tym, jak pan wrócił z toru golfowego?
- No tak. I co z tego? - Szczęka Farwella wysunęła się groźnie.
- Proszę z łaski swojej odpowiedzieć na moje pytanie.
- No dobrze. Trzy lub cztery po powrocie z toru.
- I trzy lub cztery przed grą?
- Nie pamiętam ile. Wszyscyśmy wypili trochę przy lunchu.
- Ale pan wypił za dużo, prawda?
- Za dużo na co?
- Za dużo, powiedzmy, żeby to wyszło na dobre Mimi Bellamy. - Lambert kątem oka pochwycił groźny ruch na krześle zajmowanym przez prokuratora i pośpiesznie ciągnął dalej: - Czy rozmawiałby pan tak otwarcie z panią Ives, gdyby pan tyle nie wypił?
- Nie wiem, czy bym mówił, czy bym nie mówił. -Drobne kropelki potu na jego czole szybko się powiększyły. - Już od dłuższego czasu myślałem, że powinna wiedzieć, co się dzieje.
- Rozumiem. A co ona, pańskim zdaniem, miała zyskać na tym, że się dowie?
- Myślałem, że położy temu kres.
- Położy kres nożem, tak, panie Farwell? - nacierał obrońca ze zjadliwą wesołością.
- I nagle w tych otępiątych oczach, które miał przed sobą, Lambert zobaczył tyle prawdziwego bólu, że cofnął się roztropnie o krok.
- Za kogo mnie pan uważa? Myślałem, że go zmusi, żeby z tym skończył.
- A dla pana to było absolutnie konieczne, żeby z tym skończył, tak czy nie, panie Farwell?

- Co?

- Starał się pan namówić panią Bellamy, żeby rozwiodła się z mężem i wyszła za pana. Czy to prawda?

Farwell siedział wpatrując się tępy, dziwnym wzrokiem w swego prześladowcę.

- Starał się pan?

- Tak.

Przyznał to tak otwarcie, jakby oświadczył, że usiłował namówić ją na partię brydża.

- Od jak dawna datuje się nawrót pańskiego uczucia do pani Bellamy?

- To nie był żaden nawrót. Moje uczucie dla niej, jeżeli chce pan to tak nazywać, nigdy nie wygasło.

- Ach tak, rozumiem. A czy w okresie, kiedy popełnione zostało morderstwo, nie uważał pan tej sprawy za beznadziejną?

- Nie.

- Ale te stosunki z panem Ivesem bardzo pana niepokoiły, prawda?

- Tak.

- A kiedy pan wrócił do domu, napił się pan jeszcze trochę, żeby uczcić fakt, że tak znakomicie pan wszystko zaaranżował?

- Napiłem się trochę.

- A kiedy się pan kładł do łóżka z tą detektywistyczną powieścią, to postawił pan obok siebie butelkę whisky?

- Myślę, że tak.

- A następnego ranka była opróżniona w trzech czwartych, prawda, panie Farwell?

- Skąd mogę to wiedzieć?

- Czy nie znaleziono jej rano prawie pustej koło pańskiego łóżka?

- Nie wiem. Ale wypilem sporo. To prawda.

- Panie Farwell, czy jest pan pewny, że nie przypomniał pan sobie o zgubieniu tej zapalniczki przed pół do dziesiątej? No, powiedzmy, kilka minut po dziesiątej?

- Nie. Powiedziałem już, że było pół do dziesiątej.

- Skąd ta pewność?

- Bo popatrzyłem na zegarek.

- Dlaczego pan to zrobił?

- Bo chciałem wiedzieć, która godzina.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Po prostu byłem ciekawy, która godzina.

- I świetnie się złożyło, że było akurat pół do dziesiątej.

- Nie wiem, o czym pan myśli. Jeśli chodzi o ścisłość, to wcale się świetnie nie złożyło.

- Nie wie pan? A nie rozumie pan, dlaczego się świetnie złożyło, że pan zadzwonił do Dallasów jakieś dziesięć minut przed dziesiątą i że upewnił ich pan tym samym, iż siedzi pan spokojnie w piżamie we własnym domu?

- Nie. Nie rozumiem.

- Czy u pana służy chłopak, Filipińczyk?

- Tak.

- Czy był w domu, kiedy pan Burgoyne wyszedł na pokera?

- Nie. Zawsze wraca do siebie pół do ósmej, jak tylko skończy myć naczynia po obiedzie.

- Więc był pan w domu zupełnie sam?

- Zupełnie.

- Pański samochód stał przed domem?

- W garażu.

- Czy ani razu nie przyszło panu do głowy, kiedy pan sobie uświadomił diablo nieprzyjemną stratę tej zapalniczki, żeby wsiąść do samochodu,

poświęcić pięć czy dziesięć minut na jazdę do Sadów i poszukać zguby?

- Absolutnie nie.
- Nie zrobił pan nic podobnego?
- Niechże pan posłucha, powiedziałem już panu dwadzieścia razy, że nie. Rozumie pan?

Po głosie Farwella można było poznać, iż z trudem powstrzymuje wybuch gniewu.

- Nie przypominam sobie, czy już o to pana pytałem. O której godzinie po raz pierwszy usłyszał pan o tej tragedii?
- Pan myśli o... o morderstwie?
- Oczywiście.

Raz jeszcze w otępiątych oczach pojawił się zastanawiający błysk niezmiernego cierpienia.

- Przypuszczam, że około dwunastej w niedzielę rano... albo pół do dwunastej... nie wiem.... gdzieś późnym przedpołudniem. Zadzwoił do mnie George Dallas. Jeszcze nie byłem całkiem rozbudzony.
- Co pan wtedy zrobił?
- Co zrobiłem? Nie wiem. Ta wiadomość tak mnie rąbnęła, że nie wiem.

Lambert nagle podsunął rozpromienioną twarz w stronę nieprzeniknionej maski przed sobą.

- Jakkolwiek ta wiadomość pana rąbnęła, panie Farwell, to chyba przypomina pan sobie, że trzy kwadransy po jej otrzymaniu zamknął się pan w bibliotece i próbował sobie roztrzaskać głowę?
- Tak - powiedział Elliot Farwell. - To sobie przypominam.
- I nie udało się panu, ponieważ pański przyjaciel Richard Burgoyne rozładował uprzednio pistolet?
- Zgadza się.
- A pański służący, szukając pana, żeby powiedzieć, że śniadanie gotowe, zobaczył pana przez okno i wszczął alarm. Tak czy nie?

- O ile wiem, to tak.
- Co pan powiedział do pana Burgoyne'a, kiedy ten siłą wdarł się do biblioteki?

- Nie przypominam sobie.

- Nie przypomina pan sobie, że powiedział pan: „Zostaw mnie Dick, po tym, co zrobiłem, nie ma dla mnie innego wyjścia”.

- Nie. Nie pamiętam tego, ale prawdopodobnie tak powiedziałem. Nie przypominam sobie, co mówiłem.

- Jak pan wytłumaczy te słowa, panie Farwell?

- Nie mam zamiaru niczego tłumaczyć. Jeśli tak powiedziałem, to powiedziałem. Jakie ma znaczenie, co wtedy miałem na myśli?

- Zapewniam pana, że ma wielkie znaczenie. Nie wyjaśni pan tego?

- Nie.

- Panie Farwell, po raz ostatni pytam pana, czy był pan w domku ogrodnika w Sadach wieczorem dziewiętnastego czerwca?

- Nie byłem.

- Około pół do dziesiątej?

- Nie.

Lambert, na którego okrągłej, czerwonej twarzy nagle pojawił się złośliwy wyraz, rzucił głośno pytanie w udręczone oblicze przed sobą.

- Czy to nie pański śmiech słyszał pan Thorne zbliżając się do domku ogrodnika, panie Farwell?

- Ty...

Przez moment słychać było tylko głośne oddechy na sali, a potem wybił się ponad nie ryk wściekłości z miejsca dla świadków, metaliczny głos prokuratora, łoskot młotka sędziowskiego i śpiewne zawołanie Bena Potts'a:

- Cisza! Cisza!

- Wysoki sędzie, chciałem zadać jedno pytanie. Czy to pan Farwell występuje tu jako oskarżony i broni swego życia, czy jest to sprawa

oskarżenia publicznego przeciwko Susan Ives i Stephenowi Bellamy?

- Sąd nie zamierza odpowiadać na retoryczne pytania, panie Farr. Panie Lambert, pan Farwell powiedział już panu kilka razy, że nie był w Sadach dziewiętnastego czerwca wieczorem. Sąd w najmniejszym stopniu nie krępował pana w przesłuchiowaniu świadka, ale nie zamierza pozwolić na dalsze badanie prowadzone według tego rodzaju założeń. Jeśli ma pan inne pytania, proszę je stawiać.

- Nie mam dalszych pytań, wysoki sędzie. - Głos Lamberta brzmiał nadal niefrasobliwie i widać było, że nic sobie nie robi z udzielonej nagany.

- Jedną chwileczkę, panie Farwell.

Prokurator szybko wysunął się do przodu. Świadek, którego poderwał na nogi ten ostatni wybuch tryumfującego Lamberta, zwrócił na prokuratora rozgorączkowane oczy. Widać było wyraźnie, jak drżą mu ręce, zaciśnięte na poręczy otaczającej miejsce dla świadków - ciężkie, wypielęgnowane ręce z grubym sygnetem na palcu.

- Przyznaje pan, że sporo pan wypił przed rozmową z panią Ives, czy tak?

- Tak... tak... tak.

- Czy po powrocie żałował pan swoich słów?

- Czułem, że powiedziałem za dużo... tak.

- A czy następnego ranka, kiedy dotarła do pana wiadomość o morderstwie, żałował pan jeszcze bardziej?

- Tak.

- I z tej przyczyny chciał pan popełnić samobójstwo?

Długa chwila ciszy, a potem jeszcze raz wypowiedziane umęczonym do ostateczności głosem:

- Tak.

- Ponieważ zdał pan sobie sprawę, że pańska niedyskrecja była przyczyną nieszczęścia, jakie ją spotkało?

- Tak. Już panu powiedziałem... tak.
- Dziękuję. To wszystko. Wezwać pana Dallasa.
- Pan George Dallas!

Zawadiacka postać w ubraniu z błękitnej serży, w eleganckim fularowym krawacie, z kręcącymi się jasnymi włosami, które już zaczynały się przerzedzać, energicznym krokiem ruszyła przed siebie. Już na pierwszy rzut oka widać było, że pan Dallas jest człowiekiem dobrym. Jego łagodny głos miał serdeczne brzmienie, rozwarte, ukazujące rząd białych zębów wargi układały się w poważny, ujmujący uśmiech, a brązowe oczy miały tak przyjazny wyraz, jak spojrzenie wiernego psa.

Przesłał poważny, ujmujący uśmiech Sue Ives, która odpowiedziała mu słabym, smutnym uśmiechem, i jeszcze poważniej, jeszcze bardziej ujmująco uśmiechnął się do prokuratora, który odwzajemnił mu się dościsłym zdawkowo.

- Panie Dallas, wieczorem dziewiętnastego czerwca zaprosił pan do siebie gości na pokera, tak?

- Owszem, zaprosiłem.

Ton głosu Dallasa dawał najwyraźniej do zrozumienia, że przyjęcie było bardzo udane i że jedyny jego mankament stanowiła nieobecność prokuratora.

- Czy był pan przy tym, kiedy pan Farwell telefonował do pana Burgoyne'a?

- Tak.
- Koło której godziny z nim rozmawiał?

- Zaraz. Niech się zastanowię. - Dallas robił wrażenie człowieka, który myśli jedynie o tym, by zadowolić prokuratora. - Musiała być gdzieś za kwadrans dziesiąta, bo co piętnaście minut zakładaliśmy nową pulę, a przypominam sobie, że raz wpłaciliśmy i właśnie mieliśmy

wpłacać powtórnie, kiedy zadzwonił telefon i Dick na chwilę wstał od gry.

- Czy słyszał pan, na czym zakończył rozmowę pan Burgoyne?

- No, nie bardzo. Robiliśmy sporo hałasu, opowiadaliśmy sobie kawały, wie pan, jak to jest, ale usłyszałem, że Dick mówi: „Ubierz się i przyjedź, a damy ci tyle, że będziesz mógł stos podpalić”.

- Czy pan Burgoyne po powrocie od telefonu powiedział coś na temat tej rozmowy?

- Powiedział: „Chłopcy, jak będę wychodził, przypomnijcie mi, że bym wziął trochę zapalek. Farwell nie ma w domu ani jednej”.

- O której godzinie poszedł do domu?

- Było chyba piętnaście po jedenastej. Skończyliśmy wcześniej niż zwykle.

- Czy dzwonił pan do pana Farwella następnego dnia około południa?

- Tak jest. Dzwoniłem.

W swobodnym dotychczas tonie Dallasa nagle pojawił się odcień powagi.

- Czy przypomina pan sobie tę rozmowę?

- Pamiętam, że kiedy Elliot się odezwał, był jeszcze zupełnie zaspany i dosyć rozdrażniony. Powiedział: „Cóż to za pomysł budzić kogoś o tej porze?” Na co ja powiedziałem: „Słuchaj, Elliot, stało się coś strasznego. Bałem się, że zobaczysz to w gazecie. Zamordowano Mimi Bellamy w domku ogrodnika w Sadach”. Wydał jakiś przedziwny dźwięk i zaczął powtarzać w kółko, zupełnie jak nakręcony: „Przestań, George! Przestań, George! Przestań, przestań”. Zapytałem: „Co przestań?” ale musiał odwieść słuchawkę, bo nic nie odpowiedział.

- Czy zdawał się zaskoczony?

- Nie określiłbym tego w ten sposób; wydawało mi się, iż kompletnie zgłupiał.

Jego głos oscylował między współczuciem i żalem, a spokojny ton łagodził to niezbyt poważne określenie.

- W porządku, panie Dallas. Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

Z taką miną, jakby bardzo niechętnie odrywał się od interesującej i przyjemnej pogawędki, Dallas odwrócił swą wyrazistą twarz od prokuratora i skierował ją z przypochlebnym zainteresowaniem w stronę różowego Lamberta.

- Panie Dallas, czy jeszcze ktoś z osób znajdujących się w pokoju słyszał te uwagi pana Burgoyne'a?

- Jestem pewny, że musieli słyszeć. Siedzieliśmy wszyscy bardzo blisko siebie.

- Kto znajdował się w pokoju?

- Burgoyne, poza tym Martin i dwóch znajomych z Nowego Jorku, którzy przyjechali do mnie na weekend i, zaraz, niech się zastanowią...

- Czy był wtedy w pokoju pan Ives?

- Och, nie - odparł Dallas. Po jego pogodnej twarzy przemknął cień lęku. - Nie. Nie było go.

- Rozumiem. A o której godzinie się zjawił, panie Dallas?

- Pan Ives?

- Tak.

Dallas rzucił krótkie, zrozpaczone spojrzenie w kierunku bladej postaci siedzącej przy oknie, ale Patrick Ives odpowiedział mu spokojnym, rozbawionym, lecz obojętnym wzrokiem.

- Hm... no... nie zjawił się.

Lambert dosłownie znieruchomiał, a jego oczy zdawały się wyskakiwać z orbit.

- Chce pan powiedzieć, że nie zjawił się za kwadrans dziesiąta?
- Nie. Nie zjawił się.

Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia procesu Sue Ives poruszyła się na krześle. Szybkim ruchem pochyliła się ku przodowi i utkwiała natarczywy, nieodgadniony wzrok w swym osłupiałym obrońcy. Jej uniesiona twarz, na której w tej chwili malowała się gwałtowna chęć wyrażenia czegoś, jej uniesiona ręka ostrzegały go wyraźniej niż wszelkie słowa. Ale Lambert nie zważał na żadne ostrzeżenia.

- Więc o której godzinie przyszedł?
- On... hm... rozumie pan... on w ogóle nie przyszedł.

Dallas raz jeszcze zwrócił błagalne spojrzenie w stronę siedzącego w rogu mężczyzny, którego oczy uśmiechały się w odpowiedzi pobłażliwie, z jeszcze większą obojętnością i jeszcze większym rozbawieniem.

- Czy zawiadomił pana o zmianie swoich planów?
- Nie - odparł z rozpaczą Dallas. - Nie zawiadomił mnie... w sposób wyraźny.
- Po prostu nie zjawił się, tak?
- Tak jest... no, po prostu nie przyszedł.

W głosie Dallasa można było wyczuć, iż tego rodzaju rzeczy wśród ludzi światowych nie grają żadnej roli.

A Lambert, z wciąż jeszcze okrągłymi z osłupienia oczyma, lekkim skinieniem zwolnił świadka. Stał, uporczywie odwracając głowę od Sue Ives, by nie widzieć surowego wyrzutu malującego się na jej twarzy.

- Nie mam dalszych pytań.

Dallas szybko poderwał się na nogi i skierował ufnie swe otwarte, szczerze spojrzenie na prokuratora.

Ale wygląd klasycznych rysów Farra nie mógł natchnąć otuchą nawet największego optymisty. Prokurator wpatrywał się w miłą twarz swego

ostatniego świadka z wyrazem tak pełnej zdumienia niechęci, jaka musiała się malować na twarzach tych, którzy pierwsi ujrzeli Meduzę.

I on również lekkim skinieniem dłoni zwolnił świadka, z czego Dallas szybko i potulnie skorzystał.

Zakończył się trzeci dzień procesu Bellamy'ego.

Rozdział 4

No, tym razem to mnie pani pobiła - stwierdził z uznaniem reporter. - A ten kapelusz także mi się podoba. Chce pani ołówek?

- Ołówek chcę zawsze - odparła rudowłosa dziewczyna. - Wszystkich pobiłam. Sto razy wolałabym przyjść tutaj o szóstej rano niż jeszcze raz przedzierać się przez ten tłum wyjątych maniaków. Poza tym doskonale się wyspałam, mogłam więc równie dobrze tu posiedzieć. A niezależnie od tego pomyślałam sobie, że jak się wcześniej zjawię, to może mi pan powie, kto to zrobił - Ives czy Farwell?

- Kto co zrobił?

- Kto zabił panią Bellamy?

- Wielki Boże! - jęknął reporter. - Dlaczego w procesie o morderstwo dosłownie każdy bez przerwy usiłuje przypisać popełnienie zbrodni wszystkim, byle tylko nie tym, których się o to oskarża? Niech pani lepiej mówi o sędziach przysięgłych.

- Nie mówię o sędziach przysięgłych - odpowiedziała stanowczo rudowłosa. - Mówię o panu Ivesie i panu Farwellu. Czy nie wydaje się panu dosyć dziwne, że Farwell był tam tego dnia?

- Komiczne, jak to wszystko się pani zgadza. Niemniej jestem przekonany, że był tam dokładnie wtedy, kiedy powiedział. Ten biedak mówił prawdę.

- Skąd pan wie? - zapytała z szacunkiem rudowłosa dziewczyna.
- Och, jak się odpowiednio długo pracuje w tym zawodzie, ma się nosa.
- Bardzo to musi być przyjemne. A ma pan nosa, jak chodzi o pana Ivesa?
- Pata Ivesa? Jeszcze nie słyszałem jego zeznań.
- Co to znaczy, że on nie przyszedł na tę partię pokera?
- Hm! Może to znaczyć dokładnie wszystko, a może nie znaczyć nic. Ale jedną rzecz wiemy na pewno, a mianowicie to, że wczoraj wieczorem wujaszek Dudley Lambert miał dobrą okazję do popicia.
- Dlaczego?
- Moje drogie dziecko, czy nie widziała pani na jego twarzy tej szatańskiej wesołości, kiedy się przekonał, że Pat Ives nie ma ani cienia alibi na krytyczny wieczór?
- Oczywiście, że widziałam. Ale dlaczego?
- Bo jedyną rzeczą, jaką wujaszek Dudley zrobiłby równie chętnie, jak ocalił swoją chrestną córkę od stryczka - to założyłby ten stryczek na szyję Pata Ivesa. Nienawidzi Pata od chwili, kiedy ten odważył się narazić jego ukochaną Sue na zdrowe, twarde życie w Nowym Jorku; tak samo nigdy mu nie darował, że Pat poróżnił ją z ojcem. A gdy odkrył, że Pat zdradzał ją z żoną Bellamy'ego, zupełnie oszalał z wściekłości. Teraz, dzięki z nieba zesłanemu przypadkowi, jest w stanie wpakować go w sytuację, która może zagrażać jego życiu. Prawie kompletnie stracił głowę. Powinien jednak trochę bardziej uważać. Jeśli umiem czytać w ludzkich twarzach - a może zainteresuje panią, że posiadam tę umiejętność - to pani Ives niezupełnie- odpowiada wysłanie jej niegodnego małżonka na szubienicę. Widać w jej oczach ostrzegawcze błyski, które nie wróżą wujaszekowi Dudleyowi nic dobrego z chwilą, kiedy ona się zorientuje,

do czego on zmierza. Rudowłosa dziewczyna westchnęła ciężko.

- Ale ja nie wierzę, żeby ktoś to zrobił - stwierdziła z przekonaniem.
- W każdym razie nie ktoś z nich. Prawdopodobnie złodzieje albo któraś z tych dziwacznych organizacji, albo...

- Cisza, cisza! Sąd idzie!

Prokurator miał nowy purpurowy krawat, dość ponury i rzucający się w oczy. Lambert był w trochę lepszym nastroju, chociaż jego krawat w grochy był dyskretniejszy, pani Ives miała na sobie ten sam tweedowy kostium i ten sam kapelusik koloru miedzi. Wielkie nieba, zaczynało wyglądać, jakby nosiła uniform!

- Proszę wezwać pannę Cordier.

- Panna Melanie Cordier!

Wysmukła, elegancka postać w prostym czarnym płaszczu i czarnym kapeluszu robiła większe wrażenie, gdy wzięło się pod uwagę, że panna Melanie Cordier była pokojówką w domu Ivesów.

- Panno Cordier, gdzie pracowała pani w dniu dziewiętnastego czerwca 1926 roku?

- Byłam zatrudniona u pani Susan Ives jako pokojówka.

W wyraźnie wymawianych słowach można było wyczuć zaledwie ni-kły ślad obcego akcentu - lekkie zmiękczenie spółgłosek i przeciąganie samogłosek, co zresztą stanowiło dość miłą odmianę angielskiego.

- Jak długo była pani tam zatrudniona?

- Rok i dziewięć miesięcy... dziesięć miesięcy. Nie jestem tego zupełnie pewna.

- Jak to się stało, że trafiła pani do pani Ives?

- Dostałam się tam przez panią Bellamy.

- Żonę Stephena Bellamy'ego?

- Tak. Przez żonę Stephena Bellamyego.
- Czy zechce nam pani powiedzieć, panno Cordier, jak to było?
- Oczywiście. Moja młodsza siostrzyczka została skierowana do pani Bellamy trzy czy cztery lata temu, zaraz po tym, jak wylądowała w tym kraju. Nie miała żadnego doświadczenia, rozumie pan, i nie mogła dostać takiej pracy, jakiej by mógł żądać ktoś wyszkolony; ale pani Bellamy była dobra dla niej, a ona ciężko pracowała i po jakimś czasie wyszła za mąż za jednego chłopaka, który pracuje jako szofer u kupca kolonialnego, i oni...
- Tak, tak, panno Cordier. Ale ja pytałem, jak doszło do tego, że pani Bellamy posłała panią do pani Ives.
- Właśnie tłumaczę. - Panna Cordier, ani trochę nie wytrącona z równowagi, na swój sposób ciągnęła dalej opowiadanie: - Kiedy moja siostrzyczka była u pani Bellamy, czasem przychodziłam, żeby jej pokazać, co ma robić. Bo ja byłam pokojówką osiem lat i jestem dobrze wyszkolona. No, to wtedy widziałam raz i drugi panią Bellamy i powiedziałam jej, że jakby kiedyś coś wiedziała o jakimś bardzo dobrym miejscu w tym Rosemont, to bym je wzięła, żebym czasem mogła widzieć moją siostrzyczkę, która wyszła za tego chłopca od kupca kolonialnego. I chyba jakieś dwa lata temu ona napisała do mnie, że jej przyjaciółka, pani Susan Ives, szuka pierwszorzędnej pokojówki. No i właśnie tak dostałam się do pani Ives.
- Czy nadal pracuje pani u pani Ives?
- Nie. Dwudziestego czerwca wypowiedziałam, bo nie bardzo mi się podobało to, co się stało.
- Czy to wypowiedzenie ma coś wspólnego ze śmiercią pani Bellamy?
- Tego nie mówię. Ale nie byłam zadowolona.
- Panno Cordier, czy widziała pani już kiedy tę książkę? Zwracam

pani uwagę na tytuł: *Wykład dokumentacji finansowej*, tom III.

Panna Cordier spojrzała krótko na książkę swymi czarnymi oczami.

- Tak. Znam tę książkę.
- Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?
- Wieczorem dziewiętnastego czerwca o godzinie dziewiętej.
- Gdzie?
- W gabinecie pana Ivesa.
- Dlaczego specjalnie zwróciła pani na nią uwagę?
- Bo wzięłam ją z rogu biurka, gdzie leżała, żeby zajrzeć do środka.
- W jakim celu?
- Chciałam zobaczyć, czy w środku jest jeszcze list, który włożyłam

do niej tego popołudnia.

- I co, był tam jeszcze ten list?
- Nie, monsieur, listu nie było.

Prokurator niedbale rzucił gruby tom na biurko sekretarza sądowego.

- Proszę o włączenie tego tomu do dowodów rzeczowych, wysoki sędzie.

- Nie ma sprzeciwu?

Sędzia Carver spojrzał pytająco na potężną postać Dudleya Lamberta, nachylonego niepewnie nad oprawną w sztywne płótno teczką na korespondencję.

Lambert, przestępując z nogi na nogę, wpatrywał się w gruby tom, jakby usiłował odgadnąć, czy jest to machina piekielna, czy szkatułka z klejnotami, i wreszcie zdobywszy się na konwulsyjny wysiłek powziął decyzję:

- Nie wnoszę sprzeciwu.
- Panno Cordier, do kogo zaadresowany był list, który pani włożyła do książki?

- Do pana Patricka Ivesa.

- Czy to pani go napisała?
- Och, nie, nie, monsieur.
- A wie pani, kto go napisał?
- Tak, monsieur.
- Kto?
- Pani Bellamy.
- Jak doszło do tego, że list pani Bellamy do pana Ivesa znalazł się w pani rękach?
- Pani Bellamy zawsze dawała mi listy do pana Ivesa, kiedy chciała, żeby nikt o tym nie wiedział. Na kopercie było moje nazwisko, a w środku znajdowała się druga koperta zaadresowana do pana Ivesa. I tę wkładałam do książki.
- I robiła to pani przez dłuższy czas, prawda?
- Przez dłuższy czas... tak... sześć miesięcy... może osiem.
- Czy potrafi pani sobie przypomnieć, ile listów włożyła pani do tej książki?
- Ach, tego nie jestem pewna. Dziesięć, dwanaście, dwadzieścia, kto może pamiętać? Z początku był jeden na miesiąc, a tego ostatniego miesiąca dwa albo trzy tygodniowo.
- O której godzinie włożyła pani list do książki?
- Może za piętnaście, a może za dwadzieścia siódma. Wiem, że po pół do siódmej, ale przed siódmą.
- Czy zawsze robiła to pani o tej porze?
- Och nie, monsieur. Listy wkładałam zawsze wieczorem, kiedy gasiłam światła w domu. Pół do siódmej to była bardzo zła godzina, bo łatwo mógł ktoś zobaczyć.
- Więc dlaczego wybrała pani tę porę, panno Cordier?
- Nic nie wybierałam. Rozumie pan, to było tak: tego wieczora, kiedy MacDonald, szofer, trochę po szóstej przywiózł pocztę, miał list

i dla mnie, a na kopercie było napisane: „Pilne”. Na mniejszej kopercie w środku też zobaczyłam napisane: „Pilne - Bardzo pilne”, i te słowa były czarno podkreślone, więc wiedziałam, że muszę się bardzo pośpieszyć, żeby pan Patrick Ives dostał ten list jak najprędzej. Chciałam pójść do gabinetu, ale w hallu byli ci wszyscy goście, którzy przyjechali z klubu, a pani Ives posłała mnie, żebym zaraz przyniosła trochę kanapek. Pan Dallas poszedł za mną, żeby mi pokazać, co potrzebuje do cocktailu - cytryny, miód i różne takie rzeczy, wie pan. - Popatrzyła prosząco na prokuratora i na chwilę na jego pełnej napięcia twarzy pojawił się ponury uśmiech.

- Zaczęła nam pani wyjaśniać, dlaczego włożyła pani list do książki o tej porze.

- Tak. Właśnie o tym mówię. No, więc czekałam i czekałam, aż ci goście pojedą do domu, ale wciąż nie jechali, a ja nie miałam odwagi wejść do gabinetu, jak oni wszyscy byli w salonie po drugiej stronie hallu. Ale po chwili już nie mogłam dłużej czekać, bo się bałam, że przyjdzie pan Ives i nie znajdzie tego bardzo pilnego listu. No i bardzo spokojnie wśliznęłam się do gabinetu, kiedy mi się wydało, że nikt nie patrzy, i wsunęłam ten list szybko, bardzo szybko do książki, i już miałam wychodzić do hallu. Ale jak podeszłam do drzwi, widzę, że ktoś jest w hallu, więc się prędko cofnęłam, żeby zaczekać, aż oni sobie pójdą.

- Kogo pan zobaczyła w hallu, panno Cordier?

- Pana Elliota Farwella i panią Ives.

- A oni panią widzieli?

Panna Cordier wymownie wzruszyła ramionami.

- Skąd ja mogę wiedzieć, monsieur? Może widzieli, a może nie widzieli, nie potrafię powiedzieć. Cofnęłam się i zaczęłam słuchać, i po chwili usłyszałam, że ich głosy umilkły i że drzwi się zamykają; wyszłam prędko do hallu, a stamtąd do kuchni i nie widziałam po drodze nikogo.

- Czy słyszała pani, o czym rozmawiał pan Farwell z panią Ives?
 - Nie, nic nie dosłyszałam, nawet kiedy słuchałam, bo rozmawiali cicho; tak cicho, że prawie szeptem.
 - I nie słyszała pani nic innego, kiedy tam pani stała?
 - Tak, monsieur, kiedy stałam przy biurku, ale jeszcze zanim wzięłam tę książkę, słyszałam, jak przez hall idzie mademoiselle z dziećmi.
 - Mademoiselle? Co za mademoiselle?
- Ton prokuratora nie wyrażał niczego, ale w jego przymrużonych oczach pojawił się błysk zapowiadający rozdrażnienie.
- Mademoiselle Page.
 - Mówi pani, że ona po prostu przechodziła przez hall?
 - Tak, monsieur, szła w stronę schodów.
 - Nie ruszała pani jeszcze wtedy książki?
 - Nie, monsieur.
 - Czekala z tym pani, dopóki ona nie przejdzie, tak?
 - Tak.
 - Czy wtedy, kiedy wkładała pani list do książki, pani Ives była w hallu?
 - Ach, ja tego nie powiedziałam. Powiedziałam tylko, że była tam minutę, pół minuty po tym, jak włożyłam list do książki.
 - Czy z miejsca, w którym ją pani widziała, mogła zobaczyć, jak pani ten list tam wkłada?
 - To jest możliwe.
 - Czy była odwrócona twarzą w pani stronę?
 - Nie, monsieur, to pan Farwell był odwrócony do mnie twarzą. Pani Ives stała tyłem.
- Znowu błysk gwałtownego rozdrażnienia sprawił, że niebieskie oczy prokuratora stały się prawie czarne.

- W takim razie, dlaczego pani powiedziała, że ona mogła panią zobaczyć?

Ciemne oczy panny Cordier spotkały się z rozszerzonymi oczami prokuratora. Ale wzrok był zbyt spokojny, żeby mógł wyrażać zdziwienie - widać w nim było raczej łagodne, pozbawione jakichkolwiek emocji zastanawianie się nad tępotą rodzaju ludzkiego w ogólności, w szczególności mężczyzn, a zwłaszcza prokuratorów.

- Powiedziałaś tak dlatego, że w każdej chwili mogła się odwrócić, a jakby się nawet nie odwróciła, to mogłaby zobaczyć mnie w lustrze.

- Było tam lustro?

- Ależ tak! Po drugiej stronie hallu, naprzeciwko drzwi gabinetu stoi bardzo długie krzesło, coś takiego niby ławka, gdzie panowie zostawiają kapelusze. I nad tym wisi lustro. I właśnie przy tej ławce zobaczyłam pana Farwella i panią Ives.

- Czy biurko i półka na książki odbijały się w tym lustrze?

- Tak, monsieur.

- Rozumiem. A przy obiedzie nic pani nie zauważyła, panno Cordier?

- Nic. Wszystko było jak zwykle, w pełnym porządku.

- Obiad podano o normalnej godzinie?

- Piętnaście po szóstej. Tak.

- Kto usiadł do stołu?

- Pani Susan Ives, pani Margaret Ives i pan Ives, jak zwykle.

- Nie przypomina sobie pani, o czym rozmawiali?

- Nie, monsieur. Pamiętam tylko, że jak zawsze mówili o drobniactwach. Jestem doświadczoną, poważną i dyskretną pokojówką i zawsze się staram być mało w jadalni. Tylko wtedy, kiedy podaję.

Poważna i dyskretna pokojówka spojrzała na zadającego pytania prokuratora z odcieniem wyższości.

- A czy po obiedzie nie uderzyło pani nic niezwykłego?

- Nie, nic.

- Nie widziała pani nikogo, zanim zgasiła pani światła?

- O, tak. Widziałam w tym czasie panią Margaret Ives i ona zapytała mnie, czy pani Susan Ives już wróciła, a ja powiedziałam, że nie.

- Nikogo innego pani nie widziała?

- Tylko służbę, monsieur. Trochę po dziesiątej poszłam do siebie do pokoju.

- I zaraz położyła się pani spać?

- Tak, monsieur.

- Śniadanie było rano jak zwykle?

- Jak zwykle.

- O której godzinie?

- O dziewiątej, jak zwykle w niedzielę. Pani Susan Ives zjadła śniadanie o pół do dziesiątej, kiedy wróciła z kościoła.

- Czy nie było w tym riic niezwykłego?

- Och, nie, przeciwnie. Taki miała zwyczaj!

- A czy po śniadaniu nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego?

- Nie wiem, czy pan to nazwie czymś nadzwyczajnym, ale po śniadaniu coś się zdarzyło.

- Co mianowicie?

Panna Cordier przez nieskończenie długą chwilę krytycznie przyglądała się parze nieskalanych kremowych rękawiczek, zanim postanowiła zaspokoić ciekawość prokuratora.

- Było to wtedy, kiedy pan Ives i jego matka właśnie skończyli śniadanie, kilka minut przed wpół do dziesiątej. Pan Ives poszedł prosto do gabinetu, a ja poszłam za nim z niedzielnymi gazetami i zanim

stamtąd wyszłam, spytałam, bo byłam ciekawa, czy dostał w porządku ten list, co go włożyłam do książki. A on mówi...

- Wysoki sądzie! Wnoszę sprzeciw! Wnoszę sprzeciw! To, co powiedział pan Ives...

Tym razem nie było ani śladu wahania w gwałtownym wystąpieniu Lamberta, który już od jakiegoś czasu siedział jak na torturach; prokurator spojrział na niego zyczliwie i skinął ostrzegawczo w stronę świadka.

- Obojętne, co on powiedział, panno Cordier. Proszę nam powtórzyć, co pani powiedziała.

- Powiedziałam po tym, co on mówił: „Och, proszę pana, jeżeli pan nie dostał tego listu, to na pewno znalazła go pani. Musiała widzieć stojąc tam w hallu, że go wkładałam do książki”.

Prokurator odczekał dłuższą chwilę, aż ta dogodna dla oskarżenia wypowiedź utrwali się w pamięci obecnych.

- I właśnie po tej rozmowie z panem Ivesem zdecydowała pani, że nie chce dłużej pozostać u pani Ives?

- Nie, monsieur, postanowiłam tak później, przed południem.

- Czy stało się coś, co skłoniło panią do tej decyzji?

Czerwone, lśniące wargi panny Cordier rozchyliły się, zwarły i znowu rozchyliły.

- Tak.

- Co to było, panno Cordier?

- O wpół do dwunastej usłyszałam, że pani Bellamy została zamordowana. Kiedy to usłyszałam, nie byłam zadowolona i nie zostałam tam dłużej.

- Tak jest. - Prokurator wsunął rękę w kieszenie i znacząco, z nieukrywanym tryumfem mrugnął do podnieconego Lamberta. - Nie została pani dłużej. To będzie wszystko, panno Cordier. Nie mam więcej pytań.

- Panno Cordier, chyba musiała pani doskonale zdawać sobie sprawę, że gdyby pani Ives choć przez sekundę podejrzewała panią o pośredniczenie w korespondencji pomiędzy jej mężem a panią Bellamy, nie pozostałaby pani pod jej dachem ani przez pięć minut. Wiedziała pani o tym?

Panna Cordier pochyliła się trochę nad barierką otaczającą miejsce dla świadków; kremową maskę jej twarzy wykrzywił brzydki, bezczelny grymas.

- Ja wiem, że kiedy pani Ives się rozgniewa, jest prędką w mówieniu i prędką w działaniu. Tak, monsieur.

Fatalna szybkość tego ciosu sprawiła, że krwista twarz Lamberta zbladła i cała nagle jakby obwisła; mężnie się jednak opanował.

- I wobec tego postanowiła pani, że lepiej będzie opuścić ten dom, zanim pan Ives zapyta żonę o list, a pani zostanie sromotnie wyrzucona, tak?

- Już powiedziałam, monsieur; opuściłam ten dom, bo się dowiedziałam, że pani Bellamy została zamordowana, i nie byłam zadowolona.

Złowieszczo łagodny głos wymawiał każdą sylabę z przeciągłą, śmiertelną rozważą. Lambert spojrzał na nią ostro i ponuro pytał dalej;

- Powiada pani, że miała odciętą drogę ucieczki przez hall, gdzie znajdowali się pan Farwell i pani Ives?

- Tak było.

- Dlaczego nie wróciła pani przez jadalnię do kredensu?

- Bo z jadalni usłyszałam głosy panów Dallasa i Burgoyne'a. Próbowali jeszcze jeden cocktail.

- Dlaczego mieliby sobie pomyśleć coś niezwykłego na widok pani wychodzącej z gabinetu?

- Myślałam, że będzie ostrożniej, kiedy się nikt nie dowie, iż byłam w tym pokoju.

- Została pani w gabinecie po prostu dlatego, żeby szpiegować panią Ives?

- Nie mogłabym nie widzieć pani Ives, chyba że bym zamknęła oczy.

Lambert dwa razy przetykał ślinę, zanim się zdobył na postawienie następnego pytania:

- Czy powiedziała pani panu Ivesowi, że wtedy, kiedy widziała pani w hallu panią Ives, był z nią również pan Farwell?

- Nie pamiętam, czy mu to powiedziałam, czy nie.

- Pan Farwell stał odwrócony do pani twarzą, tak?

- Tak.

- Dlaczego była pani taka pewna, że to pani Ives, a nie pan Farwell zabrał ten list?

- Bo kiedy usłyszałam, że drzwi się zamykają, wiedziałam, że pan Farwell wyszedł.

- Skąd pani to wiedziała?

Panna Cordier raz jeszcze wymownie wzruszyła ramionami.

- Stał, monsieur, że nie jestem głupia. Wyrzałam i zobaczyłam, że stoi przy wieszaku na kapelusze: cofnęłam się, usłyszałam, jak drzwi się zamykają, znowu wyrzałam i już go tam nie było. To jasne jak słońce.

- Powinna pani być detektywem zamiast tracić czas na podawanie do stołu - zauważył uprzejmie Lambert. - Przecież to zupełnie jasne, że ktokolwiek mógł wyjść i zamknąć za sobą drzwi, a pan Farwell mógł wrócić z panią Ives do salonu, czy nie tak?

- Jeżeli pan tak twierdzi, monsieur - obojętnie odparła panna Cordier.

- I jest równie jasne, że pan Farwell był do szaleństwa zakochany w pani Bellamy i bezustannie ją szpiegował, tak czy nie?

- To możliwe.

- Możliwe! Pan Farwell z tego samego miejsca dla świadków powiedział to pół tuzina razy. To fakt oczywisty. A drugi fakt, również oczywisty, że ktokolwiek z tuzina osób mógł przechodzić przez hall i zobaczyć panią przy jej zajęciu. Tak?

- Nie wierzę w to, monsieur, nie.

- Czy pani w to wierzy, czy nie wierzy, niemniej to prawda. Sześćcioro czy ósmioro służby, ósmioro lub dziesięcioro gości. Nie wiem, jaki ma pani powód, by nie wierzyć, że panna Page mogła zauważyć coś dziwnego w pani zachowaniu, zawrócić i zobaczyć, jak pani wkłada ten list do książki, chociaż była pani przekonana, że ona już poszła do siebie.

- Żadnego powodu, monsieur, tylko świadectwo moich pięciu zmysłów.

- Pani jest wysoce utalentowaną młodą osobą, panno Cordier, ale chyba nie może pani widzieć czegoś za swoimi plecami, prawda?

- Monsieur jest łaskaw żartować - zauważyła panna Cordier tonem, w którym nie było śladu rozbawienia.

- Proszę nie charakteryzować moich pytań, tylko na nie odpowiadać.

- Z przyjemnością. Nie mogę widzieć czegoś za moimi plecami.

- A więc dochodzimy do stwierdzenia faktu, że dziesięć... dwanaście... czternaście osób mogło widzieć, jak wkłada pani do książki ten pilny i tajemniczy list, a pani z taką śmiałością obwinia panią Ives, że to ona go stamtąd zabrała.

- To jest pana zdanie, monsieur, nie moje.

Monsieur spojrział groźnie w ładną twarz świadka, na której w tej chwili malował się wyraz subtelnej kpiny.

- A dalej, panno Cordier, dochodzimy do stwierdzenia następnego faktu, że tylko na podstawie pani oświadczenia wiemy, iż pani w ogóle ten list tam włożyła, prawda?

- Czy monsieur uważa to za niewystarczające?

Monsieur zignorował pytanie, lecz wyraz jego twarzy świadczył, że było tak w istocie.

- Jak się to stało, że wybrała pani książkę w bibliotece pana Ivesa jako schowek na tę korespondencję?

- Ponieważ to było dobre i bezpieczne miejsce, gdzie mógł co wieczór zajrzeć nie widziany przez nikogo.

- A co upewniło panią, że nikt inny nie weźmie tej książki do czytania?

- Tej książki? *Wykład dokumentacji finansowej*, tom III? Monsieur jest łaskaw żartować!

Monsieur, wykrzywiwszy się szpetnie w stronę kilku ubawionych dziennikarzy, nagle i nieoczekiwanie zmienił linię ataku.

- Panno Cordier, czy zna pani człowieka o nazwisku Adolf Platz?

Rzęsy panny Cordier zatrzępotały raz, drugi.

- Oczywiście - odpowiedziała.

- Czy widziała go pani po południu dziewiętnastego czerwca?

- Tak.

- Gdzie i jak go pani poznała?

- Był jakiś czas szoferem pani Ives.

- On jest żonaty, tak?

- Tak. Żonaty.

- Pani Platz była pokojówką u pani Ives?

- Tak.

- Odeszli, ponieważ pani Platz pokłóciła się z panią?

- Jedną chwileczkę - zabrzmiał stanowczy głos prokuratora. - Czy mamy się przysłuchiwać opisowi wszystkich kuchennych kłótni, przeszłych i obecnych, w które wdawała się służba pani Ives? Według mego najgłębszego przekonania, mój uczony przeciwnik wkracza w dziedzinę, którą ja osobiście pozostawiłem całkowicie nietkniętą, jakkolwiek

mogła się ona okazać i pożyteczna, i zabawna. Czy wysoki sąd uważa ten sposób przesłuchiwania świadków za odpowiedni?

- Sąd tego nie uważa. Uchylam pytanie.

- Wnoszę sprzeciw, wysoki sędzie... Panno Cordier, czy kiedy gasiła pani światło tego wieczoru, wchodziła pani do wszystkich pokoi na parterze?

- Tak, do wszystkich.

- Czy nie widziała pani w żadnym z nich pana Patricka Ivesa?

- Nie, monsieur.

Susan Ives gwałtownym ruchem pochyliła się do przodu, przy czym rumieniec nagłą falą zalał jej twarz. Lambert skwapliwie spojrzął w inną stronę.

- Panno Cordier, z dużym naciskiem podkreśliła pani, iż jest pani wytrawną, doświadczoną i znakomicie wyszkoloną pokojówką. Czy obecnie pracuje pani w tym charakterze?

- Nie.

- A czym trudni się pani obecnie?

- W tej chwili nie mam żadnego zajęcia. Odpoczywam.

- Ale w pensjonacie w Atlantic City, gdzie pani zajęta jest wypożyczynkiem przez ostatnie trzy czy cztery miesiące, nie występuje pani pod nazwiskiem Melanie Cordier, prawda?

Spojrzenie czarnych oczu pomknęło ku prokuratorowi, który stał pochylony, czujny i beztronski nad oparciem krzesła.

- Czy jest szczególnie ważne dla tego badania, czy panna Cordier postanowiła wystąpić pod nazwiskiem Joanny d'Arc, jeśli jej na to przyszła ochota? - zapytał.

- Zamierzam postawić pod znakiem zapytania wiarygodność wypoowiedzi tego świadka - rzekł z namaszczeniem Lambert. - Zamierzam

udowodnić, że ta pani, która usiłuje przedstawić się tutaj jako osoba bez zarzutu, jako wzorowa służąca, w rzeczywistości prowadzi wysoce wątpliwy tryb życia jako rzekomo zamężna kobieta... Panno Cordier, pytam panią, czy przez ostatnie trzy miesiące występowała pani jako żona Adolfa Platza, namówiwszy go uprzednio do opuszczenia własnej żony?

W bladej twarzy czarne oczy zdawały się żarzyć i ciskać płomienie.

- A ja panu odpowiadam, monsieur, nie, nie i jeszcze raz nie!

- Nie występowała pani pod nazwiskiem pani Platz?

- Wcale go nie namawiałam, żeby zostawił tę głupią lalkę, swoją żonę. Na długo przed tym, zanim go poznałam, miał jej dosyć po dziurki w nosie.

- Nie występowała pani pod nazwiskiem Platz?

- To bardzo prosta historia. Pan Platz był moim serdecznym przyjacielem i we wszystkim mi radził. Kiedy mu wytłumaczyłam, że koniecznie muszę wypocząć, podsunął mi myśl, że kobieta młoda, samotna i nie całkiem pozbawiona wdzięku łatwiej znajdzie spokój, kiedy świat będzie ją uważał za mężatkę. I był na tyle uprzejmy, że zaproponował mi, bym na czas tych krótkich wakacji używała jego nazwiska. To jedyna rzecz, jaką od niego przyjął, monsieur może być spokojny.

- Zdejmuje mi pani wielki ciężar z serca - zapewnił Lambert w sposób upiornie żartobliwy. - I jestem pewny, że tym dwunastu dżentelmenom również. - Dwunastu dżentelmenów, którzy przysłuchiwali się z pełną zdziwienia uwagą, jak ta dama prosto i niewinnie tłumaczy swoje niecodzienne zachowanie, uśmiechnęło się po raz pierwszy od czterech dni. Sędziowie przysięgli sztywno poruszyli się w swoich krzesłach i wymienili kosę, sceptycznie żartobliwe spojrzenia. - Bardzo jest nam wszystkim miło dowiedzieć się, że taka rycerskość, jaką wykazał pan Platz, jeszcze nie wygasła na tym naszym złym świecie. Nie wydaje mi

się, panno Cordier, żebyśmy mogli coś dodać do pani wyjaśnienia, dlaczego w Atlantic City jest pani znana jako pani Platz. To by było wszystko.

Prokurator, który zdawał się bynajmniej nie przejmować wybuchami morderczego sarkazmu obrońcy, dalej opierał się o swoje krzesło i raz jeszcze zabrał głos:

- W ciągu ostatnich kilku lat, panno Cordier, oszczędziła pani poważną sumę pieniędzy, nieprawdaż?

- Tak, monsieur.

- Okazała się wystarczająca na pani skromne potrzeby podczas tych od dawna planowanych i tak niezbędnie pani potrzebnych wakacji?

- Więcej niż wystarczająca.

- Pan Platz odszedł od żony jakiś czas przed tym, zanim te nieszczęsne wypadki doprowadziły do tego, że opuściła pani dom pani Ives?

- Tak, monsieur, na pewno.

- To wszystko. Dziękuję, panno Cordier.

Panna Cordier zesłała z miejsca dla świadków, szykowna i zrównoważona jak zawsze, rzucając pełne pogardy spojrzenie ogromnie zadowolonemu Lambertowi; prokuratora obdarzyła przelotnym uśmiechem, a ten odpowiedział jej jeszcze krótszym.

- Wezwać pannę Roberts.

- Panna Laura Roberts!

Panna Laura Roberts była również ubrana na czarno, ale nosiła swoją czerń inaczej. Była to przyzwoita, spokojna, wzbudzająca szacunek odzież przyzwoitej, spokojnej i wzbudzającej szacunek kobiety. Panna Roberts była osobą przystojną, o różowej cerze, szarych oczach, brunatnych włosach i miękko brzmiącym głose - miała wszystkie zewnętrzne cechy idealnej panny służącej i najwidoczniej uważała, że nie można ich

pogodzić ani ze szkarłatnymi ustami, ani ze strojeniem się w szkarłatne kwiaty. Spod zgrabnego czarnego kapelusika skromnie, ale odważnie spojrziała w oczy prokuratora.

- Panno Roberts, gdzie pani pracowała w dniu dziewiętnastego czerwca 1926 roku?

- Byłam pokojówką i szwaczką u pani Susan Ives.

Miły angielski głos z czystym akcentem wpadał przyjemnie i uspokajająco w uszy zebranych na sali, którzy odetchnęli z ulgą po pełnej napięcia atmosferze, jaką francuska koleżanka panny Roberts zdołała im narzucić w czasie swego pobytu na miejscu dla świadków.

- Czy widziała pani panią Ives po południu dziewiętnastego czerwca?

- Po obiedzie nie, sir. Przed obiadem spytałam ją, czy pozwoli, żebym razem z kucharką poszła wieczorem do miejscowego kościoła; powiedziała, że się zgadza i że nie musimy się śpieszyć z powrotem, bo nie będzie mnie już potrzebowała. No, więc po kościele, kiedyśmy spotkały dwóch znajomych dżentelmenów, poszłyśmy na lody do drugostoru i posiedziałyśmy tam trochę i porozmawiały, zanim wróciłyśmy do domu. Kiedyśmy przyszły, dochodziła jedenasta; światła w całym domu były pogaszone; świeciło się tylko w kuchni, więc wiedziałam, że pani Ives już się położyła.

- O której wyszła pani do kościoła, panno Roberts?

- Nie mogłabym na to przysiąc, sir, ale musiało być gdzieś około pół do dziewiątej. Nabożeństwo zaczynało się o dziewiątej, a to jest kawałek drogi, i przypominam sobie, że spieszyłam się z obiadem, żeby jeszcze pościelić łóżka przed wyjściem.

- Czy oprócz tego, że była pani szwaczką, spełniała pani także obowiązki pokojówki?

- Och, nie, sir. Tylko że tego wieczoru pokojówka miała wolne, rozumie pan, i musiałam ją zastąpić.

- Więc tego wieczoru pościeliła pani wszystkie łóżka przed pół do dziewiątej?

- Tak, sir. Wszystkie, z wyjątkiem łóżka panny Page.

- Czy to nie należało do pani obowiązków?

- Tak sir, należało. Ale tego wieczoru drzwi dzieciennego pokoju były zamknięte, a gdy zapukałam, z początku nikt mi nie odpowiedział, a potem panna Page zawołała, że boli ją głowa i że się już położyła.

Panna Roberts zawahała się i spojrzała na prokuratora uczciwymi, zakłopotanymi oczyma.

- Nic w tym nie było nadzwyczajnego?

- Owszem, sir. Właśnie, że było. Bo wie pan, kiedy przechodziłam przez hall, usłyszałam, jak mi się wydawało, głosy dochodzące z tych pokoi i płacz i złękłam się, że małą dziewczynkę może znowu bardziej boli ucho. Dlatego właśnie spróbowałam wejść bez pukania, ale kiedyostałam dłuższą chwilę pod drzwiami, usłyszałam, że to płacze sama panna Page, i to płacze tak, jakby jej serce miało pęknąć. Jak długo żyję, nie słyszałam, żeby ktoś tak okropnie płakał. Strasznie się przeraziłam, ale w momencie, kiedy zapukałam, wszystko ucichło, a potem, po jakiejś minucie, panna Page zawołała, że nie będzie mnie potrzebować, tak jak to już panu powiedziałam, sir. Poszłam więc naturalnie dalej, chociaż trochę mnie to zmartwiło. Ona płakała tak okropnie, biedactwo, że bałam się, żeby się jeszcze nie rozchorowała.

- Tak, rozumiem. Była bardzo rozstrojona, jakby miała jakieś de nerwujące przeżycie?

- Tak, rzeczywiście, sir.

- A czy nie przesłyszała się pani z tymi głosami? Czy może to tylko sama panna Page płakała?

- Nie, sir. Wydaje mi się, że słyszałam także inne głosy.

Panna Roberts mówiła tak cicho, że ledwo ją było słyszeć.

- Głos małej dziewczynki?

- Nie, sir. To brzmiało... to brzmiało jak głos pana Ivesa.

Prokurator spoglądał na nią nieruchomym wzrokiem.

- Pana Patricka Ivesa?

- Tak, sir.

- Czy słyszała pani, co mówił?

- Nie, sir. Nie słyszałam. Głos umilkł natychmiast, kiedy spróbowałam otworzyć drzwi. Myślałam, że mówił coś do małej dziewczynki.

Prokurator w dalszym ciągu wpatrywał się w nią bezmyślnie, a potem z wymownym wzruszeniem ramion przeszedł do porządku dziennego nad panem Ivesem, panną Page i zamkniętymi drzwiami, by powrócić do bardziej obiecujących spraw.

- Panno Roberts, do pani obowiązków należało opiekowanie się garderobą pani Ives, prawda?

- Tak, sir.

- Zna pani dobrze całą jej odzież?

- Bardzo dobrze.

- Może zechce nam pani powiedzieć, czy w chwili obecnej nie brak niczego z rzeczy, które miała dziewiętnastego czerwca 1926 roku.

- Owszem, sir, brak. Pani Ives pod koniec każdego sezonu rozdaje bardzo wiele swoich rzeczy. Wysłałiśmy wielkie pudło z odzieżą do jej chorej kuzynki w Arizonie, drugie do jakichś młodych pań w Deleware i trzecie do...

- Proszę pominąć rzeczy, któreście wysłały pod koniec sezonu. Czy wysyłała pani coś w okresie tego morderstwa, powiedzmy kilka tygodni po tym?

Rumieńce na policzkach panny Roberts nagle zniknęły, a spojrzenie jej szczerych, uczciwych oczu szybko pobiegło w stronę krzesła, gdzie

bawiąc się machinalnie kryształowym zamkiem zamszowej torebki, siedziała Susan Ives. Widząc na jej twarzy ciepły, przyjemny i uspokajający uśmiezek, panna Roberts odzyskała odwagę.

- Tak, sir. Wystaliśmy - odpowiedziała pewnie.

- Którego dnia?

- Dwudziestego czerwca.

- Do kogo została wysłana ta paczka?

- Do Armii Zbawienia.

- Co zawierała?

- Były tam dwa stare swetry, sukienka jerseyowa, która zupełnie się zbiegła, szlafrok, kilka bluzek i płaszcz.

- Jaki płaszcz, panno Roberts?

- Lekki flanelowy płaszcz, rodzaj płaszcza sportowego, można by powiedzieć - oświadczyła wyraźnie panna Roberts, ale ci wszyscy, którzy wychylili się bardziej do przodu, mogli zobaczyć, jak zbiegły na jej małych, uczciwych, zręcznych rękach.

- Z kremowej flaneli?

- Powiedziałabym, że raczej jasnobrązowy - odpowiedziała poważnie pokojówka pani Ives.

- To był płaszcz, który pani Ives miała na sobie poprzedniego wieczoru, nieprawdaż?

- Chyba tak, sir.

- Czy widziała pani, w jakim ten płaszcz znajduje się stanie, zanim go pani zapakowała?

- Nie, sir. Nie widziałam. To nie ja go pakowałam.

- Nie pani? A kto?

- Pani Ives sama go pakowała.

- Ach tak, rozumiem.

Wyraz tryumfu, który nagle rozjaśnił twarz prokuratora, uczynił ją

niemal piękną; piękną okrutną i złowrogą - taką, jaka mogłaby rozjaśnić twarz najmłodszego hiszpańskiego inkwizytora w momencie, gdy przypadkowo rzucone pytanie dosięgłoby samego serca wroga.

- A więc to pani Ives zapakowała płaszcz. A jak się ona dostała w pani ręce?

- Co, paczka, sir?

- Oczywiście, że paczka.

- To było tak, sir. Trochę przed ósmą rano w niedzielę pani Ives zadzwoniła i zeszłam do jej pokoju. Była już zupełnie ubrana do kościoła, a na jej łóżku leżało wielkie pudło. Powiedziała do mnie: „Dzwoniłam już po was, Roberts, ale byliście pewnie na śniadaniu. Proszę to zanieść do MacDonalda i powiedzieć mu, żeby to nadał, kiedy pojedzie po gazety. Poczta zamykają o pół do dziesiątej”.

- Czy pani Ives powiedziała tylko tyle?

- Och nie, sir. Poprosiła mnie o świeże rękawiczki, a potem, już wychodząc, dodała przez ramię: „To są rzeczy dla Armii Zbawienia. Włożyłam tam także płaszcz, który miałam wczoraj wieczór. Zniszczyłam go zupełnie smarem w samochodzie pana Bellamyego”.

- Nic więcej?

- Wtedy ja powiedziałam: „Och, madame, czy tego się nie da jakoś wyczyścić?”, a pani Ives odpowiedziała: „Nie warto czyścić. Mam go już trzy lata”. Zaraz potem wyszła, a ja zaniosiłam pudło na dół i dałam MacDonaldowi.

- Czy paczka była zaadresowana?

- Tak, sir.

- Jak?

- Po prostu: „Sztab Armii Zbawienia, Nowy Jork, stan Nowy Jork”.

- W rogu nie było adresu nadawcy?

- Nie, sir. Pani Ives nigdy...

- Może będzie pani uprzejma ograniczyć się do odpowiedzi na pytania. Nie miała pani okazji osobiście przekonać się, jakiego rodzaju były te plamy, panno Roberts?

- Owszem, sir, miałam - spokojnie odpowiedziała zarumieniona panna Roberts. - To były plamy ze smaru.

- Co? - Zdumiony głos prokuratora podniósł się o pół oktawy. - Przecież wyraźnie pani powiedziała, że nie widziała pani tego płaszcza.

- Bo rzeczywiście go nie widziałam, sir. Ale pani Ives mi powiedziała, że to były plamy ze smaru.

Prokurator pozwolił sobie na krótkie, wesołe warknięcie, które wyrażało raczej ulgę niż rozbawienie.

- W takim razie zgadza się to, co mówię, że nie może pani powiedzieć na ten temat nic na podstawie własnego przeświadczenia?

- Nie, sir - odparła panna Roberts trochę bardziej zaróżowiona i trochę pewniejsza siebie. - Pani Ives powiedziała mi, że to są plamy ze smaru, więc mogę z całą pewnością powiedzieć na podstawie własnego przeświadczenia, że jeżeli ona tak powiedziała, to jest to absolutna prawda.

W jej łagodnym, odważnym głosie było coś takiego, co nadało ponurej sali sądowej jakiś przyjemniejszy charakter. Uparta, drobniutka panna Roberts o miękkim głosie i spokojnych oczach stała się niewątpliwie bohaterką chwili.

Natomiast na prokuratorze ten dowód poświęcenia i lojalności najwidoczniej nie wywarł żadnego wrażenia. W jego czystym, metalicznym głosie zabrzmiało coś więcej niż niezadowolenie.

- To wszystko, oczywiście, jest bardzo ładne i wzruszające, panno Roberts, ale z punktu widzenia surowego prawa jesteśmy zmuszeni stwierdzić, że pani oświadczenie odnośnie natury tych plam nie posiada najmniejszej wagi. Czy jest, czy nie jest faktem, że nie widziała pani na

własne oczy tego splamionego płaszcza, który pani Ives wysłała z domu w kilka godzin po tym, jak zostało popełnione morderstwo?

- Tak, sir. To fakt.

- Nie mam dalszych pytań, panno Roberts.

- Ale jest również faktem, że pani Ives bardzo często wysyłała paczki właśnie w taki sposób, prawda, panno Roberts? - zapytał słodkim jak miód głosem Lambert.

- Tak. Rzeczywiście. Bardzo często je wysyłała.

- Czy miała zwyczaj umieszczania swego adresu na paczkach wysyłanych do instytucji dobroczynnych?

- Nie, sir. Nie chciała, żeby jej dziękowano. Nie robiła tego nigdy.

- Otóż to. Dziękuję, panno Roberts. To wszystko.

- Wezwać Orsiniego.

- Lu-wi-dzi Oł-si-nii!

Luigi Orsini wstępując na miejsce dla świadków groźnie spojrzął na Bena Potts'a, a Ben odwzajemnił mu to spojrzenie z prawdziwie nordycką surowością.

- Gdzie pan był zatrudniony, Orsini, w dniu dziewiętnastego czerwca 1926 roku?

- U pana Bellamy'ego.

- W jakim charakterze?

- Co pan mówi?

- Na czym polega pańska praca?

- Jestem, jak to mówią, podręcznym. Robię wszystko, co jest do zrobienia.

Szeroki gest określał pracę na miarę Gargantui i ponad ludzkie możliwości. Niski, gruby, przysadkowaty człowiek, śniady, z włosami zaczesanymi do góry, z błyszczącymi oczami, pogodnym uśmiechem i wspaiałym barytonem. Groźny Farr spoglądał na niego z lekką, w pełni usprawiedliwioną obawą.

- No cóż, może nam pan powie, co pan robił w dniu dziewiętnastego czerwca?

- O, tego dnia jak zawsze miałem bardzo dużo roboty. O szóstej rano wstałem, zjadłem małe śniadanie, potem wziąłem ekstramocny drut i trochę bardzo długich kołków...

- Nie, nie, to wszystko może pan pominąć. Słyszał pan zeznania pana Farwella?

- A jakże, pewnie, że słyszałem.

- Czy to prawda, że koło południa zatrzymał się przed domem i pytał o panią Bellamy?

- Wszystko się zgadza. Okay.

- Czy powiedział panu, dokąd idzie?

- Tak, sir. Powiedział, że znajdzie ją w tym domku.

- Nic więcej?

- Zupełnie nic więcej.

- Czy widział go pan jeszcze raz?

- Nie, nie. Nie widziałem go potem w ogólności.

- Kiedy widział pan panią Bellamy po raz ostatni?

- Koło ósmej wieczorem, może pięć minut przed ósmą, może pięć po ósmej.

- Na jakiej podstawie ustala pan ten czas?

- Popatrzyłem na zegarek, ten zegarek, który tu pan widzi; to bardzo dobry instrument, cały z czystego srebra, ale nie zawsze dobrze idzie.

Prokurator prawie że z furią odsunął kusząco dyndający mu przed oczyma cebulasty, połyskliwy przedmiot.

- Niech pan to schowa. Dlaczego pan spojrzął na zegarek?

Właściciel wspaniałego, lecz nie zawsze dobrze chodzącego instrumentu nadął się gniewnie, ale w dalszym ciągu wymachiwał swoim skarbem.

- Jeszcze pan to usłyszy, cierpliwości. Pokazuję ten instrument w tej chwili, aby pan zobaczył, że kiedy zegar nad drzwiami wskazuje dwadzieścia minut przed godziną, ten zegarek mówi, że jest tylko dziesięć lub osiem minut. Niech pan sam osądzi. On jest z całą pewnością dziwny. Ale tego wieczoru musiałem na niego popatrzeć, żeby zobaczyć, czy pojedę do Nowego Jorku o ósmej dwadzieścia. Namyślałem się właśnie, kiedy zobaczyłem, jak pani Bellamy zbiega ze schodów i podchodzi do furtki, koło której stałem. - Rozmawiała z panem?

- Tak. Zapytała: „No co, Luigi, nie jedzie pan do Nowego Jorku?”

- Skąd ona wiedziała, że pan się wybiera do Nowego Jorku?

- Bo już przed obiadem ją prosiłem, żeby mi pozwoliła pojechać wieczorem do Nowego Jorku, gdzie miałem się spotkać z jedną młodą damą z Mediolanu, z którą myślę się może ożenić. Pani Bellamy była obok w pokoju, zaśmiała się i woła: „Niech pan powie Marietcie, że jeżeli dostanie pana, to pewnego dnia przekona się, iż wyszła za męża za prezydenta Stanów Zjednoczonych”. Bardzo przepraszam, bo to może wyglądać na przechwałki, ale ona właśnie tak powiedziała.

- Co pan odpowiedział pani Bellamy?

- Powiedziałem, że tak sobie myślę, że może będzie lepiej, jak nie pojedę, bo tego popołudnia zainwestowałem pieniądze w taki mały hazardzik z ogrodnikiem z sąsiedztwa i ta inwestycja okazała się dość niekorzystna. Mówię dalej, że jeżeli pojedę do Nowego Jorku zobaczyć się z tą młodą damą, to chyba będę musiał prosić ją o pieniądze na powrót do Rosemont, a ja jestem bardzo honorowy i to by mi się wydało niedelikatne. Na to pani Bellamy roześmiała się i szybko zajrzała do małej torebki, którą miała ze sobą, i dała mi trzy dolary, żeby, jak powiedziała, droga prawdziwej miłości była gładsza, a potem zawołała przez ramię: „Lepiej niech się pan pośpieszy, Luigi, bo inaczej się pan spóźni”. Więc się pośpieszyłem, ale i tak się spóźniłem o głupie dwie minuty, a

wszystko przez ten zegarek. Jest zanadto dziwaczny.

- Czy nie zauważył pan czegoś w torebce pani Bellamy, kiedy ją otwierała?

- Och, tak. Oczy Luigiego nie opuszczą niczego, co tylko jest do zobaczenia. Wszystko widzą. W torebce pani Bellamy były papiery i dwa, trzy listy, nie wiem na pewno, może cztery. Ale rozpychały tę małą torebkę, o tak, bardzo była gruba, o tak - wymowne ręce Orsiniego zatoczyły zamknięty krąg.

- Nie widział pan pani Bellamy nigdy więcej?

- Nigdy - nigdy więcej - nigdy.

- Powiada pan, że się pan spóźnił na pociąg do Nowego Jorku. Co pan robił potem?

- Potem skląłem się z góry na dół za głupca, który jest głupcem na sto dwa, i wróciłem do mojego pokoju w garażu, i położyłem się do łóżka, i zacząłem czytać taką historię w magazynie, co się nazywa *Uczciwe wyznanie*, o takiej młodej mężatce, która...

- Obojętne, co pan czytał. Czy jak pan wracał do domu, nie zauważył pan nic niezwykłego?

- Hm, może dla pana to nie będzie niezwykłe, ale zauważyłem, że w garażu nie ma samochodu pana Bellamy'ego. Zdziwiło mnie to na chwilę, bo słyszałem, jak pan Bellamy mówił do Nellie, służącej, że może spokojnie pójść do matki, bo Nellie tam spała, bo on będzie na miejscu i załatwi telefony, jakby ktoś dzwonił. Ale wszystko jedno, ja tak i tak położyłem się do łóżka. Myślałem, że może zmienił zamiary.

- O której godzinie wrócił pan do garażu?

- Byłem w swoim pokoju za dwadzieścia dwie minuty dziewiąta. Sprawdziłem na budziku, który stoi na moim biurku i jest całkiem pewny. Zauważyłem to dokładnie, bo byłem strasznie zły, że się tak niedużo spóźniłem na pociąg.

- Orsini, czy pan wie, jakie opony miał samochód pana Bellamy'ego?

- Tak, sir, to także wiem. Ma trzy stare opony firmy „Royal Cord”, dwie z tyłu i jedną z przodu. Lewa na przodzie to dobra, nowiutka „Silvertown Cord”, którą sam pomagałem założyć jakiś miesiąc przed tym, zanim się to wszystko porobiło. Na rezerwę wozi nowiutkiego „Ajaxa”. I to by były wszystkie.

- Jest pan całkiem pewny, że ta opona „Ajax” nie była założona?

- Najpewniejszy.

- Kiedy pan po raz ostatni widział samochód?

- Jak szedłem do furtki. Około pół do ósmej.

- I ta opona była jeszcze z tyłu jako rezerwa?

- Tak jest.

- Czy tego wieczora, to jest dziewiętnastego czerwca, widział pan jeszcze pana Bellamy'ego?

- Tak. Tego wieczora widziałem go jeszcze raz.

- O której godzinie?

- Za pięć dziesiąta.

- Czy był sam?

- Nie. Była z nim razem jedna pani.

- Poznał ją pan?

- Tak, sir. Poznałem.

- Kto to była ta pani?

- Pani Susan Ives, sir.

- Czy jest pan tego całkowicie pewny?

- Nie mam żadnej wątpliwości.

- W jaki sposób rozpoznał ją pan tak dokładnie?

- Bo słyszałem jej głos tak wyraźnie, jak pana teraz słyszę, i widziałem ją tak dokładnie, jak pana widzę.

- Jak to możliwe?
- W świetle reflektorów samochodu pana Bellamy'ego; ona wysiadła i popatrzyła w górę na moje okno, przez które wyglądałem.
- Proszę nam powiedzieć, dlaczego pan stał w oknie i wyglądał?
- No cóż, chwilę czytałem, a potem zachciało mi się spać, popatrzyłem na zegarek i zobaczyłem, że jest za dziesięć dziesiąta, i pomyślałem sobie: „Luigi, stary chłopie, jutro musisz wstać o szóstej i złapać się za robotę, co na ciebie czeka, a teraz dobrze by było, żebyś już spał”. No więc wstałem zgasić światło, a kontakt jest przy oknie, i właśnie kiedy tam poszedłem, żeby przekręcić kontakt, usłyszałem, że auto wjeżdża w bramę: „Aha! Przyjechał pan Bellamy”. I wyjrzałem przez okno, bo byłem zdziwiony. Pan Bellamy zawsze jak tylko przyjedzie, od razu odstawia samochód do garażu, ale tym razem nie odstawił. Zatrzymał się przed domem i pomógł wysiąść jakiejś pani. Stała koło samochodu i popatrzyła w moje okno, i widziałem ją tak wyraźnie jak w dzień, ale w domu było całkiem ciemno i ona nic nie mogła zobaczyć. Potem ona powiedziała: „Mogłabym przysiąc, że widziałam światło”, a pan Bellamy powiedział: „Sue, naprawdę nie przejmuj się tym. Mówię ci, nikogo tam nie ma - widziałem, jak on szedł do pociągu. To, co widziałas, to pewnie odbłask naszych reflektorów. Chodź”. A ona powiedziała: „Możliwe, ale mogłabym przysiąc...” Potem to już nic nie słyszałem, bo oni weszli do domu, a ja dalej stałem, jakby mnie poraziło, bo zawsze myślałem, że pan Bellamy jest człowiekiem honorowym, który kocha...
- Tak, tak, ale nam nie o to chodzi. Czy widział pan, jak wychodzili?
- Tak. To też widziałem. Pięć albo dziesięć minut później wyszli i szybko poszli do samochodu, i odjechali, i nic nie słyszałem, żeby powiedzieli choć jedno słowo. Ruszyli bardzo szybko, aż cały samochód podskoczył.

- Czy pan wie, kiedy tej nocy pan Bellamy wrócił do domu?
- Nie, bo jak słyszałem, że wprowadza samochód do garażu, byłem na pół przytomny od snu i nie odwróciłem się popatrzeć na zegarek.
- Ale to było jakiś czas później?
- Jakiś czas. Ale czy jedna godzina, czy trzy, czy pięć, tego nie mogę powiedzieć. Czego nie jestem pewny jak tego, że żyję - tego nie mówię.

- Doskonale, bardzo się to panu chwali. To już będzie wszystko. Nie mam więcej pytań.

Orsini potoczył błyszczącymi oczyma w stronę Lamberta, którego czerwone oblicze przybrało zaciekły, odpychający wyraz, mimo że udało mu się nadać głosowi ton złowroziej grzeczności.

- Czy tymi czujnymi i wszystkowidzącymi oczami, panie... hm... panie Orsini, zobaczył pan, co pani Bellamy miała na sobie, kiedy przechodziła obok pana?

- Naturalnie. Miała białą suknię, taką puszystą, i czarny płaszcz bez rękawów, bardzo cienki, tak że prawie wszystko było przez niego widać ale nie wszystko, tylko prawie.

- Czy była w kapeluszu?

- Na głowie miała czarny szal, którym owinęła szyję dwa albo trzy razy. Oczy Luigiego...

- Doskonale. Zauważył pan, czy miała na sobie biżuterię?

- Naturalnie. Jak zawsze wieczorem, wtedy też miała biżuterię.

- Zauważył pan, co to było?

- To samo co zawsze. Ten sam naszyjnik z pereł, te same pierścionki, brylanty i szafir, dwa na jednej ręce, jeden na drugiej. Widziałem je, kiedy otwierała torebkę.

- Czy pana zdaniem pani Bellamy była osobą niezbyt zamożną?
- No, myślę, że wszyscy w okolicy wiedzieli, że nie jest Rockefellerem.

- A sądzi pan, że te kamienie były prawdziwe?

Orsini, do którego zwrócono się z tym pytaniem jak do eksperta, stał się jeszcze bardziej wymowny i wylewny.

- No, naturalnie. Wiem to z całą pewnością.

- A mógłbym się dowiedzieć skąd?

- No, więc ta służąca, Nellie, powiedziała mi któregoś wieczora, że pani Bellamy zostawiła jeden ze swoich pierścionków w klubie, kiedy myła ręce, ale że pani Bellamy tylko się śmiała i mówiła, że nic się nie martwi, bo jej wszystkie pierścionki i perły są wysoko ubezpieczone, i że gdyby je straciła, toby poszła i kupiła sobie nowy dom i samochód, i może nawet psa policyjnego.

- Rozumiem. Czy przychodziło panu czasem do głowy, panie Orsini, że pani Bellamy używała tego małego domku w Sadach do celów innych niż ćwiczenia na fortepianie?

Orsini roześmiał się tak szeroko, że odsłonił przy tym trzy naprawdę ekstrawaganckie koronki.

- No cóż, niewiele się przede mną ukryje, może to pan zauważył. Po tym, jak ona wzięła ode mnie ten klucz trzy czy cztery razy, pomyślałem sobie: „Luigi, to dziwna rzecz, że ona zawsze oddaje ci ten klucz na drugi dzień i zawsze sama wychodzi z domu w te wieczory, kiedy pan Bellamy zostaje długo w pracy”.

No więc jednego wieczoru, kiedy poprosiła mnie o klucz, pozwoliłem sobie na mały spacerek drogą do Sadów i oczywiście w domku ogrodnika było światło, a pod drzwiami stał samochód. Wystarczy! Nie musiałem dalej patrzeć. Bo, rozumie pan, ja jestem obyty w świecie.

- Och, oczywiście!
- Jedną chwileczkę, panie Lambert - przerwał sędzia Carver. - Czy pańskie przesłuchanie świadka zajmie trochę czasu?
 - Myślę, że dość sporo, wysoki sędzie.
 - W takim razie najlepiej będzie przerwać rozprawę, bo jest już po dwunastej. Sąd zarządza przerwę południową do pierwszej dziesiątej.
 - No, teraz będziemy mieli niezłe przedstawienie - powiedział z zadowoleniem reporter. - Albo grubo się mylę, albo ten syn słonecznej Italii da nam godną pozazdroszczenia imitację cyrku, zanim on i Lambert dojdą ze sobą do ładu. Ma coś takiego w oczach, że choćby już za to samo warto zapłacić za bilet. A co pani o nim sądzi po dojrzałym namyśle?
 - Myślę, że jest zabawny - stwierdziła dosyć obojętnie rudowłosa dziewczyna. Pod jej oczami usadowiły się ciemne kręgi, a ręce leżały bezsilnie złożone na porzuconym notesie.
 - Znudzona? - zapytał reporter z wyrazem życzliwego zdumienia.
 - Znudzona? - krzyknęła z nagłą pogardą i pasją. - Znudzona? Jestem pół żywa z podniecenia. Już w ogóle nie mogę spać. Wracam co wieczór do pensjonatu, Sadowię się przed piecykiem gazowym, owijam kołdrą, która by powinna rozgrzać nieboszczyka, i godzinami piszę, potem kładę kołdrę na kolana, a szalik na nos, biorę jabłko i siedzę gryząc na przemian to jabłko, to palce, i rozmyślam, kto to zrobił, aż do czasu, kiedy koty przestają się wydzierać pod moim oknem, a niebo zaczyna przybierać ten miły, przemawiający do wyobraźni szary kolor, co się tak ładnie określa jako świt. Ale nawet i wtedy nie wiem, kto to zrobił.

- Rzeczywiście pani nie wie? - surowo zapytał reporter z zaniepokojoną i zirytowaną miną. - Czy pani nie ma ani odrobiny rozsądku, mały osiołku? Niechże pani posłucha, znam tylko jedno takie miejsce o dwie przecznice stąd, gdzie może pani dostać całkiem niezłą gorącą zupę. Niech pani tam pójdzie, wypije litr tej zupy, a potem proszę podreptać do domu i położyć się, a ja dzisiaj wieczorem zrobię za panią takie sprawozdanie, że jutro rano szef podwoi pani wynagrodzenie.

A jeżeli będzie pani bardzo grzeczna i pośpi osiemnaście godzin, to może nawet pani powiem, kto popełnił morderstwo.

Ruda dziewczyna, otrząsając się ze wstrętem na propozycję dobrej, przyzwoitej zupy, spojrzała niechętnie na reportera, wydobywając jednocześnie paczkę solonych fistaszków z otchłani torebki, która służyła jej jako torebka, spiżarnia i toaletka.

- Uprzejmie panu dziękuję - powiedziała. - Mój szef przysłał mi wczoraj dwa ekspresy, że moje sprawozdania są o wiele lepsze od innych nadsyłanych z Redfield, tak, o wiele lepsze. Napisał, że te trzy wycinki, które mu posłałam z pańskiego sprawozdania, wyglądają całkiem obiecująco - naprawdę tak napisał. Ta zupa musi być okropna, a poza tym pierwszy raz zdarza mi się w życiu, że mogę iść spać, o której mam ochotę, bez tego, żeby ktoś sto razy nie wysyłał mnie do łóżka. To mnie doprowadza do szału... chce pan trochę fistaszków?

- Nie, dziękuję - powiedział reporter podnosząc się nagle z krzesła. - Czy mogę coś dla pani załatwić?

- Pan się gniewa! - jęknęła rudowłosa dziewczyna z oczami okrągłymi z przerażenia i skruchy. - Pan jest... pan jest zupełnie wściekły. Proszę zaczekać... proszę albo uwieszę się u pańskiej marynarki i zrobię scenę. Tak naprawdę to nie chcę stąd wyjść i zjeść tej zupy dlatego, że się boję. Jeżeli wyjdę choćby na minutkę, może się coś stać, a wtedy

to już nigdy bym nie zasnęła. Ktoś mógłby zająć moje krzesło... nie zwrócił pan uwagi na tę starą babę, która wczoraj zajęła miejsce dziewczyny z „Gazette”? Nie ruszyła się z tego krzesła, nawet kiedy trzech policjantów i szeryf powiedzieli jej, że ma się stamtąd wynieść, a dziewczyna z „Gazette” musiała siedzieć na małym stołeczku na galerii i potem mówiła, że miała ze złości taki szum w uszach, że przez całe popołudnie nie słyszała ani słowa z tego, co mówiono. No, więc widzi pan... a ja nawet bym zjadła kanapkę z szynką i myślę, że pan pisze lepiej niż Conrad, i bardzo pana przepraszam, i jeżeli mi pan powie, kto zamordował, to ja panu też powiem. I bardzo proszę, niech się pan pośpieszy, bo mam nadzieję, że nie będzie pan bardzo długo.

- A z pani jest miły, mały głuptasek - powiedział reporter z przebaczącym uśmiechem. - I ja bardzo panią lubię. Lubię sposób, w jaki pani podnosi nosek i opuszcza wargi, i lubię ten pani zabawny kapelusik... No, skoczę na jednej nodze. Proszę na mnie czekać.

Rudowłosa dziewczyna czekała posłusznie, z zaróżowioną twarzą i błyszczącymi oczyma. Kiedy otworzyły się drzwi, żeby wypuścić reportera, spojrzała na milczący, rozfalowany tłum widoczny za szerokimi, niebieskimi barami policjanta, wzdrygnęła się i szybko odwróciła oczy; nagle poczuła, że jest mała, zmarznięta i przestraszona. Gdzie ten reporter? Jak to długo! Och, ktoś otworzył okno. To powiał tylko zimny jesienny wiatr, a nie wiatr śmierci. Co to wykrzykują tam za oknem mali gazeciarze, skowycząc jak szczeniaki?

- Dodatek nadzwyczajny! Nadzwyczajny dodatek! Szczegóły tajemniczej...

- No tak. - Tuż obok siebie usłyszała pełen tłumionego podniecenia głos reportera. - Tym razem mu się udało! Tym razem nie było sprytnego Filipińczyka ani służącej. Niech pani czyta i płacze!

Poprzez cienki arkusz miejscowej gazety biegly na trzy cale slowa: „Byly narzeczony zamordowanej strzela sie. Dziś o godzinie 11.45 znaleziono w ogrodzie zwłoki wybitnego członka znakomitego klubu”.

- Nadałem w tej chwili telegraficznie wspaniałą rzecz - oświadczył rozpromieniony reporter. - Niech pani to zaraz spałaszuje i upomni się o więcej. Nie mogłem dostać tej kanapki dla pani.

- A więc - cicho i lękliwie zapytała rudowłosa dziewczyna - więc to znaczy, że on sam to zrobił, prawda? To znaczy, że już nie mógł dłużej wytrzymać, ponieważ on ją zabił, prawda?

- Albo że był najzupełniej pewny, że zrobiła to Susan Ives - mruknął reporter, który wytrącony z olimpijskiego spokoju przeszedł w stan gorączkowej aktywności. - Niechże to pani natychmiast zjada i niech pani dobrze słucha. Sto do jednego przemawia za tym, że on wiedział, iż Sue to zrobiła, że to on niemal wsunął jej nóż do ręki, mówiąc, gdzie, kiedy i jak powinno to być załatwione...

- On nie wiedział! - zawołała gwałtownie dziewczyna. - Nie wiedział. Jak mógł...

- Sądzicie! - zaśpiewał Ben Potts.

- Skąd on mógł wiedzieć, czy ona...

- Cisza! - zaintonował z naganą w głosie Ben.

Orsini i Lambert, obaj z określonymi zamiarami, zmierzali w stronę miejsca dla świadków.

- No, panie Orsini, oświadczył nam pan niedawno, że wyglądając ze swojego okna mógł pan zobaczyć twarz pani Ives równie dokładnie, jak w tej chwili widzi pan moją. Czy potrafi pan w przybliżeniu określić odległość garażu od domu?

- Naturalnie. Odległość od środka drzwi garażu do środka schodów frontowej werandy wynosi... - Orsini spojrzał z powagą na mały

skrawek papieru ukryty dotąd w jego potężnym łapsku i ogłosił część jego treści osłupiałemu obrońcy - wynosi czterdzieści siedem stóp i pięć i pół cala.

- Co?!

Orsini ze zrozumiałą satysfakcją obserwował osłupienie malujące się na potężnej, wysuniętej teraz niedowierzająco ku przodowi twarzy Lamberta.

- Mogę panu także powiedzieć, że odległość między frontową bramą a drzwiami wynosi sto czterdzieści trzy stopy i ćwierć cala - oznajmił szybko i usłużnie. - Mogę także powiedzieć, że od płotu do drogi jest jedenaście stóp, dziewięć cali i...

Wśród zachwyconego ryku sali można było usłyszeć łoskot opadającego młotka sędziego Carvera.

- Jeszcze jedna taka demonstracja i każę opróżnić salę. To jest proces o morderstwo, a nie przedstawienie. A pan niech odpowiada na pytania, jakie panu zadają. Cóż to pan tam trzyma w ręce?

Orsini pomachał zachęcająco jakimś wiotkim żółtym przedmiotem przed pięknym nosem sędziego.

- To przyrząd, którym robię pomiary - wyjaśnił promieniejąc pełną skromności dumą. - Panowie to nazywają taśmą mierniczą. I także kartka, na której sobie zapisuję.

Na wzburzoną przez chwilę twarz sędziego powrócił normalny surowy wyraz; wzrokiem poskromiciela lwów spojrzął na miejsce dla prasy, gdzie panowała z trudem powstrzymywana wesołość. Wytrącony z równowagi Lambert opanował się z wielkim wysiłkiem; młodszy obrońca wydał jakieś konwulsyjne parsknięcie. Jedyne Farr nawet nie drgnął. Zamyślony, nonszalancki i łagodnie sardoniczny, rzucił przelotne spojrzenie na taśmę mierniczą i powrócił do jakichś notatek, które

studiował od momentu, gdy przekazał świadka swemu przeciwnikowi. A przeciwnik, z ciągle wytrzeszczonymi oczami, raz jeszcze ponowił atak.

- Czy mogę pana zapytać, co skłoniło pana do obarczania swojej pamięci taką masą bezcennych informacji?

- Z pewnością może pan zapytać. Zrobiłem to, bo jestem dobrze obznajmiony z pytaniami, jakie sprytni, wysokiej klasy prawnicy lubią zadawać w sądzie; na przykład, czy może nam pan powiedzieć, jakie wysokie były te schody albo ile było tych minut, albo jak daleko były te ściany - o wszystkie takie rzeczy bardzo lubią pytać, zawsze pytają, to jasne jak słońce.

- Rozumiem. Pilnie pan studiuje nasze małe dziwactwa. Ale jak to możliwe, że pan przy swoich licznych zajęciach miał tyle wolnego czasu, by tak dokładnie studiować nasze zwyczaje?

- Może jeszcze raz, tylko wolniej - uprzejmie poprosił studiujący.

- W jaki sposób zapoznał się pan tak dokładnie ze zwyczajami panującymi w sądach?

- Och, wcale nie jestem tak dobrze zapoznany. Raz czy dwa to całkiem starcza dla kogoś, kto umie patrzeć i słuchać. Więcej nie potrzeba.

- No tak, jak pan powiada raz czy dwa razy powinno całkiem wystarczyć; szkoda, że uznał pan za konieczne rozszerzać swoje doświadczenia. Czy siedział pan kiedyś w więzieniu?

- Kto... ja? - Promienny uśmiech, którym Orsini miał zwyczaj upiększać wypowiedane przez siebie zdania, nie znikł zupełnie, ale stał się trochę bardziej powściągliwy. Błyszczące oczy zwrócił z wyrzutem w stronę prokuratora, ale ten zdawał się jeszcze bardziej pochłonięty swoimi notatkami. - O jakim więzieniu pan myśli?

Widać było wyraźnie, że Lambert jest zbity z tropu.

- Myślę o więzieniu, o więzieniu w ogóle.
- Czy to więzienie było może na szczycie pagórka? - spytała uważnie jego ofiara.

- Na pagórku? Co to ma do rzeczy? Skąd mam wiedzieć, czy było na pagórku?

- Na wysokim pagórku, z drzewami dokoła? - Raz jeszcze Orsini zaczął gestykulować swymi wymownymi rękami.

- Dobrze już, dobrze. No więc, czy był pan w więzieniu na pagórku, dokoła którego rosły drzewa?

Orsini patrzył łagodnie z rozwścieczoną, pełną pogardy twarz Lamberta.

- Nie, sir - odpowiedział z żalem. - Jeżeli to było więzienie na pagórku i dokoła rosły drzewa, to nie siedziałem w tym więzieniu.

Raz jeszcze sala, nie zważając na młotek sędziego, wybuchnęła niepowstrzymaną, hałaśliwą wesołością, ale tym razem uszło jej to bezkarnie. Jedno spojrzenie na okrągłą jak księżyc twarz Lamberta, który rozpaczliwie bronił się przed atakiem apopleksji, zachwiało nawet stoicki spokój i opanowanie sędziego Carvera. Jego młotek leżał bezczynnie, podczas gdy on sam ukryty za ogromną chusteczką do nosa dusił się w ciężkim kaszlu. Te kilka rozproszonych sekund, kiedy przez salę sądową przemknęły śmiech, nadzieja i rozpacz, posłużyły Lambertowi do odzyskania oddechu, głosu i szatańskiej zjadliwości, które miał zamiar wykorzystać teraz równocześnie i z całą energią.

- Rozumiem, rozumiem. Pan jest wybredny, jak chodzi o więzienia, lubi pan, kiedy są położone w dolinach, prawda? A teraz proszę odpowiedzieć na pytanie bez dalszej błazenady.

- Na jakie pytanie?

- Czy był pan kiedykolwiek w więzieniu?

Twarz Orsiniego przybrała lekki wyraz czujności, ale malująca się na niej uprzejmość nie zmalowała ani trochę.

- Kiedy? - zapytał obojętnie.

- Kiedy? Zawsze. Kiedykolwiek! Czy...czy pan od... odpowie... na moje pytanie?

Tak brutalnie zaatakowana ofiara przyjęła to, czego nie dało się uniknąć, z filozoficznym spokojem, humorem i wdziękiem.

- Nie. Zawsze to nie. To przesada. Ale czasami tak, nie przeczę, czasami się zdarzało.

Pod spojrzemiami siedzących jak w transie widzów różowe policzki Lamberta zabarwił piękny ciemnowiśniowy kolor.

- Nie przeczy pan temu, co? No cóż, to bardzo wspaniałomyślnie i pięknie z pana strony, naprawdę bardzo pięknie. A czy nie chciałby pan być jeszcze na tyle wspaniałomyślny i powiedzieć nam, dlaczego zawędrował pan do więzienia?

Orsini pominął swą kryminalną karierę wymownym wzruszeniem ramion.

- No cóż, a za co nie idzie się w dzisiejszych czasach do więzienia? Jeśli nie masz na zapłacenie kary - pakują cię do więzienia! Wypijesz piwo za dwa i trzy ćwierci dolara, zagrasz sobie w kości myśląc, że nikt nie widzi, jedziesz przez most z szybkością dziewięć i pół mili na godzinę, a tam stoi napisane osiem i pół...

- Dostyc tego, Orsini. Siedział pan w roku 1911 osiem miesięcy w więzieniu za kradzież kilku pierścionków w hotelu?

- Ach, to - to podłe kłamstwo, brudna prowokacja. Dostałem te...

- Tak, tak, oczywiście. Zawsze tak jest. To bardzo przykre. Nasze więzienia są przepelnione na skutek takich pomyłek. A czy to także jest prawdą, Orsini, że niecałe trzy tygodnie przed tym morderstwem

powiedział pan panu Bellamy, iż nie może pan poprosić swojej mediałńskiej przyjaciółki, by wyszła za pana, bo nie ma pan za co kupić jej zaręczynowego pierścionka?

- Ty... ty...

- Chwileczkę Orsini. - Niski głos prokuratora ostro przeciął splątany, gwałtowny bełkot. - Proszę nie odpowiadać na to pytanie... Wysoki sędzię, raz jeszcze z całym należnym szacunkiem zapytuję, czy to jest proces pana Bellamy'ego i pani Ives, czy moich świadków każdego z osobna i wszystkich razem?

- Sąd wyraził już swoje zdanie, że nie udziela odpowiedzi na retoryczne pytania. Doskonale zdaje pan sobie sprawę, czyj to jest proces, i aczkolwiek sąd skłonny jest przyznać, iż ostatnie pytanie było niewłaściwe, nie myli się chyba twierdząc, iż upłynęło już sporo czasu od chwili, kiedy pan uważał za stosowne sprzeciwiać się każdemu pytaniu stawianemu przez pana Lamberta pańskim świadkom.

- Wysoki sąd ma całkowitą słuszność. Ponieważ żywię najgłębsze przekonanie, iż przedstawione przeze mnie materiały dowodowe są nie do obalenia, pilnie powstrzymałem się od wprowadzania w tę sprawę przykrych sporów, które stanowią podobno przywilej sądowy. Mogę stwierdzić jednak, iż obecnie żałuję swojej powściągliwości. Mniej więcej dwie trzecie powołanych przeze mnie świadków posądzono w rzeczywistości o popełnienie tego morderstwa lub o udzielenie pomocy przy jego popełnieniu. Ciągłe jeszcze pozostaje zagadką, czy mieliby oni stanowić jedną wielką szajkę, czy też działać każdy na własną rękę, nie ma natomiast najmniejszej wątpliwości, że obrona chce ich uwikłać w tę sprawę. Panna Page, panna Cordier, pan Farwell, pan Ives, pan Orsini - jeszcze moment i ja sam zostanę w to wmieszany.

- Wnoszę sprzeciw, wysoki sędzie. Wnoszę sprzeciw!

Zduszony, roznamiętniony krzyk Dudleya Lamberta przebrzmiał już, zanim czysty, metaliczny głos prokuratora obudził się w końcu z letargu.

- Ja również wnoszę sprzeciw, i to odnośnie wielu spraw! Sprzeciwiam się temu, że tragiczną powagę procesu o morderstwo zamienia się w farsę przez różne tego rodzaju rzeczy, jakie się tu działy dzisiejszego przedpołudnia. Mówię zupełnie poważnie, że pan Lambert może i mnie wybrać za cel swoich insynuacji. Mieszkalem w Rosemont, mam dobry, ostry nóż kieszonkowy, moja żona nie ma pierścionka z szafirem, byłem trzy razy aresztowany - dwa razy za przekroczenie dozwolonej szybkości dwudziestu mil na godzinę, a raz za próbę sprzeczeki z policjantem ze służby ruchu, który miał manię wielkości i...

- Dostyc tego, panie Farr - uciął stanowczo sędzia Carver. - Sąd prawdopodobnie okazał się zbyt liberalny pozwalając panu na tak obszernie omawianie tej kwestii, ponieważ ujęcie jej przez pana wydawało się trafne. Nie uważa natomiast, aby coś pan zyskał rozwijając dalej ten temat. Panie Lambert, pana ostatnie pytanie jest uchylone. Czy chce pan jeszcze o coś zapytać świadka?

Lambert, wyglądający w tej chwili jak niezwykle skrzyżowanie małego dziecka z buldogiem, bynajmniej nie ustosunkował się do tych uwag życzliwie.

- Czy odmawia mi pan prawa zakwestionowania wiarygodności zeznań tej niezwyklej kolekcji osobników, których pan Farr uznał za właściwe powołać na świadków?

- Nikt panu tego nie odmawia. W jaki sposób pytanie, czy pan Orsini mógł, czy nie mógł ofiarować młodej kobiecie pierścionka zaręczynowego, może podważyć wiarygodność jego zeznań?

- W taki, że ukaże wyraźny motyw rabunku i...

- Właśnie. I właśnie z tego powodu, że pan Orsini nie występuje tutaj w roli oskarżonego, sąd uważa to pytanie za nie związane ze sprawą, nieistotne i niewłaściwe. Ma pan inne pytania?

- Nie. - Wściekłość, która wrzała w niezdolnym się opanować Lambertcie, tłumiła jego słowa i doprowadziła do tego, że oczy zdawały się wyskakiwać mu z orbit. - Nie mam dalszych pytań. Czy mogę wnieść sprzeciw odnośnie zarządzenia wysokiego sądu?

- Oczywiście.

Orsini, schodząc energicznie z miejsca dla świadków, zwlekał jeszcze tak długo, aby obdarzyć swego niedoszłego inkwizytora spojrzeniem, w którym pobłyskiwały sztylety i krew płynęła strugami - spojrzeniem, które rozdrażniony Lambert zwrócił mu z nawiązką. Gwałtowna burza ograniczyła się jednak tylko do efektów wizualnych, a wyraźnie rozczarowani widzowie zaczęli z trudem podnosić się na nogi.

- Wezwać Turnera.

- Joseph Turner!

Bystrooki, opalony, miło wyglądający chłopak raźnie wsunął się na miejsce dla świadków i skierował parę poważnych oczu na prokuratora.

- Czym się pan trudnił dziewiętnastego czerwca tego roku, panie Turner?

- Byłem kierowcą autobusu na linii do Perrytown.

- Nadal pan tam pracuje?

- Nie, sir. Jestem dalej w tym samym towarzystwie, ale na innej trasie. Redfield - Glenvale.

- Czy widział pan to już kiedyś?

Prokurator wydobył z kartonowego pudła czarny szyfonowy płaszcz i koronkowy szal i wyciągnął je niedbałym ruchem w stronę świadka.

Chłopak spokojnie patrzył na oba przedmioty.

- Tak, sir - odpowiedział.

- Kiedy?

- Dwa lub trzy razy. Ostatni raz wieczorem dziewiętnastego czerwca.

- O której godzinie?

- Około ósmej trzydzieści pięć.

- Gdzie zabrał pan do autobusu panią Bellamy?

- Mniej więcej ćwierć mili od jej domu, w kierunku klubu. Jest tam przystanek; wyszła z głębokiego cienia przy skraju drogi i dała mi znak, żebym się zatrzymał.

- Czy znał pan w tym czasie panią Bellamy po nazwisku?

- Nie, sir. Dopiero później dowiedziałem się jej nazwiska. To znaczy wtedy, kiedy się dowiedziałem, gdzie mieszkała.

- Czy pański autobus był pierwszym, jaki mogła złapać?

- Jeżeli spóźniła się na autobus o ósmej. Mój był następny.

- Czy coś specjalnego w niej zwróciło pańską uwagę?

- Tak, sir. Całą jej twarz, jak zawsze, osłaniała woalka, ale specjalną uwagę zwróciłem na jej pantofelki. Były naprawdę śliczne - błyszczące, srebrne pantofelki. Kiedy ją wysadziłem na zakręcie przed Sadami, było tam sporo błota i pomyślałem sobie, że takie małe zabaweczki nie bardzo się nadają do chodzenia i że to straszna szkoda tak je niszczyć.

- Ile czasu zabrał przejazd z miejsca, w którym wsiadła pani Bellamy, do miejsca, gdzie ją pan wysadził?

- Mniej więcej osiem minut. To trochę ponad dwie mile - myślę, że prawie dwie i pół.

- Czy robiła wrażenie osoby, która się śpieszy?
- Tak, sir. Na pewno. Kiedy wysiadła na zakręcie koło Sadów, zaczęła prawie biec. Nawet o mało nie zawołałem za nią, żeby uważała, bo się przewróci, ale pomyślałem, że to nie moja sprawa, bo też i nie była.
- W jaki sposób ustalił pan datę i godzinę?
- Bardzo łatwo. To była tego wieczoru moja ostatnia jazda do Perrytown, rozumie pan? A jak idzie o datę, na drugi dzień rano zobaczyłem, że w Sadach popełniono... no... to morderstwo, i przypomniałem sobie ją i te srebrne pantofelki, i ten czarny płaszczyk; wstąpiłem więc do komendy policji, żeby powiedzieć, co wiem w tej sprawie - i okazało się, że to właśnie ona. Kazali mi pójść ją obejrzeć; nieprędko zapomnę ten widok, naprawdę nieprędko, sir.

Chłopak, który wioził Mimi Bellamy do Sadów, mocno zacisnął wargi i zdecydowanym ruchem odwrócił głowę od czarnego płaszczyka.

- Następnego dnia poprosiłem, żeby zmienili mi trasę. - Jego miły młody głos nagle zadrzał.
- Mówił pan, że wioził ją pan kilka razy przed tym?
- Tak. Chyba ze dwa albo trzy razy. I to wszystko w ostatnim miesiącu. Jeździłem tą trasą tylko miesiąc.
- O tej samej godzinie? Pół do dziewiątej?
- Tak. Pół do dziewiątej.
- I niczym nie zwróciła pańskiej uwagi?
- No cóż, wydaje mi się, że każdy musiał zwrócić na nią uwagę - odpowiedział cicho Joe Turner. - Nawet jak była osłonięta, nie widziałem ładniejszej kobiety, jak długo żyję. - A potem dodał jeszcze ciszej : - Była ze dwadzieścia razy ładniejsza.

Prokurator milczał przez chwilę, pozwalając, aby ściszony głos świadka jeszcze raz wywołał promienny obraz kobiety w koronkowym szalu i srebrnych pantofelkach znikającej w rozsnuwających się cieniach.

- To wszystko - powiedział w końcu. - Nie mam więcej pytań.

- Nie mam pytań. - Nawet głos Lamberta tym razem zabrzmiał łagodnie.

- Następny świadek - sierżant Johnson.

- Sierżant Hendrick Johnson!

Posłuszny lirycznemu wezwaniu Bena Potts'a młody człowiek podobny do nordyckiego bożka, ubrany niezbyt odpowiednio w szary prążkowany garnitur i pas koalicyjny, zbliżał się szybko przejściem w stronę miejsca dla świadków.

- Sierżancie Johnson, jaką funkcję spełniał pan dziewiętnastego czerwca 1926 roku?

- Policjant stanowy - sierżant.

- Kiedy otrzymał pan pierwszy meldunek o morderstwie w Sadach?

- Trochę przed dziesiątą rano dwudziestego czerwca. Właśnie przyjechałem do komendy, kiedy zjawił się pan Conroy donieść o tym, co odkrył w domku ogrodnika.

- Proszę nam powiedzieć, co się stało potem.

- Polecono mi udać się razem z panem Duttonem, doktorem Stanleyem i jeszcze młodym policjantem, Danem Wilkinsem, do domku ogrodnika. Pan Dutton wziął doktora Stanleya do swego sportowego wozu, a Wilkins pojechał ze mną moim motocyklem. Wyjechaliśmy z komendy trochę po dziesiątej, a przyjechaliśmy do domku kwadrans później.

- Jedną chwileczkę. Czy dobrze zrozumiałem, że w Rosemont mieści się komenda posterunku policji stanowej?

- Tak jest, sir.

- I pan jest jej komendantem?
- Tak jest, sir.
- Kto miał klucz od domku?
- Ja. Pan Conroy mi go wręczył. Osobiście otworzyłem drzwi domku i wszyscy razem weszliśmy do środka.

Energiczny, pewny młody głos pozwalał się domyślać, że dla policji stanowej morderstwo było rzeczą mniej lub więcej normalną.

- Czy podjechaliście, panowie, pod same drzwi domku?
- Nie; zostawiliśmy samochód i motocykl niedaleko miejsca, gdzie wąska, wiejska droga prowadząca do domku łączy się z żwirowanym podjazdem wiodącym do głównego budynku, i poszliśmy piechotą po trawie, skrajem drogi.
- Czy zachodził jakiś specjalny powód takiego postępowania?
- Oczywiście, że tak. Nie chcieliśmy pozacierać śladów stóp i innych śladów bardziej, niż to już zostało zrobione.
- Co się stało po tym, jak weszliście panowie do domku?
- Pan Dutton i doktor zajęli się ciałem, a my z Wilkinsem pomogliśmy im przenieść zwłoki przez hall do jadalni, oczywiście po dokładnym oznaczeniu ich położenia. Jeśli chodzi o ścisłość, zaznaczyliśmy kredą ich pozycję dla dalszej analizy, gdyby okazała się potrzebna, a ja zrobiłem zdjęcie przy lampie błyskowej, żebyśmy później w razie czego mogli dokładnie wszystko sprawdzić. Pomogłem przenieść ciało do drugiego pokoju i ułożyć je na stole, gdzieśmy postanowili zostawić je aż do przeprowadzenia sekcji. Później zamknąłem drzwi do saloniku, żeby nikt nie mógł tam niczego ruszyć, wsadziłem klucz do kieszeni i wyszedłem obejrzeć ślady na wiejskiej drodze. Zostawiłem pana Duttona i doktora Stanleya przy zwłokach i posłałem Wilkinsa do położonej przy szosie stacji benzynowej, żeby zatelefonował do pana Bellamy'ego i zawiadomił go, że znaleźliśmy w domku ciało jego żony. W domku nie było

telefonu, a telefon w głównym budynku był wyłączony z linii.

- Sierżancie, czy telefonując do pana Bellamy'ego podejrzewaliście go o popełnienie tego morderstwa?

- Ja nie telefonowałem - sprostował obojętnym tonem sierżant Johnson, po czym dodał z jeszcze większą obojętnością: - Wszyscy byli podejrzani.

- A pan Bellamy nie bardziej niż inni?

- Miałem na myśli to - stwierdził sierżant z zawodową powściągliwością - że wszyscy byli podejrzani.

Prokurator spojrział w niewzruszenie spokojne oczy świadka z wyrazem, w którym irytacja walczyła o pierwszeństwo z dyskrecją. Zwyciężyła dyskrekcja.

- Czy znalazł pan jakieś ślady na drodze? - zapytał.

- Oczywiście.

- Odciski stóp?

- Nie. Znalazłem trochę takich śladów, ale zbyt zdeptanych i niewyraźnych, żeby można było cokolwiek z nich wyczytać. Znalazłem za to ślady opon.

- Tylko jeden ślad?

- Nie. Co najmniej cztery, z czego dwa pozostawione przez ten sam samochód.

- Czy wszystkie jednakowo wyraźne?

- Nie. Bardzo się różniły. Droga prowadząca do domku jest gliniasta i w pewnych warunkach ma nieomal właściwości gipsu na odlewy.

- Co to znaczy „w pewnych warunkach”?

- Wilgoć w powietrzu po ulewnym deszczu, po którym następuje okres pięknej pogody. Pozwala to odciskom dokładnie wyschnąć.

- Czy zaistniał taki zbieg okoliczności?

- W jednym wypadku tak. Dziewiętnastego była burza między pierwszą a trzecią po południu. Może nazwiemy odciski opon A, B1, B2 i C. Odcisk A wykazywał jedynie bardzo niewyraźne ślady szerokiej, masywnej opony ciężkiego wozu. Był prawie zupełnie zamazany, z czego wynikało, że musiał zostać odcisnięty albo przed, albo w czasie ulewy.

- Czy te ślady odpowiadały oponom wozu pana Farwella?

- Nie było tam żadnych charakterystycznych cech takiej czy innej opony. Mógł to być samochód pana Farwella albo jakikolwiek inny duży wóz. C przejechał znacznie później, kiedy ziemia zdążyła już podsuchnąć. Były to ślady opon średniej wielkości, odcisnięte już w dość suchym gruncie. Krzyżowały się i nakładały na ślady A i B.

- Czy mógł je pozostawić samochód pana Conroya?

- Wydaje mi się to bardzo prawdopodobne. Sprawdzałem je tak dokładnie, jak tylko było możliwe w tych warunkach, i całkowicie się zgadzają.

- A co z odciskami B?

- Oba odciski B były tak ostre i wyraźne, jakby zrobiono je w wosku. Pozostawił je ten sam wóz - sądząc po stanie gruntu, zostały wyciśnięte mniej więcej w odstępie godziny. Zrobiliśmy później całą serię prób, żeby się zorientować, jak długo ta ziemia zachowuje wilgotność.

- Jakiego rodzaju były te odciski, sierzancie?

- Wąskich opon, takich, jakich używa się w najmniejszych, najlżejszych samochodach - odparł Johnson, przy czym lekki ton powagi za barwił jego słowa wypowiedziane zwięźle i obojętnie. - Dwie z tych opon: prawa przednia i lewa tylna, miały powierzchnię tak startą, że trudno było ryzykować jakiegokolwiek zdanie na temat ich pochodzenia.

Natomiast przednia lewa i tylna prawa były całkiem nowiutkie i wy-cisnęły ślady tak wyraźne, jakby je kto wyrzeźbił. Odciski B2 były nawet głębsze niż B1, co wskazuje, że samochód musiał raz stać o wiele dłużej niż następnym razem. Robiliśmy próby także w tym zakresie, ale wyniki nie okazały się na tyle ściśle, by można stwierdzić coś konkretnego.

- Co pozwala panu tak dokładnie określić, który ze śladów jest B2?
- W jednym miejscu ślad B2 bardzo wyraźnie nakładał się na ślad

BI.

- Jakiej marki była tylna prawa opona i lewa przednia, sierzancie?
- Tylna prawa była całkowicie nową oponą marki „Ajax”; lewa przednia, prawie nowa, marki „Silvertown”.

- Czy odpowiadają one oponom któregoś z wozów, o jakich była mowa?

- Dokładnie odpowiadały oponom w samochodzie pana Stephena Bellamy'ego, kiedy go oglądaliśmy dwudziestego czerwca po południu.

- Nie ma możliwości omyłki?

- Absolutnie żadnej - odpowiedział sierżant Johnson poważnie i zwięźle.

- Dobrze. Czy samochód był umyty, kiedy go pan oglądał, sierzancie?

- Nie, sir.

- Czy na oponach znajdowało się błoto?

- Tak, ale nie zwracaliśmy na to uwagi, ponieważ błoto było takie samo jak na drodze przed domem pana Bellamy'ego.

- Czy wóz był powalany smarem?

- Nie, sir. Oglądaliśmy go bardzo szczegółowo. Nigdzie nie zauważyliśmy śladu smaru.

- Czy znalazł pan w domku lub w najbliższym otoczeniu coś, co miałoby jakieś znaczenie?

- W krzakach otaczających dom znalazłem rodzaj pudełka na drugie śniadanie, a w rogu jadalni na krześle czarny płaszczyk z szyfonu, tak zdaje się pan to nazwał. Poza tym czarny koronkowy szal i czarną jedwabną torebkę z błyskawicznym zamkiem, który wyglądał jak z brylantów.

- Czy sporządził pan listę zawartości torebki?

- Tak jest.

- Ma ją pan przy sobie?

- Mam.

- Proszę ją odczytać.

- Zawartość czarnej damskiej torebki znalezionej w domku ogrodnika na terenie posiadłości Thorne'ów dnia dwudziestego czerwca 1926 roku - czytał sierżant Johnson energicznie. - Jedna puderniczka, bladzielona; emaliowana; jedna pomadka do ust, taka sama; zielona lniana chusteczka do nosa, oznaczona Mimi; skórzana ramka zawierająca migawkowe zdjęcie mężczyzny w ubraniu tenisowym, z napisem: „Dla mojej Mimi od Steve'a”; próbka niebieskiego szyfonu ze stokrotkami; złoty ołówek; dwa oddarte kupony biletów do teatru „Vanities”, z ósmego czerwca; trzy listy na papierze blankietowym podpisane Pat.

- I to wszystko?

- Tak, wszystko.

- Czy to są te przedmioty znalezione w jadalni, sierżancie?

Sierżant Johnson dość pobieżnie przejrzał zawartość postawionego przed nim pudła.

- Tak. To są te przedmioty.

- Proszę sprawdzić zawartość torebki. Nie brakuje niczego?

- Niczego.

- Proszę o zaparafowanie tych przedmiotów, wysoki sędzie, i o włączenie do dowodów rzeczowych.

- Nie wnoszę sprzeciwu - oświadczył niespodziewanie Lambert.

Prokurator spojrział na niego niedowierzająco, jakby nie wierzył własnym uszom! A potem, lekko zamyślony, wydobył inny przedmiot z niewyczerpanej czułości swego biurka i umieścił go ostrożnie na barierze przed samym nosem sierżanta. Było to pudełko - ładne, lśniące, blaszane pudełko pomalowane na wesoły, ale spokojny ciemnowiśniowy kolor. Pudełko miało zgrabną rączkę i wielki, piękny wczesnoangielski inicjał wymalowany na pokrywce.

- Czy poznaje pan to, sierżancie?

- Tak. Pudełko na drugie śniadanie, które znalazłem za krzakami na lewo od domku ogrodnika.

- Co znajdowało się w tym pudełku?

- W trzech czwartych było puste. Znalazłem w nim jeszcze kanapkę z szynką, trochę daktyli, solonych orzeszków i dwa pączki.

- Jak pan uważa, co przedstawia ten inicjał na pokrywce?

- Trudno mi powiedzieć - przyznał otwarcie sierżant. - Ma trochę za wiele tych zawijasów. To może być D, ale może być i P albo też ani jedno, ani drugie.

- O ile panu wiadomo, nie ustalono, kto był właścicielem pudełka?

- Nie, sir.

- Mógł je tam ktoś zostawić poprzednio?

- Tak, naturalnie że mógł. Ale jedzenie wydawało się całkiem świeże i widziałem tam także kilka niedawno złamanych gałązek, jakby ktoś przedzierał się z powrotem przez krzaki.

- Proszę o włączenie tego pudełka do dowodów rzeczowych, wysoki sędzie, nie dlatego, że posiada jakieś znaczenie dowodowe, ale po to, by mieć w ewidencji wszystkie przedmioty przekazane przez policję.

- Nie wnoszę sprzeciwu - oświadczył Lambert z tą samą zadziwiającą szybkością, podczas gdy jego oczy wpatrywały się zachłannie w błyszczący przedmiot.

- Doskonale, sierżancie, to wszystko, nie mam więcej pytań.

- Czy badał pan odcinek drogi na tyłach domku, sierżancie? - spytał Lambert z niekłamanyim zainteresowaniem.

- Tak, sir.

- Znalazł pan tam jakieś ślady opon?

- Nie, sir.

- Nie mam dalszych pytań - wyśpiewał Lambert słodkim głosem.

Teraz głos zabrał prokurator.

- Muszę oświadczyć, że niezwykle przykre wydarzenie pozbawiło nas na razie jednego ze świadków oskarżenia, którego osoba stanowi nieodzowne ogniwo w łańcuchu dowodów, jakie przedłożyliśmy. Świadek ten trzy tygodnie temu zachorował na zapalenie wyrostka robaczkowego i został przewieziony do szpitala w Nowym Jorku. Zapewniono mnie, że będzie mógł się stawić w sądzie, ale pod koniec ubiegłego tygodnia nastąpiły pewne powikłania i do tej chwili chory musi pozostać w łóżku. Mam tutaj orzeczenie chirurga, że świadek jest absolutnie niezdolny do stawienia się dzisiaj w sądzie, ale całkiem możliwe, że będzie się mógł zjawić w poniedziałek. Ponieważ dziś jest piątek, z całym należnym szacunkiem ośmielam się zaproponować odroczenie sprawy do poniedziałku, kiedy to oskarżenie będzie mogło zakończyć swoje postępowanie dowodowe.

- Czy wnosi pan sprzeciw, panie Lambert?

- Wnoszę, i to nie w jednej sprawie, wysoki sądzie! - odpowiedział Lambert z namiętym przekonaniem. - Mam dwóch świadków, których

przybycie tutaj połączone było z wielkimi trudnościami. Co mam z nimi zrobić? Co z nieszczęsnymi sędziami przysięgłymi? Co z nieszczęsnymi oskarżonymi? Wnoszę jak najenergiczniejszy sprzeciw przeciwko przedłużeniu rozprawy choćby o sekundę.

- W takim razie mogę jedynie zaproponować, żeby rozprawa toczyła się dalej i żeby prokuratura miała możliwość przesłuchania swego świadka, skoro to tylko będzie w ludzkiej mocy, a w zamian za to obrona miałaby możliwość przesłuchać w razie potrzeby tych świadków, których uznaliby za konieczne.

Lambert, wciąż jeszcze napuszony jakimś tajemniczym triumfem, szerokim gestem wyraził zgodę.

- Bardzo proszę, uważam to wprawdzie za wysoce niezgodne z procedurą, ale niech tak będzie. Niech mimo wszystko tak będzie. A teraz, wysoki sędzie...

- Powiedział pan, panie Farr, że ma pan to orzeczenie lekarskie?

- Tak, wysoki sędzie.

- Czy możemy się zapoznać z jego treścią?

- Oczywiście - zgodził się natychmiast prokurator. - Wystawił je naczelny chirurg ze szpitala św. Łukasza. Jak pan widzi, lekarz stwierdza jedynie, że byłoby sprzeczne z jego wyraźnymi zaleceniami, aby doktor Barretti składał zeznania dzisiaj, ale jeśli nie zajdzie nic nieprzewidzianego, powinien to móc uczynić w poniedziałek.

- Tak. No więc, panią Farr, jeśli pan Lambert nie wniesie sprzeciwu, będzie pan mógł przesłuchać doktora Barrettiego w poniedziałek. Nie ma pan dalszych pytań?

- Nie, wysoki sędzie.

- W porządku. Sąd ogłasza przerwę do godziny dziesiątej rano dnia jutrzejszego.

- Jakie on wymienił nazwisko? - spytał reporter dziwnie przyciszonym głosem. - Doktor jaki?

- Brzmiało to jak Barretti - odparła rudowłosa dziewczyna, z trudem podnosząc się z krzesła.

- Nieszczęsny idiota! - mruknął reporter tym samym przyciszonym głosem.

- Kto?

- Lambert. Nie zrozumiała pani? Ten kompletny dureń nie wie, kim on jest i do czego zmierza.

- A któż to jest? - zapytała przez ramię rudowłosa z rozpaczą w głosie. Czuła, że jeżeli jeszcze coś nastąpi, to usiądzie na podłodze i rozplącze się, a bardzo nie miała na to ochoty.

- To Barretti. Gabriel Barretti - odparł reporter. - Najśłynniejszy w świecie ekspert od daktyloskopii. Boże, to znaczy, że on musi mieć ich... Na miłość boską, co się dzieje? Chce pani chusteczkę do nosa?

Rudowłosa dziewczyna słabo skinęła głową, jedną ręką chwyciła ogromną białą chusteczkę, a drugą wielki rękaw błękitnej marynarki reportera. Ale bądź co bądź na podłodze nie usiadła.

Zakończył się czwarty dzień procesu Bellamy'ego.

Rozdział 5

Nie mógłby wyglądać tak buńczucznie, triumfująco i być tak pewnym siebie, gdyby rzeczywiście nie wiedział, że wszystko jest w porządku - tłumaczyła rudowłosa dziewczyna rozsądnie, ale nieco drżącym szeptem. Patrzyła przy tym na Lamberta, jakby rozpaczliwie chcąc uzyskać od niego potwierdzenie swoich domy słów. A on, gruby i wystrojony, przechadzał się tam i z powrotem przed ławą przysięgłych, z malującym się

na rumianej twarzy wyrazem łatwo odniesionego zwycięstwa, i co chwila wydawał krótkie ostrzegawcze pomruki.

- Mógłby dokładnie tak samo wyglądać, gdyby był zapomnianym przez Boga idiotą - mruknął ponuro reporter. - I niewątpliwie nim jest. Jak Bóg chce kogoś ukarać, to mu najpierw rozum odbiera. Niech pani uważa, zaczyna!

- Wysoki sędzie - rozpoczął Lambert z namaszczeniem - panowie sędziowie przysięgli, nie chcę was w tej chwili nudzić długimi wywodami. W późniejszym *résumé* spróbuję przeanalizować mylnie, na pierwszy rzut oka tylko słuszne rozumowanie, na którym mój znakomity przeciwnik oparł akt oskarżenia, ale w tej chwili myślę o czymś innym.

Słyszeliśmy tu bardzo wiele o piękności, wdzięku, uroku i tragedii młodej kobiety, której straszna śmierć doprowadziła do tego procesu. Położono wielki nacisk, by przedstawić jej przerażający los i pożałowanie godne okrucieństwo, z jakim tyle piękna zdruzgotano w tak okrutny sposób. Jestem bardzo daleki od tego, by zaprzeczać czy też umniejszać którykolwiek z tych faktów. Los Madeleine Bellamy był istotnie tragiczny i nikt z nas nie może myśleć o nim bez wzruszenia.

Ale, panowie, chociaż myśl o tej okropności napawa was uczuciem nieprzejednania, apeluję do was, abyście pomyśleli o innej młodej kobiecie, której los, moim zdaniem, jest jeszcze bardziej gorzki. Mówię o tej kobiecie, która wiele razy w ciągu ostatnich kilku dni chętnie zamieniała się z nieżyjącą, w tej chwili spokojną i bezpieczną, poza zasięgiem pocisków i strzał okrutnej fortuny, jakie sypały się na jej bezbroną głowę. Proszę, abyście, panowie, pomyśleli o losie Susan Ives zasiadającej na ławie oskarżonych.

Jeszcze parę tygodni temu nie znalazłby się między wami nikt, kto

nie pomyślałby o niej jako o osobie godnej najgłębszej zazdrości. Sue Ives uwielbiana, rozpieszczona, otoczona opieką; Sue Ives przechodząca bezpiecznie i szczęśliwie przez świat pełen kwiatów, pod błękitnym niebem nie zaćmionym ani jedną chmurką; Sue Ives szczęśliwa, darzona miłością, ulubienica bogów. A oto teraz siedzi przed wami zdradzona przez męża, oszkalowana przez tych wszystkich, co nie mają nic innego do roboty poza obrzucaniem swych bliźnich błotem, oderwana od dzieci, domu, postawiona pod pręgierz przez wszystkie pisma w kraju, zaczynając od najznakomitszych i najbardziej się szanujących, a kończąc na najgorszym brukowcu, napiętnowana przed światem jako najwstrętniejsza, najokropniejsza i najbardziej nikczemna ze wszystkich stworzeń - morderczyni.

Morderczyni! Ta kobieta tak lojalna, tak szlachetna i uczciwa, że ci, którzy ją znali, uważali ją za ulepioną z innej gliny niż reszta mieszkańców tego świata; tak dumna, tak wrażliwa i wybredna, że ci, którzy ją kochali, tysiąc razy woleliby ujrzeć ją martwą niż wystawioną na tak ohydne tortury, które stały się jej udziałem w ciągu ostatnich kilku dni. Co można o niej powiedzieć? Co można powiedzieć o jej losie? Co postawiło ją w tej okropnej sytuacji? Beztroska, brak lojalności, złe prowadzenie się, lekkomyślność i nierozwaga czy zły zamiar? Wasza własna żona, wasza własna córka, wasza własna matka nie mogłaby być bardziej wolna od jakiegokolwiek piętna obmowy czy krytyki.

Zarzuty tego rodzaju można było usłyszeć i tu, w sądzie, ale nie stawiałem ich ja ani nie były skierowane przeciwko niej. O grzechy te oskarżano Mimi Bellamy, kobietę, dla której starano się obudzić całe wasze współczucie. Ona nie żyje. Ja również zwracam się do was o współczucie dla niej i o tyle wyrozumiałości i przebaczenia, na ile

możecie się zdobyć wobec tego braku rozsądku i honoru, które doprowadziły do jej śmierci. Bo gdyby nie poszła do domku ogrodnika na spotkanie z ukochanym, nie byłaby dosięgła jej śmierć. Spotkała ją śmierć, ponieważ znalazła się sama i bezbronna. Czy cios zadał jej złodziej, szantażysta, dawny lub nowy kochanek - nie moim zadaniem jest udowodniać, a waszym osądzać. Moim zamiarem natomiast jest tylko wykazać, panowie, że oskarżenie Sue Ives i Stephena Bellamy'ego opiera się na tak wątych przesłankach, iż dużo łatwiej byłoby oskarżyć o tę zbrodnię pół tuzina osób, które przedefilowały przed wami po to, aby ją znieślawić.

Jak się przedstawia jej akt oskarżenia? Mówię jej, ponieważ z chwilą, gdy osądzicie, że pani Ives jest niewinna, automatycznie upadną wszelkie zarzuty wobec Stephena Bellamy'ego. Prokuratura nie twierdzi, że on popełnił to morderstwo. Według prokuratury dowody stwierdzają jedynie, że z inicjatywy pani Ives razem spędzili krytyczny wieczór. Jeśli ona nie miała nic wspólnego ze zbrodnią, wynika z tego niezbicie, że rj miał z tą zbrodnią nic wspólnego również i jej towarzysz. Dlatego też raz jeszcze zwracam uwagę panów na panią Ives i raz jeszcze zapytuję, jak się przedstawia jej akt oskarżenia.

Ma on przekonać, że ta kobieta - wielu z was ma córki starsze od niej wiekiem - że ta kobieta, dobrze urodzona, dobrze wychowana i o dobrym sercu, po otrzymaniu od podnieconego do szaleństwa i zaślepionego wielbiciela Mimi Bellamy wiadomości, że Mimi na romans z jej mężem Patrickiem, spokojnie zjadła w domu obiad, wstała od stołu, wezwała kochającego żonę pana Bellamy'ego na spotkanie w ustronnej alei, wzięła nóż ze stołu w gabinecie swego męża i pojechała usunąć przeszkodę, którą spostrzegła na swej prostej drodze, w nieskomplikowany sposób:

za pomocą morderstwa. Proszę zwrócić uwagę, morderstwa z premedytacją, po uprzednim przemyśleniu i przygotowaniu najdrobniejszych szczegółów. Upłynęło z grubsza półtorej godziny od chwili, gdy Susan wyruszyła w drogę, do momentu, w którym rozległ się krzyk i który to moment uważa się za chwilę popełnienia morderstwa.

Przypuszczalnie trochę tego czasu zajęło jej przekonanie pana Bellamy'ego o doskonałości powziętego planu, a trochę swobodna pogawędka - trzeba było czymś czas wypełnić. Samo podniesienie noża i zadanie ciosu nie jest sprawą długą. Pana Bellamy'ego, jak się dowiadujemy, tak ubawiła śmierć ubóstwianej żony, że wybuchnął serdecznym śmiechem. Wydaje mi się, że to pan Thorne mówił panom o tym śmiechu.

Lampa zgasła, więc w absolutnej ciemności przystąpili do ściągania ze zwłok biżuterii, a potem czekali spokojnie, aż pan Thorne położy klucze pod wycieraczką - drzwi były zamknięte. Jak widzicie, panowie, pomyśleli o wszystkim. Potem jeszcze raz podejmują ryzyko, wsiadają do samochodu, który ma tę dogodną właściwość, że raz jest widoczny, a raz niewidoczny, zależnie od tego, czego im w danym momencie potrzeba, i prosto, z dużą szybkością wracają do domu pana Bellamy'ego.

Może zdziwicie się, panowie, dlaczego oni tak postąpili. Była zaledwie dziesiąta i nieomal każdy mógł ich zobaczyć, a tym samym obalić starannie spreparowane alibi polegające na tym, iż rzekomo byli w kinie, ale oni prawdopodobnie uważają, że dom pana Bellamy'ego będzie doskonałym miejscem na ukrycie pereł i rozmowę o tym, co się stało. W tym miejscu motywy ich postępowania są dość niezrozumiałe, ale niewątpliwie prokurator znakomicie je wyjaśni. Dziesięć minut później wyszli i znowu razem ruszyli przypuszczalnie w kierunku domu pani

Ives, tak, żeby każdy mógł ich doskonale zobaczyć, podczas gdy pani Ives wciąż jeszcze ma przy sobie nóż i poplamiony krwią płaszcz. Tam się rozstają, pani Ives doprowadza się do porządku, zanim zanieśie owoce teściowej, a pan Bellamy prawdopodobnie wraca do domu, żeby spędzić noc na dobrze zasłużonym odpoczynku.

Rano pani Ives wstaje dość wcześnie, aby zapakować do dużego pudełka przesiąkniętą krwią odzież, którą wysyła do Armii Zbawienia; wręcza paczkę pokojówce, a ta ma ją z kolei wręczyć szoferowi. Potem pani Ives prosi o świeżą parę rękawiczek i udaje się na wczesną mszę do kościoła - idzie na mszę, na którą chodziła każdej niedzieli od szóstego roku życia. Prokurator pozostawia ją tam spowiadającą się swemu Bogu, że poprzedniego wieczora musiała zabić kobietę, która z pewnością stałaby jej na drodze, zanimby nie doprowadziła swoich zamiarów do końca i nie pozbawiła Sue Ives znacznej części jej miesięcznych dochodów. Oczywiście to wszystko może się nam wydawać trochę niezrozumiałe, ale z całą pewnością jest najzupełniej jasne dla Boga i prokuratora.

Jak sądzę, właściwie i dokładnie przedstawiłem przesłanki, na których oparto oskarżenie, chociaż pan Farr może i zechce postarać się, żeby to zabrzmiało dużo bardziej wiarygodnie, naturalnie na pozór, kiedy sam będzie to referował. Ale do tego się ono sprowadza i całe na pierwszy rzut słuszne rozumowanie oraz wszystkie sądowe i aktorskie sztuczki całego świata nie uczynią go ani o jotę mniej niedorzecznym. Tak wygląda akt oskarżenia.

A na podstawie jakich dowodów żąda się, abyście uwierzyli w tę całą nieprawdopodobną i zagmatwaną historię? Zaraz panom powiem. Mamy oświadczenie zhistryzowanej, chorobliwie przewrażliwionej kobiety

z urojoną urazą, która twierdzi, że podsłuchiwała rozmowę telefoniczną; mamy zeznania mściwej młodej jędzy, która, mówiąc po prostu, prowadzi występne życie, że włożyła do książki list i nie mogła go potem znaleźć; mamy pozbawione związku opowiadanie nieszczęśliwego człowieka, tak głęboko pogrążonego w miłości i alkoholizmie, że był dosłownie półprzytomny w momencie, kiedy miał opowiadać o krytycznych wydarzeniach, i który następnie strzelił sobie w łeb; mamy zeznania byłego kryminalisty, mogącego mieć niejeden powód do rzucenia podejrzeń na odpowiednią ofiarę, mamy policjanta, który marzy o tym, by zdobyć rozgłos i awans, i przysięga wam, że potrafi tak dokładnie rozpoznać grudkę ziemi z odcisniętym na niej kawałkiem opony, jakby to była zwrócona ku niemu twarz ukochanego dziecka - kawałek opony, panowie, jakich jest niewątpliwie w naszym niemałym kraju setki milionów.

Opierając się na takich to dowodach, aczkolwiek brzmią one nader fantastycznie, mój znakomity przeciwnik zwraca się do was, abyście skazali na śmierć szlachetną kobietę i uczciwego mężczyznę. Na podstawie zeznania osoby nerwowo chorej, kobiety rozbijającej małżeństwo, kryminalisty i pijaka! Używam jasnych słów, aby wyrazić jasne prawdy. Zamierzam przedstawić świadków o nieposzlakowanym charakterze, którzy potwierdzą każde z tych prawdziwych stwierdzeń.

Przyznam otwarcie, że odczuwam wielką pokusę, aby już na tym zakończyć postępowanie dowodowe obrony, ponieważ doprawdy nie mogę zrozumieć, żeby dwunastu normalnie myślącym mężczyznom w tym kraju potrzeba było więcej niż pięć minut na wydanie wyroku uniewinniającego. Pamiętajcie, że nie na mnie ciąży obowiązek wykazania, iż Susan Ives i Stephen Bellamy są niewinni, ale zadaniem prokuratora jest wykazać, że są oni winni. Jeśli uda się oskarżeniu udowodnić, że ta kobieta i ten mężczyzna są winni, wówczas udowodni również, że i ja

jestem winny. Żywię całkowite przekonanie, że jedno jest równym absurdem jak drugie.

Mógłbym, jak powiedziałem, zakończyć obronę wyrażeniem tego głębokiego przekonania. Ale istnieje możliwość, że pewne mniej ważne szczegóły tej sprawy nie są dla panów równie jasne jak dla mnie. Poza tym gorąco pragnę nie pominąć żadnej okazji, aby wykazać bezzasadność oskarżenia obojga moich klientów, a wreszcie, przyznaję się, tkwi we mnie bardzo ludzkie pragnienie, żeby skonfrontować i rozwiać nadzieje pewnych wygadanych osób, które zajmowały tu dzień po dniu miejsce dla świadków i okazały jakoś wielkie zainteresowanie tym, by postać na śmierć dwoje ludzi. Przyrzekam, że nie będzie to ani długie, ani męczące postępowanie. Zeznania czterech lub pięciu uczciwych mężczyzn i kobiet w zupełności mi wystarczą. Wierzę głęboko, że przekonacie się, panowie, iż prawda wychodzi na wierzch jak oliwa.

Nie będę sprowadzał setek świadków mających się wypowiadać na temat charakteru oskarżonych; mógłbym ich sprowadzić, by powiedzieli wam, panowie, że spośród wszystkich szlachetnych, prawdomównych i godnych ludzi, z jakimi kiedykolwiek się zetknęli, najgodniejszą, najszlachetniejszą i najbardziej prawdomówną jest kobieta, którą za sprawą prokuratora tego suwerennego państwa macie napiętnować jako morderczynię. W sprawie oskarżyciel publiczny przeciw Susan Ives powołałam na to miejsce tylko jednego świadka celem stwierdzenia jej charakteru - samą Susan Ives. I jeśli po tym, jak ją wysłuchacie, po tym, jak ją zobaczycie, po tym, jak opowie wam swoją historię - nie uwierzycie, że społeczeństwo, prawo i sami ludzie domagając się ofiary nie popełnili straszliwego błędu, stanie się tak dlatego, że jestem nie tylko złym adwokatem, ale i złym prorokiem. Panowie, jestem głęboko przekonany, że niezależnie od tego, jakim jestem adwokatem, okażą się niewątpliwie

dobrym prorokiem!

- Wezwać panią Platz! - zagrzemiał adwokat.

- Pani Platz!

Pani Platz, drobnitka i potulna, z włosami koloru słomy, takimi samymi rzęsami i małym różowym noskiem na drobnej białej twarzy, bardzo niepewnie zbliżała się w stronę miejsca dla świadków.

- Pani Platz, czym pani była w czerwcu 1926 roku?

- Byłam pokojową u pani Bond w Oyster Bay.

- Czy była pani przed tym zatrudniona u pani Ives?

- Tak, sir. Około sześciu miesięcy w 1925 roku. Pracowałam tam na pokojach.

- Czy pani mąż również tam wtedy pracował?

- Tak, sir. Adolf był tam zatrudniony w charakterze, jak by to powiedzieć, pracownika do wszystkiego. Pomagał w paleniu pod kotłem i w ogrodzie, i prowadził mały autokar. Takie rzeczy robił.

- Jak długo była pani zamężna?

- Nie bardzo długo, sir. Niecały rok. - Wargi pani Platz nagle zadrżały.

- Dlaczego opuściła pani dom pani Ives?

- Czy muszę na to odpowiedzieć, sir?

- Bardzo bym chciał usłyszeć odpowiedź. Czy stało się tak dlatego, że była pani niezadowolona z pracy?

- Och, nie, naprawdę to nie dlatego. Nikt na całym świecie nie mógłby chcieć lepiej niż pani Ives. To się stało... to się stało z powodu Adolfa.

- Dlaczego z powodu Adolfa?

- To się stało dlatego... - Pani Platz potrząsnęła rozpaczliwie głową,

usiłując opanować bolesny rumieniec wstydu. - Bardzo nie lubię o tym mówić, sir. Nie jestem zbyt rozmowna.

- Wiem o tym. Ale jedyną rzeczą, która nam może pomóc, to prawda. A wierzę, że pomoże nam pani ją odkryć.

- Tak, sir, pomogę. Wobec tego... stało się to przez to, co Adolf robił z Melanie, pokojówką pani Ives.

- Jak się pani o tym dowiedziała?

- Myślę, że oni chcieli, żebym się dowiedziała - powiedziała żona Adolfa Platza, przy czym w jej łagodnym głosie zabrzmiał nagle twardy ton goryczy. - Kiedy chodziło o nią, zachowywał się zupełnie jak wariat, a nie jak normalny dorosły człowiek. Doprawdy. Dwa razy przyłapałam go, jak ją całował, raz w kredensie i raz z tyłu za garażem. Ale oni chcieli, żebym ich przyłapała.

- Co pani zrobiła po tym odkryciu?

- Pierwszy raz nic. Byłam za bardzo przestraszona, zdenerwowana i zaskoczona. Nie wiedziałam, że mężczyźni tak robią - rozumie pan, mężczyźni, których się poślubiło - mężczyźni, którzy są najlepszymi przyjaciółmi naszego brata, tak właśnie, jak było z Adolfem. Inni mogą sobie tak robić, ale oni nie. Nic nie zrobiłam, tylko w nocy się popłakałam. Ale następnym razem, kiedy ich nakryłam, nie byłam już taka zdziwiona, tylko rozwścieczyłam się jak furia. Wleciałam między nich i wygarnęłam obojgu, co o nich myślę, a potem poszłam prosto do pani Ives i powiedziałam, że odchodzę natychmiast, jak tylko znajdzie sobie kogoś na moje miejsce. I wytłumaczyłam jej, dlaczego to robię. Powiedziałam, że może zatrzymać Adolfa, ale ja odchodzę.

- I co się stało potem?

- Potem pani Ives poszła po Melanie i Adolfa, a oni oboje się wyparli i powiedzieli, że to nieprawda.

- Wysoki sędzieu...
- Obojętne, co kto mówi, pani Platz. Proszę nam tylko powiedzieć, co się wtedy stało.
 - Nie mogę powiedzieć, co się stało, nie mówiąc, o czym rozmawialiśmy. Mówiliśmy wszyscy naraz, rozumie pan, i...
 - Tak, rozumiem. Ale może nam pani tylko powie, co się stało w wyniku tej rozmowy.
 - Adolf i ja odeszliśmy, sir. Po tym wszystkim nie byłabym tam została w żadnym razie. Robić z siebie pośmiewisko dla całej służby, że byłam taka głupia i nie wiedziałam, co się święci! A pani Ives nie chciała trzymać Adolfa beze mnie, wobec czego on też odszedł. Nie było żadnego sposobu, żeby pani Ives doszła, kto z nas mówi prawdę, więc dała sobie z tym spokój, ale w każdym razie tak nagadała Melanie, że...
 - Tak, tak, doskonale, ale co się stało po tym, kiedy odeszła pani od pani Ives?
 - Po tym, sir, było nam bardzo ciężko. Nie byliśmy, rozumie pan, szczęśliwi. Nie mogłam zapomnieć i przez to było nam źle ze sobą. Myślałam, że on także nie mógł zapomnieć. Może zresztą nie chciał.
 - Bardzo mi przykro, pani Platz, ale nie wolno nam wysłuchiwać opinii, jaką sobie pani utworzyła, ani wniosków, do których pani doszła. Chcemy jedynie dowiedzieć się o rzeczywistych faktach, jakie zaistniały. Może pani spróbuje nam je przedstawić?
 - Zawiedzione, zmartwione oczy spojrzały pocziwie w twarz Lamberta.
 - Dobrze, spróbuję, ale to będzie dla mnie dosyć ciężkie, sir. Czego to się pan chciał dowiedzieć?
 - Co pani zrobiła po opuszczeniu domu pani Ives?
 - No cóż, najpierw próbowaliśmy dostać gdzieś pracę razem, ale nie bardzo się nam powiodło w tym miejscu, któreśmy sobie znaleźli. Była

tam rodzina siedmioosobowa i robiliśmy wszystko, i Adolfowi zupełnie się to nie podobało, no więc, jak przyszła wiosna, zdecydował się wziąć pracę ogrodnika na Long Island w Oyster Bay, gdzie szukali samotnego mężczyzny, który by mógł nocować w garażu. Takeśmy to załatwili, że ja miałam wziąć pracę w Locust Valley jako pokojówka i mieliśmy spędzać razem niedziele i czasem wieczory. Ten plan wydawał się całkiem dobry, kiedy go układaliśmy, i potem też było wcale nie najgorzej, dopóki nie dostałam tego listu.

- Nic nam pani nie mówiła o żadnym liście, pani Platz.

- Nie, sir. To prawda, że nie mówiłam. Czy mam o tym też opowiedzieć?

- No, nie chciałbym, żeby pani wybiegała naprzód w swoim opowiadaniu. Zanim będzie pani mówić dalej, chciałbym wyjaśnić pewną sprawę. Kiedy pani mąż objął tę pracę?

- Pierwszego kwietnia 1926 roku. Ja zaczęłam pracować dopiero dwa tygodnie później.

- Czy w tym okresie uważała pani, że mąż opuścił panią na dobre, to znaczy, chcę powiedzieć, że rozszedł się z panią?

- Absolutnie tak tego nie rozumiałam. - W łagodnych oczach pani Platz rozbłysły iskierki. - Przyjeżdżał do mnie co niedziela regularnie jak w zegarku, a oprócz tego raz w tygodniu.

- Czy wspominał coś, że chce panią opuścić?

- Absolutnie nie - chyba wtedy, kiedyśmy oboje byli wściekli i nie bardzo wiedzieliśmy, co mówimy - na przykład, kiedy on mówił, że jak nie przestanę mu dokuczać, to sobie pójdzie i zostawi mnie na lodzie, a ja mówiłam, że nic mi nie sprawi większej przyjemności - wie pan, jak to czasem bywa w małżeństwie.

Lambert pozwolił sobie na chłodny uśmieszek.

- Rozumiem. Czy nikt z państwa nie myślał o rozwodzie?

- Nie, sir, nie myśleliśmy o niczym takim. Rozwody strasznie dużo kosztują, a poza tym minął dopiero rok od naszego ślubu. - Pani Platz dzielnie zatrzepotała jasnymi rzęsami, jej usta wykrzywiły się w słabym, smutnym uśmiechu.

- Więc w okresie, o którym pani mówi, stosunki pani z mężem były dosyć poprawne, tak?

- Tak, sir. Nie mogę się skarżyć. Wszystko było dużo lepiej niż poprzedniej jesieni.

- A co wpłynęło na zmianę tych stosunków?

Pani Platz, na której twarzy pojawił się pałący rumieniec, zdecydowanie utkwiała wzrok w niewielkim pasie podłogi oddzielającym ją od Lamberta.

- To była...

- Proszę troszkę głośniej. Wszyscy chcemy panią słyszeć.

- To ta pokojówka pani Ives. Zażądała, żeby do niej wrócił.

- Skąd pani wie?

- Zaraz panu powiem. - Pani Platz pochyliła się ufnie do przodu. Jak to dobrze, wyczuwało się z jej pełnego zapału, niecierpliwego głosu, jak to dobrze po tylu męczących miesiącach milczenia znaleźć przyjaciela, który wysłucha tej obrzydliwej historii. - To było tak: nadszedł niedzielny wieczór, a on się w ogóle nie pokazał.

- Kiedy to było?

- W niedzielę dwudziestego czerwca, sir. Nie miałam zupełnie pojęcia, co o tym myśleć, ale we wtorek rano dostaję właśnie list od Dolfy, w którym mi pisze...

- Czy ma pani jeszcze ten list?

- Tak, sir.

- Przy sobie?

- Tak, sir.

Pani Platz zdecydowanym ruchem sięgnęła do błyszczącej, ciemnej skórzanej torebki i wydobyla z niej wybrudzony kawałek niebieskiego papieru listowego.

- Czy to oryginał tego listu?

- Tak, sir.

- Pisany ręką pani męża?

- Tak.

- Wysoki sędzie, proszę o zaparafowanie tego listu do identyfikacji, po czym poproszę o włączenie go do dowodów rzeczowych.

- Jedną chwileczkę, wysoki sędzie. Czy mógłbym zapytać, na jakiej podstawie korespondencja państwa Platz ma być włączona do sprawy? - spytał prokurator.

- Jeśli wysoki sąd pozwoli, zaraz wyjaśnię, dlaczego przedstawiam te dokumenty - szybko wtrącił Lambert. - Zostają one przedłożone celem podania w wątpliwość wiarygodności jednego z głównych świadków oskarżenia. Przedłożono ten list po to, by udowodnić w sposób ostateczny i niezbity, że panna Melanie Cordier kłamie, krzywoprzysięga i jest osobą rozbijającą rodzinę. Raz jeszcze wnoszę o włączenie tego listu do dowodów rzeczowych, a później poproszę o włączenie jeszcze jednego.

Sędzia Carver z głębokim niesmakiem popatrzył na skrawek niebieskiego papieru w palcach Lamberta.

- Powiada pan, że to jest dowód, iż świadek dopuścił się krzywoprzysięstwa?

- Tak jest, wysoki sędzie.

- Dobrze. Sąd zezwala na włączenie listu do dowodów.

Prokurator zrobił gest wyrażający głębokie niezadowolenie, szybko jednak zamaskował je wzruszając z rezygnacją ramionami.

- Bardzo proszę, wysoki sędzie, nie wnoszę sprzeciwu.
- Koperta zawierająca list nosi stempel „Atlantic City 20 czerwca 1926” - zauważył Lambert, z namaszczeniem. - A jego treść jest następująca:

Kochana Friedo!

No, myślę, że się zdziwisz, jak dostaniesz ten list i że nie będziesz zadowolona, ale całkiem dobrze to rozumiem. Sprawa tak się przedstawia, że postanowiłem, że będzie lepiej, abyśmy się więcej nie widywali, bo Melanie i ja zdecydowaliśmy, że nie możemy dłużej żyć bez siebie, i ona przyjeżdża do mnie, i ja się nią muszę zająć.

Dlatego nie przyjechałem do Ciebie tej niedzieli, bo byłem w Rosmont zobaczyć się z Melanie, bo ona jest nie najlepiej z panią Ives i strasznie się zdenerwowała tym, że pani Bellamy została zabita, a ona jest bardzo delikatna, więc muszę się nią zająć, żeby dobrze po tym wszystkim wypoczęła.

Mam nadzieję, że nie zmartwisz się bardzo, ale to najlepsze wyjście, jakie jest. Melanie nic nie wie, że piszę do Ciebie, bo ma bardzo zazdrosną naturę i nie chce, żebym do Ciebie pisał, więc po tym liście już nie napiszę, ale chcę, żeby wszystko załatwione było w porządku i jak się należy, bo ja już taki jestem. Nic Ci z tego nie przyjdzie, jak będziesz za mną szukać, więc możesz sobie oszczędzić kłopotu, bo obojętnie, ile razy byś mnie znalazła, i tak nic wrócę do Ciebie. Mam nadzieję, że nie masz do mnie żalu, tak jak ja nie mam do Ciebie.

*Szczerze oddany
Adolf Platz*

- Czy po otrzymaniu tego listu widziała pani kiedykolwiek pana Platz?

- Nie, sir.

- Czy próbowała go pani odnaleźć?

- Nie, sir, nie próbowałam. Ale próbował mój brat Gus. Uparł się, że go znajdzie, i poświęcił wszystkie wolne dni na szukanie go w Atlantic City. Powiedział, że nie ma do niego żadnych pretensji, ale żeby mu sprawiło wielką przyjemność, jakby mu poprzetrzącał kości.

- I zrobił to?

- Och, nie, sir, nie wierzę, żeby kiedykolwiek połamał komuś kości - to znaczy, żeby je dosłownie połamał.

- Miałem na myśli, czy go znalazł?

- Tak, sir, znalazł. W bardzo miłym pensjonacie, co się nazywa „Pod wschodzącym słońcem”.

- Dobrze. A czy była tam razem z nim panna Cordier?

Bezbarwna twarz pokryła się krwistym rumieńcem.

- Tak, sir, była.

- A czy potem miała pani jeszcze jakąś wiadomość od męża, pani Platz?

- Miałam.

- Kiedy?

- We wrześniu. Więcej niż miesiąc temu.

- Ma pani ten list przy sobie?

- Mam, sir. Mam go tutaj.

- Wnoszę o włączenie do dowodów również i tego listu.

- Nie mam sprzeciwu - oświadczył cierpko prokurator. - Byłbym jednak wysoce zobowiązany, gdyby mi pan umożliwił obejrzenie tych listów w czasie przerwy.

- Och, z największą przyjemnością - zawołał z żartobliwą emfazą Lambert. - Będę więcej niż szczęśliwy mogąc to panu umożliwić. Ta koperta nosi stempel „Nowy Jork, 21 września 1926”. A oto treść listu:

Kochana Friedo!

Musisz wiedzieć, że kiedy dostaniesz ten list, będę w drodze do Kanady. Mam pierwszorzędną okazję dostać się tam do samochodowej firmy transportowej, która posiada wszelkiego rodzaju możliwości, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli, i wydaje mi się, że będzie lepiej dla nas wszystkich, jeżeli zacznę nowe życie, jak to się mówi, bo stare nie było wcale takie dobre. Melanie też tak samo myśli, bo ona jest bardzo wrażliwa z powodu tego wszystkiego, co się stało, i także myśli, że będzie dużo lepiej zacząć nowe życie. Ona przyjedzie do mnie, kiedy się skończy ta rozprawa Bellamy'ego, na której ma stanąć jako świadek, co, jak sama przyznasz, jest bardzo nieprzyjemne. Ona nic nie wie, że ja do Ciebie piszę, bo jest ciągle zazdrosna, ale ja sobie pomyślałem, że powinienem Cię zawiadomić o tym ze względu na dawne czasy, jak to się mówi, a także dlatego, żebyś mogła poinformować Gusa, że na nic mu się nie przyda, jak mnie będzie dalej szukał. Pewnie sam to zrozumie, kiedy mu wytłumaczysz, że zacząłem nowe życie w Kanadzie. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w takim porządku jak u mnie.

*Oddany Ci
Adolf Platz*

- Czy po otrzymaniu tego listu miała pani jeszcze jakieś wiadomości od męża?

- Nie, sir.

- A może coś pani o nim słyszała?

- Nie, sir.
- Dziękuję. To by było wszystko. Nie mam dalszych pytań.
- Nie mam pytań - oświadczył obojętnym tonem prokurator i mały, nieszczęsny cień, który był żoną Adolfa Platza, zniknął.

- No tak - powiedział z namysłem reporter do rudowłosej dziewczyny - jedną rzecz trzeba mu przyznać. Wie, kiedy lepiej nie tykać śmierdzącej sprawy.

- Wezwać panią Shea.

- Pani Shea!

Pani Shea zbliżyła się w stronę miejsca dla świadków wojowniczym krokiem; jej odpychającej twarzy bynajmniej nie dodawał uroku ogromny koronkowy turban ozdobiony sporych rozmiarów fiołkami i motylem z dżetów. Rozsiadła się wygodnie, z hałasem postawiła przed sobą na balustradzie czarną, wyszywaną paciorkami torbę i głośno wciągnęła powietrze potężnym nosem.

- Pani Shea, czym się pani zajmuje?

- Prowadzę w Atlantic City pensjonat znany w całym kraju jako najprzyzwoitszy w tym, jak zresztą i w każdym innym mieście oraz posiadający najwytworniejszą i najlepszą kuchnię.

- Dobrze, dobrze, ale proszę odpowiadać ściśle na pytania. Reszta w tej chwili nie ma znaczenia. Czy była pani...

- Będę panu wysoce zobowiązana, jeśli zechce mi pan nie przeszkadzać w mówieniu prawdy - oświadczyła pani Shea podnosząc głos w całkiem nieoczekiwany sposób. - Złożyłam przysięgę, że będę mówiła prawdę, i pragnę ją mówić. Najprzyzwoitszy i...

- Tak, tak, to nie ulega wątpliwości - pośpiesznie wtrącił Lambert. - Ale chciałbym się dowiedzieć, czy była pani w sądzie podczas przestępczego czynu panny Cordier?

- Owszem, byłam. I zapewniam pana, że dużo wody upłynie, zanim ten dzień zapomnę.

- Czy widziała ją pani poprzednio?

- Czy widziałam ją poprzednio? - spytała pani Shea z głośnym, melodramatycznym śmiechem. - Dzień w dzień, prawie przez trzy miesiące, kiedy przewracała oczami i zadzierała nosa, jak tylko człowiek może sobie wyobrazić. Tym bardziej powinna się wstydzić.

- Czy znała ją pani jako pannę Cordier?

- Nie.

- A pod jakim ją pani znała nazwiskiem?

- Pod tym, jakie podała mnie i wszystkim w mieście. Przedstawiała się jako pani Adolfowa Platz.

- Czy ona i pan Platz mieszkali u pani jako małżeństwo?

- A jakże; dość długo żyję na świecie, by wiedzieć, że żaden mężczyzna ze swoją żoną nie będą bez przerwy robili z siebie takiej pary zakochanych gołąbków, jak tych dwoje - stwierdziła ponuro pani Shea. - Ale sądziłam, że są niedawno po ślubie i że to im wkrótce przejdzie.

- Czy pan Platz mieszkał u pani stale?

- Siedem dni i nocy na tydzień.

- Płacił regularnie?

- Płacił.

- Czy sprawiał wrażenie człowieka posiadającego stałe zajęcie?

- Czy ja wiem? Jeżeli nielegalny handel alkoholem nazywa pan stałym zajęciem, to tak.

- Przepraszam, wysoki sędzio - wmieszał się prokurator, który wysłuchiwał tych interesujących zeznań z wyrazem najprawdopodobniej udanego znudzenia. - Nie chcę się zapuszczać w żadne prawnicze rozszczepianie włosa na dwoje, ale nie ulega kwestii, że powinno się zachować jakieś granice, kiedy chodzi o tego rodzaju bezpodstawne

oszczerstwa i insynuacje.

- Czy chce pani powiedzieć, że posiada dowody, iż pan Platz zajmował się takim procederem? - surowo spytał sędzia Carver.

- Dowody, których dostarcza para oczu, uszu i nos - odpowiedziała nie tracąc pewności siebie pani Shea. - Takie chodzenie i przychodzenie i takie zachowywanie się jak...

- Dość tego, pani Shea. Pytanie jest bezsprzecznie nieistotne dla sprawy. Uchylam je. Może pan wnieść sprzeciw, panie Lambert.

Upomniany Lambert rozejrzał się z oburzeniem i dość niepewnie powrócił do swego zdania.

- Czy jest zgodne z prawdą, że stosunek pana Platza do panny Cordier podczas ich pobytu pod pani dachem był stosunkiem przyjacielskim?

- Zgodne z prawdą! - pogardliwie parsknęła pani Shea. - To najpodlejsze kłamstwo najpodlejszej dziewczyny. Przyjaciel, rzeczywiście!

- Dostyc tego, pani Shea - groźnie powtórzył sędzia Carver. - Panie Lambert, proszę dbać o to, żeby pański świadek należycie się zachowywał.

- Właśnie się o to staram - odpowiedział Lambert szczerze i z wielką godnością. - Będę pani wysoce zobowiązany, pani Shea, jeśli zechce pani w swoich odpowiedziach pominąć wszelkie komentarze i charakterystyki. Czy może zechce nam pani podać datę, kiedy po raz pierwszy odkryła pani, że panna Cordier i pan Platz nie są małżeństwem?

- Siedemnastego września.

- Na czym się pani opiera podając tę datę?

- Rzeczywiście ma się pan o co pytać! Czy nie upłynęło sześć lat od czasu, jak umarł Tim Shea, i czy ten szwedzki drągał nie wpadł z rykiem, że tych dwoje to takie samo małżeństwo jak Jackie Coogan i królowa hiszpańska i że wytrzęsie ducha ze swego kochanego szwagierka Adolfa

Platza? I czy nie poszedł i nie zrobił tego, i nie prosząc nikogo o pozwolenie i nie zwracając uwagi na niczyją obecność, i to w najprzyzwoitszym i...

- Pani Shea!

Ton głosu sędziego Carvera przeraziłby Boadiceę.

- Czy to są, jak pan to nazywa, komentarze i charakterystyki? - spytała pani Shea obrażonym tonem. - Boże, miej nas wszystkich w opiece!

- To by było już wszystko, dziękuję, pani Shea - szybko powiedział Lambert. - Nie mam więcej pytań.

- Nie mam pytań - oświadczył prokurator z rzucającą się w oczy porywcznością.

Pani Shea z zakłopotaną, ale groźną miną ruszyła w stronę wyjścia, pozostawiając salę w stanie niepohamowanej wesołości. Nagle wśród gwaru rozległ się podniosły głos Lamberta:

- Panie Bellamy, może zechce pan zająć miejsce dla świadków?

Bardzo spokojnie szedł ten człowiek, który przez tyle dni siedział prawie nieruchomo, dając ludziom możliwość napatrzania się na niego do woli - teraz, kiedy się zbliżał, stwarzał im do tego jeszcze lepszą okazję. Ciemnooki, o cichym głosie, uprzejmy i poważny, wolnym krokiem podchodził do miejsca dla świadków. W sposobie, w jaki trzymał uniesioną głowę, było coś naturalnie szlachetnego, pomyślała rudowłosa dziewczyna. Mordercy nie chodzą z tak podniesioną głową.

- Panie Bellamy, gdzie pan był dziewiętnastego czerwca o dziewiętej trzydzieści?

Przysłowiowa szpilka opuszczona w tej chwili na podłogę narobiłaby wielkiego hałasu w ciszy, jaka zapanowała na zamartej w oczekiwaniu sali.

- W swoim samochodzie na River Road, mniej więcej o milę od Lakedale.

- Nie był pan w pobliżu posiadłości Thorne'ów Sady?
- Nie bliżej niż o dziesięć mil - nie, dwanaście będzie bardziej bli-
skie prawdy.
- Czy oprócz pana w samochodzie znajdował się ktoś jeszcze?
- Owszem. Pani Ives.
- Czy potrafi pan ustalić, która wtedy była godzina?
- Potrafię.
- Poproszę pana o to później. A teraz może zechce nam pan powie-
dzieć, o której godzinie opuścił pan klub podmiejski w Rosemont?
- Myślę, że trochę przed szóstą. Jedliśmy obiad za piętnaście siód-
ma, a moja żona zawsze przebierała się przed obiadem.
- Czy przed odjazdem z klubu zauważył pan pana Farwella rozma-
wiającego z panią Ives?
- Tak. Żona zwróciła mi uwagę, że siedzą na schodach i wydają się
ogromnie zaabsorbowani rozmową.
- W jaki sposób zwróciła panu na to uwagę?
- Powiedziała: „Patrz, El znalazł sobie nową dziewczynę”.
- Czy zrobił pan jakąś uwagę na ten temat?
- Owszem. Powiedziałem: „To czysty zysk dla ciebie, kochanie”. -
Przerwał na chwilę, przy czym jego oliwkowa cera stała się o ton bled-
sza, a zęby głęboko wpijały się w wargi. - Powiedziałem: „To czysty
zysk dla ciebie, ale biedna Sue”.
- Czy zdawał pan sobie sprawę z uczucia, jakim pan Farwell obda-
rzał pańską żonę?
- Gdzieś w głębi tragicznych oczu Stephena Bellamy'ego ktoś
uśmiechnął się uroczo, tolerancyjnie, ironicznie - i zniknął.
- Niemożliwe było nie zdawać sobie z tego sprawy.
- Pan Farwell bynajmniej się z tym nie krył, nawet wobec osób, które

byłoby mu bardzo wdzięczne za trochę większą powściągliwość.

- A pańska żona nie próbowała tego ukrywać?

- Ukrywać? Nie! Nie było absolutnie nic do ukrywania; jego zaślepienie na punkcie Mimi stanowiło publiczną tajemnicę. Śmiała się z tego, ale mimo to myślę, że czasem ją irytowało.

- Czy nigdy nie wspominała o rozwodzie, żeby móc wyjść za pana Farwella?

- O rozwodzie? Mimi? - Jego pełne niedowierzania oczy spotkały się z pytającym wzrokiem Lamberta. Po chwili powiedział wolno i bardzo spokojnie: - Nie, nigdy nie wspominała o rozwodzie.

- A gdyby zażądała rozwodu, wyraziłby pan zgodę?

- Zgodziłbym się na wszystko, o co by mnie poprosiła.

- Byłby pan jednak zaskoczony?

Stephen Bellamy uśmiechnął się zbieleatymi wargami.

- „Zaskoczony” to chyba nie najlepsze określenie. - Widać było, że szuka w myślach jakiegoś bardziej odpowiedniejszego słowa, ale nie znajdując go, pominął to wymownym ruchem rąk. - Byłbym bardziej, no... zdumiony, niż potrafię to wyrazić.

- Więc nie podejrzewał pan, że pańska żona rozważa tego rodzaju ewentualność?

- W żadnym wypadku... - Raz jeszcze opanował się i po krótkiej chwili pochylił się do przodu. - To także brzmi śmiesznie niewystarczająco. Chciałem wypowiedzieć się całkiem jasno i, jak widzę, dotychczas mi się to nie udało. Wierzyłem, że moja żona jest całkowicie szczęśliwa. Rozumie pan, wierzyłem, że mnie kocha.

W tej chwili był tak blady, że mogło to zadowolić najbardziej wymagającego reportera, który poluje na wzruszające sceny, ale jego miły,

spokojny głos nawet nie zadrżał i raczej purpurowy na twarzy Lambert, a nie on, zdawał się być zakłopotany.

- Tak, oczywiście, naturalnie. Chciałem po prostu ustalić fakt, że nie był pan poinformowany przez żonę co do jej... hm... stanowiska wobec pana Ivesa. A teraz, panie Bellamy, proszę nam opowiedzieć całkiem prosto i jak najzwięźlej, co się działo tego wieczoru od chwili, kiedy pan i pani Bellamy skończyliście obiad, aż do momentu, kiedy udał się pan na spoczynek.

- Nie udawałem się na spoczynek.

- Przepraszam bardzo, co?

- Powiadam, że nie kładłem się spać. Sen nie wchodził w ogóle w rachubę, a nie miałem ochoty pójść do naszego... do naszego pokoju.

- Naturalnie, rozumiem. Więc inaczej sformułuję pytanie. Może będzie pan tak dobry opisać nam, co wydarzyło się wieczorem dziewiętnastego czerwca od chwili skończenia przez państwa obiadu, do, powiedzmy, godziny jedenastej?

- Postaram się odpowiedzieć na to, jak potrafię. Boję się tylko, że nie mam zbyt dobrej pamięci, gdy chodzi o szczegóły. Kiedy jechaliśmy z klubu do domu, Mimi powiedziała, że obiecała spotkać się z Conroyami w kinie w Rosemont. Wybierało się więcej osób i spytałem ją, czy po nią wstąpią. Odpowiedziała, że nie, że mają się spotkać w samym kinie, bo nie byłoby już dla niej miejsca w samochodzie. Zaproponowałem, że ją odwiozę, ale, się nie zgodziła i powiedziała, żebym się tym nie martwił, bo musiałbym wracać piechotą, ponieważ ona chce zatrzymać samochód. Zapewniałem ją, że mi to zupełnie nie przeszkadza i że chętnie się przejdę, bo i tak chciałbym kupić w osadzie tytoń i gazetę.

Po obiedzie poszliśmy razem do garażu; starter automatyczny nie funkcjonował dobrze, ale właśnie, kiedy zapaliłem motor, Mimi zwróciła

mi uwagę, że jedna z tylnych opon siadła. Zapytała, która godzina, a kiedy odpowiedziałem, że za pięć ósma, krzyknęła, że nie ma już czasu na wymienianie opony i że jeżeli się pośpieszy, to pewnie jeszcze złapie Conroyów i poprosi, aby ją zabrali, nawet jeżeli będą mieli pełny samochód. Mieszkali pięć minut drogi od nas.

- Na północ czy na południe od pana, panie Bellamy?

- Na północ, już poza osiedlem, w stronę klubu. Chciałem pójść z Mimi, ale powiedziała, że byłoby mi niezbyt zręcznie żegnać się i odchodzić, jakbym już tam przyszedł, i że to przecież tylko pięćminutowy spacer w jasny dzień. No, więc zgodziłem się, żeby poszła sama.

Umilkł i siedział zapatrzony w szczupłą, zgrabną postać odchodzącą od niego coraz dalej, dalej i dalej.

- Czy nie odprowadził pan żony do bramy?

- Nie. Oglądałem oponę próbując znaleźć miejsce, gdzie została przedziurawiona; bardzo mi zależało, żeby ją zreperować, gdybym oczywiście tylko mógł, bo na drugi dzień mieliśmy zamiar pojechać do szkółki drzew w Lakedale i przywieźć trochę roślin do ogrodu - kilka karłowatych bżów, kwitnących migdałów i trochę ligustru na żywopłot, któryśmy... - Urwał nagle i po chwili milczenia powiedział cicho: - Bardzo przepraszam, to nie ma, rzecz jasna, nic wspólnego z tym wszystkim. Chciałem tylko wyjaśnić, że usiłowałem znaleźć tę dziurę w oponie. I znalazłem ją po jakiejś minucie.

- Ustalił pan, co było przyczyną uszkodzenia?

- Owszem. Na oponie znalazłem nacięcie - nieduże nacięcie, długie mniej więcej na pół cala.

- Czy wyglądało to na normalne uszkodzenie?

- Nie jestem specem od opon, ale wydało mi się to dosyć niezwykle.

Nie zastanawiałem się jednak nad tym dłużej, zaciekawiło mnie tylko,

na co mogłem najechać, żeby zrobić taką dziurę. Spieszyłem się, chcąc to naprawić, jak już powiedziałem, i przypomniałem sobie, że widziałem przy bramie Orsiniego, kiedyśmy szli do garażu. Wyszedłem go poprosić, żeby mi pomógł, ale właśnie ruszył drogą w stronę Rosemont. Widziałem go dość długo, jak się szybko oddalał, i przypomniałem sobie, że zwolniliśmy go na ten wieczór. Wróciłem więc do garażu, zdjąłem marynarkę i sam zabrałem się do roboty. Właśnie zdjąłem oponę, kiedy usłyszałem...

- Chwileczkę, panie Bellamy. Czy widział pan jeszcze żonę, kiedy podszedł pan do bramy?

- Nie. Minęło już parę minut, odkąd poszła, a poza tym jakieś dwieście czy trzysta stóp od naszego ogrodu droga opada w dół, więc i tak nie mogłem jej zobaczyć.

- Pańska żona poszła w kierunku Sadów?

- Tak. W stronę Sadów.

- I właśnie tą drogą kursował autobus do Perrytown?

- Tak.

- Proszę mówić dalej.

- Jak już powiedziałem, właśnie mi się udało zdjąć oponę, kiedy usłyszałem, że w bibliotece dzwoni telefon. Rzuciłem wszystko i poszedłem go odebrać, bo w całym domu nie było nikogo.

- Kto to telefonował, panie Bellamy?

- Sue - pani Ives. Chciała się dowiedzieć, czy Mimi jest w domu.

- Czy może nam pan powtórzyć tę rozmowę, oczywiście tak, jak pan ją zapamiętał?

- Proszę. Powiedziałem, że Mimi nie ma, bo pojechała z Conroyami do kina w Rosemont. Pani Ives zapytała, jak dawno wyszła, więc odpowiedziałem, że chyba dziesięć albo piętnaście minut temu. Zapytała, czy jestem pewny, że właśnie tam poszła, a ja odparłem, że jak najbardziej,

i z kolei ja spytałem, co na Boga chce przez to powiedzieć. Oświadczyła, że koniecznie musi się natychmiast ze mną zobaczyć, i spytała, czy mógłbym do niej przyjechać za dziesięć minut. Powiedziałem, że tak prędko nie mogę, bo zmieniam oponę, ale przypuszczam, że za piętnaście, najdalej za dwadzieścia minut będę się mógł zjawić. Poprosiła, żebym się z nią spotkał na tylnej drodze, a potem... tak, potem spytała, czy Elliot mi coś mówił. Powiedziałem: „Sue, na litość boską, o czym ty mówisz?” Zawołała, żebym się niczym nie przejmował, tylko się pośpieszył, czy coś w tym rodzaju, i zanim mogłem coś więcej powiedzieć, odwiesiła słuchawkę.

- Co pan po tym zrobił, panie Bellamy?

- No cóż, przez jakąś minutę w ogóle nie wiedziałem, co robić. Oniemiałem po tym wszystkim. A potem nagle przyszła mi do głowy straszna myśl, że coś się stało z Mimi i że Sue próbuje mnie o tym zawiadomić. Zupełnie oszalałem z przerażenia i pomyślałem, że gdybym mógł telefonicznie złapać panią Conroy, toby oznaczało, że jeszcze nie mogli odjechać albo że może ktoś ze służby widział, jak Mimi nadchodzi, i mógłby mnie upewnić, że wszystko jest w porządku.

W każdym razie zadzwoniłem. Odezwała się Neli Conroy; powiedziała, że Mimi się nie zjawiała, a poza tym, że mówili jej, żeby nie spotykała się z nimi przed ósmą trzydzieści, bo film zaczyna się o pół do dziewiątej. Powiedziałem, że Mimi musiała się pomylić, że prawdopodobnie poszła do kina czy coś takiego, sam już nie pamiętam, co mówiłem. Wiem tylko, że odłożyłem słuchawkę i stałem dosłownie obłany zimnym potem z przerażenia, próbując postanowić, co robić dalej. Sięgnąłem ręką do kołnierzyka, żeby go trochę rozluźnić, i stwierdziłem, że jest zupełnie mokry. Całkiem zapomniałem o Sue. Myślałem wyłącznie o

tym, że coś się musiało stać z Mimi, że może mnie potrzebować, a ja nie mam pojęcia, gdzie jej szukać. A potem nagle uświadomiłem sobie, że Sue kazała mi się spieszyć i że ona będzie mi mogła wszystko wytłumaczyć. Rzuciłem się do garażu i jak furia zabrałem się do zakładania zapasowej opony; nie zajęło mi to więcej niż jakieś osiem minut; do tylnej drogi, gdzie miałem się spotkać z Sue, jechałem najwyżej trzy, cztery minuty. Nie zwracałem większej uwagi na ograniczenie szybkości.

- A gdzie właściwie jest ta droga, panie Bellamy?

- Hm, nie mam pojęcia, czy potrafię to dostatecznie wyjaśnić. To taka boczna droga, która przecina peryferie Rosemont, między główną szosą do Perrytown, rozumie pan, i biegnącą równoległe do niej drugą szosą, mniej więcej pięć mil na zachód, nazywaną River Road, która idzie do Lakedale. Przebiega mniej więcej ćwierć mili od tyłów domu Ivesów.

- Czy zjawił się pan na tej tylnej drodze przed panią Ives?

- Nie. Kiedy przyjechałem, pani Ives już na mnie czekała. Spytałem, czy długo czeka, a ona odpowiedziała, że może minutę, najwyżej dwie. Zaraz potem spytałem, czy coś się stało Mimi. Odpowiedziała: „Co masz na myśli pytając, czy coś się stało?” Wyjaśniłem, że myślę o jakimś wypadku i dodałem, że kompletnie straciłem głowę od chwili, kiedy do mnie zatelefonowała, bo dzwoniłem potem do Conroyów i dowiedziałem się, że Mimi tam nie ma. Sue powiedziała wtedy: „A więc Elliot miał rację!” Kiedy to mówiła, stała obok samochodu, ale w momencie, gdy to powiedziała, szybko rozejrzała się dokoła i usiadła obok mnie. Powiedziała: „Wolałabym, żeby nas w tej chwili nikt nie zobaczył. Jedźmy na River Road. Mimi nic się nie stało, Steve. Poszła do Sadów spotkać się z Patem”. Zupełnie jakby we mnie piorun uderzył, ale równocześnie

odczułem tak nieprawdopodobną ulgę, że jest cała i zdrowa, że głośno się roześmiałem. Może to brzmi śmiesznie, ale tak było. Jeszcze się śmiałem, kiedy Sue mi przerwała: „Nie śmiej się, Steve. Mimi ma romans z Patem - to już się ciągnie całe tygodnie. Oni nas nie kochają, ale siebie nawzajem”. Wtedy się odezwałem: „To wierutne, głupie kłamstwo. Kto ci to powiedział? Elliot Farwell?”

- Czy w czasie tej rozmowy samochód był w biegu?

- Tak, oczywiście. Ujechaliśmy już spory kawałek po tej tylnej drodze. Ruszyłem od razu, kiedy mnie o to poprosiła. Czy mam mówić dalej?

- Proszę.

- Czy życzy pan sobie, żebym powtórzył całą rozmowę?

- Wszystko, co zostało powiedziane na temat stosunków pani Belamy i pana Ivesa.

- Proszę. Powiedziała mi, że to niestety nie jest kłamstwo, że od całych tygodni Mimi i Pat spotykają się w domku ogrodnika w Sadach i że Farwell widział ich nawet, jak tam szli. Powiedziałem, że jest mi najzupełniej obojętne, co widział Farwell, i że nie uwierzę w to tak długo, aż sam tego nie zobaczę. Spytałem, czy Farwell mówiąc to nie był pijany, na co odpowiedziała, że tak - i że gdyby był trochę nie wypił, nigdy by jej tego nie powiedział. Potem spytałem, czy wie, że Farwell ma zupełnie fioła na punkcie Mimi, na co ona odpowiedziała: „Och, Stephen, w każdym razie nie takiego jak ty. Ty, który nawet nie chcesz słuchać prawdy, bo wolisz jej nie słyszeć”. Powiedziałem: „Mogę wysłuchać wszystkiego, co masz mi do powiedzenia, ale prawdą nie jest to, co się słyszy, lecz to, w co się wierzy. A ja nie wierzę, że Mimi mnie nie kocha”.

Spytała: „A gdzie ona jest w tej chwili, Steve?” „W kinie - odpowiedziałem. - Prawdopodobnie spotkała na drodze kogoś, kto ją podwiózł.

Albo może zdecydowała się pójść pieszo prosto do kina, bo wiedziała, że Conroyowie nie będą mieli miejsca”. Na to ona: „Mimi nie jest w kinie, Steve. Czeka na Pata w domku ogrodnika”. Wtedy spytałem: „A czy Pat poszedł się z nią spotkać?” „Nie, tym razem nie poszedł” - odpowiedziała. „Na jakiej podstawie tak sądzisz?” - spytałem. „Nie sądzę, ale wiem”. „Ach, tak - powiedziałem. - Poszedł do Dallasów na pokera, prawda?” Po chwili odezwała się: „Tak, powiedział, że tam idzie. Ale tak się złożyło, że ich planowane na dziś wieczór spotkanie nie doszło do skutku”.

Potem mi powiedziała, że jest przekonana, iż oni mają zamiar razem uciec i dlatego chciała się ze mną zobaczyć, by mi powiedzieć, że jak długo będzie żyła, nie da Patowi rozwodu, i że pomyślała sobie, iż jeśli powiem o tym Mimi, zanim będzie za późno, to może powstrzyma ją to przed jakimś ostatecznym krokiem.

W tym momencie dotarliśmy do River Road i ujechaliśmy już spory kawałek w stronę Lakedale. Powiedziałem: „Sue, jak na dzisiejszy wieczór naopowiadaliśmy już dosyć nonsensów. Powiem ci, co zrobimy. Mamy bardzo mało benzyny - jak dojedziemy do Lakedale, zatankujemy trochę, zawrócimy i pojedziemy z powrotem do Rosemont. Kiedy będziemy przejeżdżać przez osadę, zorientujemy się, czy kino się skończyło, a jeśli nie, możemy z powrotem pojechać do nas i chwilkę zaczekać, zanim Mimi nie wróci. Potem możesz wyłożyć jej tę całą sprawę i przeprosić ją jak dama, kiedy się przekonasz, jaka byłaś niemądra. Zgoda?”

„W porządku - odpowiedziała. - Zgadza się”.

Jechaliśmy dosyć wolno, więc było już dobrze po dziewiątej, kiedy znaleźliśmy się w Lakedale. Przed stacją benzynową stały dwa czy trzy samochody - sobota wieczór, rozumie pan. Sue bardzo chciało się pić,

więc zapytaliśmy człowieka obsługującego stację, czy mógłby jej przynieść trochę wody, co zresztą zaraz zrobił. Zapamiętałem go specjalnie, bo miał najbardziej rude włosy, jakie w życiu widziałem. Zabawiliśmy na tej stacji około dziesięciu minut i kiedyśmy odjeżdżali, popatrzyłem na zegarek. Było dwadzieścia po dziewiątej.

- Czy pański zegarek dobrze chodzi, panie Bellamy?
- Na pewno. Sprawdzam go co dzień na stacji kolejowej.
- Jak długo jedzie się z Lakedale do Rosemont?
- Niecałe pół godziny. To jest około dziewięciu mil.
- A z Lakedale do Sadów?
- Prawie dwanaście mil. Sady są około trzech mil na północ od Rosemont.

- Tak, dobrze. Proszę mówić dalej.

- W drodze powrotnej do Rosemont prawie nie rozmawialiśmy. Przypominam sobie, że Sue pytała, czy przyjedziemy tam, zanim skończy się film, na co odpowiedziałem, że prawdopodobnie tak, ale rzeczywistość stało się inaczej. Przyjechaliśmy do Rosemont za pięć dziesiątą i w kinie było już ciemno. Żadnych samochodów i zamknięte drzwi. Powiedziałem do Sue: „Prawdopodobnie Mimi jest już w domu”. „Jeżeli jej nie ma - odpowiedziała - to wydaje mi się, że moja wizyta u was o tej porze będzie wyglądała dosyć dziwnie”. „Nikt cię nie zobaczy - zapewnilem ją. - Nellie poszła do matki, a Orsini o ósmej piętnaście pojechał do Nowego Jorku”.

Droga z kina do domu zabrała nam zaledwie trzy czy cztery minuty i właśnie w momencie, gdy skręcaliśmy w bramę, Sue odezwała się: „Nie masz racji. W garażu się świeci”. Szybko spojrzałem w tamtą stronę, ale nie zauważyłem ani śladu światła. Roześmiałem się i powiedziałem:

„Nie denerwuj się, Sue, mówię ci, że widziałem, jak szedł do pociągu” - i pomogłem jej wysiąść z samochodu. W hallu się świeciło; otworzyłem drzwi i zawołałem: „Mimi!” Nikt nie odpowiedział i przypomniałem sobie, że później, kiedy wychodziłem, zostawiłem światło zapalone. Powiedziałem: „Chodź. Ona musi być u Conroyów. Zaraz zadzwonię i ściągnę ją tutaj”.

- Na razie wszystko idzie dobrze - powiedział z zadowoleniem reporter. - Jeśli pan Stephen Bellamy nie mówi prawdy, jest tak pełnym fantazji i pomysłowym kłamcą, jakiego jeszcze nie widziałem. No co, lepiej się pani czuje?

- Lepiej niż najgorzej - zapewniła z zapałem rudowłosa dziewczyna.

- Tylko dużo bardziej bym wolała, żeby ta żona Bellamy'ego umarła dawno temu.

- Naprawdę?

- Całkiem naprawdę. Jakieś dwadzieścia lat temu, zanim zaczęła łamać męskie serca. Oczywiście powinno mi być przykro z powodu jej śmierci, ale tak naprawdę to ona nie była wiele warta, co?

- Chyba nie. Kobiety wiele warte przeważnie nie miewają warunków do łamania męskich serc.

- Pan prawdopodobnie nie byłby lepszy niż oni wszyscy - oświadczyła chmurnie rudowłosa dziewczyna i umilkła.

- Na ogół moja wrażliwość jest dosyć wysoko notowana - przyznał reporter ze skromną dumą. - Czy ubiegłej nocy lepiej pani spała?

- Bynajmniej.

- Bardzo przepraszam, czy zechce pani powiedzieć, że po doprowadzeniu mnie do rozpaczy z powodu wydania sześciu dolarów i trzydziestu centów i zmarnowania dwóch godzin i dwudziestu minut bezcennego

czasu na trzęsienie się w wynajętym gruchocie po to, żeby wyleczyć panią z bezsenności, znowu wróciła pani do swego gazowego piecyka, pracowała pani pół nocy i znów nie spała? Czy nie przysięgła pani uroczyście...?

- Nigdy nie jestem uroczysta, nawet kiedy przysięgam. Po dwunastej nie pracowałam, a gdyby pan wydał sześć tysięcy dolarów i tak jeszcze by się to opłacało. To była najmilsza przejażdżka w moim życiu. I właśnie dlatego nie mogłam spać.

- Wykręca się pani pochlebstwem - powiedział krytycznie reporter. - Czy przypadkiem nie jest pani flirciarką?

Rudowłosa dziewczyna przyglądała mu się z zadumą. Po dość długiej chwili namysłu widocznie powzięła decyzję.

- Nie - oświadczyła poważnie. - Nie jestem flirciarką.

- Wobec tego - oświadczył równie poważnie reporter - idę po lunch dla pani. A gdyby tymczasem Sue Ives postanowiła przyznać się temu całemu dziennikarskiemu bractwu, że mimo wszystko to właśnie ona zabiła, nie będzie mnie tutaj; idę po lunch dla pani, ponieważ nie jest pani flirciarką. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

- Owszem. Dziękuję panu - powiedziała rudowłosa dziewczyna.

Z głębokiej zadumy wyrwał ją natarczywy głos reportera:

- Tu są kanapki. O mało nóg nie połamałem próbując przedrzeć się z powrotem przez ten tłum... Och, wielkie nieba, są! Za późno! Niechże pani to schowa!

Rudowłosa dziewczyna z prawdziwą niechęcią schowała kanapki.

- Panie Bellamy - powiedział Lambert z zadowoloną miną - mówią nam pan, że weszliście państwo do domu. Co stało się potem?

- Podszedłem do telefonu i połączyłem się z panią Conroy. Ona sama się zgłosiła; powiedziałem: „Czy mogę zamienić dwa słowa z Mimi, Neil?” „Ależ, Steve, Mimi tu nie ma - odpowiedziała. - Film skończył się wcześniej i czekaliśmy na nią jeszcze dobre pięć minut, chcąc się upewnić, że jej nie ma w kinie. Pomyślałam sobie, że widocznie się rozmyśliła i nie przyszła”. „Tak, najprawdopodobniej się rozmyśliła” - powiedziałem i odwiesiłem słuchawkę. Znowu ogarnęło mnie to samo przerażenie. Czuję, jak przeniknął mnie chłód aż do kości. „Nie ma jej tam - powiedziałem. - Miałaś rację mówiąc, że coś się jej musiało stać”. „Oczywiście, że jej tam nie ma - powiedziała Sue - bo poszła do domku ogrodnika”. „Ale mówiłaś, że Pat nie poszedł. Przecież nie czekałaby na niego dwóch godzin. Może lepiej zadzwonimy do Dallasów i upewnimy się, że on tam jest”.

Zrównoważony, spokojny głos zawahał się, a potem umilkł. Lambert energicznym ruchem postąpił do przodu.

- A co na to powiedziała pani Ives?

- Powiedziała... powiedziała: „Nie, to nie będzie dobrze. Nie ma go u Dallasów, jest w domu”. Wtedy zaproponowałem: „Wobec tego zadzwonimy do niego do domu”. A na to Sue: „Wolałabym tego nie robić. Nie chcę, żeby o tym wiedział, dopóki się nie zdecyduje, co robić dalej. Daję ci słowo honoru, że jest w domu. Wystarczy ci to?” Powiedziałem, że dobrze i że w takim razie zadzwonię na policję i do szpitala zapytać, czy nie doniesiono o jakichś wypadkach. Przypominam sobie, że Sue powiedziała coś, że to przedwczesny alarm, ale że to nie jej sprawa.

Ani na policji, ani w szpitalu nie wiedzieli o niczym.

- Czy podał pan swoje nazwisko?

- Naturalnie. Poprosiłem, żeby skomunikowali się ze mną natychmiast, gdyby się dowiedzieli o czymkolwiek.

- A co potem, panie Bellamy?

- Potem, potem... potem niewiele pamiętam. Wszystko, co było potem, to jeden potworny koszmar. Przypominam sobie, że Sue zaproponowała, byśmy pojechali na wszelki wypadek tą trasą, którą Mimi poszła do Conroyów, bo może jej się gdzieś zrobiło słabo po drodze. Ale to oczywiście nie był dobry pomysł. W końcu zdecydowaliśmy, że do rana nic nie możemy zrobić i że lepiej podwiozę Sue do domu. Zawiozłem ją więc z powrotem do domu...

- Do pańskiego domu?

- Nie, nie, do domu Ivesów. Wysadziłem ją przy frontowej bramie. Nie wjeżdżałem do środka. Poprosiłem, żeby mi dała znać, czy Pat jest w domu, na co mi powiedziała, że jeśli jest, to dwa razy zaświeci światło w gabinecie. Czekałem koło samochodu, jak mi się zdawało, sto lat; po długim czasie zabłyśło światło w gabinecie i zgasło, a potem jeszcze raz zabłyśło i znowu zgasło; wtedy wsiadłem do samochodu i odjechałem.

- Która była w tym momencie godzina, panie Bellamy?

- Nie jestem pewien, chyba za piętnaście jedenasta. Pani Ives spytała, która godzina, kiedy zatrzymaliśmy się przed bramą. I było parę minut po pół do jedenastej.

- Czy pojechał pan prosto do domu?

- Nieprosto... nie. Jeździłem w koło przez jakiś czas, ale nie potrafię panu powiedzieć, jak długo. To zupełnie tak, jakby ktoś usiłował zapamiętać coś z delirium.

- Ale popadł pan w taki stan dopiero po wiadomości, że pani Bellamy nie była w kinie? Przed tym przypomina pan sobie wszystko całkiem dokładnie?

- Jak najdokładniej.

- I jasno zdaje pan sobie sprawę, że w chwili, kiedy popełnione zostało morderstwo, pan i pani Ives znajdowaliście się dobre dziesięć mil od domku ogrodnika w Sadach?

- Raczej dwanaście mil.

- Dziękuję, panie Bellamy. To wszystko. Nie mam więcej pytań.

Prokurator pojawił się na środku areny, w miejscu, gdzie jego ofiara siedziała blada i cierpliwa, krokiem tak nagłym, że wyglądało to raczej na skok. Nie odezwał się ani razu podczas tego długiego, z wysiłkiem przywoływanego z pamięci opowiadania. Dopiero teraz na sali rozległ się jego metaliczny głos, niepokojący i przykuwający uwagę.

- Panie Bellamy, oświadczył pan, że znajdujące się w garażu narzędzia należały do Orsiniego. Czy każdy mógł mieć do nich dostęp?

- Bezwzględnie.

- Czy przed pańskim wyjazdem z domu pani Bellamy zachodziła do garażu?

- Wydaje mi się, że tak. Przypominam sobie, że spotkałem ją wchodzącą do domu w momencie, kiedy schodziłem na obiad, poszedłem na górę umyć ręce. Powiedziała mi, że zaglądała do garażu, bo chciała zobaczyć, czy nie zostawiła w samochodzie paczki z aspiryną i jakimiś drobiazgami, które kupiła w Rosemont. Paczki nie znalazła i prosiła, żebym na drugi dzień zadzwonił do klubu i spytał, czy tam jej nie została.

- Mogła więc bez większego trudu sama zrobić to nacięcie w oponie?

- Mam wrażenie, że tak.
- Ani razu nie sugerowała panu, żeby jej pan towarzyszył do kina lub do państwa Conroyów?
- Nie.
- A kiedy pan jej to proponował, odmawiała twierdząc, że musiałby pan wracać piechotą, że byłoby panu niezręcznie opuszczać towarzystwo i tak dalej?
- Owszem. Moja żona wiedziała, że oglądanie filmów szkodzi mi na oczy, i nigdy mnie nie namawiała...
- Nie, nie, to nas nie interesuje, panie Bellamy. Proszę ograniczyć się do odpowiedzi „tak” lub „nie”, jeśli to możliwe. To uprości zadanie i panu, i mnie. Więc pańska żona mogła uszkodzić tę oponę, żeby nie był pan w stanie jej towarzyszyć, tak?
- Tak.
- A teraz, panie Bellamy, chciałbym to wyjaśnić w sposób jak najbardziej dokładny. Twierdzi pan, że o pół do dziewiątej znajdował się pan na River Road, dwanaście mil od Sadów. Ma pan na myśli dwanaście mil na drodze łączącej Rosemont i Perrytown?
- Tak.
- Na tej samej trasie, którą pan jechał uprzednio?
- Tak.
- Ale wie pan, oczywiście, że istnieje tam jeszcze druga, krótsza droga z Lakedale do Sadów, prawda?
- Owszem, wiem. Ale nie zdawałem sobie sprawy, że jest znacznie krótsza.
- No, więc dla pańskiej informacji mogę powiedzieć, że jest krótsza mniej więcej o trzy mile. Czy może nam pan opisać tę drogę?
- Obawiam się, że nie najlepiej. Zupełnie jej nie znam. Przypuszczam, że chodzi panu o drogę, którą jechał tego wieczoru pan Thorne, o tę

drogę prowadzącą na tyły Sadów.

- Pańskie przypuszczenie jest całkowicie słuszne. Proszę nam teraz powiedzieć, którędy się na nią wjeżdża.

- Jak już zaznaczyłem, nie jestem pewny, czy potrafię. Wydaje mi się, że jedzie się wzdłuż River Road aż do momentu, kiedy trzeba skrócić na dość wąską boczną drogę, która dochodzi do tylnych bram Sadów. Mam wrażenie, że to jest droga prywatna kończąca się w majątku.

- Jak się nazywa?

- Tego też nie jestem pewien, ale chyba coś takiego jak Ścieżka, Droga czy Aleja Thorne'a - jestem prawie pewny, że w jej nazwie występuje nazwisko Thorne.

- O, tego jest pan pewny, mimo że nigdy nie był pan nawet w pobliżu tej drogi!

- Widocznie źle mnie pan zrozumiał. Nigdy nie powiedziałem, że nie byłem w pobliżu tej drogi. Jeśli chodzi o ścisłość, przejeżdżałem tamtędy kilkakrotnie - w każdym razie dwa lub trzy razy na pewno.

- I chce pan nam wmówić, że nie ma pan pojęcia ani jak się nazywa, ani jakie są na niej odległości?

- Naturalnie. Wiele lat upłynęło od czasu, kiedy tamtędy przejeżdżałem - chyba z dziesięć. Było to w okresie, kiedy często bywałem w Sadach, jeszcze za życia pana Thorne'a seniora.

- I od tego czasu pan tamtędy nie jechał?

- Nie. To nie jest dobra droga dla kogoś, kto nie jedzie do Sadów. Praktycznie biorąc to ślepa aleja.

- Raz jeszcze muszę pana prosić o powstrzymanie się od dawania ocen i wyjaśnień. Właściwą odpowiedzią na to pytanie jest „nie”. Niemniej pozostaje faktem, że istnieje dogodny skrót do Sadów, o którym nie uważał pan za stosowne nam powiedzieć.

Stephen Bellamy uśmiechnął się słabo. Miłym, ironicznym uśmiechem, tak dziwnie obojętnym, że aż zbijającym z tropu.

- Obawiam się, że nie będę mógł odpowiedzieć na to ani tak, ani nie - i jedno, i drugie nie byłoby ściśle. Zupełnie zapomniałem o istnieniu tej drogi.

- Zupełnie pan zapomniał, tak? A czy pani Ives również zapomniała?

- Nic na ten temat nie wiem.

- Panie Bellamy, czy droga, którą pan jechał z panią Ives w wieczór popełnienia morderstwa, chcąc się dostać do Sadów, nie jest znana jako Aleja Thorne'a?

Stephen Bellamy lekko zmarszczył czoło. Widać było, że się zastanawia.

- Przepraszam, o co panu chodzi?

- Czy w wieczór popełnienia morderstwa nie jechał pan do Sadów Aleją Thorne'a?

- Z całą stanowczością twierdzę, że nie jechaliśmy tą drogą. Chyba już wyjaśniłem, że nie jechałem tamtędy, od dziesięciu lat.

- Słyszałem pańskie wyjaśnienie. A może zechce nam pan teraz łaskawie wytłumaczyć, dlaczego pan tamtędy nie pojechał?

- Dlaczego? - bezmyślnie powtórzył Stephen Bellamy.

- Tak. Dlaczego będąc tak bardzo niespokojny, czy żonie nie stało się nic złego, nie pomyślał pan, żeby pojechać do domku ogrodnika, gdzie według pańskiego przekonania miała się spotkać z innym mężczyzną?

- Nie byłem przekonany o niczym podobnym. Byłem najgłębiej przekonany, że pan Ives nie pojechał na to spotkanie. Ani nie niepokoiłem się o żonę podczas jazdy z panią Ives. Wierzyłem, że po prostu poszła do kina.

- Doskonale. Wobec tego, czemu w momencie, kiedy się pan dowiedział, że nie ma jej w kinie, nie pojechał pan do domku ogrodnika?

- Pani Ives dała mi słowo honoru, że jej mąż jest w domu. Obydwojgu nam wydawało się nieprawdopodobne, żeby mogła tam na niego czekać dwie godziny.

- Ach tak. Obojgu państwu wydawało się nieprawdopodobne, żeby mogła czekać? Mam wrażenie, że chce pan, abyśmy uwierzyli, iż tak całkowicie wierzył pan w uczucie swojej żony; że był pan najgłębiej przekonany, iż noga jej nigdy nawet nie stanęła w pobliżu tego domku.

- Ja... - pobladłe wargi zacisnęły się zdecydowanie - nie wierzyłem, żeby tam mogła być. To było zwykłe przypuszczenie, które powziąłem w rozpaczliwej sytuacji - beznadziejna próba przekonania samego siebie, że może mimo wszystko nic się jej nie stało.

- Czy pocieszyłaby pana wiadomość, że nic się jej nie stało i że jest w domku ogrodnika z panem Ivesem?

- Dałbym dziesięć lat życia, gdybym się przekonał, że jest bezpieczna i szczęśliwa w jakimkolwiek miejscu na świecie.

- A czy honor nie miał dla pana żadnego znaczenia?

- Mój honor? A cóż honor ma z tym wspólnego?

- Czy nie wydaje się panu, że kiedy żona zdradza męża, jego honor zostaje splamiony i powinno się go pomścić?

- Nie wierzę w nic podobnego. Mój honor może zostać splamiony jedynie przez moje własne postępowanie, a nie przez uczynki kogokolwiek innego.

- Byłby się pan zgodził na odejście żony z kochankiem i udzieliłby jej pan swego błogosławieństwa?

- Tego nie powiedziałem - spokojnie odrzekł Stephen Bellamy.

Sędzia Carver pochylił się szybko do przodu.

- Pan Bellamy ma całkowitą rację - oświadczył surowo. - Nie powiedział nic podobnego.

- Bardzo żałuję, że widocznie źle zrozumiałem świadka - powiedział prokurator ze złowrogą uległością. - Byłby pan jej w tym przeszkadzał?

- Byłbym ją błagał, żeby spróbowała być szczęśliwa ze mną.

- A gdyby się to nie udało, byłby jej pan przeszkadzał?

- W jaki sposób mógłbym to zrobić?

Prokurator postąpił krok do przodu i zniżył głos do

tego dziwnego tonu, który brzmi donośniej niż bojowy okrzyk.

- Bardzo prosto, panie Bellamy. Tak prosto jak człowiek, który wbijając nóż w serce Madeleine Bellamy przeszkodził jej połączyć się z kochankiem. Widzi pan, jak prosto.

Młotek sędziego Carvera opadł z łoskotem.

- Proszę o skreślenie tej uwagi z protokołu!

- Nie ja wbiłem ten nóż w jej serce - powiedział Bellamy. Jego głos brzmiał równie złowieszczo i dobitnie jak głos prokuratora.

- Ale nie podniósł pan ręki, żeby przeszkodzić zadaniu ciosu?

- Nie podniosłem ręki, bo mnie tam nie było.

- Nie podniósł pan ręki?

- Wysoki sędzie!

Spojrzenie Stephena Bellamyego spokojnie zwróciło się w stronę krzyczącego, rozgorączkowanego Lamberta.

- Proszę, może jednak ja odpowiem. Już raz powiedziałem, że mnie tam nie było, panie Farr. Gdybym tam był, z największą przyjemnością oddałbym życie - niech mi pan wierzy - żeby zapobiec temu, co się stało.

Prokurator zwrócił twarz, na której malowało się wyraźne niedowierzanie, w stronę obojętnego oblicza sędziego Carvera.

- Wysoki sędzie, prosiłbym o skreślenie tego z protokołu, bo odpowiedź tendencyjnie mija się z pytaniem.

- Nie odpowiada ściśle na pytanie, to fakt - przyznał beznamiętnie sędzia Carver. - Jednakże sąd stoi na stanowisku, że właściwą odpowiedź otrzymał pan uprzednio. Widocznie więc domagał się pan dalszego wyjaśnienia. Odpowiedź może pozostać w protokole.

- Zgadzam się z opinią wysokiego sądu - oświadczył prokurator tonem tak dalekim od uległości i szacunku, że sędzia przyjrzał mu się bacznie. - Panie Bellamy, czym uzasadniła pani Ives swoje twierdzenie, że jej mąż jest w domu?

- Nie podała mi żadnego uzasadnienia; dała mi tylko słowo honoru.

- A pan nie domagał się bliższych wyjaśnień?

- Nie. Uważałem jej słowo za lepsze niż jakiegokolwiek zapewnienia, że ona...

- Wysoki sędzie, kilkakrotnie prosiłem świadka, żeby ograniczył się do odpowiedzi „tak” lub „nie”. Z całym należnym szacunkiem proszę, by sąd zechciał poinstruować go w tym kierunku.

- Proszę się ograniczać, o ile to możliwe, do bezpośrednich odpowiedzi, panie Bellamy. Nie wolno panu wdawać się w żadne wyjaśnienia.

- Tak jest, wysoki sędzie.

- Czy nie było mowy o przejętym liście?

- Nie.

- Całkowicie panu wystarczyło, że pani Ives w jakiś tajemniczy sposób może być pewna, że jej mąż przez cały wieczór nie wychodził z domu?

- Tak.

- Ale w pewnym momencie to pańskie przeświadczenie się rozwiązało?

- Nie rozumiem pana.

- Postaram się wyrazić jaśniej. W chwili, kiedy zajechał pan przed dom państwa Ivesów - a mówił pan, zdaje się, że nastąpiło to około pół do jedenastej - pańska wiara w nieomyślność pani Ives zmalała tak bardzo, iż zaproponował pan, żeby dała znak, czy jej mąż rzeczywiście jest w domu.

- Mam wrażenie, że ona to zaproponowała.

- Ona. Po tym, jak panu dała słowo honoru, że mąż nie opuścił domu?

- Tak.

- Czy życzy pan sobie, żeby to była pańska ostateczna wypowiedź w tej kwestii?

- Proszę się jeszcze wstrzymać. - Stephen Bellamy zrobił nagle wrażenie człowieka całkowicie wyczerpanego długim biegiem. - Powiedziałem już, że od chwili, kiedy się przekonałem, iż Mimi nie poszła do kina, nie najlepiej sobie przypominam, co się działo. Staram się to odtworzyć - tak wiernie, jak tylko potrafię. Krótco po tym, kiedy wyszliśmy z domu - to znaczy po dziesiątej - i zanim przyjechaliśmy do domu Ivesów, nadmieniałem, że może jednak się pomyliła i że może mimo wszystko Pat poszedł na to spotkanie z Mimi. Sue odpowiedziała, że nie mogła się pomylić i że w każdym razie nie odważyliby się zostać w domku ogrodnika tak długo nie zgadzałoby się to z ich bajką o pójściu do kina. Wtedy powiedziałem, że może jednak miała rację mówiąc o ich planowanej ucieczce. Może właśnie zrobili to dziś wieczór. Na to ona powiedziała: „Steve, mówisz, jakbyś chciał, żeby tak się stało”. „Proszę Boga, aby tak było” - odpowiedziałem. „Wiem, że Pat nie wychodził - powiedziała - ale jak przyjedziemy do domu, dam ci znać ostatecznie”. Właśnie wtedy zaproponowała, że zaświeci te światła.

- I to wszystko przypomina pan sobie dokładnie, prawda, panie Bellamy?

- Tak.

- To bardzo wygodne przypominać sobie wszystkie te szlachetne szczegóły, jak to pan prosił Boga, żeby się okazało, że oni uciekli, prawda?

- Nie sądzę, aby to było specjalnie szlachetne czy wygodne. To jest po prostu prawda.

- Och, nie ulega kwestii. Panie Bellamy, o której godzinie...

- Wysoki sędzie, protestuję przeciwko tym drwinom i kpinom, na jakie pan Farr bez przerwy sobie pozwala... Ja...

- Po prostu stwierdzam, że pan Bellamy niewątpliwie mówi prawdę - oświadczył prokurator niebezpiecznie łagodnym tonem. - Czy sądzi pan, że tu musi być sarkazm?

- Uważam pański ton po prostu za skandaliczny. Protestuję...

- Byłoby lepiej nie robić na temat odpowiedzi świadka żadnych uwag ani pochlebnych, ani niepochlebnych - zauważył sędzia Carver. - Czy są jeszcze jakieś pytania dla świadka?

- Nie, wysoki sędzie. Nie pozwolono mi dokończyć przesłuchania.

- Proszę, może je pan kończyć. - W pięknym głosie sędziego zabrzmiała nutka zgryźliwości.

- Panie Bellamy, o której godzinie wrócił pan do swego domu, po pożegnaniu się z panią Ives?

- Nie wiem.

Głos Stephena Bellamy'ego był zmęczony do granic zubożenia.

- Nie wie pan?

- Nie. To wszystko był jeden koszmar. A czas w koszmarach nie odgrywa wielkiej roli.

- Dobrze. A czy stan, w którym się pan znajdował, pozwalał panu

ustalić, czy to było po dwunastej?

- Sądzę, że później.
- Po pierwszej?
- Później.
- Skąd pan wie, że później?
- Nie wiem, ale prawdopodobnie stąd, że niebo pojaśniało.
- Chce pan powiedzieć, że zaczynało świtać?
- Tak mi się wydaje.
- Twierdzi pan, że jeździł pan aż do świtu?
- Powiadam panu, że nie wiem, co robiłem; wszystko co się działo,

przypominało koszmarny sen.

- Panie Bellamy, dlaczego nie pojechał pan do domu przekonać się, czy pańska żona nie wróciła?

Po raz pierwszy w oczach utkwionych w prokuratora zamigotało wahanie.

- Co?
- Sądzę, że mnie pan słyszał.
- Chce pan wiedzieć, dlaczego nie wróciłem do domu?
- Właśnie o to mi chodzi.
- Nie wiem. Prawdopodobnie dlatego, że w mniejszym czy większym stopniu straciłem głowę.
- Był pan bardzo niespokojny, co się stało z żoną, prawda?
- Niespokojny!

Zesztywniałe wargi ułożyły się w grymas, który przypominał straszliwy uśmiech.

- I mimo to od godziny jedenastej nie pojechał pan do domu sprawdzić, czy nie wróciła albo czy jej nie odwieziono?

- Nie.
- Nie telefonował pan na policję?

- Mówiłem już panu, że telefonowałem.
- Ani do szpitala?
- Tam też dzwoniłem.
- Gdzie mieli panu dać znać, gdyby otrzymali jakąś wiadomość?
- Do domu.
- Jak miał pan odebrać tę informację - tę tak niesłychanie ważną informację - jeśli włączył się pan w samochodzie po okolicy?
- Nie wiem.
- Nie był pan ciekaw, czy żona umarła, czy żyje?
- Byłem.
- W takim razie, dlaczego nie wrócił pan do domu?
- Powiedziałem już, że nie wiem.
- Nie znajduje pan lepszej odpowiedzi?
- Nie.
- Zobaczmy, czy nie mógłbym panu w tym pomóc. A czy może nie wracał pan do domu i nie dzwonił pan na policję ani do szpitala dlatego, że doskonale zdawał pan sobie sprawę, iż wszelkie informacje, jakich ktokolwiek mógłby panu udzielić, byłyby zbyteczne?

Stephen Bellamy utkwiał intensywne spojrzenie zmęczonych oczu w sardonicznie uśmiechniętej twarzy oddalonej od niego zaledwie o kilka cali.

- Przepraszam, ale nie rozumiem, co pan ma na myśli.
- Czyżby? Zaraz spróbuję to wyjaśnić. Czy powodem, dla którego nie wrócił pan do domu, nie był prosty fakt, iż wiedział pan, że pańska żona leży zbroczona krwią i martwa w opuszczonym domku oddalonym o trzy mile?

- Och, na litość boską! - Na ten stłumiony, nabrzmiały rozpaczą okrzyk sporo ludzi na sali z ciężkim westchnieniem odwróciło wzrok, aby nie patrzeć na wyraz brzydkiego triumfu, jaki pojawił się na zimnej

twarży prokuratora. - Nie wiem, już powiedziałem, że nie wiem. Byłem półprzytomny; nie myślałem o żadnych powodach, nie myślałem o niczym poza tym, że nie ma Mimi.

- Czy to pańska najlepsza odpowiedź?

- Tak.

- A o której godzinie następnego ranka dowiedział się pan o zamordowaniu żony?

Powoli, z namysłem, przebijając się cal po calu do wąziutkiej barierki opanowania, która leżała pomiędzy nim a zagładą, Stephen Bellamy podniósł umęczony głos i znużone oczy.

- Myślę, że koło jedenastej.

- Kto pana zawiadomił?

- Zdaje się, że posterunkowy policji.

- Pamięta pan jego słowa?

- Powiedział, że znaleziono ciało pani Bellamy w pustym domku na terenie posiadłości Thorne'a i że chociaż zwłoki już zidentyfikowano, komenda uważa za wskazane, bym przyjechał to potwierdzić. Odpowiedziałem, że natychmiast tam będę.

- I pojechał pan?

- Tak.

- Widział pan ciało?

- Tak.

- Rozpoznał je pan?

- Tak.

- Zwłoki były ubrane?

- Tak.

- W tę suknię, panie Bellamy?

I znowu w sposób całkiem niewiarygodny ta poplamiona, zeszywniała suknia, ozdobiona niegdyś zwiewnymi fałdkami i koronkami, powiewała nad miejscem dla świadków w zasięgu wysmukłej, pięknej ręki

Stephena Bellamy'ego. Po pierwszym mimowolnym cofnięciu się w tył siedział bez ruchu, z nienaturalnie rozszerzonymi oczyma.

- Tak - powiedział.

- I w te pantofelki?

Lekko jak motyle przysiadły na czarnej balustradzie otaczającej miejsce dla świadków, takie małe, wesołe, niedorzeczne, lśniące srebrem i błyszczącymi sprzączkami. Człowiek za balustradą skierował na nie nieprzytomny wzrok. Po chwili jego ręka wysunęła się do przodu wolnym, wahającym ruchem, palce lekko, niemal pieścizliwie dotknęły jakby przyrdzewiałego srebra, a potem zacisnęły się na nich, chcąc im zapewnić schronienie i obronę.

- I w te pantofle - powiedział Stephen Bellamy.

Gdzieś w tyle sali jakaś kobieta załkała głośno,

histerycznie, ale on nie podniósł oczu.

- Panie Bellamy, kiedy wszedł pan do pokoju, ciało leżało na lewo czy na prawo od pianina? - zapytał zadziwiająco łagodnie prokurator.

- Na lewo.

- Jest pan tego zupełnie pewny?

- Najzupełniej.

- Wielki Boże! - szepnął reporter z przejęciem. - Wpadł!

- To bardzo dziwne, panie Bellamy, że jest pan tego tak pewny - oświadczył prokurator jeszcze łagodniej. - W pokoju, gdzie pana przy prowadzono, żeby pan obejrzał ciało, nie było pianina.

- Co?

Pochylona głowa szarpnęła się tak gwałtownie do tyłu, jakby bicz nad nią świsnął.

- W jadalni, do której przeniesiono ciało, nie było pianina, panie Bellamy. Pianino stało w saloniku, po drugiej stronie hallu, tam gdzie ciało zostało pierwotnie znalezione.

- W takim razie musiałem je widzieć, kiedy tam wszedłem, i jakoś mi się wszystko pomieszało.

- Obawiam się, że wszedłszy tam nie mógł go pan widzieć. Drzwi do saloniku były zamknięte na klucz, żeby nikt nie mógł tam niczego ruszyć.

- No tak, w takim razie... w takim razie musiałem to sobie zapamiętać z mojej poprzedniej bytności.

- Z poprzedniej bytności? Przecież nigdy pan w tym domku nie był!

- Nie, tego nie powiedziałem. Nigdy nie mówiłem czegoś podobnego. - Zrozpaczony głos podniósł się nieznacznie. - Nie mogłbym tego powiedzieć, bo to nieprawda. Bywałem tam dosyć często, ale całe lata temu, kiedy przychodziłem bawić się z Dougiem Thorne'em, jak byliśmy małymi chłopcami. Kilkaset stóp od tego domku była altana i bardzo często biegaliśmy po chleb z dżemem i ciastka do starego Niemca ogrodnika. Doskonale to sobie przypominam i właśnie chyba to musiało mnie zmylić.

- Ale stary Niemiec ogrodnik nie miał pianina - cierpliwie wyjaśnił prokurator. - Czy nie przypomina pan sobie, że Orsini najwyraźniej powiedział, że ten włoski ogrodnik kupił pianino dla swojej córki tuż przed wyjazdem do Włoch? To nie mógł być stary niemiecki ogrodnik.

Rudowłosa dziewczyna wyplakiwała się cichutko w chusteczkę, której rozmiary w żaden sposób nie nadawały się do tego celu.

- Okropna, głupio uśmiechnięta, obrzydliwa bestia! - zawołała szepem. - Okropna...

- Nie? - ciągnął straszliwie umęczony głos. - W takim razie musiała mi o tym mówić Mimi. Ona...

- Pani Bellamy? - W uspokajającym głosie brzmiała słaba nutka wyrzutu. - Pani Bellamy powiedziała panu, że jej ciało leżało na lewo od pianina, kiedy pan wszedł do tego pokoju? Widzi pan, tu nie chodzi o pianino, obawiam się, że wszystko trochę się panu pomieszało. Chodzi o pozycję zwłok w stosunku do pianina. Zupełnie dobrze określił pan ich położenie - oczywiście - zupełnie dobrze. Ale czy nie zechce nam pan powiedzieć, skąd pan był tego taki pewny?

- Proszę zaczekać - powiedział Stephen Bellamy wyraźnie akcentując słowa. - Ma pan całkowitą rację twierdząc, że wszystko mi się pomieszało. Sam sobie doskonale zdaję sprawę, że wszystko, co mówię, nie ma większego sensu. Jest tak głównie dlatego, że nie spałem od Bóg wie kiedy, a jak człowiek nie śpi...

- Panie Bellamy, bardzo mi przykro, ale nie mogę się zgodzić na dalsze rozwijanie tej kwestii. Czy zechce pan odpowiedzieć na moje pytanie?

- Nie potrafię na to odpowiedzieć. Ale mogę panu oświadczyć, panie Farr, mogę oświadczyć, i niech Bóg będzie mi świadkiem, że Susan Ives i ja nie mieliśmy z tym morderstwem więcej wspólnego niż pan. Ja...

- Wysoki sędzie! Wysoki sędzie!

- Niech pan zamilknie! - Głos sędziego Carvera zabrzmiał bardziej władczo niż łoskot jego młotka. - Pan się całkowicie zapomina. Proszę o skreślenie z protokołu tego zdania. Panie Lambert, może pan zechce wpłynąć na swego świadka. Uważam tę całą historię za wysoce niewłaściwą.

Lambert, wybladły cień swego własnego rumianego ja, uniósł się z ociąganiem z miejsca, na którym siedział osłupiały przez kilka ostatnich, zdających się nie mieć końca minut.

- Proszę wysoki sędzie o pobłażanie dla świadka.

Zeznawał dzisiaj wbrew wyraźnemu zakazowi lekarza, który oświadczył, że pan Bellamy znajduje się na granicy całkowitego załamania nerwowego. Ponieważ zbliża się czwarta, wnoszę o ogłoszenie przerwy do jutra; jutro pan Bellamy będzie mógł znowu zeznawać, jeśli prokurator zechce kontynuować przesłuchanie.

Sędzia Carver marszcząc brwi pochylił się do przodu.

- Jeśli wysoki sąd pozwoli - wtrącił prokurator wspaniałomyślnie - nie będzie to wcale potrzebne. Skończyłem z panem Bellamy i jeśli mój przyjaciel nie życzy sobie ponownie go przesłuchiwać...

- Nie mam żadnych dalszych pytań - głucho oświadczył Lambert, patrząc na wyczerpaną i pełną rozpaczny twarz przed sobą. - To będzie już wszystko, panie Bellamy.

- Jeżeli wysoki sąd nie ma zastrzeżeń - odezwał się prokurator gładkim, świeżym głosem - świadek, o którym wczoraj wspomniałem, znajduje się w sądzie. Wciąż jeszcze pozostaje pod opieką lekarską, spędził jednak nadspodziewanie dobrze noc i nic nie stoi na przeszkodzie, żeby mógł złożyć zeznania; prawdę powiedziawszy, nawet pragnie to zrobić, ponieważ ma wyjechać na odpoczynek najszybciej, jak to będzie możliwe. Jego zeznania potrważą dosłownie kilka chwil.

- Dobrze, niech zajmie miejsce dla świadków.

- Wezwać doktora Barretti.

- Doktor Gabriel Barretti!

Doktor Barretti, bardziej podobny do wybitnego dyplomaty niż najwybitniejszy z dyptomatów, wspiął się na miejsce dla świadków z ostrożnością człowieka, który dopiero co podniósł się ze szpitalnego łóżka, i usiadł wygodnie na niewygodnym krześle. Niewielki, krótko przycięty szpakowaty wąsik, piękna głowa o szpakowatych włosach, nosząca lekki ślad szpitalnej bledości, z czym było mu raczej do twarzy,

błyszczące oczy ukryte za *pince-nez* na wążutkiej, prawie niewidocznej czarnej tasiemce i maleńki płomyczek rozetki Legii Honorowej tkwiący dyskretnie w klapie marynarki - doktor Barrett w niczym nie przypominał domowego lekarza. Zwrócił się w stronę prokuratora z poważnym, pełnym uprzejmości zainteresowaniem.

- Doktorze Barrett, czym pan jest z zawodu?

- Wydaje mi się, że bez zbytej zarozumiałości mogę się przedstawić jako ekspert w dziedzinie daktyloskopii.

- I jako największa obecnie światowa powaga w tej dziedzinie, prawda, doktorze?

- Nie jest mi najrzęczniejszym przyznawać panu rację, sir. Mógłbym wymienić sporą listę osób, które się ze mną nie zgadzają.

- Niemniej fakt pozostaje faktem. Od jak dawna zajmuje się pan daktyloskopią?

- Od trzydziestu dwóch lat stanowi to zarówno moje zajęcie, jak i hobby.

- Czy w tej chwili współpracuje pan oficjalnie z jakąś instytucją?

- Tak. Jestem bardzo ściśle związany z pracami Centralnego Biura Identyfikacji w Nowym Jorku i z pracami Biura Armii i Marynarki Wojennej w Waszyngtonie.

- W obu tych instytucjach jest pan zapewne najwyższym autorytetem?

- Mam wrażenie, że tak. Jestem równocześnie oficjalnym konsultantem Scotland Yardu i paryskiej Sûreté.

- Tak jest. Czy przy ustalaniu tożsamości za pomocą daktyloskopii zachodzi możliwość pomyłki?

- Jeżeli ma się do czynienia z względnie wyraźnym odciskiem i odczytuje go dobrze wyszkolony i uczciwy ekspert, możliwość pomyłki jest nie do pomyślenia.

- Czy istnieją odciski identyczne?
- Nie. Nigdy dwa odciski nie mogą być idealnie takie same. Siła, z jaką przyciśnięto palec, oraz temperatura ciała powodują niesłychanie drobne różnice.

- Ale nie wpływa to ujemnie na możliwość stwierdzenia tożsamości?

- W równej mierze, jak nie mogłoby zmienić faktu, że to jest pański głos, gdyby go pan zniżał lub podnosił.

- Doskonale. A teraz, doktorze Barretti, może zechce pan zidentyfikować te dwa zdjęcia i powiedzieć nam, co one przedstawiają.

Doktor Barretti ujął dwa duże kwadraty tektury pokryte złowieszczymi czarnymi plamami i zaczął je z powagą studiować. Sędziowie przysięgli z nagłym zainteresowaniem gwałtownie przysunęli się na skraj krzesel.

Spoza ramienia prokuratora rozległ się stary, trzęsący się głos - głos Dudleya Lamberta; w tej chwili pozbawiony swej poprzedniej mocy jak przedziurawiony bęben.

- Jedną chwileczkę, jedną chwileczkę! Czy mam to rozumieć w ten sposób, że chce pan te zdjęcia włączyć do dowodów rzeczowych?

- Nie wiem, co pan rozumie, a czego pan nie rozumie - zauważył z irytacją prokurator. - Rzecz jasna, że zamierzam to zrobić natychmiast po zaparafowaniu ich w celach identyfikacji. A więc, doktorze Barretti...

- Zdjęcia przedstawiają dwa zestawy linii papilarnych, powiększonych jakies pięćdziesiąt do sześćdziesięciu razy - zarówno fotografie jak i powiększenia opatrzone są w lewych dolnych rogach inicjałami moimi i fotografa.

- Czy oba zestawy zrobiono w tym samym czasie?
- Fotografie wykonano w tym samym czasie.
- Nie, nie, chodzi mi o same odcisku palców.

- Nie. W zupełnie różnych okresach. Zestaw prawy jest fotografią oficjalną, sporządzoną specjalnie dla naszego archiwum, natomiast lewy, czasami zwany odciskiem przypadkowym, zdjęty został z powierzchni pewnego przedmiotu w zupełnie innym czasie.

- Czy odciski były wyraźne?

- Zdumiewająco. Mogę chyba bez przesady powiedzieć, że były to piękne odciski.

- Czy na każdym odcisku jest pięć palców?

- Na oficjalnym zdjęciu jest pięć palców, na przypadkowym cztery odbite są wyraźnie, piąty, mały palec, jest dość zamazany, bo najprawdopodobniej przyciśnięto go słabiej.

- Czy do ustalenia tożsamości wystarczy odbicie jednego palca?

- Tożsamość można ustalić nawet z fragmentu odcisku, oczywiście jeśli jest wystarczająco duży.

- Czy to są odciski palców tej samej osoby?

- Tej samej.

- Czy nawet laik po obejrzeniu ich mógłby stwierdzić, że odcisnięte zostały przez palce tej samej osoby?

- Myślę, że na pewno.

- Czy znaleziono kiedykolwiek na świecie dwóch ludzi, którzy by mieli ten sam zestaw spirali, pętli i łuków stanowiących odcisk palca?

- Nigdy.

- Ile zdjęć odcisków palców dokonano na świecie?

- Miliony. Ilość ich zwiększa się tak szybko, że byłoby nawet nierozsądnie próbować określić ich liczbę.

- Chciałbym pana poprosić, doktorze Barretti, o przekazanie tych zdjęć sędziom przysięgłym, żeby mogli je spokojnie porównać. Będzie pan tak uprzejmy, panie przewodniczący, przekazać je dalej po obejrzeniu? Dziękuję.

Przewodniczący ławy przysięgłych rzucił się na zdjęcia ze źle ukrywaną ciekawością; aż okulary chwiały mu się na nosie z wrażenia. Odciski palców! Rzecz, o której czyta się przez całe życie, która człowieka zdumiewa, nad którą się zastanawia i nie może wyjść z podziwu - a oto znajdują się tu, w twoich szczęśliwych rękach. Pozostali członkowie ławy przysięgłych z zazdrością zaczęli się tłoczyć koło przewodniczącego.

- Doktorze Barretti, na czym znaleziono te tak zwane odciski przy-
padkowe?

Na sali sądowej zapanowało poruszenie, rozległy się szepty - ten dziwny, przybierający na sile szum, za pomocą którego ludzkość uwalnia się od nieznośnego brzemienia niepewności. Nawet zajęci oglądaniem odcisków sędziowie przysięgli unieśli głowy, chcąc się zorientować, co się dzieje.

- Na powierzchni mosiężnej lampy - lampy, którą znaleziono w domku ogrodnika w posiadłości Thorne'a zwanej Sady.

- Czy może nam pan powiedzieć, w jaki sposób udało się uzyskać tak wyraźnie odcisnięte ślady?

- Oczywiście. Ręka, którą uchwycono lampę, była najwidoczniej wilgotna albo z przyczyn całkowicie naturalnych, takich jak temperatura, albo też na skutek emocji. Uchwyciła ona silnie podstawę lampy, której średnica wynosi około sześciu cali, zanim nie rozszerza się, tworząc zbiornik. Lampa pociągnięta była lakierem dla łatwiejszego utrzymania w czystości i to właśnie stworzyło tak znakomitą powierzchnię utrwalającą. Odciski zostały zdjęte po upływie dwudziestu czterech godzin od chwili popełnienia morderstwa, a w tym czasie nikt nie dotykał lampy. Nafta, która spływała z niej swobodnie, nie dosięgała podstawy, gdzie w górnej części znajdowały się odciski. Wszystkie te okoliczności razem

wzięte umożliwiły uzyskanie tak niezwykle wyraźnych odcisków.

- Odcisków, które nie pozostawiają najmniejszej możliwości pomyłki, do kogo należą?

- Najmniejszej.

- Czyja ręka pozostawiła te oba zestawy odcisków, doktorze Barretti?

- W obu wypadkach - oświadczył z godnością i zadowoleniem Barretti - była to ręka pani Susan Ives.

Po długiej chwili ciszy prokurator oświadczył:

- To wszystko, doktorze Barretti. Nie mam więcej pytań.

Głos Lamberta tego popołudnia brzmiał dziwnie staro; dochodził jakby z wielkiej odległości i zdawało się, że należy do bardzo zmęczonego człowieka. W tej chwili stwierdził słabo:

- Obecnie nie mam żadnych pytań. Później może... ale teraz nie.

Skończył się piąty dzień procesu Bellamy'ego.

Rozdział 6

Reporter spojrzął na zegar, potem na rudowłosą dziewczynę i znowu na zegar; w jego wzroku było tyle konsternacji, co zdenerwowania. Zegar wskazywał dziesiątą trzydzieści.

- Co, na litość boską... - zaczął reporter.

- Niech się pan do mnie nie odzywa - przerwała mu cicho, ale z pasją rudowłosa dziewczyna i prędko dodała z jeszcze większą gwałtownością: - Co się tu działo?

- To właśnie ja chciałbym się dowiedzieć! - zauważył reporter z naciskiem. - Co miała oznaczać ta straszliwa awantura w hallu?

- To ja - odpowiedziała rudowłosa dziewczyna. - Kto w tej chwili zeznaje?

- Pani? Na litość Boga, co pani wyprawiała?

- Krzyczałam. Kto w tej chwili zeznaje?

- Jakiś facet z więzienia gdzieś na Zachodzie; złożył oświadczenie, że Orsini odsiadywał wyrok za rabunek. Dlaczego pani krzyczała?

- Bo nie chcieli mnie wpuścić... Ale kto w tej chwili zeznaje?

- Ten rudy jegomość to Leo Fox ze stacji benzynowej. Lambert już z nim skończył, teraz Farr go przesłuchuje. Dlaczego nie chcieli pani wpuścić?

- Bo... nie, nie będę panu teraz wszystkiego opowiadać. Potem, przy lunchu. Lepiej niech pan słucha...

- To było w sobotę wieczór, tak, panie Fox?

- No pewnie, że w sobotę wieczór.

Pan Fox, szczerze ozdobiony piegami, w marynarce za ciasnej o dobre trzy cale i w niewiarygodnie jaskrawozielonym krawacie zgrabnie przesunął gumę do zucia z jednego policzka w drugi i bacznie wpatrywał się w prokuratora.

- W piękne czerwcowe wieczory przed pańską stacją musiało stać sporo wozów?

- Pewnie, że sporo.

- A mimo to zapamiętał pan tak dokładnie ten samochód i jego pasażerów?

- Jeżeli pan pyta, czy pamiętam ich oboje, to pewnie, że pamiętam. Oni nie tylko brali benzynę; ta kobieta... ta pani... chciała się napić wody i to właśnie ja jej przyniosłem. Właśnie dlatego ich zapamiętałem, rozumie pan?

- I wszystko, co pan może powiedzieć na ten temat, to tylko tyle, że było po dziewiątej, bo o dziewiątej obejmuje pan stację?

- Zgadza się. Nigdy nie przychodzę przed dziewiątą, a czasem spóźniam się nawet kilka minut.

- A czy to mogło być dwie minuty po dziewiątej, a nie dwadzieścia pięć, jak twierdzi pani Ives?

- Nie, sir, tak nie mogło być w żadnym razie. Ludzie nie biorą ośmiu galonów benzyny, nie płacą za nią, nie dostają reszty, nie proszą o szklankę wody, nie dostają jej, i to wszystko w ciągu dwóch minut. Musiało być dalej niż dziesięć po dziewiątej. Nawet gdyby byli pierwsi po objęciu przeze mnie stacji.

Prokurator popatrzył na świadka z wyraźną niechęcią.

- Nie prosiłem pana o wygłaszanie przemówienia, panie Fox. Jedynym faktem, który może pan stanowczo stwierdzić odnośnie godziny, jest to, że objął pan pracę o dziewiątej i że pani Ives i pan Bellamy przyjechali na stację po pańskim przybyciu.

- Zgadza się.

- W takim razie to będzie wszystko. Jest pan wolny.

- Wezwać pana Patricka Ivesa - powiedział Lambert.

- Pan Patrick Ives!

- Panie Ives, może pan będzie tak dobry i opowie nam, możliwie najzwięźlejš, co się działo wieczorem dziewiętnastego czerwca od chwili, kiedy wrócił pan do domu, aż do momentu, gdy udał się pan na spoczynek.

- Och - odezwał się Patrick Ives bezbarwnym tonem - bardzo wątpię, czy w ogóle potrafiłbym powiedzieć coś na ten temat. Jestem znany z tego, że mam złą pamięć, i po prostu zmyślałbym jakieś historyjki, które nikomu z nas na nic by się nie przydały. Poza tym większość tych spraw została już omówiona przez innych świadków.

- Zarządzam skreślenie tej odpowiedzi z protokołu! - zawołał sędzia Carver. - Jest całkowicie niewłaściwa, panie Ives. To nie klub dyskusyjny.

Będzie pan łaskaw powstrzymać się od wyrażania swojej opinii na jakikolwiek temat i ograniczyć się do możliwie najkrótszej odpowiedzi.

- Jeśli pan Lambert zada mi konkretne pytanie, zobaczę, czy będę mógł mu dać równie konkretną odpowiedź - odparł Patrick Ives z miną niepoprawnego człowieka, który w dodatku jest lekko ubawiony.

- Doskonale - powiedział Lambert krztusząc się od źle ukrywanego gniewu. - Będzie pan tak dobry powiedzieć nam w takim razie, czy w czasie wieczoru nie zdarzyło się nic niezwykłego?

- Nie.

- Przed obiadem?

- Nie.

- A po obiedzie?

- Nie.

Ives rzucał Lambertowi te monosylabowe odpowiedzi tak, jak rzuca się nagie kości wielkiemu, złemu, kłuszącemu psu.

- Panna Page zeznała, że około godziny ósmej spotkała pana z mo-
dem okrętu w ręce pod drzwiami dziecinnego pokoju. Czy to prawda?

- Tak.

- Kiedy widział ją pan ponownie?

- Mniej więcej kwadrans później.

- Czy jej zeznania na temat tego, co nastąpiło, były ścisłe?

- W tym, o czym mówiła, tak.

- Czy to znaczy, że nie mówiła o wszystkim?

- Niemało opuściła - odpowiedział Patrick Ives, przy czym na wspomnienie tego, o czym panna Page nie powiedziała, przez jego wymizerowaną twarz przemknął ponury uśmiezek.

- Czego to dotyczyło?

- Dzikich hysterii i zupełnego szaleństwa, jakie ją ogarnęło - oschle oświadczył Patrick Ives.

- Co było przyczyną tego... hm... zachowania się?
- Panna Page - powiedział Patrick Ives wyraźnie i dobitnie - jest przewrażliwioną, niezrównoważoną, rozhisteryzowaną idiotką, którą pani Ives...
- Czy wysoki sąd uważa, że to jest odpowiedź na pytanie? - zagadnął z uprzejmym zainteresowaniem.
- Sąd wzywał już świadka, żeby ściśle odpowiadał na pytania. Raz jeszcze powtarzam upomnienie. Jeśli chodzi o samą odpowiedź, należy ją skreślić z protokołu.
- Uważam, że odpowiedź była najzupełniej zgodna z pytaniem - krzyknął podniecony Lambert. - Pan Ives wyjaśniał, dlaczego panna Page...
- Może pan wnieść sprzeciw i raz jeszcze postawić pytanie. Sąd uchylił odpowiedź.
- Co spowodowało atak hysterii, o którym pan wspominał? - zapytał Lambert przez zaciśnięte zęby.
- Fakt, że pani Ives zrezygnowała z jej dalszych usług i poprosiła, żeby się w poniedziałek spakowała. Panna Page chciała, abym interweniował w tej sprawie, co robiłem już dwukrotnie.
- I zgodził się pan?
- Wprost przeciwnie - odpowiedział Patrick Ives; zimny jak stal ton jego głosu brzmiał tak lodowato, że rudowłosa dziewczyna odczuła nieledwie przyływ współczucia dla swej największej antypatii, właścicielki barwnej jak kwiat twarzy, panny Page. - Powiedziałem, że moim zdaniem niedziela nadaje się do tego celu lepiej niż poniedziałek i że przyślę Roberts, by pomogła jej w pakowaniu-
- Dlaczego pannie Page tak bardzo zależało na tym, żeby u państwa zostać?

- Skąd mogę wiedzieć? - zapytał Patrick Ives. - Przypuszczalnie zdawała sobie sprawę, że traci doskonałą posadę.

- Czy to jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi panu na myśl?

- Jedyne, jakie mi przychodzi na myśl podać panu - oświadczył uprzejmie Patrick Ives z niebezpiecznym uśmiechem w kącikach ust.

Lambert przez chwilę wpatrywał się w niego niezdecydowany, po czym roztropnie postanowił zmienić taktykę.

- Czy na tym zakończyli państwo rozmowę?

- Och, nie - odpowiedział Patrick Ives z bardziej widocznym uśmiechem. - Na tym się zaczęła.

- Zechce nam pan podać jej dalszy przebieg?

- Niestety nie. Już panu powiedziałem, że mam kiepską pamięć. O ile jednak mogę na niej polegać, wydaje mi się, że rozmowa była głównie rozwinięciem dwóch poruszonych początkowo tematów.

- Jakich mianowicie?

- Jej odejścia i mojej interwencji.

- Czy panna Page nie wspomniała nic o liście?

- O liście? - Brwi Patricka Ivesa uniosły się w szczerym zdumieniu.

- Czy nie wspomniała nic o tym, że wyjęła list od pani Bellamy z książki w bibliotece?

- Rozumiem - powiedział Patrick Ives. Jego czoło wygładziło się, na usta powrócił uśmiech jeszcze wyraźniejszy i bardziej niebezpieczny. - Nie, nie wydaje mi się, aby o tym wspominała. Gdyby mi o tym powiedziała, chyba zrobiłoby to na mnie pewne wrażenie.

- Czy miał pan jakieś podstawy do przypuszczeń, że panna Page jest zazdrosna o panią Bellamy?

- Zazdrosna o panią Bellamy? Dlaczegoż by panna Page miała być zazdrosna o panią Bellamy?

- Myślałem, że może pan by mógł to wyjaśnić.
- Myli się pan - oświadczył Patrick Ives pochylając się nieco do przodu. - Nie mogę panu na ten temat powiedzieć absolutnie niczego. Nie podniósł głosu, ale Lambert dość pośpiesznie cofnął się o krok.
- Tak, doskonale. Panie Ives, według zeznań Melanie Cordier powiedział jej pan, że nie znalazł pan listu, który, jak ona twierdzi, włożyła do książki. Czy to prawda?
- Nie ulega wątpliwości, że tak jej powiedziałem.
- A czy to, co pan jej oświadczył, było zgodne z prawdą? Prokurator wolno podniósł się z krzesła.
- Momencik. Chwilami zupełnie tracę orientację, czy jest to przesłuchanie świadka przez obronę, czy oskarżenie. Wygląda na to, że pan Lambert nie pozostawi mi nic do roboty. Być może się mylę, ale wygląda na to, jakby obrona kwestionowała prawdomówność swego własnego świadka.
- Sąd jest skłonny zgodzić się z panem. Czy wnosi pan sprzeciw odnośnie tego pytania?
- Nie wnoszę sprzeciwu, jeśli chodzi specjalnie o to pytanie, ale uważam, że jest całkowicie nie na miejscu.
- Dobrze. Może pan nie odpowiadać na to pytanie, panie Ives.
- Dziękuję, ale o ile wysoki sąd pozwoli, wolę odpowiedzieć. Jestem pewny, że pan Lambert będzie zadowolony, kiedy się dowie, że odpowiedź, jaką dałem Melanie Cordier, była całkowicie prawdziwa.
- Ile listów otrzymał pan do tego czasu? - zapytał Lambert, a wyraz jego rozplóconej twarzy bynajmniej nie wyrażał wdzięczności.
- Sześć, a może siedem.
- W jakim okresie?

- Około dwóch miesięcy.
- Czy wiadomo panu, że panna Cordier zeznała, jakoby włożyła do książki może dwadzieścia listów na przestrzeni dłuższego okresu?
 - No cóż, jeżeli tak zeznała - oświadczył obojętnie Patrick Ives - to musiała skłamać.
 - Jaka była zasadnicza treść tych listów?
 - Przeważnie dotyczyły spotkań w domku ogrodnika.
 - Jak często te spotkania dochodziły do skutku?
 - Dwa razy.
 - Tylko dwa razy?

Na widok zdecydowanego niedowierzania na twarzy Lamberta w ciemnoniebieskich oczach Patricka Ivesa rozbłysnął jakiś ogień.

- Dwa razy. Powiedziałem: dwa razy.
- Może pan podać daty?
- Obawiam się, że nie. Raz w drugiej połowie maja i drugi raz mniej więcej na tydzień przed popełnieniem tego morderstwa. Nic bliższego nie mogę na ten temat powiedzieć.

- Panie Ives, była tu mowa o tym nożu, stanowiącym dowód rzeczowy oskarżenia nr 6. Panna Page zidentyfikowała go jako pańską własność. Czy to jest zgodne z prawdą?

- Jak najbardziej.
- Proszę mi powiedzieć, kiedy widział pan ten nóż po raz ostatni?
- O ile sobie przypominam, widziałem go ostatnio przed okazaniem tu, w sądzie, po południu tego dnia, kiedy została aresztowana moja żona. W poniedziałek dwudziestego pierwszego.

- Czy wie pan, gdzie znajdował się ten nóż wieczorem dziewiętnastego czerwca o godzinie pół do dziesiątej?

- Wiem bardzo dokładnie - odpowiedział Patrick Ives i po raz pierwszy, odkąd znalazł się na miejscu dla świadków, jego wymęczona, niespokojna twarz odprężyła się i przybrała wyraz dziwnie zbliżony do wesołości. - W prawej kieszeni moich spodni.

Lambert zwrócił rozpromienioną twarz prosto w stronę ławy przysięgłych.

- W jaki sposób ten nóż się tam dostał?

- W taki, że wsadziłem go do kieszeni, kiedy niosłem okręcik na górę do Pete'a o ósmej wieczorem, i przeleżał tam aż do niedzieli rano, kiedy po śniadaniu z powrotem położyłem go na biurku.

- Czy nie zachodzi możliwość żadnej pomyłki?

- Żadnej.

- Czy nie jest możliwe, aby tego wieczoru o którejkolwiek godzinie nóż znalazł się w rękach pani Ives?

- Wykluczone.

- Panie Ives, gdzie pan był tego wieczoru o godzinie pół do dziesiątej?

Beztroska wesołość nagle zniknęła z twarzy Patricka Ivesa. Przez długą chwilę siedział wpatrując się chłodno i z namysłem w Lamberta. Jego oczy, wciąż zamyślane, podniosły się na krótko, by spojrzeć na setki ciekawych twarzy zwróconych w jego stronę; widząc, z jaką napiętą uwagą mu się przyglądają, wykrzywił usta w ponurym uśmiechu. „To bardzo nieuprzejmie, co - pytało kpiąco jego spojrzenie - kazać wam tak długo czekać!”

- Byłem w domu - odpowiedział.

- Co pan robił?

- Palłem fajkę i przeglądałem pisma ilustrowane. Chcę jednak zaznaczyć, że nie mógłbym przysiąc, która to była dokładnie godzina. Nie miałem przy sobie stopera.

- W jakim pan był pokoju?
- Hm, obawiam się, że w tym względzie nie będę mógł panu wiele pomóc. Bo, widzi pan, chodziłem z pokoju do pokoju. Trochę pracowałem przy tej łódce, paliłem, czytałem - nie kierowałem się żadnym ustalonym programem. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że byłoby dużo rozsądniej, gdybym właśnie tak postępował.
- Ale teraz zdaje pan sobie jednak sprawę, że Melanie Cordier oświadczyła, iż obchodząc dom o dziesiątej nie spotkała pana w żadnym z pokoi na dole?
- W takim razie musiałem być w którymś z pokoi na górze - odpowiedział uprzejmie Patrick Ives.
- Zdaje pan sobie również sprawę, że pani Margaret Ives oświadczyła, iż nie przyniósł jej pan owoców tego wieczora, ponieważ nie było pana w domu?
- Owszem - wciąż tak samo uprzejmie odpowiedział Patrick Ives. - Prawdopodobnie pierwszy raz w życiu się pomyliła. Bo ja w domu byłem.
- Co spowodowało, że zmienił pan zamiar i nie poszedł na tego pokera?
- Zaistniały pewne okoliczności, które mi to uniemożliwiły.
- Niezgłębiony wyraz twarzy Patricka Ivesa kazał się domyślać, że jego obecność dodałaby splendoru każdej partii pokera.
- Jakie okoliczności?
- Takie - odpowiedział Patrick Ives - o jakich nie śniłoby się dyskutować ani tutaj, ani nigdzie. Ale mogę pana upewnić, że nie miały one najmniejszego związku z morderstwem.
- Jakie okoliczności? - powtórzył Lambert, z pasją akcentując słowa.
- Raz jeszcze zapytuję - wtrącił prokurator z apatycznym patosem -

raz jeszcze zapytuję, co mój znakomity przeciwnik zostawi do roboty zwykłemu prokuratorowi?

- Panie Lambert - odezwał się surowo sędzia Carver - sąd dziwi się natarczywości, z jaką domaga się pan od świadka odpowiedzi; zważywszy, że jest to przesłuchanie prowadzone przez obronę, powinien się pan zadowolić pierwszą odpowiedzią świadka. Sąd...

- Świadek odmówił udzielenia odpowiedzi - odparł gwałtownie Lambert, nie bez pewnej słuszności. - Mogę oświadczyć wysokiemu sądowi, że uważam zachowanie świadka za wyraźnie wrogie i...

- Sąd nie widzi w zachowaniu świadka nic, co by dowodziło jego wrogości - zauważył z naganą w głosie sędzia Carver - i dlatego prosi pana o pamiętanie na przyszłość, że ma pan do czynienia ze swoim własnym świadkiem. Może pan kontynuować przesłuchanie.

Lambert ponownie odwrócił purpurową twarz w strojne świadka, skwapliwie unikając wzroku Sue Ives, która przez ostatnie pół godziny, od chwili gdy rozpoczął swoje manewry, wpatrywała się w niego z namiętnym oburzeniem.

- Panie Ives - zapytał Lambert - czy słyszał pan zeznanie panny Roberts, że chyba słyszała pański głos, kiedy próbowała otworzyć drzwi do dziecinnego pokoju?

- Owszem, słyszałem.

- Czy myliła się?

- Nie - odpowiedział Patrick z chłodnym spokojem cedząc słowa - nie myliła się.

- Czy myliła się przypuszczając, że drzwi były zamknięte na klucz?

- Nie, nie myliła się.

- Kto z państwa zamknął te drzwi, panie Ives?

- Jeżeli mi pan powie, co to ma wspólnego z zamordowaniem Mimi Bellamy - odpowiedział Patrick Ives z jeszcze większym spokojem - powiem panu, kto zamknął drzwi.

- Odmawia pan odpowiedzi na moje pytanie?

- Z całą stanowczością odmawiam odpowiedzi na pańskie pytanie.

- Wysoki sędzie... - wykrztusił oszalały z wściekłości Lambert.

- Sąd również nie widzi, jaki związek ma to pytanie ze sprawą - oświadczył Carver tonem nie mającym w sobie nic z łagodności. Uchyliam je. Proszę kontynuować.

- Ależ, praktycznie rzecz biorąc, uniemożliwia mi się prowadzenie badania w jakimkolwiek kierunku - stwierdził Lambert głosem trzęsącym się z oburzenia. - Uniemożliwia się! Panie Ives, ktokolwiek był w tym pokoju, aby wyjść z domu, musiał tylko otworzyć drzwi i wyjść, tak czy nie?

- Tylko - kordialnie przyznał wrogo usposobiony świadek..

- Czy możliwe jest, aby widziano, jak ktoś z państwa lub oboje państwo wychodzą?

- Wydaje mi się to wysoce nieprawdopodobne.

- Ale czy nikt nie widział ani pana, ani panny Page w domu między godziną dziewiątą a dziesiątą?

- Nikt, absolutnie nikt - oświadczył Patrick Ives prawie wesoło.

- Ile trzeba czasu, żeby się dostać z pańskiego domu do Sadów?

- Pieszko?

- Tak pieszko.

- Jakieś dziesięć, piętnaście minut. Jest taki skrót przez pola na tyłach domu, który wychodzi blisko Sadów.

- Ten, którym panna Page prowadziła zwykle dzieci do altany?

- Tak, ten.

- Wiedziała o tej ścieżce?

- Widocznie tak.

Ponury uśmiech na chwilę zmienił się w otwartą kpinę.

- A pan wiedział o jej istnieniu?

- A ja wiedziałem o jej istnieniu.

- Skąd?

- Moja matka mi powiedziała, że panna Page prowadzi tam dzieci, a ja zażądałem, żeby tego nie robiła, bo wiedziałem, jakie Sue żywi uczucia do tego miejsca.

- Panie Ives, czy stosunki pana z żoną były dobre?

Przez chwilę Patrick Ives siedział zupełnie nieruchomo, czekając, aż zniknie fala czerwieni, która załała jego bladą, drwiącą twarz. Kiedy się odezwał, jego głos, mimo że wyraźny, brzmiał tak, jakby dochodził z wielkiej odległości.

- Owszem - powiedział. - Były dobre.

- O ile panu wiadomo, żona nie zdawała sobie sprawy, że przestał pan ją kochać?

- Nie mogła zdawać sobie z tego sprawy - powiedział Patrick Ives. - Od chwili, kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłem, kochałem ją namiętnie, z całym oddaniem i niepodzielnie.

Po długim milczeniu rozległ się ponury głos Lamberta:

- Czy oczekuje pan, że w obliczu dowodów, jakie tu przedstawiono, uwierzemy, iż był pan wiemy pani Ives?

- Jest mi w najwyższym stopniu obojętne, w co pan będzie wierzył - powiedział Patrick Ives. - Nie uważam swojej wierności wobec Sue za powód do szczególnej chluby. Największy dureń na świecie byłby na tyle mądry, żeby to zrozumieć.

- Więc twierdzi pan, że nigdy nie przestał jej pan kochać?

- Twierdzę, że od czasu, kiedy ją poznałem, nigdy nie pomyślałem o innej kobiecie, chyba życząc jej, żeby się znalazła gdzie pieprz rośnie.

- I właśnie dlatego poszedł pan do domku ogrodnika spotkać się z Madeleine Bellamy?

- I właśnie - odparł z niewzruszonym spokojem Patrick Ives - dokładnie dlatego poszedłem do domku ogrodnika spotkać się z Madeleine Bellamy.

Nieprzyjemny grymas zniknął na chwilę z twarzy Lamberta, teraz, pod chłodnym, obojętnym spojrzeniem świadka powrócił ze zdwojoną siłą.

- Więc zaprzecza pan, że pisał te listy?

Pat Ives niedbale rzucił okiem na nieduży pakiecik podsunęty mu pod same oczy.

- Ani przez chwilę - oświadczył.

- Czy były, czy nie były pisane po pańskim *rendez-vous* z panią Bellamy?

- Dwa z nich zostały napisane po tym, co pan jest łaskaw określać jako *rendez-vous*- jeden przed tym.

- A gdzie była pańska żona podczas tych spotkań ósmego i dziewiątego czerwca i dwudziestego drugiego maja?

- Nie wiem.

- Była w Nowym Jorku, tak?

- Nie mam zielonego pojęcia. Bo widzi pan, ja jej nie znałem.

Lambert wytrzeszczył oczy, szczęka opadła mu ku dołowi.

- Nie znał jej pan?

- Nie. Te listy były pisane w 1916 roku. A Sue poznałem na wiosnę w 1919 roku.

- Ha! - westchnął głośno Lambert, z ulgą, w której równocześnie kryła się pogarda. - Były pisane w 1916 roku, tak? A czy mogę zapytać, dlaczego pani Bellamy nosiła je w torebce w 1926 roku?

- Może pan - zapewnił go Patrick Ives - i co więcej, odpowiem panu na to. Ona mi te listy sprzedała.

- Sprzedała panu? Za co?

- Za sto tysięcy dolarów - odparł Patrick Ives.

Wśród osłupiałej ciszy na sali rozległ się niedowierzający okrzyk Lamberta:

- I pan się spodziewa, że w to uwierzemy?

- Chciałbym, aby pan przestał zadawać mi takie pytania - rzekł świadek z nie ukrywaną irytacją. - Nie moją sprawą jest decydować, w co pan ma uwierzyć, a w co nie uwierzyć; to, co powiedziałem, to prawda.

- Twierdzi pan, że tych pańskich listów, które według pana pisane były w 1916 roku, pani Bellamy używała w celach szantażu?

- Sam pan użył tego słowa - powiedział Patrick Ives. - Ja osobiście wybrałbym nieco delikatniejsze. Mimi niewątpliwie uważała, że opłaci mi się nabycie tych listów za taką cenę. I miała rację. Mogła też uważać, że jestem jej coś winien. I w tym też miała rację.

- Był jej pan coś winien?

- Winien jej byłem bardzo wiele za to, że nie wyszła za mnie - powiedział Pat Ives. - Ponieważ tego nie zrobiła, byłem dzięki temu szczęśliwy w sposób, o jakim większość mężczyzn nie może nawet marzyć.

Lambert wydał z siebie dźwięk zbliżony do parsknięcia.

- Bardzo to ładne, naprawdę bardzo ładne. Sprowadza się jednak do tego, że oskarża pan nieżyjącą kobietę, której tu nie ma, żeby mogła się bronić, o poniżenie się do tego, żeby od ukochanego mężczyzny wymusić kolosalną sumę pieniędzy, tak?

- Niezupełnie tak. Ona, rzecz jasna, mnie nie kochała. Nigdy w życiu nie kochała nikogo poza Steve'em. Powiedziała mi, że potrzebuje tych pieniędzy, bo podejrzewa, że on jest chory, że zapracowuje się na

śmierć i nic z tego nie ma. Miała mu zamiar powiedzieć, że jakaś ciotka z Cheyenne zapisała jej te pieniądze, a ponieważ nie czuje się tutaj dobrze, powinni zacząć nowe życie w Kalifornii, w pewnej miejscowości, o której słyszała. Bardzo to sobie ładnie wszystko obmyśliła.

- Panie Ives, czy mam rozumieć, że był pan skłonny zapłacić sto tysięcy dolarów za dwa czy trzy listy, jak pan twierdzi, całkowicie niewinne?

- Nie twierdzą nic podobnego. Uważam, że te listy są diabelnie kompromitujące - takie właśnie, jakie może napisać nienormalny, zachany bez pamięci, bezmyślny, młody idiota. Pochlebiam mi pan mówiąc, że byłem skłonny dobrowolnie za nie zapłacić. Uplęły dwa miesiące, abym jako tako pogodził się z tą sytuacją, a potem też nie wydawało mi się, żebym robił specjalnie dobry interes.

- Niemniej zgodził się pan zapłacić sto tysięcy dolarów, byleby tylko te listy nie dostały się w ręce pańskiej żony?

- Nawet i pięćset tysięcy, gdybym mógł je dostać, żeby usunąć z jej drogi ból, zmartwienie i ohydę.

- A więc nie był pan przekonany, czy żona zaakceptuje pańską wersję co do okresu, kiedy te listy zostały napisane?

- Nie chciałem, żeby się dowiedziała, że one w ogóle były pisane. Nigdy jej nie mówiłem o stopniu zażyłości, jaka łączyła mnie z Mimi.

- Tak. Panna Cordier oświadczyła, że w okresie popełnienia morderstwa listy od pani Bellamy nadchodziły coraz częściej. Czy to prawda?

- Tak. W ciągu dziesięciu dni dostałem trzy listy.

- Czy jej żądania stawały się coraz bardziej natarczywe?

- W znacznym stopniu.

I znowu na twarzy Pata pojawił się ten ponury uśmiezek, dziwnie

niewiele mający wspólnego z wesołością.

- W takim razie, jeżeli zależało panu, żeby te listy nie dostały się do rąk pańskiej żony, musiał pan bezzwłocznie coś przedsięwziąć.

- Byłem «zmuszony natychmiast postarać się o pieniądze, jeżeli to ma pan na myśli.

- Proszę się nie trudzić analizowaniem moich myśli. Proszę odpowiadać na pytanie.

Oczy Patricka Ivesa zwięźliły się lekko.

- Pańskie pytanie było dwuznaczne - oświadczył spokojnie.

- Pytałem, czy musiał pan działać natychmiast, żeby przeszkodzić w dostaniu się tych listów do rąk pańskiej żony.

- Pytanie nadal brzmi dwuznacznie. Jednak, jak już powiedziałem, musiałem zapłacić za te listy dość szybko, więc dziewiętnastego wieczorem przywoziłem pieniądze, chcąc z tym skończyć.

- Och! - krzyknął Lambert całkowicie zbity z tropu. - Przywiózł pan pieniądze? W jakiej formie?

- W południe podjąłem z mego sejfku w banku osiemdziesiąt pięć tysięcy w obligacjach pożyczki wolnościowej i piętnaście w obligacjach komunalnych.

- Czy ktoś o tym wiedział?

- Oczywiście że nie.

- Gdzie pan umieścił te obligacje po przyjeździe do domu?

- Tuż przed obiadem włożyłem je na tył szuflady mego biurka w gabinecie. Miałem zamiar schować je do sejfku pod boazerią w mojej garderobie, ale kiedy przeliczyłem obligacje w gabinecie, chcąc się upewnić, czy wszystko jest w porządku, Sue zawołała do mnie z hallu, że goście wychodzą, i zszedłem na werandę ich pożegnać. Nie wchodziliśmy na górę przed obiadem, więc miałem okazję przynieść je dopiero wieczorem.

- Czy nikt nie wiedział, że to obligacje są w domu?
- Nic o tym nie wiem.
- Co później pan z nimi zrobił?
- Umieściłem je z powrotem w sejfie bankowym w poniedziałek w południe.

- Czy ktokolwiek wiedział o tej operacji?
- Absolutnie nikt.
- Więc jest pan jedynym człowiekiem, który może stwierdzić, że miał pan kiedykolwiek zamiar zapłacić pani Bellamy tę sumę?

- A któż, według pana, mógłby zrobić to lepiej? - zapytał miło Pat Ives.

Lambert obdarzył go zagadkowym uśmiechem, którego w żadnym wypadku nie dało się nazwać przyjemnym.

- Czy suma ta stanowiła poważną część pańskiego kapitału?
- Z pewnością bez przesady mogę powiedzieć, że uczyniła w nim znaczny wyłom.

- Powiada pan, że przez długi czas nie mógł się pan zdecydować, czy zapłacić te pieniądze.

- Stosunkowo długo, bo dwa miesiące.
- Dlaczego nie zaniósł pan tego wieczoru obligacji pani Bellamy?
- Nie byłem z nią umówiony. Miała mi dać znać, czy będzie mogła wyjść i kiedy.

- A nie przyszło panu do głowy zajrzeć do książki, żeby się przekonać, czy nie ma tam listu?

- Jak najbardziej mi przyszło. Właśnie wszedłem w tym celu do gabinetu, kiedy Sue zawołała mnie z hallu.

- Więc nie zajrzał pan do książki?
- Zajrzałem, kiedy po pięciu minutach wróciłem do gabinetu. Listu nie było.

- Aha - powiedział Lambert, a rudowłosa dziewczyna, obserwując

z przerażeniem, jak Patrick Ives beztrąsko przemyka się wśród zastawionych na siebie sieci, zauważyła całkiem mechanicznie, że nigdy poza literaturą nie spotkała się z tym, żeby ktoś powiedział „aha”. - Więc zajrzał pan do książki i listu nie było?

- W obu wypadkach ma pan rację - odpowiedział Pat Ives.

- Hm, to bardzo interesujące - uśmiechnął się Lambert. - Naprawdę bardzo interesujące. Ale gdyby list w książce był, to musiałby go pan znaleźć, prawda?

- Przyjmując, że nie jestem skończonym idiotą, pańskie przypuszczenie jest dosyć trafne.

- A gdyby pan list znalazł, poszedłby pan na to spotkanie?

- W każdym razie starałbym się zrobić wszystko, żeby pójść.

- Rezygnując z zaproszenia na pokera?

- Przypuszczam, że tak.

- I poszedłby pan skrótem przez pola?

- Nie wiem, którędy bym poszedł. To chyba akademickie rozważania, nie sądzi pan?

- I w domku ogrodnika zastałby pan oczekującą na pana nieszczęśliwą kobietę z listami, które pan tak koniecznie chciał odzyskać?

- Dlaczego nie zapyta pan jeszcze, czy świadek miał nóż w kieszeni? - spytał grzecznie prokurator. - I dlaczego pan nie spyta, co z nim zrobić? Nie powinien pan pominąć żadnego z tych pytań.

Lambert, któremu nagle przeszkodzono w jego tryumfalnym ataku, spojrział wytrzeszczonymi oczami na niewzruszoną twarz sędziego Carvera i ryknął z oburzeniem:

- Wysoki sądzie, w mojej dość przydługiej karierze sądowej nie spotkałem się jeszcze z równie skandalicznym wystąpieniem...

Sędzia Carver ostro uciął te jęśliwe wywody:

- Również i sąd w swojej cokolwiek przydługiej karierze, panie Lambert, nie spotkał się jeszcze z tak przedziwnym sposobem prowadzenia przesłuchania, na jaki pozwolił pan sobie sam i na jaki pozwolił panu sąd z braku sprzeciwu zarówno ze strony świadka, jak i prokuratora. Forma, w jakiej pan Farr wyraził swój ostatni sprzeciw, nie była oczywiście właściwa, ale poza tym sprzeciw był całkowicie uzasadniony. Pytania, jakie pan stawia świadkowi, odnoszą się do całkowicie hipotetycznego przypadku i z tego powodu świadek ma pełne prawo odmówić odpowiedzi. Może pan dalej prowadzić przesłuchanie.

- Odpowiem na pytanie - odezwał się Pat Ives. - Gdybym znalazł ten list, poszedłbym do domku ogrodnika, dałbym Mimi pieniądze, odebrałbym listy i nikt z nas nie spędziłby tych ostatnich tygodni zastanawiając się, czy piekło dla odmiany nie byłoby bardzo przyjemnym miejscem. Z całej duszy chciałbym znaleźć ten list. Czy tego się pan chciał dowiedzieć?

- W listach tych jest jeszcze kilka zastanawiających zwrotów; chciałbym, żeby je pan pogodził ze swoim oświadczeniem, iż były pisane w roku 1916. Po pierwsze, co to znaczy, kiedy pisze pan: „Powtarzam sobie, że oboje jesteśmy szaleni, że czeka nas masa ciężkich chwil w życiu, że nie mam żadnego prawa pozwolić, abyś to zrobiła”. Co zrobiła, panie Ives?

- Kontynuowała tę wysoce nierozważną aferę, na którąśmy sobie pozwolili - oświadczył Pat Ives z twarzą bledszą o jeden odcień. - Oboje całkiem potraciliśmy głowy. Nie chciała wyjść za mnie, bo się bała, że nie będę dobrym mężem. Krążyła na nasz temat cała masa plotek i to ją denerwowało.

- Tak, tak - uśmiechnął się Lambert nieprzyjemnie. - Tak, tak. A teraz list, który się zaczyna: „Mimi kochana, najdroższa, najukochańsza,

minęła czwarta rano i...”

- Czy ma pan zamiar odczytywać te listy? - spytał Patrick Ives kurczowo zaciskając ręce na skraju balustradki.

- Najwyżej jeden lub dwa fragmenty, które chciałbym wyjaśnić, i jestem pewien, że ci dżentelmeni również. Pisze pan tak: „Świt - zawsze myślałem, że jest to najbardziej nieprzyjemne słowo w angielskim języku, a teraz oczekuję go na kolanach i wygłaszam na jego cześć tyrady jak...”

- Nie musi pan czytać dalej - przerwał mu Pat Ives - jeżeli rzeczywiście chodzi panu o to, kiedy te słowa zostały napisane. Na słońce, które weszło tego czerwcowego ranka w 1916 roku o godzinie 4.30 musiałbym w roku 1916 czekać o godzinę i sześć minut dłużej. Pan, Mimi i ja zapomnieliśmy po prostu o jednej rzeczy - zapomnieliśmy, panie Lambert, że w roku 1916 nie było czegoś takiego jak czas letni.

- Trochę późno pan sobie o tym przypomniał - oświadczył ponuro Lambert.

- I to o wiele za późno - przyznał Patrick Ives. - Ale, widzi pan, w okresie poprzedzającym morderstwo nie poświęcałem zbyt wiele uwagi obserwowaniu wschodów słońca. Od tego czasu jednak pilnie to robię. A kiedy usłyszałem przed kilkoma dniami, jak odczytano ten list tu w sądzie, coś mi zaświtało w głowie. Nie ma jeszcze piątej, a słońce już weszło. Coś się to nie zgadza. Pojechałem do Nowego Jorku i sprawdziłem to sobie w bibliotece publicznej. W piątek dziewiątego czerwca 1916 roku słońce weszło o czwartej dwadzieścia dwie. Natomiast w środę dziewiątego czerwca 1926 słońce weszło o piątej dwadzieścia osiem. I tak się ta sprawa przedstawia.

- Ma pan urzędowe stwierdzenie tego faktu? - spytał Lambert z desperacką pompą.

- Nie, ale mogę panu pożyczyć *Almanach Światowy*.
- Pan, zdaje się, uważa proces o morderstwo za niesłychanie zabawną imprezę - stwierdził Lambert ponurym głosem, patrząc przy tym w stronę ławy przysięgłych.

- Myli się pan - odpowiedział krótko Patrick Ives. - Nie uważam.
- Nie sądzę, aby pańskie zachowanie przemawiało za dalszym przesłuchiwaniem pana - zauważył Lambert krytycznie. - Nie mam więcej pytań.

Prokurator podniósł się nonszalancko z krzesła; obie ręce trzymał w kieszeniach, głowę lekko przechylił na bok.

- Panie Ives - zapytał, wolno cedząc słowa - chciałbym zapytać pana o coś, co pominął pan Lambert. Czy zabił pan Madeleine Bellamy?

Po krótkiej pauzie, która zdawała się przeciągać w nieskończoność, Patrick Ives podniósł oczy utkwione dotąd w rękach zaciśniętych na barierce.

- Nie - oświadczył bezdźwięcznie.
- Nie mam dalszych pytań - powiedział Farr z jeszcze większą powolnością, siadając z powrotem na krześle.

Lambert wytrzeszczył oczy, przełknął ślinę, raz jeszcze wytrzeszczył oczy i obrócił się na pięcie.

- Pani Ives, może będzie pani taka dobra zająć miejsce dla świadków?

Jeszcze nie skończył mówić, gdy już podniosła się na nogi; szybko przemknęła obok niego swym lekkim, żywym krokiem, obrzucając go pogardliwym i gniewnym spojrzeniem, ostrym i groźnym jak ostrze miecza.

- Wygląda na to, że jego droga Sue narazi wujaszka Dudleya na nie-
zbyt miłe pół godziny - mruknął uradowany reporter.

- Dlaczego? - spytała szeptem rudowłosa dziewczyna. - Dlaczego na to wygląda?

- Bo mam wrażenie, że Lambert posunął się troszkę za daleko w swoich wysiłkach, żeby w przyśpieszonym tempie wyekspediować Pata Ivesa na szubienicę. Ten stary wieloryb skonstruował przeciw niemu wcale przekonujące oskarżenie, chociaż jego samego też nie mało musiało to kosztować. Jeżeli...

- Pani Ives, chciałbym, żeby opowiedziała pani własnymi słowami, co się działo dziewiętnastego czerwca wieczorem, od chwili, kiedy rozmawiała pani w klubie z panem Farwellem. Nie będę pani przerywał, chyba że coś wyda mi się nie całkowicie jasne. O której godzinie rozmawiała pani z panem Farwellem?

- Było trochę po piątej - zaczęła, a rudowłosa dziewczyna westchnęła z zachwytem. Raz lub dwa razy w życiu ma się okazję słyszeć taki głos. Czysty i świeży jak wartko płynąca woda, żywy, piękny, w którym nie znać najmniejszego wysiłku. Kobieta zajmująca miejsce dla świadków nie musiała podnosić głosu nawet o pół tonu, żeby słyszano ją w najodleglejszej galerii. - O piątej zeszlśmy z boiska golfowego i wtedy podszedł do mnie Elliot i zapytał, czy może mi przynieść coś do picia. Powiedziałam, że owszem; kiedy wrócił, zaproponował, żebyśmy odeszli kawałek i usiedli na schodach, bo okropnie go boli głowa, a wszyscy strasznie hałasują. Nie siedzieliśmy tam nawet pięć minut, kiedy mi to powiedział.

- Kiedy co pani powiedział? - pośpieszył z pomocą Lambert.

- Kiedy mi powiedział, że Pat ma aferę z Mimi Bellamy. - Mówiąc to Sue nawet nie raczyła spojrzeć na Lamberta, lecz zwróciła swą jasną, surową twarz prosto w kierunku dwunastu bacznie skierowanych w jej

stronę twarzy. - W pierwszej chwili myślałam, że to po prostu jakieś niedorzeczne brednie, i tak mu powiedziałam. Wszyscy wiedzieli, że Elliot był absolutnie niepoczytalny na punkcie Mimi, i pomyślałam, że on chyba naprawdę zwariował. Wiedziałam oczywiście, że trochę wypił, ale nawet nie złościłam się na niego tak, jak powinnam, bo był taki nieszczęśliwy - taki okropnie nieszczęśliwy. A później oświadczył mi, że ich szpiegował - że widział, jak szli razem do domku. A to... to była już inna historia. To już nie brzmiało jak coś, co sobie ktoś wymyślił albo co mu się przyśniło, choćby to był najbardziej nie zrównoważony człowiek.

- Uwierzyła w to pani?

- Nie, początkowo nie, nie całkiem. Ale przez całą drogę z klubu do domu okropnie mnie to dręczyło - i potem, kiedy staliśmy wszyscy w salonie czekając na ten cocktail, nie mogłam sobie tego wybić z głowy. A później nadszedł Pat.

Urwała na chwilę i zmarszczyła lekko brwi na wspomnienie tego przykrego przeżycia.

- Mówi pani, że nadszedł pan Ives?

- Tak. Wyglądał bardzo zmęczony i podekscytowany. Nie, to nie jest odpowiednie słowo. Był jakiś zmieniony - inny niż zawsze. Albo może wydawał mi się taki, bo nastawiłam się na to, że będzie inaczej wyglądał. Nie potrafię tego określić. W każdym razie Elliot już chciał jechać do domu, a ja wyszłam z nim do hallu, bo do tego czasu sporo jeszcze wypił i bałam się, że zacznie komuś innemu opowiadać to, co mnie mówił. Nie byłam nadal w stanie myśleć zupełnie trzeźwo, ale wiedziałam, że nie można do tego dopuścić. Poprosiłam więc, żeby był ostrożny, i on mi to obiecał.

- Czy zauważyła pani w bibliotece Melanie Cordier?

- Nie. Pilnowałam Elliota. Wyglądał tak żałośnie i nieszczęśliwie, że naprawdę się o niego martwiłam. Ale w końcu wyszedł nie pożegnawszy

się nawet, a ja wróciłam do salonu. Kiedy byłam już niedaleko drzwi, usłyszałam, jak George Dallas mówi: „Więc nie możemy dzisiaj liczyć na ciebie, tak?” A na to Pat odpowiedział: „Będę się koniecznie starał przyjść, ale nie liczcie na mnie”. Coś mi błysnęło w głowie i wszystkie części składanki nagle się ułożyły. Weszłam do pokoju i zbliżyłam się do niego. Stał koło stołu i nalewał po jeszcze jednym kieliszku tego nowego cocktailu. Wszyscy strasznie hałasowali, śmieli się głośno i rozmawiali. Powiedziałam: „Neli Conroy chciała, żebyśmy dziś wieczór poszli do kina. Nie wydaje ci się, że mogłoby być przyjemnie?” On mi odpowiedział: „Bardzo żałuję, ale obiecałem George'owi, że przyjdę na pokera. Powiedz Neli, że ty pójdziesz, a ja przynajmniej nie będę się martwić, że siedzisz sama”. No to ja znowu powiedziałam: „Świetny pomysł”. A Pat: „Wróć za minutę. Muszę schować pewne papiery”.

Przeszedł przez hall; słyszałam jego kroki. Czułam się zupełnie tak, jakbym zażyła truciznę i teraz stojąc tam czekała, kiedy zacznie działać. Ktoś podszedł się ze mną pożegnać - chyba Conroyowie - a potem już wszyscy zaczęli wychodzić, jak to jest zawsze. Poszłam z nimi, chcąc ich wyprowadzić na werandę, i kiedy przechodziłam przez hall, zobaczyłam Pata stojącego przy biurku. Przeglądał jakieś papiery. Poszłam dalej w stronę werandy i po drodze zawołałam, że wszyscy wychodzą. Po chwili on też wyszedł. Spojrzałam, czy ma jeszcze w ręku te papiery, ale nie miał. Kiedyśmy tak stali oboje i patrzyli na odjeżdżających gości, na werandę weszła Melanie i powiedziała, że obiad podany. Wróciliśmy do domu. Pat zatrzymał się chwileczkę w gabinecie, ale nie zbliżał się do szuflady biurka - doskonale to widziałam ze swego miejsca przy stole.

- Czy mogłaby pani zauważyć, gdyby wyjmował książkę z narożnej półki?

- Nie. Ścianka dzieląca pokoje zasłania ten róg.
- Czy podczas obiadu nie wydarzyło się nic niezwykłego?
- Nie. I to jeszcze pogorszyło sprawę. Nie zaszło nic niezwykłego.
Pat dużo mówił i śmiał się, ale on zawsze jest taki.

- A po obiedzie?
- Po obiedzie matka Patricka wyszła do ogrodu, a Pat poprosił mnie, żebym z nim poszła do gabinetu, bo chce mi pokazać okręcik, który robił dla Pete'a. Przez cały czas, kiedy rzekomo oglądałam okręcik, nie mogłam oderwać oczu od biurka; zastanawiałam się, co on zrobił z tymi papierami - zastanawiałam się, co to może być. Widziałam tego spory plik. Po jakimś czasie nie mogłam już dłużej wytrzymać i odezwałam się: „Jeżeli chcesz powiedzieć dobranoc Polly i Pete'owi, to musisz się pośpieszyć. Powinni już spać o tej godzinie”. Odpowiedział mi: „Boże święty, masz rację!” Chwytał okręcik i poszedł w kierunku drzwi, a ja jeszcze zawołałam za nim: „Nie pójde już do dzieci. Powiedziałam im dobranoc przed obiadem”. Odczekałam, aż usłyszę jego kroki na schodach...

Znowu urwała na chwilę i odgarnęła jasne włosy z czoła, jakby nagle zaczęły jej ciążyć.

- I co potem, pani Ives?
- Potem - mówiła dalej pewnym głosem Sue Ives - potem zrobiłam coś obrzydliwego. Przeszukałam biurko. Zamknęłam drzwi, żeby mnie nie mógł zobaczyć nikt ze służby przechodząc przez hall, i śpieszyłam się jak szalona. Nie bardzo wiedziałam, co spodziewam się znaleźć, ale myślałam, że te papiery to może listy od Mimi, a poza tym wiedziałam, że Pat trzyma w biurku książeczkę czekową, i przyszło mi na myśl, że

może są w niej zanotowane jakieś pozycje, które mi coś powiedzą; mogłam znieść wszystko, ale musiałam o tym wiedzieć. To było jak... jak szaleństwo. Och, jeszcze gorzej! Górna szuflada po lewej stronie biurka była zamknięta na klucz.

Znowu umilkła i zaczęła się wpatrywać z taką ciekawością i tak intensywnie w twarze zwrócone w jej stronę, jak one wpatrywały się w nią; potem szybko, niecierpliwie potrząsnęła głową i ciągnęła dalej:

- Ale nie miało to większego znaczenia, bo wiedziałam, gdzie są klucze. Trzymałam w prawej górnej szufladzie rachunki gospodarcze, kwity i podręczne srebro. Szuflada była zamknięta, bo ile razy Pat przywoził do domu złote monety za udział w zebraniach dyrektorów, zawsze je tam wkładaliśmy. Składaliśmy je tak długo, aż uzbierało się tyle, żeby można kupić coś ładnego do domu i... nie, to nie odgrywa żadnej roli. Nazywaliśmy tę szufladę bankiem i Pat pokazał mi, gdzie chowa klucz, żebym w każdej chwili mogła się tam dostać.

- Gdzie trzyma ten klucz?

- W dzbanie na tytoń, który stał na górze biblioteki. Znalazłam go i otworzyłam szufladę, i były tam te papiery - dość gruby pakiet wepchnięty na sam tył szuflady. Były to obligacje - osiemdziesiąt pięć tysięcy pożyczki wolnościowej, piętnaście tysięcy komunalnych. Przelicyłam je dwa razy, żeby się upewnić. - Po raz pierwszy od chwili, kiedy stanęła na miejscu dla świadków, zwróciła swe czarne, błyszczące oczy na wzburzonego Lamberta. - Koniecznie chciał się pan dowiedzieć, czy ktoś poza Patem widział te pieniądze, prawda? No, więc ja je widziałam. I byłam tak pewna, że Pat wyjął je z naszego sejfów w banku po to, żeby uciec z Mimi Bellamy, jak tego, że stałam tam i je liczyłam. Włożyłam obligacje z powrotem do szuflady, zamknęłam ją, klucz schowałam do dzbana na tytoń i zesłam do pokoju na kwiaty, żeby zatelefonować

do Stephena Bellamyego. Zegar w hallu wskazywał pięć minut po ósmej. Nie zabawiłam w gabinecie dłużej niż dziesięć minut. - Jeszcze raz Sue Ives podniosła ręce do jasnych włosów. - Czy chce pan, żebym powtórzyła tę rozmowę?

- Czy brzmiała w zasadzie tak samo, jak to podała panna Page?

- Dokładnie tak samo. Słowo w słowo.

- W takim razie nie wydaje mi się to potrzebne. Proszę tylko powiedzieć, co pani zrobiła po zakończeniu tej rozmowy?

- Podeszłam do schodów prowadzących do dzieciennego pokoju i zwołałam na górę do Pata pytając, czy ostatecznie zdecydował się pójść na tego pokera. Odkrzyknął, że tak, i zapytał, czy może mnie podrzucić do Conroyów. Powiedziałam, że pójdę piechotą. Wyjęłam z szafy flanelowy płaszcz i poszłam w kierunku bramy na tyłach domu, która wychodziła na tę tylną drogę. Prawie biegłam.

- Czy obmyśliła pani jakiś plan działania?

- Nie, nie miałam żadnego określonego planu, ale wiedziałam, że muszę się zobaczyć ze Stephenem i wpłynąć na niego, by powstrzymał Mimi, i że każda minuta jest droga. Kiedy już byłam prawie przy bramie, zerwał się wiatr - bardzo zimny wiatr - i przypominałam sobie, że matka Patricka mówiła mi przy obiedzie, że Polly boli ucho, a ponieważ śpi koło samego okna, gdzie na pewno będzie na nią wiało, zawróciłam do domu chcąc powiedzieć pannie Page, żeby nie zapomniiała obstawić jej łóżeczka parawanem. Widziałam matkę Patricka w najodleglejszym kącie rozarium, ale pomyślałam, że będzie dużo prędzej, jeżeli pójdę sama, a nie będę jej wołać i wszystkiego tłumaczyć. Pobiełam więc do domu i byłam już w połowie schodów do dzieciennego pokoju, kiedy usłyszałam głos Pata. Myślałam, że rozmawia z dziećmi, i szybko

przebiegłam ostatnie kilka schodów. Byłam prawie pod drzwiami pokoju dzieci, kiedy usłyszałam inny głos - Kathleen Page. Nie dochodził z pokoju dzieci, ale z jej pokoju. Mówiła: „Niech jej pan nie pozwoli rozdzielać mnie z panem, niech pan nie pozwoli, niech pan nie pozwoli! Ja chcę tylko...”

- Wysoki sędzie...

Ostrzegawczy okrzyk prokuratora tylko o sekundę wyprzedził słowa sędziego Carvera:

- Obawiam się, że nie może nam pani powiedzieć, co pani słyszała, pani Ives.

- Nie mogę powtórzyć, co mówiła Kathleen Page?

Zdziwienie w jej czystym, pełnym niedowierzania głosie można było wyczuć w najodleglejszym kącie sali.

- Nie. Proszę się ograniczyć do powiedzenia, co pani robiła.

- Co robiłam? Ja w ogóle nic nie robiłam. Nie mogłam postąpić ani kroku w stronę drzwi, bo stałam jak przygwożdżona do podłogi. Ona tak strasznie płakała, dosłownie zanosiła się od płaczu. To było obrzydliwe. Wtedy usłyszałam, jak Pat mówi: „Niechże się pani uspokoi, wariatko. Czy chce pani...”

- Pani Ives, sąd upomniał już panią, że nie ma pani prawa powtarzać niczych słów.

- Dlaczego nie mam prawa powtarzać, co kto mówi? Powiedziałam przecież, o czym się mówiło na dole.

Sędzia Carver pochylił się w jej stronę, a czarne rękawy jego togi zafalowały majestatycznie nad krawędzią barierki.

- Nikt nie wnosił sprzeciwów odnośnie powtórzenia tej rozmowy. Natomiast w tym wypadku prokurator wnosi sprzeciw, a sąd go

podtrzymuje. Dla pani własnego dobra sąd domaga się, żeby się pani ściśle stosowała do przepisów.

Na jeden krótki moment zetknęły się spojrzenia dwóch par ciemnych oczu, spojrzenia bardziej wymowne niż słowa; jedno z nich wyrażało poważne ostrzeżenie, drugie nieustraszony bunt.

- Nie rozumiem tych przepisów. Co w takim razie wolno mi mówić o rzeczach, które mi polecono wyjaśnić?

- Proszę jedynie powiedzieć, co pani zrobiła po tym, kiedy usłyszała pani głosy dochodzące z tego pokoju?

- Bardzo proszę. Spróbuję jeszcze raz. Stałam tak przez chwilę, wpatrując się w drzwi dziecinnego pokoju. Klucz był zawsze z zewnątrz, żeby dzieci nie mogły się zamknąć od środka. Nie przypominam sobie, abym się ruszała, ale musiałam zrobić jakiś ruch, bo nagle się okazało, że trzymam rękę na klamce. Szarpnęłam ją ku sobie i zatrzasnęłam drzwi z taką siłą, że omal się nie wywróciłam. Klucz...

- Tak, tak - przerwał jej Lambert, przy czym na jego twarzy nagle pojawił się wyraz straszliwego ostrzeżenia. - Nie musimy zbytnio zagłębiać się w szczegóły. Chodzi nam tylko o to, żeby trzymała się pani zasadniczego toku opowiadania tak ściśle, jak to tylko możliwe. Nie powiedziała pani czegoś?

- Nie.

- Zeszła pani na dół, żeby się spotkać ze Stephenem Bellamy?

- Nie.

- Nie zeszła pani? - Retoryczne pytanie Lamberta mogłoby wzruszyć nawet kamień. Ale Sue Ives nie wygląda na to, że jest mu szczególnie wdzięczna. Odwróciła się w krzesło tak, iż siedziała zwrócona prosto w stronę oddanego jej przeciwnika. Pochyliła się teraz trochę do przodu,

jej piękne usta wykrzywiła pogarda, oczy pod równymi brwiami gorzały gniewem.

- Nie. Nie wtedy. Już panu powiedziałam, co zrobiłam. Przekreśliłam klucz w zamku i schowałam do kieszeni. Nie chciał pan, abym powiedziała, prawda, wujku Dudley? Wołał pan, żeby wszyscy uwierzyli, że to Pat zamordował Mimi Bellamy, prawda?

- Pani Ives... pani Ives...

- Cisza! Cisza!

- Pani Ives!

Ponad oburzonymi okrzykami przedstawicieli prawa wybił się jej czysty triumfujący głos:

- On jej nie zamordował, bo był zamknięty w tych pokojach do za piętnaście jedenasta, a ja miałam klucz w kieszeni! No, teraz możecie sobie to wszystko skreślić z protokołu!

- Pani Ives! - Przy akompaniamencie ostatniego uderzenia młotka rozległ się głos sędziego Carvera drżący na skutek czegoś głębszego niż gniew. - Pani Ives, jeśli pani natychmiast nie zamilknie, sąd będzie zmuszony polecić, aby usunięto panią z sali.

- Usunięto? - W sekundę poderwała się na nogi, wyprostowana i lekka. - Chce pan, żebym odeszła?

- Chcę, żeby się pani natychmiast opanowała. Sama sobie wyrządza pani niewypowiedzianą krzywdę zachowując się w ten sposób. Przepisy, do których nie chce się pani stosować, zostały w głównej mierze wydane po to, by chronić pani interesy.

- Wcale nie chcę, żeby mnie ktoś ochraniał. Chcę powiedzieć prawdę. Ale widzę, że nikt nie ma ochoty jej usłyszeć.

- Wprost przeciwnie, pozwolono pani zeznawać właśnie w tym celu.

- W tym celu? Żebym powiedziała prawdę? - Pogarda w jej głosie brzmiała niemal wesoło.

- Absolutnie tak. Obowiązujące ograniczenia są korzystne dla pani i nie stosując się do nich szkodzi pani nie tylko sobie, ale i współoskarżonemu.

- Stephenowi? - zawahała się i przez chwilę namyślała głęboko. - Rzecz jasna, że nie chciałabym mu zaszkodzić. No cóż, dobrze, spróbuję opowiadać dalej. - Wróciła na krzesło, a na sali dało się słyszeć przeciągłe westchnienie niedowierzającej ulgi. - Zapomniałam, na czym skończyłam — powiedziała Sue Ives.

- Chciała nam pani powiedzieć, co zrobiła pani po tym, kiedy zeszała pani schodami prowadzącymi do dzieciennego pokoju, prawda? - Roztrzęsiony głos Lamberta brzmiał tak cicho, że prawie niedosłyszalnie.

- Tak. No, więc wtedy... wtedy zrobiliśmy dokładnie to, o czym mówił już Stephen. Pojechaliśmy tylną drogą do River Road, tam skręciliśmy w lewo i pojechaliśmy do Lakedale nabrać benzyny. Pamiętam dokładnie, która była godzina, bo zastanawialiśmy się, czy film się już skończy, kiedy wrócimy. Było dwadzieścia pięć po dziewiątej. Potem wróciliśmy tą samą drogą - przez River Road do tylnej drogi, potem do tego miejsca, gdzie spotkałam się ze Stephenem, minęliśmy nasz dom i wyjechaliśmy na główną ulicę osady. Przejechaliśmy obok kina, gdzie się już nie świeciło, i przez główną ulicę, która wychodziła na szosę do Perrytown, i potem tą drogą do domu Bellamy'ego.

Byłam absolutnie pewna, że widziałam światło nad garażem, ale zniknęło prawie natychmiast; zdecydowałam jednak, że tak czy owak mogę wejść do środka. Nie przejmowałam się żadnymi drobnymi konwenansami i pomyślałam, że gdyby Mimi rzeczywiście była w domu, z prawdziwą i wielką ulgą wyłożyłabym wszystkie karty na stół i załatwiła z nią tę sprawę raz na zawsze. Ale, oczywiście, Mimi nie było; wtedy Stephen zatelefonował do Conroyów. Kiedy się dowiedział, że tam też

jej nie ma, doprawdy przeraziłam się jego stanem. Był spokojny jak zawsze, ale zdawał się nie rozumieć, co się do niego mówi. Nawet nie zadawał sobie trudu, żeby słuchać. Dostał jakichś dreszczy i siedział trzęsąc się cały, podczas gdy ja uspokajałam go, przekonywałam i tłumaczyłam.

Ale szkoda było nawet moich słów. W ogóle nie słyszał, co mówię. W końcu zdobył się na to, żeby zadzwonić na policję i do szpitala, a potem znowu tylko siedział, wpatrywał się przed siebie i trzął się. Chciał, żebym zatelefonowała do Pata i Dallasów, ale, rzecz jasna, wiedziałam, że niczego to nie da - Pat siedział zamknięty, dwa piętra od telefonu. Wreszcie zapytałam: „Czy widziałeś, w którą poszła stronę?” Potrząsnął przecząco głową. I znowu ja powiedziałam: „Ale ci przecież mówiła, że idzie w stronę Conroyów?” Skinął potakująco. I jeszcze raz ja się odezwałam: „No cóż, może skręciła nogę i zemdląła gdzieś przy drodze - zawsze nosi takie straszliwie wysokie obcasy. Moglibyśmy wziąć wóz, skierować światła na skraj drogi i zobaczyć, czy nie znajdziemy jakiegoś jej śladu. Chodź!”

Wiedziałam, że to wierutny nonsens, ale byłam zupełnie zrozpaczona i pomyślałam sobie, że to jedyna szansa, by go ruszyć z miejsca. I nie myliłam się. Tak to zupełnie wyglądało, jakby go prąd poraził. Zerwał się z krzesła. Wybiegł do hallu nawet nie obejrzawszy się za mną i musiałam bieć, żeby dopaść wozu, zanim naciśnie starter.

Ruszyliśmy z miejsca tak gwałtownie, że omal nie wyrzuciło mnie z samochodu, i całkiem poważnie się obawiałam, by nie rozbił nas o jeden ze słupów przy bramie. Odezwałam się: „Jeżeli mamy znaleźć Mimi, Steve, musimy jechać wolno. Musimy uważnie patrzeć”. Odpowiedział: „Racja”, i od tej chwili przez całą drogę do Conroyów wlekliśmy się dosłownie noga za nogą.

- Jak to jest daleko?

- Och, blisko, nie ma nawet pół mili, całkiem blisko. Jechaliśmy tak, póki nie minęliśmy wjazdu do ich domu, i wtedy postanowiliśmy... - Przerwała na chwilę, jej oczy dziwnie się rozszerzyły w małej, bladej twarzy, silniej zacisnęła ręce, jakby jej to miało przynieść ulgę, i ciągnęła pewnym, niskim głosem: - Postanowiliśmy, że równie dobrze możemy pojechać dalej.

Lambert, bledszy niż Sue, zapytał z równym spokojem:

- Że równie dobrze możecie pojechać gdzie, pani Ives?

- Do domku ogrodnika w Sadach - odpowiedziała Sue.

- Czy ona się przyznaje? - spytała cichym, bezbarwnym głosem rudowłosa dziewczyna.

- Chwileczkę - odparł reporter. - Bóg jeden wie, co ona robi.

Sędzia Carver pochylił się nagle w stronę Lamberta.

- Panie Lambert, już dawno minęła czwarta. Czy te zeznania potrwają jeszcze długo?

- Jakiś czas na pewno, wysoki sędzie.

- W takim razie - oświadczył sędzia Carver z powagą - sąd uważa za wskazane ogłosić przerwę do godziny dziesiątej jutro rano. Zarządzam przerwę.

Rozdział 7

Reporter z niepokojem spojrział na rudowłosą dziewczynę.

- Pani płakała - powiedział z wyrzutem.

Rudowłosa dziewczyna nie wyglądała na skruszoną.

- Na miłość boską! Czymże jest Sue Ives dla pani?
- Nie ma o czym mówić - oświadczyła z godnością. - Wolno mi płakać, kiedy mam ochotę. Jak będę chciała, mogę płakać całą noc. Niech pan będzie cicho. O, idzie!

- Pani Ives, z jakiego powodu zdecydowała się pani pojechać do domku ogrodnika? - spytał Lambert najprzejmiejszym głosem.

- Myślę, że to był pomysł Stephen'a, lecz absolutnie nie jestem tego pewna. Bo, widzi pan, wtedy to już sama nie wiedziałam, co robić. Ale wydaje mi się, że to właśnie Stephen wysunął przypuszczenie, iż ona może zachorowała czy zasnęła w tym domku. Przypominam sobie, że przyznałam mu rację, że to była głupota nie pomyśleć o tym wcześniej. W każdym razie oboje zgodziliśmy się tam pojechać.

Znowu przerwała na chwilę i siedziała splatając i rozplatając palce, utkwivszy oczy w coś, co znajdowało się daleko poza drzwiami sali sądowej.

- O której godzinie przyjechaliście państwo do domku?

- Chyba kwadrans po dziesiątej... może dwadzieścia po dziesiątej. Jedzie się tam nie dłużej niż pięć minut. Wjechaliśmy przez główną bramę, a potem skręciliśmy na wąską drogę prowadzącą do domku. Podjechaliśmy przed same frontowe schody i wtedy powiedziałam: „To na nic. W domku się nie świeci. Nie ma jej tutaj”. A na to Stephen: „Może zostawiła tam jakąś kartkę, dokąd idzie”. „Całkiem możliwe - powiedziałam. - Chodźmy zobaczyć”. Stephen położył rękę na klamce i lekko pchnął drzwi. „To dziwne - zauważył. - Drzwi są otwarte”. Wtedy odezwałam się: „Być może myślała, że on przyjdzie później”. Stephen otworzył drzwi i weszliśmy do środka.

Siedziała wpatrując się dziwnym, baczным i nieruchomym wzrokiem w jakiś odległy punkt, gdzieś daleko za innymi drzwiami, a niespokojny wzrok ludzi na sali biegł za jej spojrzeniem.

- A co potem?

- Potem, kiedy weszliśmy do środka, było naturalnie całkiem ciemno. Steve zapytał: „Nie wiesz, gdzie tu jest kontakt?” Odpowiedziałam: „Tu nie ma żadnego kontaktu. Douglas nie wiadomo odkąd mówił o założeniu elektryczności w tych wszystkich domkach, ale skończyło się na mówieniu”. „Przecież musi tu być jakieś światło” - powiedział Steve. „Naturalnie, że jest - odpowiedziałam. - Zawsze tu stała taka stara mosiężna lampa, tu w rogu koło drzwi frontowych, zaraz zobaczymy”. I stała rzeczywiście na tym samym stole. Obok leżały także zapalki; zaświeciłam jedną i zapaliłam lampę. Stephen wszedł razem ze mną do pokoju; stał przy drzwiach i odstąpił na bok, żeby mnie przepuścić. Od otwartych drzwi dolatywał lekki powiew, więc jedną ręką osłoniłam światło, żeby płomień nie migotał. Popatrzyłam na pianino, ponieważ nie przypominałam sobie, żebym je tam kiedykolwiek widziała. Przeszłam przez pół pokoju, zanim... zanim... - jej głos zamierał powoli, aż ucichł zupełnie.

Po długiej chwili ciszy Lambert zapytał:

- Zanim co pani zrobiła, pani Ives?

Drgnęła konwulsyjnie, jakby jakaś ciężka ręka obudziła ją z koszmarne go snu.

- Zanim ją zobaczyłam.

Powiedziała to zaledwie szeptem, ale na całej sali nie było człowieka, który by nie odczuł przerażenia w jej głosie.

- Czy to panią Bellamy pani zobaczyła?

- Tak... ja... - przetknęła ślinę, spróbowała coś powiedzieć, znowu

przełknęła ślinę i podniosła rękę do gardła. - Przepraszam, czy mogłabym poprosić o szklankę wody?

Na całej sali nie poruszył się nikt z wyjątkiem sekretarza sądowego; ostrożnie napełnił szklankę i podał ją Sue ponad balustradą otaczającą miejsce dla świadków. Piła powoli, jak gdyby ta krótka przerwa w opowiadaniu wracała jej życie. Kiedy skończyła, miękkiem ruchem odstawiła szklankę i podziękowała; jej głos był znowu czysty i opanowany.

- Mówiła nam pani, że zobaczyła panią Bellamy.

- Tak... Musiałam w jednej sekundzie upuścić lampę; przypominam sobie tylko, że nagle znaleźliśmy się w zupełnej ciemności. Usłyszałam, jak Stephen mówi: „Nie ruszaj się. Gdzie są zapałki?” Nie musiał mi kazać stać w miejscu. Gdybym wiedziała, że za cenę życia mam się poruszyć o cal, nie byłabym w stanie tego zrobić. Powiedziałam: „Mam zapałki w kieszeni”. Kazał mi zapalić. Próbowałam trzy razy. Za trzecim razem zapałka się zapaliła; wtedy Stephen przeszedł obok mnie i ukląkł koło Mimi. Ujął ją za przegub ręki i powiedział: „Mimi, czy to bolało? Czy to bolało, kochanie?” Zapałka zgasła i zaczęłam zapalać następną. Wtedy odezwał się: „Nie trudź się. Ona nie żyje”. „Wiem - powiedziałam - umarli nie mogą zamknąć oczu, prawda?... „To ja je zamknąłem - powiedział. - Zamordowano ją. Wplątałem cię w to, Sue, ale cię z tego wydostanę. Gdzie jesteś?” Chciałam powiedzieć „tutaj”, ale nie mogłam. I wtedy wydało mi się, że słyszę, jak coś się porusza - na zewnątrz - w krzakach - i okropnie krzyknęłam. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się coś podobnego. Brzmiało to tak, jakby krzyknął zupełnie ktoś inny. To nie był wcale mój głos. „Na miłosierdzie boskie, bądźże cicho!” - powiedział. „Słyszałam, że coś się rusza” - odpowiedziałam. „To ja podchodzę do ciebie. Podaj mi rękę”. Ujął mnie za przegub dłonią tak lodowatą,

że aż się przeraziłam. Przycisnęłam rękę do ust, żeby znowu nie krzyknąć, a on pociągnął mnie przez hall na werandę. Powiedziałam: „Stephen, przecież nie możemy jej tak zostawić... nie możemy”. Odpowiedział: „Ona już nas nie potrzebuje. Wsiadaj do samochodu”. Szarpnęłam się do tyłu, a on powiedział: „Posłuchaj, Sue. To zupełnie obojętne, że jesteśmy całkiem niewinni; jeżeli kiedykolwiek wyjdzie na jaw, że byliśmy w tym pokoju dziś wieczorem, nie ma ludzkiej siły, żebyśmy mogli kogokolwiek przekonać o swojej niewinności - a będziemy musieli udowodnić to dwunastu ludziom. Muszę cię odwieźć do domu. Wsiadaj do samochodu”. No, więc wsiadłam i Stephen odwiózł mnie do domu.

- Czy pojechaliście państwo prosto do domu, pani Ives?

- Prosto. Przez całą drogę Stephen odezwał się do mnie dwa albo trzy razy. Nie przypominam sobie, żebym ja cokolwiek mówiła. Powiedział mi, że mam opowiadać, iż pojechaliśmy do Lakedale, a potem dodał, że wszystko będzie w porządku, bo nikt nie wie, że Elliot rozmawiał ze mną, i nikt przecież nie może wiedzieć, że pojechaliśmy do domku ogrodnika. Pamiętam, że mu potakiwałam, a potem znaleźliśmy się pod naszą bramą. Wtedy Stephen powiedział: „Ale tak czy owak daj mi ten sygnał, o którym mówiliśmy, żebym wiedział, czy Pat jest w domu, dobrze, Sue?” Powiedziałam, że dobrze, a on dodał: „I może go spytasz, czy miał dziś wieczór jakąś wiadomość od Mimi?” Wtedy go zapytałam: „Steve, ale to się nie stało przez nas, to nie my, powiedz. Nie my... Pat i ty, i ja, i Mimi?”. „Owszem. To ma związek z nami - odpowiedział. - Będę tu czekał. Czy możesz się pośpieszyć?”

Weszłam do domu. Wszystkie światła były pogaszone, świeciło się tylko w hallu, ale przeszłam przez gabinet i jadalnię do kredensu. Łączy

się on z pomieszczeniami dla służby i chciałam się upewnić, czy nikt się tam nie kręci, bo musiałam pójść na górę i otworzyć pokój dziecinny, a obawiałam się, że Kathleen Page może urządzić scenę. Wszędzie pano- wały ciemności i cisza; nie było tam nikogo. W drodze powrotnej prze- chodziłam koło lodówki i przez szklane drzwi zobaczyłam owoce. Uświadomiłam sobie, że Pat nie mógł ich zanieść matce, nałożyłam więc trochę na talerz i poszłam na górę. Drzwi do jej pokoju były otwarte; zawsze zostawiała je nie zamknięte i kiedy wracaliśmy do domu przed jedenastą, mogliśmy powiedzieć jej dobranoc.

- Czy długo pani u niej była?

- Nie, najwyżej minutę. Powiedziałam jej, że zamiast pójść do kina, jeździliśmy ze Steve'em do Lakedale, i pocałowałam ją na dobranoc. Potem przeszłam przez galerię do skrzydła, w którym mieszczą się dzie- cinne pokoje. Otworzyłam drzwi z klucza, pchnęłam je, ale do środka nie wchodziłam. Pat siedział przy stole i czytał. Drzwi do pokoju panny Page były zamknięte. Pat przez chwilę przyglądał mi się, potem wstał i wy- szedł do hallu zamykając za sobą drzwi. Powiedział: „Nie wiedziałem, Sue, że potrafisz zrobić taki brzydki kawał”. „Ja też nie wiedziałam” - odparłam. Zeszłam do gabinetu i dwa razy zaświeciłam światło. Czeka- łam tak długo, aż usłyszałam, że samochód ruszył; potem poszłam do mego pokoju, rozebrałam się i położyłam. W pokoju było kilka lamp - świeciły się wszystkie, aż nie weszło słońce. Rano wstałam, ubrałam się i poszłam do kościoła; chwilę potem, jak wróciłam do domu, dowiedzia- łam się, że znaleziono ciało Mimi. A w poniedziałek wieczór aresztowa- no Stephena i mnie.

Milczała sekundę, a potem dodała cichym, zmęczonym głosem:

- To wszystko. Czy mam tu jeszcze zostać?

- Obawiam się, że tak - odezwał się Lambert z pełną powagą łagodnością. - Kiedy po raz pierwszy opowiedziała pani to wszystko?

- Przedwczoraj wieczór - panu - po tym, kiedy znaleziono moje odciski palców.

- Czy jest to pełny i wyczerpujący obraz tego, jak spędziła pani wieczór dziewiętnastego czerwca 1926 roku?

- Tak.

- Czy jest pani absolutnie pewna, że nie pominęła pani niczego?

- Tak.

- Dziękuję pani. To będzie wszystko. Nie mam więcej pytań.

Prokurator bardzo wolno podszedł do miejsca dla świadków i przez długą chwilę wpatrywał się z zadumą w siedzącą przed nim bladą kobietę. Pod jego badawczym spojrzeniem jej opuszczone ramiona wyprostowały się, broda uniosła ku górze.

- Czy dobrze znała pani ten domek ogrodnika, pani Ives?

- Dobrze.

- Pamiętała pani nawet, gdzie stała lampa w hallu?

- Owszem. Zachodziłam tam często jako dziecko.

- Czy od tego czasu nic się nie zmieniło?

- Nie wiem. Byłam tam zaledwie kilka sekund.

- Nawet nie tak długo, żeby zauważyć jakiegokolwiek zmiany?

- Stało tam pianino. To sobie przypominam.

Siedziała bardzo wyprostowana, obserwując go dużymi, błyszczącymi oczami jak jakąś dziwną, niebezpieczną bestię.

- Czy znała pani dobrze ten tylny wjazd do posiadłości Thorneów od River Road?

- Tak.

- Potrafiłaby tam pani bez trudu trafić w nocy?
- Pyta pan, czy trafiłabym tam mając drogę oświetloną reflektorami samochodu?

- Tak jest.
- Owszem. Trafiłabym.
- Czy zdawała sobie pani sprawę, że tamtędy jest bliżej do Sadów niż z powrotem przez Rosemont?

- O tak, tamtędy jest bliżej prawie o trzy mile.
- Dlaczego nie wybrała pani tej drogi?
- Ponieważ będąc w Lakedale nie myśleliśmy o tym, że pojedziemy do domku ogrodnika. Przyszło to nam do głowy dopiero w jakiś czas po powrocie do Rosemont.

- Ale dlaczego nie pomyśleliście państwo o tym wcześniej? Przecież wiedzieliście, że według wszelkiego prawdopodobieństwa pani Bellamy czeka w domku na pani męża?

Pytanie to zadane było z największą uprzejmością i delikatnością, ale w czujnie patrzących oczach pojawił się nagle wyraz zaniepokojenia.

- Nie, w ogóle o tym nie wiedziałam. Po pierwsze, nie byłam pewna, że ona tam poszła, a po drugie, jeśli nawet poszła, nie byłam pewna, czy tam czeka.

- Nic nie szkodziło przekonać się o tym?
- Myślałam, że szkodziło. Chciałam się spotkać ze Stephenem po to, żeby go nakłonić do rozmowy z Mimi; nie miałam najmniejszej ochoty brać udziału w poniżającej i przykrej scenie, czego nie dałoby się uniknąć, gdybym się zetknęła z Mimi.

- Rozumiem. A jednak zgodziła się pani spotkać z nią w jej własnym domu?

- Owszem. - Zagryzła wargi starając się skupić nad odpowiedzią. - Ale to by już było śledzenie jej i szpiegowanie i wtedy...

- Właściwą odpowiedzią jest „tak”, pani Ives.
- Czy mam rozumieć, że taką odpowiedź chce pan usłyszeć?
- Tak jest.
- Naprawdę nie chce się pan dowiedzieć, dlaczego tak postąpiłam?
Pod spokojną ironią jej wzroku spojrzenie prokuratora stwardniało.
- Pani Ives, dla pani własnego dobra radzę, żeby pani nie usiłowała ze mną polemizować. Nie tylko zgodziła się pani zobaczyć z nią w jej domu, ale bardzo niedługo po tym wybrała się pani szukać jej w domku ogrodnika. Tak czy nie?
- Tak. W tym czasie byliśmy oboje ogromnie zaniepokojeni i odłożyłam na bok swoje osobiste sprawy.
- Czy mam rozumieć to w ten sposób, że pojechała pani ze współczucia?
- Nie proszę, żeby pan cokolwiek rozumiał. Po prostu mówię panu, dlaczegośmy tam pojechali.
- Doskonale. Pani Ives, powiedziała pani przedtem, że kiedy zajęchaliście państwo przed domek, było w nim ciemno?
- Tak. Było ciemno.
- Ale na szczęście przypomniała sobie pani o tej lampie w hallu?
- Na szczęście - wolno powtórzyła Susan Ives. - Po prostu pamiętałam, że w hallu stała lampa.
- Kiedy przed tym dniem była pani ostatnio w Sadach?
- Nie byłam tam od czasu mego małżeństwa. To znaczy siedem lat.
- Jak dawno temu była pani w domku?
- Nie wiem... może rok albo coś koło tego.
- Czy dziewięć lat temu była pani dzieckiem?
- Dzieckiem? Miałam ponad dwadzieścia lat.
- Wydawało mi się, że zgodnie z własnym oświadczeniem bywała pani w domku jako dziecko.

- Później, kiedy byłam starsza, jeździłam tam od czasu do czasu. Bardzo lubiłam starego ogrodnika i jego żonę. Byli Niemcami i po wybuchu wojny stali się niesłychanie wrażliwi. Wszyscyśmy zachodzili do nich, żeby ich trochę rozweselić.

- To naprawdę ogromna troskliwość - jeszcze jeden dowód współczucia. Ale wróćmy do tej lampy, którą tak szczęśliwie przypomniła sobie pani po dziewięciu latach. Czy jest pani całkowicie pewna, że ona nie stała we frontowym saloniku?

- Absolutnie pewna.

- Czy nie mogła stać na tym małym stoliku, który pani Bellamy przewróciła upadając?

- W jakiż sposób mogła tam stać?

- To ja panią pytam. Czy jest pani całkowicie pewna, że w momencie, kiedyście państwo weszli, nie stała zapalona na stoliku?

- Rozumiem. - W jej nieugiętym spoj rzeni u otwarcie zabłyśła pogarda. - Poprzednio nie całkiem pana rozumiałam. Myśli pan, że kłamie, tak? Ale powiedziałam panu prawdę; lampa stała na stole w hallu.

- Wysoki sędzie, wnoszę o skreślenie tej odpowiedzi z protokołu, gdyż nie ma związku z pytaniem.

- Zarządzam skreślenie z protokołu do miejsca, w którym świadek zeznał: „lampa stała na stole w hallu”. - Sędzia Carver spojrział surowymi, skłopotanymi oczami na jasną, nieustępliwą twarz uniesioną ku niemu. - Pani Ives, sąd raz jeszcze zapewnia panią, że nie wyrządza sobie pani przysługi udzielając takich odpowiedzi oraz że są one całkowicie sprzeczne z przepisami. Sąd żąda, żeby pani tego zaniechała.

- Spróbuję, wysoki sędzie.

- Pani Ives, oświadczyła nam pani, że stojąc tam w ciemnościach, usłyszała pani jakiś dźwięk, który panią przeraził. Czy ktoś spróbował otworzyć drzwi?

- Och, nie, drzwi były otwarte. To nie był jakiś wyraźnie określony dźwięk. W pierwszej chwili pomyślałam, że ktoś się poruszył w krzakach, ale najprawdopodobniej był to po prostu wytwór mojej imaginacji.

- Czy nie słyszała pani, żeby ktoś gwizdał?

- Nie.

- Czy jest pani całkiem pewna, że nikt z państwa nie zamknął drzwi na klucz?

- Najzupełniej. Po co mielibyśmy zamykać drzwi na klucz?

- Jestem zmuszony ponownie przypomnieć pani, że to ja panią przesłuchuję. Powiedziała pani, że weszła pani do pokoju pierwsza, przed panem Bellamy?

- Tak.

- Jak daleko znajdowała się pani od zwłok, kiedy zobaczyła je pani po raz pierwszy?

W bladej jak papier twarzy jej oczy rozszerzyły się nagle przerażająco.

- Nie wiem. Bardzo blisko. Trzy stopy, może cztery.

- Czy podejrzewała pani, że ona nie żyje?

- Wiedziałam, że nie żyje. Miała szeroko otwarte oczy.

- Czy nie podchodziła pani do zwłok bliżej niż na te trzy czy cztery stopy?

- Nie. - Widać było, że chcąc wypowiedzieć to słowo musiała się zdobyć na straszny wysiłek.

- Nie dotykała jej pani?

- Nie.

- W takim razie, w jaki sposób na pani płaszczu znalazły się plamy krwi?

Na ostry, tryumfalny okrzyk prokuratora Sue Ives wzdrygnęła się, opuściła w myślach mały, pełen grozy pokój i powróciła do rzeczywistości.

- Plamy krwi? Na moim płaszczu nie było żadnych plam krwi.
- Czy nadal twierdzi pani, że płaszcz, który potajemnie wysłała pani z domu w niedzielę rano, był poplamiony smarem w wozie pana Bellamy'ego?
- Nie... nie. Tego nie twierdę.
- To bardzo roztropnie z pani strony, bo sierżant Johnson zeznał, że w wozie nie było nigdzie śladów smaru.
- Miałam zamiar już przedtem to wytłumaczyć - oświadczyła prosto Sue Ives. - Ale musiałam powiedzieć o tylu innych rzeczach, że zupełnie o tym zapomniałam. To była nafta z lampy - i płaszcz był poplamiony naftą. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale pomyślałam sobie, że będzie lepiej, jeśli się go pozbędę.
- Rozumiem - oświadczył ponuro prokurator. - Jest pani bardzo pomysłową młodą kobietą.
- Nie - odpowiedział czysty, poważny głos. - Nie uważam, żebym była specjalnie pomysłowa.
- Wobec tego różnimy się w tym względzie... Pani Ives, nie miała pani zamiaru powiedzieć sędziom przysięgłym, że była pani wieczorem dziesiętnastego czerwca w domku ogrodnika?
- Nie, gdybym mogła tego uniknąć, nie popełniając przy tym krzywoprzysięstwa.
- I postanowiła pani to zrobić dopiero wtedy, gdy zmusiła panią do tego świadomość, że prokuratura posiada dokładne informacje?
- Trudno mi na to odpowiedzieć „tak” lub „nie” - odrzekła Susan Ives. - Ale wydaje mi się, że najwłaściwszą odpowiedzią będzie „tak”.
- Postanowiła pani zatrzymać dla siebie tę niesłychanie istotną wiadomość, ponieważ pani i Stephen Bellamy doszliście wspólnie do przekonania, że jest rzeczą niemożliwą, aby dwunastu normalnie myślących

ludzi uwierzyło w tak fantastyczny zbieg okoliczności, że byliście państwo w pokoju, w którym kilka minut przedtem popełnione zostało morderstwo, a jednak nie mieliście z nim nic wspólnego, tak?

- Sądzę, że znowu powinnam odpowiedzieć „tak”.

- Czy nadal tak pani uważa?

- W tej chwili już nic nie uważam.

- Dlaczego miałyby pani zmienić zdanie, że dwunastu normalnych ludzi w żadnym wypadku nie może uwierzyć w tę historię?

- Nie wiem, czy mi uwierzą, czy nie uwierzą - powiedziała Sue Ives patrząc bez lęku prosto w dwanaście zwróconych ku sobie obojętnych i niezbadanych twarzy. - Bo, widzi pan, nie wiem, jak brzmi prawdziwa prawda.

- A ja myślę, że pani wie - powiedział prokurator z uprzejmym okrucieństwem. - Nie mam dalszych pytań.

Na ten ostatni cios białe wargi w bladej twarzy wykrzywiły się nagle w ironicznym uśmiechu - tym ostatnim pozdrowieniu przesłanym ponad dobytymi mieczami, zanim wsunięto je do pochwy.

- To będzie wszystko - stwierdził grzecznie prokurator. - Może pani wrócić na miejsce.

Przez chwilę Sue Ives dalej siedziała bez ruchu, wpatrując się ciemnymi, poważnymi oczami w dwanaście nieodgadnionych twarzy przed sobą.

- Wysoki sędzie - odezwał się Lambert cichym, zmęczonym głosem, w którym nie zostało nic z niedawnego hałaśliwego ożywienia - w związku z zeznaniami, jakie złożyła pani Ives, chciałbym raz jeszcze przesłuchać pana Bellamy'ego. Pragnąłbym mu zadać kilka pytań.

- Może zeznawać - zgodził się obojętnie sędzia I Carver.

Stephen Bellamy ze spokojem podszedł do miejsca dla świadków; na jego twarzy, wczoraj tak bladej i pełnej rozpaczy, dziś znów malował

się wyraz uprzejmego opanowania.

- Panie Bellamy, słyszał pan zeznania pani Ives dotyczące okoliczności, w jakich postanowili państwo udać się do domku ogrodnika, i to, co mówiła o pobycie tam. Czy zeznania te zgodne są z tym, co pan sobie na ten temat przypomina?

- Całkowicie.

- Nie zmieniłby w nich pan żadnego szczegółu?

- Nie. Są bezwzględnie dokładne.

- I niczego by pan do nich nie dodał?

- Owszem. Jest pewna kwestia, o której chyba powinienem powiedzieć. Pani Ives nie wie, że tej nocy jeszcze raz byłem w domku ogrodnika.

Jeśli Lambert też o tym nie wiedział, w każdym razie nie dał tego po sobie poznać.

- W jakim celu pan tam pojechał?

- Nie miałem żadnego określonego celu - po prostu nie chciałem zostawić mojej żony samej w tym domku.

- O której godzinie pan tam wrócił?

- Zaraz po odwiezieniu pani Ives do domu. Doprawdy zupełnie nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię. Skrzyłem w złym miejscu na tylną drogę i trochę błędziłem, zanim wjechałem tam, gdzie trzeba, ale nie mogło to trwać długo.

- Jak długo był pan w domku?

- Aż do świtu. Nie patrzyłem na zegarek.

- Nie zmieniał pan w żaden sposób niczego, co się w domku znajdowało?

- Nie. Zostawiłem wszystko dokładnie tak, jak było.

- Ani nie zabrał pan stamtąd niczego?

- Niczego, absolutnie niczego.

- Dziękuję, panie Bellamy. To będzie wszystko, chyba że pan Farr chce o coś zapytać.

- Jeśli chodzi o ścisłość, to miałbym kilka pytań - oświadczył prokurator dość swobodnie, ale surowo. - Pan również, panie Bellamy, jest człowiekiem bardzo pomysłowym, prawda?

- Trudno by mi było powiedzieć, że bym się okazał tak bardzo pomysłowy.

- Niemniej mogę pana upewnić, że tak jest. Trzeba było jakoś wyjaśnić te dodatkowe ślady opon, co?

- Wyjaśniłbym tę sprawę tak czy inaczej.

- Wyjaśniłby pan? Doprawdy? To bardzo interesujące, ale nie stanowi niestety właściwej odpowiedzi na moje pytanie. Będę bardzo wdzięczny, jeżeli nie będzie mnie pan zmuszał, że bym jeszcze się do pana o to zwracał. Więc powiada pan, że niczego nie ruszał?

- Powiedziałem, że niczego nie zmieniłem.

- Ale może pan czegoś dotykał?

- Tak.

- Czego?

- Dotknąłem jej ręki.

- Rozumiem. Szukał pan pierścionków?

- Nie. Nie myślałem o pierścionkach.

- Miała je jeszcze na ręku?

- Do momentu kiedy mnie pan o to zapytał, nie zastanawiałem się nad tym. Ale nie wydaje mi się, żeby je miała.

- Panie Bellamy, niechże się pan przyzna, że wrócił pan do domku z wyraźnym zamiarem usunięcia tych pierścionków, naszyjnika i wszelkich śladów, które pan lub pani Ives moglibyście tam zostawić podczas ucieczki.

- Myli się pan. Nie wróciłem dla żadnych z tych celów.

- W takim razie, po co pan tam wracał?
- Ponieważ nie chciałem zostawić mojej żony samej.
- Czy uważa pan, że to wyjaśnienie jest do przyjęcia?
- Och, nie. Uważam je po prostu za zgodne z prawdą.
- Pańska żona nie żyła, prawda?
- Nie żyła.
- I wiedział pan o tym?
- Tak.
- Wiedział pan, że nie może pan dla niej nic zrobić?
- Tego nie byłem pewny. - Głos Stephena Bellamy-ego brzmiał spokojnie jak zawsze, ale na jego policzku znowu pojawiła się bruzda wywołana zaciskaniem zębów. - Ona się bała ciemności.
- Ciemności?
- Tak. Bała się być sama w ciemnościach.
- Ale ona przecież nie żyła?
- Tak... tak, nie żyła.
- I pan chce, żebyśmy uwierzyli, że spędził pan całe godziny narażając się w każdej chwili na aresztowanie i oskarżenie o morderstwo tylko dlatego, iż martwa kobieta za życia bała się ciemności?
- Nie. Nie chcę, żeby pan w cokolwiek uwierzył - odpowiedział spokojnie Stephen Bellamy. - Mówię panu po prostu jak było.
- Więc twierdzi pan, że niczego więcej pan w domku nie dotykał?
- Niczego.
- W jaki sposób poruszał się pan tam bez światła?
- Miałem światło. Wziąłem z samochodu latarkę elektryczną.
- Po to, żeby dokładnie przeszukać domek i usunąć wszystko, coście po sobie zostawili?
- Niczegośmy nie zostawiali.
- Ale nie mógł pan być w stu procentach tego pewien, prawda?

Może na przykład nóż? Nóż bardzo łatwo zgubić.

- Nie mieliśmy noża.

Prokurator przyjął tę wypowiedź z wysoce sceptyczną miną.

- A teraz, panie Bellamy, zanim poproszę pana o powrót na miejsce, chciałbym się upewnić, czy nie ma pan ochoty czegoś na koniec powiedzieć. Czy to już wszystko, co ma pan do powiedzenia?

- Wszystko.

- Jest pan pewny?

- Jak najpewniejszy.

- Czy do zeznań składanych przez pana w ciągu kilku ostatnich dni nie ma pan absolutnie nic do dodania?

- Powiedziałem już, że nie.

- I powiedział pan to, w co, według pana, dwunastu normalnych ludzi nigdy by nie uwierzyło?

- Tak. Ale nie widzę potrzeby udowadniania mi, że jestem skończonym głupcem - spokojnie oświadczył Stephen Bellamy. - Chętnie się z tym zgadzam. Jest mi tylko niezmiernie przykro, że przez moją głupotę została w to wplątana pani Ives.

- Nie musi pan przecież zmienić swego zdania z powodu sceptycyzmu, z jakim pańska opowieść o wydarzeniach tej nocy musi się spotkać ze strony dwunastu normalnie myślących ludzi?

- Wprost przeciwnie. Miałem i tak wystarczający powód, żeby je całkowicie zmienić.

Niski, miły głos zdawał się działać na prokuratora jak eksplodująca bomba.

- Czy mogę zapytać, co to za powód?

- W momencie kiedy doszedłem do tego wniosku, nie miałem, rzecz jasna, możliwości słyszeć zeznań pani Ives. Teraz, kiedy je znam, wydaje

mi się całkiem niemożliwe, żeby ktokolwiek w nie wątpił.

- To musi być dla pana niesłychanie pocieszające - zauważył prokurator głosem tak nabrzmiałym ironią, że prawie się załamywał. - To będzie wszystko, dziękuję panu.

Lambert wolno podniósł się z krzesła.

- Obrona nie ma pytań - oświadczył krótko.

Rudowłosa dziewczyna bez słowa przyglądała się, jak sąd i oskarżeni wychodzą przez niewielkie drzwi w głębi sali, i również bez słowa przyjęła tabliczkę czekolady i wielkie czerwone jabłko. Zjadła je w tym samym ponurym milczeniu, przerywanym jedynie od czasu do czasu ukradkowymi westchnieniami i używaniem maleńkiej, w żadnym razie nie nadającej się do tego celu chusteczki.

- Zdaje mi się - rzekł z wyrzutem reporter - że wczoraj wieczór obiecała mi pani, że jak pójdę do domu, przestanie pani płakać i będzie grzeczna, rozsądna i...

- Przecież nie płaczę - odparła rudowłosa dziewczyna - a w każdym razie nie tak, żeby ktoś mógł coś zauważyć, chyba że specjalnie mnie podgląda. Jestem po prostu trochę zmęczona i nie w najweselszym nastroju.

- Ach, więc o to tylko chodzi. Dać pani moją chusteczkę? - A po chwili spytał z zadumą: - Czy myślała pani kiedy o tym, żeby wyjść za męża?

Rudowłosa dziewczyna poczuła, że jej serce przestało bić, ominęło dwa uderzenia, a potem zaczęło walić jak szalone.

- O, często - przyznała otwarcie - właściwie to cały czas. Wszystkie ładne dziewczyny o tym myślą.

- Naprawdę? - spytał szczerze zdziwiony reporter. - Bo mężczyźni

nie, w każdym razie bardzo rzadko. - Patrzył na nią przez długą chwilę z roztargnieniem, zanim dodał: - Mniej więcej raz w życiu.

I patrzył na nią jeszcze wtedy, kiedy z tyłu za miejscem dla świadków otworzyły się drzwi.

- Wysoki sędzie - na twarzy Lamberta ostro i wyraźnie rysowały się głębokie bruzdy, ale jego głos był wypoczęty i silny - panowie sędziowie przysięgli. Nie mam zamiaru zabierać panom wiele czasu, mimo że ciążę na mnie najdonioślejsze zadanie, jakie może stanąć przed człowiekiem - występowanie wobec was, panowie, w obronie czegoś tak cennego jak ludzkie życie.

Po tym, kiedy wszystko zostało już powiedziane i przeprowadzone, macie, panowie, odpowiedzieć na pytanie ogromnie proste - równie proste, jak doniosłe i straszne. A mianowicie, czy uwierzyliście we wszystko, co zeznali tu, na tej sali sądowej, Susan Ives i Stephen Bellamy? Czy ich relacja z wypadków, które się rozegrały tego strasznego wieczoru, jest rozsądnym, przekonywującym i uczciwym wyjaśnieniem, w jaki sposób zostali uwikłani w tę tragiczną serię wydarzeń, które niby zły huragan przewaliły się przez ich spokojne domy, niweczając ich wszystkie najdroższe nadzieje i to, co w życiu obojga było najcenniejsze? Uważam, że na to pytanie może być tylko jedna odpowiedź, której udzielicie już niedługo, oraz że wszyscy, co ją usłyszą, odetchną z ulgą i wdzięcznością.

Zarówno Sue Ives, jak i pan Bellamy zeznali dokładnie to samo. To, że Stephen Bellamy nie powiedział od razu wszystkiego do końca, jest okolicznością, nad którą ubolewam równie głęboko jak każdy z was, panowie, ale nie wydaje mi się, żebyście poczytali mu to za złe.

Pamiętajcie, że nie powiedział ani słowa, które by nie było dokładnie i w stu procentach zgodne z prawdą. Oboje uzgodnili ze sobą, że gdyby zaszła konieczność odstąpienia od prawdy choćby na włos - nie zrobią tego.

Przekonując panią Ives, iż dla własnego bezpieczeństwa nie powinna się przyznać, że była krytycznego wieczora w domku ogrodnika, pan Bellamy popełnił poważny błąd, ale był to błąd człowieka rycerskiego, nie rozumjącego normalnie, całkowicie wytrąconego z równowagi potwornością sytuacji, w którą oboje zostali w tak niewiarygodny sposób uwikłani.

Jeśli zaś chodzi o Sue Ives, była tak do głębi przerażona, oszołomiona, rozstrojona i zmieszana, że przez kilka dni poprzedzających jej aresztowanie żyła jak w koszmarnym śnie; przyznacie panowie, że w złym śnie nawet najmądrzejsi z nas nie rozumują z normalną jasnością i logiką. Robiła to, co jej powiedziano, a powiedziano jej, że niestychanie ułatwi mi zadanie, jeśli się nie dowiem, iż tego wieczoru zbliżała się do domku ogrodnika. I to, niestety, było dla niej rozstrzygające. Zawsze bowiem starała się ułatwić moje zadania.

Być może domyśliliście się, panowie, że mój stosunek do Sue Ives nie jest normalnym stosunkiem obrońcy do klienta. W każdym razie tak się właśnie sprawa przedstawia i nie uchylam się od żadnych konsekwencji, jakie stąd mogą wyniknąć. Nie łączą nas więzy krwi, ale jestem z nią związany innymi więzami - uczucia i podziwu. Mogę powiedzieć, że jest mi równie droga jak córka, a może nawet droższa, ponieważ Sue Ives jest taka, jaką córka może być jedynie w czyichś marzeniach. Po raz pierwszy w moim życiu obraziłem ją tu, na tej rozprawie - obraziłem ją, ponieważ uznała, że troszczę się o jej dobro bardziej, niż sama by sobie tego życzyła. Ale przebaczy mi nawet to, bo wie, że jestem jedynie

starym, głupim człowiekiem, który oddałby wszelką nadzieję własnego szczęścia, żeby tylko zobaczyć spełnienie jej nadziei, i który walcząca dzisiaj o jej życie, walczy o coś nieskończenie droższego niż własne życie.

Kilka dni temu oświadczyłem panom, że Sue Ives była bogata pod wieloma względami. Mówiąc to nie miałem na myśli pieniędzy - chodziło mi o rzeczy, które są umiłowanym skarbem, cennym dziedzictwem wielu prostych i skromnych ludzi. Miłość, piękno, zabezpieczony byt, pogoda, zdrowie - a wszystko to może być udziałem tylko niewielu z nas.

W ściśle materialnym tego słowa znaczeniu pani Ives nie jest kobietą bogatą. Chciałbym bardzo, po prostu w imię samej prawdy, rozwiązać legendy o marmurowym sercu krążącym po marmurowych korytarzach, jakie narosły wokół jej osoby. Przez szereg szczęśliwych lat żyła w domu, który, jak sami panowie słyszeli, określano jako dom farmerski - prosty, niepretensjonalny dom, który upięknszyła wesołymi draperiami, kominkami, książkami, sztychami i kwiatami.

Sue Ives posiadała to, co mam nadzieję, posiadają również i wasze żony, panowie - kwiaty w ogrodzie, dzieci w dzieciennym pokoju i słońce w oknach. Mając te rzeczy każda kobieta jest bogata - i taka była Sue Ives. Jeśli chodzi o Stephena Bellamyego, nie posiadał on niczego więcej niż dobry urzędnik lub mechanik - nieduży dom, mały samochód i służącą do wszystkiego, która pomagała jego pięknej żonie. Tyle na temat legendy o dumie, przepychu i nieprzeliczonych milionach, jaka powstała wokół tych dwojga ludzi. W prasie codziennej legenda ta rozrastała się w sposób zupełnie niedorzeczny; ale interesuje to was, jak i każdego z nas tylko o tyle, o ile interesuje nas prawda.

Historia, którą usłyszeliście, panowie, z ust pani Ives i pana

Bellamy'ego, obala wszystkie skierowane pod ich adresem zarzuty. Jest odważnym, rzetelnym, szczegółowym i logicznym sprawozdaniem z każdego kroku, jaki zrobili tego straszliwego, tak doniesłego w następstwa wieczoru. Przyjmując, że wszyscy świadkowie powołani przez oskarżenie celem zbicia ich z tropu oraz zaciemnienia ich zeznań mówili absolutną i czystą prawdę - co niejeden z panów może uważać za przypuszczenie nieco przesadne - przyjmując jednakże nawet i to, wciąż jeszcze nie da się znaleźć w ich zeznaniach ani jednego słowa, które by najdokładniej nie zgadzało się z wyjaśnieniami samych oskarżonych odnośnie tego, co robili owego wieczoru.

Zeznania świadków oskarżenia nie tylko nie są sprzeczne z wypowiedziami świadków obrony, lecz nawet je potwierdzają. Podśluchana rozmowa telefoniczna, nóż z gabinetu, poplamiony płaszcz flanelowy, wizyta w domu Stephena Bellamyego, ślady opon na błocie przed domkiem ogrodnika, odciski palców na lampie - wszystko to są dowody przedstawione przez oskarżenie, ale również i przez obronę. Te ponure fakty, które w ręku prokuratora stają się potężną i straszną bronią, w jasnym świetle prawdy przemieniają się w ogromnie proste, logiczny i nieuchronny splot okoliczności, dający się całkowicie wyjaśnić i wytłumaczyć. Im dokładniej się temu przyjrzeć, tym bardziej fakty te wydadzą się niewinne. Proszę, abyście zechcieli, panowie, jak najsurowiej i jak najdokładniej je przeanalizować - a o wynik jestem całkowicie spokojny.

Nie ulega wątpliwości, że prokurator oświadczy panom, że niezależnie od wszystkiego, coście tu usłyszeli, pozostaje faktem, iż Susan Ives i Stephen Bellamy posiadali środki, motyw i sposobność do popełnienia tej zbrodni. Obrona twierdzi natomiast, że nie posiadali ani jednej z tych rzeczy. Nie znaleziono u żadnego z nich narzędzia zbrodni; byłoby

dla nich pod każdym względem wprost fizyczną niemożliwością dostać się do domku ogrodnika, popełnić morderstwo i wrócić do domu Stephena Bellamy'ego między chwilą, kiedy człowiek obsługujący stację benzynową widział ich wyjeżdżających z Lakedale, a momentem, kiedy Orsini zobaczył ich zjawiających się przed domem pana Bellamyego; było to skąpe czterdzieści minut według przesadnych słów świadków oskarżenia i niecałe dwadzieścia pięć minut według słów świadków powołanych przez obronę.

Przyjmijmy jednak całkowicie uzasadniony okres czterdziestu minut, od godziny 21.15 do 21.55. Sugeruje się panom, że w czasie tym tłukli się małym, rozklekotanym samochodem dziesięć, a może i więcej mil po nie znanych drogach, w całkowitej ciemności, że pojechali na skrót polną drogą, po omacku przedostali się przez bramę na tyłach posiadłości Thorne'a na małą dróżkę prowadzącą do domku ogrodnika, przejechali nią, weszli do domku, wdali się w przykrą i gwałtowną kłótnię z Mimi Bellamy, zakończoną morderstwem; następnie pozostali w domku, by omówić plan działania, którego częścią było zabranie biżuterii ofiary, przy czym obmyślali skomplikowane alibi; pozostawali w domku tak długo, aby pan Thorne, który zjawił się na miejscu tragedii, miał czas odjechać dostatecznie daleko; potem wyszli z domku, wsiedli do niewidzialnego samochodu i zjawili się w domu pana Bellamy'ego - położonym o trzy mile od Sadów - pięć minut przed dziesiątą. Panowie, czy to wydaje się wam realne? Przyznaję, że ja osobiście uważam to za tak nieprawdopodobne, tak fantastyczne i tak groteskowo niemożliwe, że mam jedynie wielką ochotę przeprosić panów za tak długie omawianie tej kwestii. Tyle o środkach, tyle o możliwościach, a teraz zajmijmy się motywem.

I tu, myślę, dotykamy najslabszego punktu oskarżenia skierowanego przeciwko Sue Ives i Stephenowi Bellamy. To, że nawet sama prokuratura dostrzega jego słabość, moim zdaniem potwierdza fakt, iż żadnemu ze świadków nie zadano ani jednego pytania, które by zmierzało do ustalenia choćby któregoś z motywów przypisanych oskarżonemu przez prokuratora - motywów bardzo zresztą różnorodnych; jedna jedyna rzecz, jaka je łączy, to ich absurdalność. Prokuratura stoi na stanowisku, jeśli oczywiście nadal utrzymuje swą pierwotnie wysuniętą teorię, że Madeleine Bellamy została zamordowana przez Sue Ives, ponieważ ta obawiała się biedy, i że w tej krwawej imprezie pani Ives pomagała i służyła radą oszalała z zazdrości Stephen Bellamy.

Proszę, panowie, abyście rozważyli te dwie koncepcje z większym zastanowieniem i uwagą, aniżeli na to w rzeczywistości zasługują, ponieważ od tego, czy je przyjmiecie, czy odrzucicie zależy uznanie lub nie uznanie winy obojga oskarżonych. Nie możecie po prostu odrzucić tych koncepcji jako zbyt niedorzecznych, by warto było w ogóle je rozpatrywać. Nie możecie powiedzieć: „Och, naturalnie, to nie był powód, dla którego zabili, ale to nie nasza sprawa; może być jakaś inna przyczyna, o której nic nie wiemy”. Nie, na nasze szczęście tak postąpić nie możecie.

Motywy te, aczkolwiek niedorzeczne, są jedyne, jakie wysunięto; w każdym razie są najmniej niedorzeczne spośród wszystkich, jakie prokuratura mogła znaleźć. Jeżeli nie jesteście w stanie ich przyjąć, cały akt oskarżenia rozpadnie się tu na waszych oczach. Jestem głęboko przekonany, że gdy zastanowicie się nad tym uważnie choćby pół minuty, zobaczycie, że z aktu oskarżenia nie pozostanie nic. Żąda się od was, abyście uwierzyli, że Susan Ives popełniła okrutne, obmierzłe i bestialskie morderstwo, kierując się najpodlejszymi, wyrachowanymi i materialnymi

motywami oraz chęcią zabezpieczenia stanu swoich przyszłych finansów przed wszelkim możliwym ryzykiem.

Przez dwie godziny słuchaliście, panowie, jak Susan Ives przemawiała do was z tego miejsca dla świadków. Jeżeli potraficie uwierzyć, że jest to kobieta podła, fałszywa, wyrachowana, chciwa, okrutna, i bestialska, nie pozostaje mi nic innego, jak wam pogratulować. Żeby się dać tak łatwo przekonać, na to trzeba już nie talentu, ale wprost geniuszu.

Powiedziano wam, że Stephen Bellamy był jej współnikiem, doprowadzonym do czystego i absolutnego szaleństwa przez najokrutniejszą, podłą i tchórzliwą formę zazdrości. Ale słyszeliście również i jego zeznania. Słyszeliście, kiedy mówił wam z tego miejsca dla świadków o męce rozpaczony na myśl, iż jakaś krzywda spotkała jego ukochaną żonę - jeżeli potraficie uwierzyć, że jest on człowiekiem podłym, tchórzliwym, okrutnym lub szalonym, w takim wypadku nie ulega wątpliwości, że potraficie uwierzyć w świat zamieszkały przez olbrzymów i wróżki, i ludojadów, i wiedźmy, i smoki. Żadne z tych stworzeń nie zaskoczyłoby bardziej niż przemiana tego rycerskiego, kochającego i opanowanego dżentelmena w nikczemnego łajdaka, za jakiego każe się wam go uważać.

Akt oskarżenia, panowie! Rozpada się, nieprawdaż? Rozpada się tu, na waszych oczach. Środki, motywy, możliwości - spójrzcie na nie chłodno i uważnie, a znikną, rozpułną się w powietrzu.

Jeżeli środki, motywy i możliwości stwarzają podstawę do oskarżenia o morderstwo, proces ten bardzo łatwo mógłby się zakończyć szeregiem aresztowań równie mało usprawiedliwionych jak aresztowanie Sue Ives i Stephena Bellamyego. Nie podnoszę żadnych tego rodzaju oskarżeń; niewinność tej kobiety i tego mężczyzny jest tak niezbytnie, pewnie i w

sposób nie do obalenia udowodniona, iż nie widzę potrzeby pociągania kogokolwiek innego do odpowiedzialności. Nie jest to ani moim obowiązkiem, ani zamiarem, niemniej jednak byłoby sprzeczne z moim pragnieniem wyświelenia bezwzględnej prawdy, gdybym nie wskazał, że można by skonstruować oparte na o wiele mocniejszych podstawach hipotetyczne oskarżenie przeciwko tym wszystkim, których los zetknął się i skrzyżował z losem nieszczęsnej kobiety zamordowanej w domku ogrodnika.

Tak znakomite alibi mogłaby chyba ustalić całkiem niewinna osoba, której nawet do głowy nie przychodzi, że mógłby się znaleźć ktoś, kto by tego od niej zażądał. Jakie alibi, praktycznie rzecz biorąc, mają na krytyczny wieczór ci wszyscy, którzy zeznawali przeciwko Sue Ives i Stephenowi Bellamy? Pochodzenie noża, który opisał panom doktor Stanley, mogło być bardzo różne -noże tego rodzaju bez trudu znajdzie się w skrzynce z narzędziami, w szufladzie kuchennej lub w sprzęcie sportsmena.

Analizowaliście, panowie, motywy przypisywane oskarżonym. Pozwolę sobie zauważyć, że biorąc na chybił trafił, bardziej prawdopodobnymi motywami okażą się niewątpliwie rabunek, szantaż albo zazdrość spotęgowana alkoholem. Kiedy jeden z wchodzących w rachubę świadków przenosi się do Kanady, a drugi odbiera sobie życie - obaj są bezpieczni i poza zasięgiem naszego wymiaru sprawiedliwości, ale nie poza zasięgiem naszych dociekań. Pozwolę sobie zauważyć, że zasługuje to co najmniej na zainteresowanie. Nie zajmując się jednak tym dłużej, chciałbym zwrócić uwagę panów, że ta kobieta, młoda, piękna, samotna i zupełnie bezbronna w opuszczonym domku, mając na sobie cenną biżuterię, stanowiła znakomity łup dla jakiejś nieznannej bestii krążącej po

okolicy - zbrodniarz ten najprawdopodobniej musiał ją śledzić od momentu, kiedy wyszła z domu, i był to zapewne ktoś, kto kręcił się po terenie pustej posiadłości albo w jakimś podejrzanym celu, albo zupełnie przypadkowo. Wszystko wskazuje, że to było morderstwo w celach rabunkowych - wciąż jeszcze stanowi to najprostsze i najbardziej naturalne rozwiązanie; jest ono jednak zbyt proste i zbyt naturalne dla znakomitego prokuratora, ambitnej policji i wyprowadzonej z równowagi publiczności, która domaga się ofiary.

Prokuratura wcale nie próbowała wyjaśnić dwóch okoliczności - kto zabrał list z gabinetu Patricka Ivesa i kto się śmiał, kiedy Madaline Bellamy krzyknęła. Ktokolwiek ten list zabrał - nie zrobiła tego Susan Ives. Nie miała najmniejszego powodu zaprzeczać, że go wzięła. Otwarcie przyznała, że przeszukała gabinet męża, chcąc znaleźć dowody jego wiarołomstwa; przyznała również, że wiedziała od Elliota Farwella o wyznaczonym na ten wieczór spotkaniu jej męża z Madeleine Bellamy. List, który przypuszczalnie wyznaczał właśnie to spotkanie, nie dodałby nic nowego do informacji, jakie pani Ives już posiadała. Mógł go przejąć każdy z sześciorga czy ośmiorga służby lub ktokolwiek z licznych gości. A ten, kto to zrobił, wiedział, gdzie i kiedy może znaleźć Madeleine Bellamy tego wieczoru.

Kwestia śmiechu jest jeszcze bardziej zagadkowa i gmatwająca sprawę; dla prokuratury stanowi ona niewątpliwie trudny orzech do zgryzienia. Będzie bardzo interesującym dowiedzieć się, czy oskarżenie spróbuje przekonać was, panowie, że to zaśmiał się Stephen Bellamy na widok upadającej żony. Moim zdaniem tylko jakiś zwyrodnialec lub pijany potwór mógłby wybrać taki moment na okazanie wesołości. Ale możliwe,

że pan Farr uważa pana Bellamy'ego i za potwora, i za zwyrodnialca. Na szczęście jednak o tym decydujecie wy, panowie, a nie on.

Prokuraturze pozostaje jeszcze jeden szczegół, który musi wyjaśnić nam w sposób zadowalający. Zgodnie z teorią oskarżenia Stephen Bellamy i Susan Ives przybyli na miejsce zbrodni samochodem - samochodem pana Bellamy'ego. Morderca Madeleine Bellamy nie przyjechał samochodem - w każdym razie w dwie minuty po czasie, który ustalono jako moment popełnienia zbrodni, w okolicy nie widziano żadnego samochodu. Za domkiem nie znaleziono śladów opon, a sami świadkowie oskarżenia stwierdzili, że podczas bytności Stephena Bellamy'ego jego samochód stał na wprost drzwi frontowych. Jeśli ktoś zaparkował nie oświetlony samochód gdzieś na głównej drodze wjazdowej, jak twierdzi prokuratura, to w każdym razie nie Stephen Bellamy. Jego samochód był wyraźnie widoczny i mógł go zobaczyć każdy, kto się zbliżył do domku. Jak już powiedziałem, będzie rzeczą interesującą usłyszeć, w jaki sposób prokuratura ustosunkuje się do tego tak ważnego faktu.

Poruszyłem te sprawy, ponieważ chciałem wyjaśnić panom dwie lub trzy okoliczności, które absolutnie nie dają się pogodzić z teorią wysuną przez prokuraturę. Gdyby miano z nich zrezygnować w sposób choćby w najmniejszym stopniu nadający się do przyjęcia, musiano by wysunąć inną koncepcję, a chyba zgodzicie się ze mną, panowie, że w tej chwili jest już na to dość późno. Nie poruszałem tej kwestii - chciałbym to jak najdokładniej wyjaśnić - z tego względu, że to w najmniejszym nawet stopniu nie jest obronie potrzebne. Obrona nie jest uzależniona od tak intrygujących szczegółów, jak: kto zabrał list, kto się śmiał albo czy morderca przybył na miejsce zbrodni samochodem, czy pieszo.

Obrona, którą przeprowadzam, jest prosta, nieskomplikowana i nie mogą na nią wpłynąć żadne inne okoliczności.

Ze wszystkich przytoczonych przeze mnie argumentów jeden jest tylko tak zasadniczy, że pragnę, abyście, panowie, zachowali go głęboko w pamięci, kiedy opuścicie tę salę i przystąpicie do najbardziej odpowiedzialnego zadania, jakie może stanąć przed człowiekiem. Chodzi mi tylko o to, że bronię Stephena Bellamy'ego i Susan Ives jedynie stwierdzając, że oboje są niewinni - tak całkowicie i tak niewątpliwie niewinni, jak każdy z was, panowie, w których rękach spoczywa ich los; że to ohydne i brutalne morderstwo było pod każdym względem sprzeczne z ich życzeniem, oczekiwaniem i pragnieniem; że jest ono dla nich równie straszliwe, niewiarygodne i tajemnicze, jak dla was. To i wyłącznie to stanowi ich obronę.

Powiedziałem już, że z chwilą gdy opuścicie tę salę, staniecie wobec najbardziej odpowiedzialnego zadania. Teraz oświadczam wam, że kiedy tu powrócicie, możecie stanąć wobec najpiękniejszego zadania, jakie można sobie wyobrazić: przyjdziecie, żeby obdarzyć życiem dwoje ludzi, nad którymi zawisł już cień śmierci.

Nie jesteście w stanie przywrócić Sue Ives tego, co straciła - złotej wiary i beztróskiego poczucia bezpieczeństwa, zaufania do świata i do wszystkiego, co się na nim dzieje. Nie jesteście w stanie zwrócić Stephenowi Bellamy'emu jego martwej żony, która była mu skarbem i radością - to wokół jej jasnej głowy obracały się wszelkie marzenia tego człowieka. Nie potraficie im zwrócić wiele z tego, co czyni życie rzeczą najpiękniejszą na świecie, ale możecie im dać samo życie. Możecie im zwrócić dobrą ziemię, czyste powietrze, dziecięcy uśmiech, kochające ręce, światło gwiazd, ogień na kominku, blask słońca i księżycy - i najjaśniejszy

ze wszystkich blask ogniska domowego przeświecający przez okna, które tak długo pozostawały ciemne. Wszystko to spoczywa w waszych rękach. Wszystko to możecie im ofiarować. Panowie, w głębi serca ogromnie zazdrozczę wam tego przywileju, jakże bardzo bym chciał, żeby mnie przypadła w udziale taka rola!

Lambert usiadł powoli i ciężko, a przez salę przebiegł ożywiony pomruk ulgi i wiary; atmosfera napięcia i niepewności rozładowała się momentalnie. I jakby w odpowiedzi na to podniósł się prokurator. Przez chwilę stał w milczeniu, złożywszy ręce na oparciu krzesła, a jego iskrzący się, nieodgadniony wzrok błędził po zwróconych ku niemu twarzach. Kiedy przemówił, jego metaliczny głos był przytłumiony:

- Wysoki sędzie, panowie sędziowie przysięgli!

Mowa obrończa, jaką wygłosił pan Lambert, jest tak wzruszająca i pełna krasomówstwa, że chyba nieprędko uda wam się usłyszeć podobną. Bardzo się niefortunnie dla mnie składa, że bezpośrednio po niej ja zmuszony jestem wygłosić mowę i że z konieczności nie znajdzie się w niej miejsca ani na krasomówstwo, ani na elementy uczuciowe. Przez to będzie ona niewątpliwie krótsza, ale z całą pewnością nie lepsza. Oratorskie braki postaram się jednak wyrównać faktami - są to fakty chłodne, przejmujące, ponure, nie będzie miło ich słuchać, mimo to pozostają faktami. Ponieważ do moich przykrych obowiązków należy przedstawić je panom -nie cofnę się przed tym. Nie będę musiał szczegółowo ich wyjaśniać. Przemówią same za siebie bardziej wymownie, niż ja potrafiłbym to zrobić, i dlatego proponuję, niech mówią same za siebie.

Zanim je panom przytoczę, zajmę się możliwie najkrócej dwiema czy trzema sprawami, które pan Lambert uznał za właściwe poruszyć w swoim przemówieniu. Pierwsze to kwestia zamożności pani Ives. Nie bardzo

rozumiem, dlaczego fakt, że pani Ives jest osobą bogatą, ma mieć jakieś zasadnicze znaczenie w tej sprawie, ale pan Lambert uznał go najwi-
doczniej za tak istotny, że omówił go dosyć obszernie. Bardzo zżęcznie
udało mu się przedstawić panom obraz skromnego wiejskiego domku z
bramą oplecioną różami, domku, w którym rządy sprawowała jeszcze
skromniejsza gospodyni. Obrazek ten jest zaiste niezmiernie idylliczny,
ale w niczym nie odpowiadający rzeczywistości.

No, więc ten wiejski domek w istocie rzeczy jest okazałą rezydencją
liczącą ze dwadzieścia pokojów, a róże kwitną w ogrodzie, który wielko-
ścią przypomina raczej mały park; nie ma wielu domków wiejskich,
które by mogły się pysznić basenem kąpielowym, kortem tenisowym,
kręgielnią i garażem na pięć samochodów - natomiast domek pani Ives
wyposażony był we wszystkie te drobne udogodnienia, uważane za rzecz
najzupełniej oczywistą. Użył bardzo lirycznego zwrotu mówiąc, że Su-
san Ives nie posiadała nic więcej niż żona każdego z panów - nic więcej
niż róże w ogrodzie, słońce w oknach i dzieci w dzieciennym pokoju.
Przyznam się, że byłem tym nieco zaskoczony. Czy żony panów posia-
dają akr róż, sto okien, przez które wlewa się słońce, jeden pokój dzie-
cinny na dzień, drugi na noc i na dodatek w trzecim pokoju guwernantka,
która czuwa nad zabawą dzieci? Jeśli rzeczywiście tak jest, jesteście,
panowie, naprawdę szczęśliwi.

Mówiąc o Stephenie Bellamy obrońca zapewnił panów, że każdemu
mechanikowi w kraju powodzi się równie dobrze jak jemu. Być może.
Mechanicy, jakich ja znam, nie mają służących, które by pomagały ich
pięknym żonom, ani ogrodników mieszkających nad ich ładnymi gara-
żami, ale może panowie znają innych.

Tyle o zamożności oskarżonych. Zaznaczyłem na wstępie, że nie ma

to wielkiego znaczenia, i w pewnym sensie rzeczywiście go nie ma, natomiast jeśli przyjrzymy się temu uważniej, okaże się, że jednak ma, i to największe, jakie tylko może mieć. Nie dlatego, że Susan Ives była w ścisłym tego słowa znaczeniu kobietą bogatą, ale ze względu na proces, jaki się w niej dokonał na skutek ponurej magii czegoś, co moglibyśmy nazwać mirażem złota.

Znacie, panowie, bez wątpienia legendę o Midasie - tę opowieść o nieszczęsnym królu, który chciał, aby każdy przedmiot, jakiego się dotknie, zamieniał się w złoto, pewnego dnia król pogłaskał po włosach swoją małą córeczkę i oto dziecko zmieniło się w posąg - piękny, lśniący, wspinały, ale zimny, nieczuły i niehumaniczny jak sam metal. Wiele lat temu dłoń Curtissa Thorne'a musiała spocząć na głowie córeczki i zrobił wówczas ze swego dziecka to, czym dzisiaj jest ta kobieta. Wytwór dumny, potęgi, przywilejów, bogactwa - Susan Ives, dumna, wpływowa, uprzywilejowana i bogata - kobieta ze złota, uroczy przedmiot zbytku we właściwym otoczeniu, lecz poza nim bezużyteczny balast.

Nikt sobie z tego lepiej nie zdawał sprawy niż sama kobieta złota - pamiętajcie, panowie, że posiadamy na to gorzkie dowody; i oto tego fatalnego czerwcowego popołudnia przesycone alkoholem tchnienie sprawiło, że piedestał, na którym stała, zadrżał. Szybko z niego zbiegła, postanawiając nie dopuścić, by kiedykolwiek się zachwiał. To nie złoto, panowie, które trzymamy w ręku, stanowi groźbę i przekleństwo, nie błyszczące krążki, które możemy wymienić na radość, piękność, zdrowie, miłosierdzie - ale ten chłodny metal, który zapada w nasze serca. Nie występuję przeciwko bogactwu jako takiemu. Występuję jedynie przeciwko wytworowi powstałemu na skutek Midasowego dotknięcia.

Pan Lambert z prawdziwą zręcznością przedstawił też panom wysoce drażliwy temat: sprawę głębokiego osobistego zainteresowania obojgiem oskarżonych, a zwłaszcza Susan Ives. Nie sposób wątpić w szczerość jego przywiązania do tej kobiety. Ja, na przykład, jestem bardzo daleki od tego, by w to powątpiewać. Kochał małe dziecko, zanim jeszcze ciężka dłoń Midasa spoczęła na jego włosach; nadal widzi jedynie jasne dziewczęce loki opadające na niczym nie zmałowane czoło. Wielu z panów, którzy macie córki, czuło, jak łzy napływają wam do oczu, kiedy zapewniał, że kochał ją jak własną córkę - czułem te łzy również i ja, który córki nie mam.

Ale, panowie, chcę was zapytać tylko o jedno: czy zgodnie ze szczerą prawdą możecie powiedzieć, że jesteście najbardziej bezstronnymi sędziami w osądzaniu charakteru swoich córek? Czy gdyby z nieba zstąpił sam archanioł i oświadczył, że wasza córka popełniła morderstwo, a ona temu zaprzeczyła, czy uwierzylibyście jemu? Nigdy, przenigdy, i dobrze o tym wiecie. Jeżeli w głębi duszy mówicie sobie: „On znał i kochał Susan Ives od lat; on ją ciągle jeszcze kocha, więc musi być taka, jak on to sobie wyobraża” - w takim wypadku żarliwe słowa pana Lamberta osiągnęły skutek, a moja logika zawiodła na całej linii.

Ale proszę was, panowie, abyście kierowali się nie sercem, lecz rozsądkiem. Proszę was, abyście odnieśli się z dużym zastrzeżeniem co do szczerości pana Lamberta, nie do jego uczucia ani wymowy, ale do jego sądu i łatwowierności. Banaly streszczają w sobie na ogół prawdy najstarsze i najgłębsze, a jednym z najdawniejszych i zarazem najprawdziwszych jest powiedzenie, że miłość jest ślepa.

Tyle o dwóch zasadniczych zarzutach, na które moim obowiązkiem było odpowiedzieć; o dalszych szczegółach dotyczących kwestii listu,

samochodu i śmiechu powiem we właściwym czasie. Skończyliśmy na razie z ogólnikami, powróćmy więc do faktów.

Można je podzielić na dwie kategorie: pierwszą, obejmującą wydarzenia, jakie prowadzą do zbrodni i przyspieszają jej wykonanie, oraz drugą, związaną z samym popełnieniem zbrodni.

Zamierzam zająć się nimi w logicznej kolejności. Do pierwszej kategorii zaliczyć należy podstawowy czynnik w tej sprawie - motyw. Obrońca oświadczył panom, że to najslabszy punkt w akcie oskarżenia, ja twierdząc natomiast, że najmocniejszy. W całej mojej dotychczasowej praktyce nie miałem jeszcze do czynienia z doskonalszym przykładem motywu wypływającego bezpośrednio z podstawy, na której ta motywacja się opiera - z samego charakteru sprawcy przestępstwa.

Chciałbym, żebyście, panowie, zrozumieli mnie dokładnie, ponieważ ma to istotne znaczenie. Nigdy nie znajdziemy przekonującego motywu morderstwa, jeżeli będziemy go próbowali wytłumaczyć normalnemu, zrównoważonemu człowiekowi. Każdy będzie się wzdrygał na myśl, że można w taki sposób rozwiązać jakikolwiek problem. Obojętne, kto i po co popełnił morderstwo - dla miliona dolarów czy dla pięciu, z zemsty za przykre słowo czy z bestialskiego okrucieństwa, w kłótni o parę kości czy o parę czarnych oczu - nam wyda się ono zawsze równie odrażające, groteskowe i nieprawdopodobne. Bo takie właśnie jest morderstwo. Ale tylko w bardzo nielicznych przypadkach mamy możliwość zbadać głębinę, w których owo monstrum się czai, a nasza sprawa należy właśnie do takich.

Prosiłbym panów, żebyście zechcieli się teraz skupić tylko na tym, czego dowiedzieliście się o charakterze Susan Ives - od niej samej i z ust innych osób - z nie kwestionowanych przez nikogo zeznań, jakie złożono

w naszej obecności. Zapomnijcie na chwilę, że jest drobna i szczupła, że ma miły głos i jasne oczy i że jest damą. Spójrzcie na jej wnętrze.

Od chwili kiedy spotykamy ją po raz pierwszy na samym progu wieku dziewiętego, aż do momentu, kiedyście zobaczyli ją tutaj na własne oczy, przejawiała charakter, który nie zmieniał się w niczym ani na jotę - był tak zdecydowany, tak samowolny i tak bezwzględny, jaki moglibyście napotkać u każdego zatwardziałego zbrodniarza w naszym kraju. Przy pierwszej oznace ograniczenia swobody czy sprzeciwu przemieniał się w niebezpieczny mechanizm i biada temu, kto stanąłby na jego drodze.

Siedem lat temu, wbrew gwałtownym sprzeciwom ubóstwiającego ją ojca, Sue Ives postanowiła wyjść za człowieka, którzy poprzednio był kochankiem Madeleine Bellamy i który, słusznie czy niesłusznie, cieszył się opinią miejscowego łobuza i nieroba. Małżeństwo to złamało ojca. Bardzo niedługo po tym stary pan umarł, a serce jego córki, którą pragnął otoczyć miłością i opieką, okazało się tak zgorzkniałe, nieprzejednane i niezdolne do wybaczenia, że nigdy więcej noga jej nie przestąpiła progu rodzinnego domu.

Ale do Rosemont jednak wróciła, i to przy pierwszej okazji; buta trawiąca jak ogień popychała ją do tego, by tryumfalnie powrócić na miejsce swej pierwszej porażki. A tryumf ten był zupełny, mogący przyprawić o zawrót głowy. Bogata, uwielbiana, otoczona rojem gorliwych pochlebców - trudno się nawet dziwić, że wytworzyło się w niej głębokie i trwałe przekonanie o własnym znaczeniu i możliwościach. Była faktycznie uznaną królową małego państewka, w którym żyła, a jej tron wydawał się o wiele pewniejszy niż cały szereg tych, jakie istnieją.

Nie była najlaskawszą monarchią; biedna Kathleen Page i Melanie

Cordier w swoich zeznaniach wspominały o tym, że jedna i druga popełniła niebezpieczną pomyłkę podnosząc nieśmiałe protesty przeciwko jej władzy. Małe miażdżące przemówienie i głódówka doprowadziły je z powrotem do właściwej uległości i znowu zapanował porządek. Sue Ives była uosobieniem uprzejmości i wspaniałomyślności dla wszystkich, którzy pod odpowiednim kątem zginali kolana, jak zeznała jej teściowa i służąca, ale wystarczył najmniejszy przejaw niesubordynacji, by stalowe palce zacisnęły się pod aksamitną rękawiczką.

Nic poza przelotnymi rebeliami nie wstrząsało tą absolutną monarchią aż do tego słonecznego letniego popołudnia, kiedy do jej władczyni dotarła wiadomość, że pojawiła się pretendentka do tronu - pretendentka potężna, właściwie uzurpatorka, mająca w ręku klucze do samego zamku.

Od chwili kiedy Susan Ives dowiedziała się, że piękna córka miejscowego krawca dybie na jej własność, los Madeleine Bellamy był przesądzony.

Tyle co do motywu. A teraz zajmijmy się środkami. Oprzemy się na opisie wypadków podanym przez samą Susan Ives - opisie, który w końcu został z niej wymuszony, kiedy ku swemu przerażeniu i rozpacznie przekonała się, że prokuratura ma w swych rękach nie podlegające dowody jej winy. Rozmowa telefoniczna, to, co Orsini widział z okna, ślady opon, odciski palców - wszystkie te kolejne ciosy powodowały kolejne zmiany w kunsztownej konstrukcji, jaką oskarżeni spreparowali na wasz użytek.

Już na samym początku procesu stało się jasne, że ich pierwotna wersja o absolutnej niewinności i nieświadomości nie ostości ani minuty, lecz oni w dalszym ciągu pilnie dostosowywali swoją historię do posiadanych przez nas dowodów, aż do momentu, kiedy przedstawiono im

dwa czy trzy niewielkie ślady pozostawione na podstawie lampy. Wtedy, dopiero wtedy zobaczyli beznadziejność swojej sytuacji, odrzucili całą nieszczęsną, skleconą bez sensu i pełną luk historię i gorączkowo próbowali sfabrykować nową, noszącą przynajmniej na zewnątrz pozory szczerości. O tym, co warta jest szczerość w takich warunkach, muszą panowie sami zdecydować.

Pan Lambert zapewnia was, że oboje oskarżeni postanowili nie dopuścić do krzywoprzysięstwa. Czy to, co pan Bellamy po raz pierwszy zeznawał na tym oto miejscu dla świadków, nie było wyraźnym krzywoprzysięstwem, znowu sami musicie osądzić. Ja osobiście nie mam wątpliwości, jak będzie brzmiało wasze zdanie.

Ale przedstawione przez panią Ives wypadki tego wieczoru noszą zewnętrzne i widoczne znamiona prawdy, chociaż nie mówią nic o jej stanie psychicznym. Przypuszczam, że historia, którą opowiedziała na końcu, jest w zasadzie prawdziwa, w każdym razie do momentu, kiedy przestąpiła próg domku ogrodnika. Od tej chwili cała reszta, moim zdaniem, jest niezwykłym wymysłem. Prześledzimy więc jej relację aż do tego momentu.

Odkąd dowiedziała się z ust Elliota Farwella, że Mimi Bellamy ma romans z Patem Ivesem, każdy jej postępek jest rewelacją. Nikomu nie może sprawić przyjemności śledzenie późniejszego zachowania się tej lojalnej, szlachetnej, wielkodusznej i opanowanej istoty, ale zabierzmy się do tego. Usłyszała, że panowanie jej zostało zagrożone - cóż więc robi?

Wraca do domu starannie ukrywając wściekłość i przerażenie, które spala ją jak trucizna - śmieje się głośno, prowadzi towarzyską rozmowę,

pije cocktaile. Susan Ives, panowie, jest jednostką nie uznającą prawa - prawo zostało stworzone dla ludzi stojących niżej niż ona.

Jeszcze nie ma całkowitej pewności, czy Farwell powiedział prawdę; jest zbyt zarozumiała, by wierzyć, że z tej strony rzeczywiście zagraża jej niebezpieczeństwo. Ale pod maską uśmiechu, za zaciśniętymi zębami trucizna działa. Wychodzi do hallu pożegnać Farwella i ostrzec go, żeby nikomu nie zdradził, iż ona wie o tym romansie. Może już w tej chwili budzi się w niej prorocze przeczucie, że sama weźmie udział w tej straszliwej sprawie. A kiedy z nim rozmawia, widzi w lustrze, jak Melanie Cordier wkłada do książki list. Wystarczy jej jedna minuta, by wejść do gabinetu, kiedy nie ma już tam Melanie, wyjąć list, zapoznać się z jego treścią i wrócić do salonu. Po drodze zatrzymuje się w hallu wystarczająco długo, by podsłuchać rozmowę gości z mężem i by w głowie jej powstał pewien pomysł. Kiedy już ma ten pomysł, związany z umówioną partią pokera, jej plan zaczyna rysować się całkiem jasno. Idzie na górę do Patricka Ivesa, jedno kłamstwo niosąc na ustach, a drugie, bardziej złowrogie, w sercu. I oświadcza mu, że wybiera się wieczorem z Conroyami do kina.

Potem znowu idzie za nim do hallu, aby go śledzić, kiedy przelicza obligacje; po obiedzie raz jeszcze udaje się za nim do gabinetu, żeby go w dalszym ciągu śledzić i zobaczyć, gdzie ukrył te obligacje: pozbywa się go za pomocą kłamstwa, włamuje się do jego biurka, stwierdza, że jej najgorsze podejrzenia okazały się słuszne, i ostatecznie ustala plan działania. Telefoniczna rozmowa ze Stephenem Bellamy, następnie kłamstwo rzucone u podnóża schodów nic nie podejrzewającemu mężowi i już jest w drodze.

Zanim dochodzi do bramy, coś się widać komplikuje, więc wraca do

domu - może z tego powodu, jaki podała, a może z innego. W każdym razie w ciągu minuty jest już znowu przy swoim starym zajęciu: podsluchiowaniu i szpiegowaniu, a w ciągu następnej Patrick Ives siedzi bezpiecznie zamknięty i całkowicie pozbawiony możliwości udzielenia pomocy jednej nierozsądnej kobiecie tam, w domku ogrodnika, i powstrzymania drugiej, która rozszalała właśnie tam podąża. A tymczasem Susan Ives pomyślnie udało się usunąć z drogi największą przeszkodę. Może oliwy do ognia dołało to, co usłyszała z dziecinnego pokoju; a może nic nie słyszała, tylko po prostu chciała się pozbyć Patricka Ivesa na ten wieczór. Nie ma to zresztą większego znaczenia. Osiągnęła swój cel i po raz drugi wyruszyła na spotkanie Stephena Bellamyego.

Prokuratura stoi na stanowisku, że udała się na to *rendez-vous* mając w kieszeni nóż, a w sercu postanowienie morderstwa. Patrick Ives oświadczył, że przez cały ten wieczór miał przy sobie nóż, który oskarżenie włączyło do dowodów rzeczowych; jest sprawą panów, czy temu uwierzycie. Ale nie ma również większego znaczenia, jakim nożem zadano cios. Nóż, którym zamordowano Madeleine Bellamy, był zupełnie zwyczajny - taki, jaki można znaleźć w domu każdego z panów, w kuchni, w kredensie, w skrzynce z narzędziami. Z któregośkolwiek z tych miejsc Susan Ives mogła wziąć nóż, a potem go oczyścić i odłożyć na miejsce. Nie mamy potrzeby zbytnio się zastanawiać, w jaki sposób naprawdę go zdobyła.

Sama Susan Ives ledwie napomknęła o jeździe ze Stephenem Bellamy w tę ciepłą, gwiazdzistą letnią noc - właściwie potwierdziła tylko zeznanie pana Bellamy'ego, ani nie bardzo logiczne, ani przekonywujące. Chodziło głównie o to, że w czasie jazdy pani Ives starała się wykazać winę Mimi Bellamy, a jej mąż temu zaprzeczał. Jakaś tego rodzaju

rozmowa rzeczywiście mogła się zdarzyć.

Rola, jaką odegrał Stephen Bellamy w samym akcie mordu jest jeszcze bardziej niejasna niż rola Susan Ives, chociaż niemniej ponura. Od samego początku musiało być dla wyjątkowo bystrej pani Ives zupełnie oczywiste, że jeśli nie chce, by Stephen Bellamy następował jej na pięty w roli mściciela żony, musi zeń zrobić swego współnika. I dopięła tego w sposób sobie tylko wiadomy. Z własnych słów Stephena Bellamyego wiemy, że wszedł z nią do małego pokoiku i że razem z nią stamtąd wyszedł; wiemy również, że zasiada obok niej w ławie oskarżonych, ponieważ postanowili albo razem wisieć, albo wyjść z tego cało.

A teraz, na sam koniec, omówię jeszcze kwestię tego, co pan Lambert jest łaskaw określać jako ich alibi.

Oczywiście żadne z nich nie ma ani cienia alibi. Przyjmując jako fakt, że wyjechali ze stacji benzynowej krótko po dziewiątej i przybyli do domu pana Bellamyego około dziesiątej, mieliby wystarczająco dużo czasu, żeby się dostać do posiadłości Thorne'ów drogą River Road, pokazać oczekującej tam kobiecie przejęty list, zamordować ją, uciec i na dziesiątą wrócić do państwa Bellamy. Później pan Bellamy jedzie sam do domku ogrodnika po biżuterię, żeby lepiej upozorować rabunek i usunąć wszelkie ślady zbrodni, jakie mogli po sobie zostawić. Możliwe, że właśnie wtedy przyniósł on lampę z hallu i rozbił ją przy nogach martwej kobiety. Do tego czasu zdążyli dokładnie obmyślić, co powiedzą, gdyby, co wydawało im się bardzo mało prawdopodobne, odkryto ewentualnie, że to oni popełnili tę zbrodnię. W każdym razie Stephen Bellamy odwiózł Susan Ives do domu, a sam wrócił do domku ogrodnika. Powtarzam, że oboje nie mają alibi.

„No dobrze, ale co z tym śmiechem? - powiecie. - Co z samochodem,

którego tam nie było?” Na to odpowiem jak echo: „Rzeczywiście, co z tym śmiechem i samochodem?”

Panowie, zastanówcie się przez chwilę, kto ten śmiech słyszał. Kto nie dostrzegł samochodu? Kto ustalił czas popełnienia morderstwa na godzinę najbardziej zbliżoną do podawanego przez tych dwoje alibi? Brat Susan Ives - kochający, przywiązany, uwielbiający ją brat, który tu, na tej sali oświadczył, że popełniłby wszystko za wyjątkiem morderstwa, żeby obronić siostrę...

Lambert poderwał się na nogi, oczy wyskakiwały mu z orbit, jego twarz miała barwę popiołu.

- Nie powiedział nic podobnego! Wysoki sędzie...
- Czy nie oświadczył, że nie popełniłby morderstwa?
- Ale nie mówił, że popełniłby wszystko z wyjątkiem morderstwa.

Ze wszystkich...

- W takim razie zawodzi mnie pamięć - uspokajająco odparł prokurator. - Ale doprawdy odniosłem wrażenie, że taki był sens jego wypowiedzi. Jeżeli jednak wywołuje to sprzeciw, wycofuję się i po prostu stwierdzam, że osobą, która ustaliła czas popełnienia morderstwa, jest brat pani Susan Ives, pan Douglas Thorne. Poza jego oświadczeniem nie ma ani cienia dowodu, że morderstwo popełniono właśnie wtedy - ani cienia. Macie, panowie, pełne prawo wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski. Jeżeli dojdziecie do przekonania, że mówił prawdę, zgodzę się nawet na taką ewentualność.

Pan Thorne oświadczył po prostu, że około pół do dziesiątej wieczorem dziewiętnastego czerwca w okolicy domku ogrodnika w Sadach usłyszał przeraźliwy krzyk jakiejś kobiety i męski śmiech. Dodał, że w tym momencie nie przywiązywał do tego większej wagi, bo myślał, że to jakaś młoda para zabawia się w sąsiedztwie - i bardzo prawdopodobne,

że miał rację. Niemniej nie ustala to z większą dokładnością chwili zamordowania Madeleine Bellamy niż godziny, w której zaczął się potop.

Jeśli chodzi o ścisłość, jest najzupełniej możliwe, że morderstwo popełniono po godzinie dziesiątej, po ich bytności w domu Bellamyego i po rzekomych poszukiwaniach na drodze prowadzącej do Conroyów. Pewne jest tylko jedno: jeżeli pan Thorne znalazł się na schodach domku ogrodnika o pół do dziesiątej i jeżeli nie było tam w tym czasie żadnego samochodu, morderstwo nie mogło zostać popełnione o pół do dziesiątej. Mogło być dokonane albo wcześniej, albo później, ale nie o pół do dziesiątej.

Tyle, jeśli chodzi o atuty pana Lamberta: śmiech i samochód. Pozostaje jeszcze kradzież listu, której, zdaniem obrońcy, pani Ives nie miała by żadnej potrzeby się wypierać, ale jest oczywiste, że miała powód, i to bardzo poważny. Gdyby przyznała się do znalezienia listu, byłaby zmuszona przyznać się sędziom przysięgłym, że wiedziała, iż Mimi czeka tam w domku, a to znowu nie zgadzałoby się z wszystkim, co mówiła. No, więc po prostu zaprzeczyła, że go zabrała. I tak oto znika ostatni atut obrony.

Widzicie przeto, panowie, że jeżeli wyeliminujemy tu zainteresowanie, jakie wzbudza czynnik emocjonalny i popisy krasomówcze, pozostanie nam najzwyczajniejsza, najprostsza, nie nasuwająca żadnych wątpliwości sprawa. W długim łańcuchu dowodów nie brakuje ani jednego ogniwa - ani jednego.

Nie moglibyście mieć, panowie, jaśniejszego obrazu tego, co wydarzyło się w domku ogrodnika, chyba żeby przyszedł tu ktoś i powiedział: „Widziałem nóż w ręku Susan Ives, widziałem, jak ta ręka podnosi się i opada zadając cios, słyszałem łoskot upadającego ciała, widziałem, jak białe koronki przy sukni tej kobiety zabarwiają się na czerwono”, albo

też gdybyście to wszystko usłyszeli na własne uszy. W tysiącu procesów o morderstwo nie ma naocznego świadka zbrodni. Ani razu na pięćset tego rodzaju procesów nie ukuto równie silnego łańcucha dowodów jak ten, który macie przed sobą.

Jest tylko jedna osoba na świecie, dla której śmierć Madeleine Bellamy była życiową, nie cierpiącą zwłoki i absolutną koniecznością. Kobieta, dla której śmierć Mimi Bellamy była tym wszystkim, a nawet czymś więcej, czymś o wiele więcej, ponieważ słowa tylko w bardzo nieznacznym stopniu mogą oddać i wyrazić ludzkie namiętności, powiedziała panom sama, osobiście, że o dziesiątej wieczór tego krytycznego dnia stała nad zwłokami zamordowanej i patrzyła w jej oczy rozwarłe szeroko w strasliwym, nie widzącym niczego spojrzeniu śmierci. Kiedy Susan Ives mówiła wam o tym, panowie, mówiła prawdę, i w dalszym ciągu mówiła prawdę twierdząc, iż jej nie uwierzycie, że ten jeden fakt nie wiąże się z drugim, z morderstwem. Ja również w to nie wierzę, panowie - nie, absolutnie nie wierzę.

Obok niej stał w tym pokoju Stephen Bellamy. Zgodnie z jego zeznaniami to on zamknął oczy zamordowanej, to on dotknął jej ręki. Zgodnie z tym, co powiedział, on również nie uważał za możliwe, abyście uwierzyli, że był tam w tym czasie i nie wiedział o śmierci swojej żony. W to również nie wierzę.

Pan Lambert oświadczył, że stoi przed nim najdonioślejsze zadanie, jakie może stanąć przed kimkolwiek - walka o obronę najcenniejszego daru, jakim jest życie ludzkie. Ale uważam, że istnieje jeszcze donioślejsze zadanie i mnie ono przypada w udziale. Muszę żądać od was nie życia, lecz śmierci.

Prawo nie domaga się kary płacenia życiem za życie z chęci wywarcia zemsty lub ze złej woli. Żąda jej, ponieważ płomień ludzkiego życia

jest czymś tak świętym, iż rzeczą prawa jest czuwanie, by niczyja ręka, obojętnie jak potężna, nie podniosła się w bluźnierczym zamiarze zagaszania tego płomienia. Po to, by wasze żony, córki i siostry mogły spać spokojnie, stoję tu w tej chwili przed wami i oświadczam, że Stephen Bellamy i Susan Ives muszą utracić życie, gdyż podnieśli rękę w tym zamiarze.

Oboje wierzyli, że za szańcem potęgi, przywilejów bogactwa i stosunków są całkowicie bezpieczni. Ale przekonali się o swym błędzie. A jeśli szańce te są w stanie uchronić ich w tej chwili, jeśli nadal będą się mogli bezpiecznie za nimi ukryć i wycofać ukradkiem do swych zrujnowanych ognisk domowych - wtedy powiem, że majestat prawa jest kpiną, że świętość ludzkiego życia jest również kpiną i że kpiną jest kara śmierci w tym wspaniałym stanie.

W stanie naszym nie popełniono dotychczas bardziej ohydneho, brutalnego i przemyślanego morderstwa niż zabójstwo Madeleine Bellamy. Z pełną świadomością strasznego obowiązku, jaki ciąży na każdym z panów, wnoszę uroczyście, abyście uznali Stephena Bellamy'ego i Susan Ives, stojących przed wami i oskarżonych o dokonanie tej zbrodni, za winnych popełnienia morderstwa pierwszego stopnia.

Jeżeli zgodnie z sercem i sumieniem możecie wydać inny werdykt, jesteście szczęśliwsi, niż mógłbym przypuścić.

W głębokiej ciszy, jaka zapanowała po słowach prokuratora, wszystkie spojrzenia pobiegły w stronę dwunastu sędziów przysięgłych; siedzieli nieporuszeni, ze zmarszczonymi twarzami, i zaciskając usta wpatrywali się umęczonym wzrokiem w bezlitosny ogień, jaki płonął na białej twarzy prokuratora.

- Czy już po wszystkim? Czy już teraz pójdą? - spytała rudowłosa

dziewczyna żalonym szeptem, który brzmiał tak, jakby dochodził z bardzo daleka.

- Nie, nie, jeszcze chwileczkę. Teraz będzie pouczenie sędziego dla ławy przysięgłych. Ale zaraz, cóż robi ten Lambert?

Obrońca wstał z krzesła i chwiejąc się lekko na nogach przemówił cichym głosem:

- Wysoki sądzie, w tej chwili doręczono mi list pisany na bilecie wizytowym dyrektora Wschodniej Szkoły Średniej pana Randolpha Phippsa.

- Jaka jest treść tego listu?

Lambert trzęsącą się ręką osadził na nosie okulary.

- Jest w nim... jest w nim...

Drogi Panie Lambert!

Zanim nastąpi ogłoszenie werdyktu sędziów przysięgłych, uważam za swój obowiązek przedstawić im pewne niestety istotne informacje, jakie znajdują się w moim posiadaniu. Nie ujawniałem ich do tej pory ze względów osobistych, mając nadzieję, że przy pomyślnym rozwoju wypadków nie będę zmuszony zeznawać jako świadek. Niestety sprawy potoczyły się inaczej i dlatego stawiam się do Pańskiej dyspozycji. Czy zechce mnie Pan poinformować, co mam następnie zrobić? Fakty przedstawiają się w taki sposób, iż uważam za bezwzględnie konieczne, aby pozwolono mi złożyć zeznanie.

Randolph Phipps

- Czy mogę zobaczyć ten list? - zapytał powoli sędziego Carver. Lambert podał mu bilet roztrzęsionymi rękami. - Dziękuję. Rzeczywiście niebywały wypadek - stwierdził beznamiętnie sędzia. A po chwili odezwał

się jeszcze bardziej obojętnym tonem: - Sąd i tak chciał zarządzić przerwę do jutra rana, gdyż wolałby nie wygłaszać pouczenia dla ławy przysięgłych o tak spóźnionej godzinie; zbierzemy się więc, panowie, jutro o dziesiątej. Przez ten czas sąd zastanowi się nad tym listem. Proszę dopilnować, żeby pan Phipps był jutro rano w sądzie. Ogłaszam przerwę.

- Nie wydaje mi się, żebym przyszła tutaj jutro rano - powiedziała rudowłosa dziewczyna tym samym cichym, monotonnym głosem.

- Co, nie przyjdzie pani? - krzyknął z niedowierzaniem reporter. - Nie przyjdzie pani, mały głuptasie? Czy słyszała pani, co Lambert wyrecytował z tego listu?

- Nie wydaje mi się, żebym dożyła do jutra rana - odpowiedziała rudowłosa dziewczyna.

Zakończył się siódmy dzień procesu Bellamy'ego.

Rozdział 8

Rudowłosa dziewczyna nie zdawała sobie sprawy ze swego zmęczenia, dopóki nie usłyszała głosu Bena Potts'a. Stał jak zwykle sztywno wyprostowany, ale jego głos nie przypominał już czystego dźwięku trąbki, który zwoływał zacnych obywateli Redfield każdego ranka. Dało się słyszeć słabe, żalosne echo przejmującego: „Sąd idzie!”, a zniechęcona rudowłosa dziewczyna ciężko opadła na krzesło, trawiona zmęczeniem jak gorączką.

- Dobrze się pani spało? - zapytał reporter z troską w głosie.

Rudowłosa dziewczyna spojrzała na niego z głęboką pogardą.

- Spało? - odparła cierpko. - A jak to się robi?

Wygląd sędziego Carvera zdradzał to samo zmęczenie, które

brzmiało w głosie Bena Potts'a. Nawet niespożyty prokurator był błądy i zupełnie wykończony na skutek czegoś głębszego niż zmęczenie. Tylko Lambert wyglądał czerstwiej i weselej niż przez kilka ostatnich włokących się w nieskończoność dni; twarze Stephena Bellamy'ego i Susan Ives były blade, opanowane i spokojne jak zawsze.

Sędzia Carver mocno uderzył młotkiem.

- Sąd starannie rozpatrzył, czy wskazane jest dopuszczanie dowodu z przesłuchania świadka zaproponowanego wczoraj wieczór, i postanowił go przesłuchać. Panie Lambert! - Lambert radośnie podskoczył do przodu. - Czy sąd nie myli się przypuszczając, że pan Phipps jest świadkiem obrony?

- Tak jest w istocie, wysoki sędzie.

- Proszę go wezwać.

- Pan Randolph Phipps!

Dyrektor Wschodniej Szkoły Średniej był wysokim mężczyzną; w jego sposobie trzymania głowy i poruszania się przebijało poczucie godności, ale nawet największa godność świata nie była w stanie powstrzymać drżenia jego rąk i zbyt wrażliwych ust; spod prostych, gęstych brwi spoglądały z wyrazem zadumy nad tym niezwykłym światem oczy malarzyciela wytraconego nagle z głębokiego snu; kosmyk ciemnych włosów nad gęstymi brwiami do złudzenia przypominał Byrona; gdyby nie wydatne kości policzkowe i szerokie usta, mógłby wyglądać na bożyszcze kobiet z jakiejś minionej epoki. Mógł sobie liczyć trzydzieści pięć, czterdzieści albo czterdzieści pięć lat. Ale oczy jego miały osiemnaście.

- Panie Phipps, powiadomiono sąd, że chce pan złożyć zeznania o jakiejś szczególnej doniosłości. Wie pan zapewne, że w takim wypadku będzie pan normalnie przesłuchany przez obrońcę i prokuratora.

- Wiem... tak.
- Doskonale. Panie Lambert, może pan zacząć przesłuchanie.
- Panie Phipps, gdzie pan był wieczorem dziewiętnastego czerwca?
- Wieczorem dziewiętnastego czerwca - oświadczył pan Phipps czy-
stym, donośnym głosem człowieka przyzwyczajonego do publicznych
wystąpień - spędziłem około trzech godzin w posiadłości Thorne'a Sady.
Kiedy tam byłem, zdarzyły się pewne rzeczy, o których uważam za swój
obowiązek powiadomić ławę przysięgłych.
- Co pan robił w posiadłości Thorne'a?
- Przypuszczam, że fachowo nazywa się to nielegalnym przebywa-
niem na cudzym terenie. Wtedy, kiedy tam byłem, nie wydawało mi się
to poważnym wykroczeniem, bo przypuszczałem, że posiadłość jest nie
zamieszkana - mimo to w pełni zdawałem sobie sprawę, że nie mam tam
czego szukać.
- Czy miał pan jakiś specjalny powód, żeby się udać do Sądów?
- Tak. Wybrałem się tam, bo obmyśliłem sobie, że to będzie przy-
jemne miejsce na wieczorny piknik.
- Był pan sam.
- Nie... nie. Nie byłem sam. - Nagle pan Phipps zaczął wyglądać na
bardzo zmęczonego czterdziestopięcioletniego człowieka.
- Czy ktoś jeszcze towarzyszył panu na tej, hm... na tej wycieczce?
- Tylko jedna osoba.
- Co to była za osoba?
- Moja przyjaciółka. Pewna młoda dama.
- Jak się ta młoda kobieta nazywa?
- Czy muszę podać jej nazwisko? Mam nadzieję... mam najgorętszą
nadzieję, że to nie okaże się potrzebne. - Niski, natarczywy głos drżał

wzruszeniem. - Towarzyszyła mi bardzo młoda dziewczyna. Oboje zdajemy sobie w tej chwili sprawę, że zachowaliśmy się wysoce niewłaściwie, ale nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym przez moją kardynalną głupotę wmieszał ją w tę sprawę.

- Obawiam się, że jednak będziemy musieli usłyszeć to nazwisko.

- Jestem człowiekiem żonatym - powiedział Phipps czystym, stanowczym głosem. - Zeznania, jakie tu składam, pociągną dla mnie poważne konsekwencje. Wydaje mi się, że byłbym zbyt surowo ukarany za wystąpienie w tej chwili jako świadek, gdybym został przy tej okazji zmuszony wplątać kogoś innego. Dziewczyna, która była ze mną tego wieczoru, to jedna z moich uczennic; zaręczyła się niedawno z pewnym młodym człowiekiem, do którego jest ogromnie przywiązana, więc tego rodzaju rozgłos byłby dla niej pod każdym względem fatalny. Najusilniej proszę nie narażać jej na to.

- Panie Phipps - poważnie odezwał się sędzia Carver - pozwolono panu zeznawać na pańskie własne życzenie. Jest wysoce pożądane, żeby każda informacja, posiadająca takie znaczenie jak ta, którą się chce pan z nami podzielić, była poparta dowodami. Dlatego jest rzeczą zasadniczą, żebyśmy poznali nazwisko tej młodej kobiety.

- Nazywa się Sally Dunne - powiedział Phipps.

- Czy jest również gotowa zeznawać jako świadek?

- Jest gotowa zrobić wszystko, co trzeba, żeby nie dopuścić do skazania niewinnych ludzi. Ale, rzecz jasna, będzie zeznawać z najwyższą niechęcią.

- Czy jest obecna w sądzie?

- Tak.

- Panna Dunne zechce łaskawie nie opuszczać sali bez zezwolenia sądu. Może pan mówić dalej, panie Phipps.

- Przyjechaliśmy do Sadów trochę po ósmej - ciągnął Phipps. - Panna Dunne wsiadła do autobusu wychodzącego z Rosemont o pół do ósmej, wysiadła niedaleko za Sadami i wróciła do miejsca, w którym miałem na nią czekać; umówiliśmy się w samej bramie wjazdowej. Przyjechaliśmy oddzielnie, bo obawiałem się, że gdyby zobaczono nas razem, mogłyby powstać jakieś plotki.

- Jak to się stało, że wybrał pan właśnie Sady, panie Phipps?

- Panna Dunne przy różnych okazjach wspominała, jakie to piękne miejsce, i kiedyś powiedziała, że chciałaby je dokładnie obejrzeć; umówiliśmy się na tę wycieczkę właśnie po to, żeby zaspokoić jej pragnienie. Jak już powiedziałem, spotkaliśmy się w bramie i poszliśmy drogą wjazdową, mijając domek odźwiernego, a potem szliśmy dróżką prowadzącą do domku ogrodnika i do małej altanki o jakieś pięćset stóp w głębi za domkiem. W altance było trochę mebli, stół, kilka krzeseł i ławek, więc postanowiliśmy tam zjeść kolację. Panna Dunne przywiozła ze sobą pudełko śniadaniowe; miała w nim trochę owoców i kanapki. Rozłożyliśmy to na stole i zaczęliśmy jeść. Żadne z nas nie było specjalnie głodne, więc postanowiliśmy to, co zostanie - a było tego prawie pół pudełka - schować na później, na wypadek gdybyśmy zgłodnieli; chcieliśmy trochę poczytać, zanim nie zrobi się ciemno. Wziąłem ze sobą *Idyllę królewską* i miałem zamiar głośno poczytać.

- Książka nie ma żadnego znaczenia, panie Phipps.

- Nie - przytaknął Phipps lekko zmieszany. - Domyślałem się, że nie ma. Ma pan prawdopodobnie zupełną rację. No, ale w każdym razie

czytaliśmy chwilę, póki nie zrobiło się zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć; potem zaczęliśmy rozmawiać.

Umilkł potok starannie, dobitnie wymawianych słów.

- I co dalej? - spytał niecierpliwie Lambert.

- Próbowałem sobie przypomnieć, co nas skłoniło do opuszczenia altanki. To panna Dunne powiedziała chyba, że w altance jest dość ciasno i duszno, jako że cała obrośnięta była winem; spytała, czy nie ma jakiegoś chłodniejszego miejsca, gdzie moglibyśmy usiąść. Powiedziałem na to: „Jest ten domek ogrodnika. Możemy posiedzieć tam na werandzie”. Przez drzewa widać było nawet dach. Pokazałem go jej i zaczęliśmy...

- Orientował się pan w układzie terenu?

- Och, bardzo dobrze. To był jeden z głównych powodów, dla któregośmy się tam wybrali. Swego czasu uczyłem łaciny i fizyki Charlesa, młodszego syna pana Thorne'a - tego, który zginął podczas wojny. Bardzo często mieliśmy lekcje w altance, w której się kiedyś bawił.

- Dawno to było?

- Jakieś piętnaście lat temu - może szesnaście. Właśnie ukończyłem studia, a Charles Thorne tej samej jesieni wybierał się do Princeton.

- I do dziś dnia tak dobrze orientuje się pan na terenie tej posiadłości?

- Doskonale. Chciałem właśnie powiedzieć, że nie poszliśmy drogą główną, ale przez trawniki, potem przebrnęliśmy przez zarośla i wyszliśmy na tyły domku. Kiedy znaleźliśmy się na małej ścieżce biegnącej za domkiem i byliśmy od niego mniej więcej o sto stóp, usłyszeliśmy jakieś głosy i panna Dunne krzyknęła: „Tam ktoś jest w tym domku. Niech pan spojrzy, świeci się w bocznym oknie!” Dosyć mnie to zaskoczyło, bo

dopytywałem się o ogrodnika i powiedziano mi, że jest we Włoszech.

Stałem chwilę namyślając się, co robić, kiedy nagle jeden z głosów w domku podniósł się i jakaś kobieta powiedziała całkiem wyraźnie: „Nie odważysz się mnie tknąć - nie odważysz się!” Potem ktoś się roześmiał, rozległ się odgłos szamotania, a może sekundę później krzyk - krótki, przeraźliwy krzyk i łoskot czegoś upadającego z wielkim hałasem, jakby przewróciło się krzesło czy stół.

Byłem tego wieczoru dość zdenerwowany i podniecony, zanim więc zdążyłem pomyśleć, co robię, głośno się roześmiałem. Panna Dunne szepnęła: „Niech pan uważa. Usłyszają pana”. Kiedy to mówiła, światło w domku zgasło, a ja powiedziałem: „Jak z tego widać, Sally, nie jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy się tutaj kręcą. Lepiej stąd chodźmy”.

Jeszcze nie skończyłem, kiedy usłyszałem na głównej drodze kroki i gwizdanie. Ten ktoś, kto gwizdał, zbliżał się do nas. Szepnąłem: „Ktoś tu idzie. Schowajmy się w tych krzakach za domem”. Pod bocznymi oknami domku rosły wysokie bzy; podeszliśmy tam na palcach i ukryliśmy się. Po jakiejś minucie usłyszeliśmy, że ktoś wchodzi po schodkach, a potem w domku zadzwieczyła dzwonek. Przez następną minutę panowała głucha cisza, później usłyszeliśmy, że ten ktoś schodzi po schodkach werandy, rozległy się kroki na zwirowanym podjeździe, a moment później znowu zrobiło się całkiem cicho.

Wtedy odezwałem się: „No, o małośmy nie wpadli. Stanowczo za dużo ludzi kręci się tu dzisiaj. Proponuję zmniejszyć ich liczbę o dwie osoby”.

Wycofaliśmy się na palcach do głównego podjazdu i poszliśmy w stronę bramy wjazdowej; szliśmy po trawie wzdłuż drogi, żeby nie robić

hałasu. Byliśmy już prawie koło bramy, kiedy panna Dunne zapytała: „Czy pan wie, która to była godzina?” Nie potrafiłem dokładnie powiedzieć. Ostatni raz spojrzałem na zegarek, kiedy zrobiło się zbyt ciemno, żeby czytać - była wtedy za kilka minut dziewiąta. W stronę domku poszliśmy kilka minut później i mam wrażenie, że musiała być wtedy albo za dziesięć, albo za piętnaście dziesiąta. Nie spieszyliśmy się, ale nawet idąc tak wolno, nie mogliśmy iść dłużej niż dwadzieścia minut.

- Czy już wtedy było ciemno?

- Tak. Ściemniało się już od jakiegoś czasu, ale zarysy przedmiotów jeszcze się widziało. Był bardzo piękny wieczór, całe niebo w gwiazdach.

- Rozumiem. Dlaczego panna Dunne zatrzymała pana tak nagle?

- Zawołała: „Wielki Boże! Nie zabrałam pudełka śniadaniowego. Musiałam je zostawić tam w krzakach koło domku”. Powiedziałem, że może zostawiła pudełko w altance, ale pamiętała dokładnie, że nie, bo zanim doszliśmy do domku, pomyślała sobie, po co się ma nosić z tym pudełkiem. Bardzo się tym martwiła, bo na pudełku były wyraźnie namalowane jej inicjały, i bała się, że ktoś znajomy może je znaleźć i rozpoznać, ale gdyby chciał zwrócić pudełko, jej rodzice mogliby się dowiedzieć, że tego wieczoru była w Sadach.

- To jej rodzice nie wiedzieli o tej wyprawie?

- Nie, sir. Pojechali do New Hampshire na pogrzeb matki pana Dunne'a.

- Proszę, niech pan mówi dalej, panie Phipps.

- Panna Dunne wydawała się tak zmartwiona zgubą tego pudełka, że w końcu zgodziłem się wrócić i poszukać go, chociaż moim zdaniem istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, że ktoś mógłby je poznać, a wcale nie uśmiechało mi się ryzyko zwrócenia na nas uwagi kogoś, kto

jeszcze mógł być w domku. Miałem przy sobie elektryczną latarkę i postanowiliśmy szybko i możliwie najciszej przeszukać krzaki. Ruszyliśmy więc z powrotem tą samą drogą, przez cały czas pilnie rozglądając się za pudełkiem.

Kiedyśmy doszli do małej ścieżki odchodzącej od głównej drogi wjazdowej, stąpaliśmy przez chwilę tak cicho, jak się tylko dało, a potem zatrzymaliśmy się u stóp schodów, gdzie zaczynały się już bzy, i zaczęliśmy nasłuchiwać. Wtedy panna Dunne odezwała się: „Nic nie słychać i nie świeci się w środku. Nie wydaje mi się, żeby tam ktoś był”.

Powiedziałem: „Ktoś zamknął okna i zapuścił zasłony w tym pokoju od frontu. Przedtem były otwarte”. „Mniejsza o to - powiedziała Sally. - Rozejrzyjmy się tu prędko i chodźmy stąd. To jakieś okropne miejsce”. Zaświeciłem latarkę i odezwałem się: „Byliśmy dużo dalej, na tyle domu”. „Tak - przyznała. - Byliśmy za tymi oknami. Niech pan patrzy! Co to jest?”

Coś błyszczło w trawie koło schodów, więc schyliłem się, żeby podnieść. Był to mały przedmiot ze srebra i czarnej emalii. Oświetliłem go i panna Dunne powiedziała: „To zapalniczka. Niech pan spojrzy, coś tu jest napisane. «Elliotowi od Mimi, Boże Narodzenie»”.

I właśnie wtedy usłyszałem jakiś dźwięk, który sprawił, że podniosłem głowę. „Niech pani posłucha, samochód”. Ledwo to powiedziałem, zobaczyłem zza zakrętu ścieżki światła reflektora. Szepnąłem: „Niech się pani nie rusza, niech pani stoi spokojnie”. Wiedziałem, że światła nas nie osiągną, bo jesteśmy za daleko od drogi, ale panna Dunne już wśliznęła się w krzaki koło domu. Stałem bez ruchu i wpatrywałem się w samochód, który podjechał do samych schodów. Był to mały jednoosobowy samochód, myślę, że tak to się nazywa...

- Czy rozpoznał pan markę, panie Phipps?
- Nie, sir. Nie znam się na samochodach. Wiem tylko, że był to mały, ciemny, całkiem zwyczajnie wyglądający samochód. Wsiadły z niego dwie osoby - mężczyzna i kobieta. Przez chwilę stali na schodach i kiedy poznałem, kto to jest, o mało nie krzyknąłem ze zdumienia. Weszli po schodach i poszli w stronę drzwi wejściowych.

- Czy rozmawiali?

- Tak, ale bardzo cicho. Nie słyszałem niczego, dopóki on nie powiedział wyraźnie: „Nie są otwarte - to dziwne”. Weszli do środka i wtedy szepnąłem pannie Dunne: „Wie pani, kto to był? Stephen Bellamy i pani Susan Ives”. Kiedy to mówiłem, w hallu zapaliło się światło, ale może sekundę później znikło i ukazało się za firankami saloniku. Chciałem podejść do panny Dunne, kiedy w saloniku rozległ się trzask - metaliczny trzask, dźwięk tłuczonego szkła i światło znikło. Powiedziałem szeptem: „Chodźmy, Sally. Musimy się stąd wydostać!” Zrobiła kilka kroków w moją stronę, kiedy w domku ktoś krzyknął przeraźliwie - krzyknął tak przejmująco, jak śmiertelnie porażony człowiek. Niech mi pan wierzy, ten krzyk był tak straszny, że zmroził mi krew w żyłach; parę sekund później usłyszałem głosy na werandzie.

- Czy widział pan, kto rozmawiał?

- Nie. Dopiero kiedy wsiedli do samochodu. Stałem w tym momencie tuż za rogiem domu i nie widziałem stamtąd werandy.

- Czy mógł pan rozróżnić, co mówili?

- Z początku nie. Oboje mówili równocześnie i nic nie można było poznać. Dopiero kiedy pojawili się znowu w świetle reflektorów, mogłem naprawdę zrozumieć coś więcej niż poszczególne słowa. Pan Bellamy trzymał panią Ives za przegub dłoni i mówił...

Prokurator poderwał się na nogi, ale w jego skoku nie pozostało już wiele z uprzedniej tygrysyj drapieżności.

- Czy wysoki sąd uważa, że rozmowa dwojga osób, którą słyszał świadek, powinna być dopuszczona w postępowaniu dowodowym?

- Naturalnie, że powinna być dopuszczona. - Głos Lamberta drżał z niepokoju. - Słowa wypowiedziane w miejscu popełnienia zbrodni... w kilka minut po jej dokonaniu... a co z zasadą *res gestae*?

Prokurator chrząknął nieprzyjemnie.

- Kilka minut? W ten sposób określa pan trzy kwadransy? Przecież nie dopuszczono do przytoczenia okrzyków, które rozległy się w dwie minuty po dokonaniu zbrodni, właśnie powołując się na zasadę *res gestae*.

- Ta interpretacja dotyczy dopuszczenia całych zdań w o wiele większym...

- Panowie - młotek sędziego Carvera opadł z władcym łaskotem - proszę łaskawie zwracać się do sądu. O ile dobrze rozumiem, panie Farr, chodzi panu o to, czy dopuszczalny jest dowód z przytoczenia przez świadka słów, jakie usłyszał?

- Wyłącznie o to, wysoki sądzie.

- Doskonale. Uwzględniając powagę sytuacji oraz niezwykle charakter tych zeznań, sąd pragnie, o ile możliwości, jak najmniej krępować świadka. W związku z tym sąd dopuszcza ten dowód. Czy ktoś zgłasza sprzeciw?

- Nie sprzeciwiam się - powiedział prokurator z godnym pochwałą pośpiechem, opanowując głos, który zabrzmiał dziwnie głucho. - W czasie trwania tej rozprawy celem, i to jedynym celem prokuratury było ustalenie prawdy. Toteż zgadza się ona w pełni na pominięcie pewnych formalności, gdzie to jest tylko możliwe, żeby ten cel mógł zostać

w końcu osiągnięty... Nie wnoszę sprzeciwu.

- Może pan mówić dalej, panie Phipps.

- Pan Bellamy powiedział: „To całkiem obojętne, że jesteśmy niewinni. Gdyby kiedykolwiek ktoś się dowiedział, że byliśmy dziś wieczór w tym pokoju, na całym świecie nie znaleźlibyśmy ani jednego człowieka, który uwierzyłby w naszą niewinność. A tym bardziej dwunastu. Muszę cię odwieźć do domu. Wsiadaj do samochodu”. Potem oboje wsiedli i odjechali.

- A co dalej, panie Phipps?

- Wtedy, sir, powiedziałem do panny Dunne: „Sally, to brzmi zupełnie jak prorocтво. Jeżeli nikt nie uwierzy, że oni są niewinni, nikt i nam nie uwierzy. Niech pani już nie zawraca sobie głowy tym pudełkiem. Ja też odprowadzę panią do domu' '.

- Czy zdawał pan sobie sprawę, że popełniono tam morderstwo?

- Morderstwo? Ani przez chwilę. - W spokojnym głosie Phippsa zabrzmiał nagle gwałtowny protest. - Ani przez sekundę. Myślałem po prostu, że z jakiejś bliżej nie znanej przyczyny pan Bellamy i pani Ives byli karygodnie nieostrożni, ale na szczęście w ostatniej chwili się opamiętali. Uświadomiło mi to z całą wyrazistością karygodność mojego własnego postępowania, odprowadziłem więc pannę Dunne z powrotem do domu i tam się z nią pożegnałem.

- Tak, rozumiem. A teraz, panie Phipps, jeszcze kilka pytań. Czy podczas swojej pierwszej bytności w domku, kiedy pan słyszał, jak jakaś kobieta krzyknęła: „Nie ważysz się mnie tknąć”, widział pan zarówno front, jak i tył domku?

- Tak, ale nie równocześnie.

- Czy jest możliwe, żeby wówczas, kiedy się pan tam znajdował,

koło domku mógł stać jakiś samochód?

- Uważam to za absolutnie niemożliwe.
- Nie mógł tam gdzieś stać w taki sposób, żeby go pan nie widział?
- Absolutnie nie.
- Nie mógłby odjechać stamtąd, żeby pan go nie usłyszał?
- Nie.
- Gzy podczas swej bytności koło domku ogrodnika słyszał pan albo

widział samochód?

- Nie słyszałem ani nie widziałem żadnego samochodu.
- Dziękuję, panie Phipps. To będzie wszystko.
- Nie, niezupełnie wszystko - wtrącił uprzejmie prokurator. Phipps poprawił się w krześle, w jego oczach błysnął niepokój. - Panie Phipps, o której wieczorem dziewiętnastego czerwca wrócił pan do domu?

- Nie wróciłem do domu. Dom był zamknięty, ponieważ moja rodzina - żona i dwie córki - wyjechała do małej miejscowości Blue Bay nad zatoką Jersey. Dla siebie wynająłem na ten czas pokój w YMCA.

- A o której godzinie wrócił pan do YMCA?
- Nie wróciłem tam - powiedział Phipps ledwo dosłyszalnym głosem.
- Nie wrócił pan do YMCA?

- Nie. Kiedy odprowadziłem pannę Dunne do domu, pomyślałem, że jest za późno na powrót do YMCA, bo może się to wydać wysoce podejrzane; ponieważ wcale nie chciało mi się spać, postanowiłem zrobić solidny spacer, przekąsić coś w jednej z tych knajpek w pobliżu stacji i złapać pierwszy pociąg - o czwartej czterdzieści pięć - do Nowego Jorku, gdzie mogłem wsiąść na statek do Blue Bay i spędzić niedzielę z rodziną.

- Chce pan powiedzieć, że w ogóle nie miał pan zamiaru kłaść się do łóżka?

- Nie.

- I dotrzymał pan tego postanowienia?

- Tak.

- O której godzinie pożegnał się pan z panną Durine przed jej domem?

- Mniej więcej za piętnaście pierwsza.

- O której godzinie wyruszyliście państwo z Sadów do domu?

- Kiedy przechodziliśmy koło głównej bramy wjazdowej, było kilka minut przed jedenastą.

- Jak daleko jest stamtąd do domu panny Dunne?

- Prawie cztery mile.

- I pokonanie czterech mil odległości zabrało państwu godzinę i trzy kwadranse?

- Tak. Ostatni autobus z Perrytown do Rosemont przechodzi obok Sadów mniej więcej za piętnaście jedenasta. Spóźniliśmy się na niego o pięć czy sześć minut i musieliśmy iść pieszo.

- I przejście czterech mil zabrało państwu godzinę i trzy kwadranse?

- Szliśmy bardzo powoli.

- Tak by z tego wynikało. A teraz proszę mi powiedzieć, czy ktokolwiek widział, jak żegnał się pan z panną Dunne pod jej domem?

- Nikt.

- Powiedział jej pan po prostu dobranoc i odszedł pan, tak?

- Powiedziałem jej dobranoc i zostawiłem ją pod drzwiami.

- I nie wchodził pan wcale do środka?

Phipps odparł na to gładko wypowiedziane wyzwanie bez zmrużenia powiek.

- Nie, tej nocy moja noga nie stanęła w jej domu.
- Wysoki sędzie - zapytał Lambert głosem przerywanym uzasadnionym gniewem - czy mogę się dowiedzieć, do czego prowadzą te pytania?
 - Sąd miał zamiar zapytać o to samo. No więc, panie Farr?
 - Z całym należnym szacunkiem oświadczam, iż rzeczą jak najbardziej zasadniczą jest sprawdzenie czy pan Phipps tak samo dokładnie pamięta pozostałe wypadki tego wieczoru - odpowiedział uprzejmie prokurator. - Przypuszczam zresztą, że wobec tego świadka należy stosować równie rygorystyczne metody badania jego prawdomówności, jak te, które obrona uważała za wskazane stosować wobec świadków oskarżenia. Jeżeli się myślę, wysoki sąd zechce to sprostować.
 - Sąd pragnie jak najmniej pana krępować - odpowiedział zmęczonym głosem sędzie Carver. - Ale nie widzi korzyści w dalszym zadawaniu tego rodzaju pytań.
 - Zgadzam się ze zdaniem wysokiego sądu. Czy jakiś pański znajomy widział pana tej nocy już po rozstaniu z panną Dunne?
 - Niestety nie - odparł Phipps niskim, zatroskanym głosem. - Nie widziałem nikogo aż do momentu, kiedy na drugi dzień o jedenastej rano spotkałem się w Blue Bay z żoną.
 - Czy opowiedział pan żonie o tym, co się zdarzyło poprzedniego wieczoru?
 - Nie. Powiedziałem jej, że spędziłem wieczór w Nowym Jorku z dawnym kolegą szkolnym i że byliśmy w teatrze.
 - I powiedział pan nieprawdę, tak, panie Phipps? - dopytywał się z ubolewaniem prokurator.
 - To było kłamstwo - odrzekł Phipps utkwivszy wzrok w zaciśniętych dłoniach.

Prokurator odczekał chwilę, aż ten niewątpliwy fakt utrwali się w pamięci obecnych. Kiedy się znowu odezwał, jego głos brzmiał dużo energiczniej niż poprzednio.

- W jaki sposób poznał pan panią Ives i pana Bellamy'ego?
- Stali w kręgu światła reflektorów. Widziałem ich bardzo wyraźnie.
- Nie, chodzi mi o to, gdzie ich pan widział poprzednio.
- Och, widywałem ich dosyć często. Panią Ives spotykałem jeszcze jako pannę Thorne, kiedy uczyłem w Sadach, a potem też widziałem ją wiele razy. Poza tym byłem dwukrotnie w jej domu w związku ze szkolnymi pracami społecznymi.
- Czy zdawał pan sobie sprawę, że pani Ives była osobą bardzo bogatą?

Phipps spojrział na prokuratora ze zdumieniem.

- Czy zdawałem sobie sprawę? Wiedziałem naturalnie, że...
- Wysoki sędzie, sprzeciwiam się temu pytaniu. Jest całkowicie niewłaściwe.
- Podtrzymuję sprzeciw - oświadczył sędzia Carver patrząc surowo na prokuratora.
- A jak z panem Bellamy? - zapytał ulegle prokurator.
- Pan Bellamy był przewodniczącym naszej rady szkolnej - odpowiedział Phipps. - Spotykałem się z nim prawie co tydzień, więc to zupełnie oczywiste, że go poznałem.
- Och, więc znał pan również pana Bellamyego? - dopytywał się zachęcająco prokurator.
- Znałem go niezbyt blisko, rozumie pan, ale na tyle dobrze, żeby cenić go tak jak wszyscy, którzy się z nim zetknęli.

- Czy wszyscy członkowie rady szkolnej cenili go równie wysoko jak pan?

- Niewątpliwie tak..

- Nie popsuje więc pan sobie stosunków w zarządzie, kiedy jego członkowie dowiedzą się, że zeznawał pan w tym procesie?

- Wysoki sędzie...

- Bardzo przepraszam - wtrącił spokojnie Phipps. - Chciałbym odpowiedzieć na to pytanie. Czy popsuję sobie stosunki z zarządem, czy nie, to dość akademickie pytanie, ponieważ złożyłem już rezygnację ze stanowiska dyrektora Wschodniej Szkoły Średniej. Nie mam zamiaru wracać do Rosemont; moja żona, moje dzieci i ja wyjeżdżamy jutro do Ohio.

- Zrezygnował pan ze stanowiska? Kiedy?

- Wczoraj wieczorem. Żona przyznała mi rację, że moja pozycja na tym stanowisku bardzo się zachwieje po wystąpieniu w tej sprawie.

- Czy jest pan człowiekiem zamożnym, panie Phipps?

- Wprost przeciwnie, jestem człowiekiem biednym.

- A jednak mógł pan zrezygnować ze swego stanowiska i przenieść się na Zachód jak człowiek finansowo niezależny?

- Pyta mnie pan o to, czy zostałem przekupiony? - poważnie zapytał Phipps.

- Nie pytam pana o nic podobnego. Po prostu...

- Wysoki sędzie! Wysoki sędzie!

- Bo gdyby pan o to pytał - ciągnął dalej Phipps wśród łoskotu sędziowskiego młotka - z kolei ja chciałbym zapytać, jaką sumę uważałby pan za wystarczającą, żeby zrekompensować utratę osobistego szczęścia, opinii i koniec kariery?

- Proszę o skreślenie tej odpowiedzi z protokołu, wysoki sędzie!

Błada wściekłość malująca się na twarzy prokuratora nie była widokiem przyjemnym.

- Zarówno pańskie pytanie jak i odpowiedź świadka mają być skreślone z protokołu - oświadczył surowo sędzia Carver. - Jedno i drugie jest równie niewłaściwe. Może pan kontynuować przesłuchanie, panie Farr.

Prokurator iście heroicznym wysiłkiem zdołał doprowadzić i głos, i wyraz twarzy do stanu bardziej godnego człowieka, który gorliwie poszukuje prawdy.

- Tak, a więc chce pan przekonać nas, że wieczorem dziewiętnastego czerwca po raz pierwszy od dziesięciu lat wybrał się pan do domku ogrodnika w Sadach, i to dokładnie w takim momencie, by móc rozpoznać panią Ives i Stephena Bellamy'ego, kiedy stali w świetle reflektorów?

- Chcę, żeby panowie w to uwierzyli - odpowiedział spokojnie Phipps - bo to jest prawda.

Prokurator przyglądał mu się przez chwilę wzrokiem, który wyrażał w równej mierze ironię, niedowierzanie i pogardliwe politowanie.

- Nie mam więcej pytań - oświadczył krótko. - Proszę wezwać pannę Dunne.

- Panna Sally Dunne!

Panna Dunne podeszła do miejsca dla świadków szybkim krokiem; była tak wysoka, tak śmiała, tak młoda i blada w swojej sukience z niebieskiej serży, ozdobionej czyściutkim białym kołnierzykiem i mankietami, że niejedna z osób siedzących w mrocznej sali pomyślała ze ściśniętym sercem, jak bardzo niedawno jeszcze musiała upinać nad uszami gładkie kasztanowate warkocze i po raz ostatni wygładzać wstążki do włosów. Panna Dunne nie była ładna. Miała niedużą, trójkątną twarzyczkę i szeroko rozstawione orzechowe oczy, patrzące szczerze i ufnie.

Spojrzała na Lamberta opanowując drżenie warg.

- Panno Dunne, chciałbym, żeby nam pani odpowiedziała tylko na parę pytań. Słyszała pani zeznania pana Phippsa?

- Tak, sir - odpowiedziała dziecinnym głosem, czystym jak kryształ, niewinnym i zatroskanym.

- Czy była pani w jego towarzystwie wieczorem dziewiętnastego czerwca od ósmej do mniej więcej pierwszej?

- Tak, sir.

- Czy jego zeznania na temat wydarzeń tego wieczoru są ścisłe?

- Och, tak, na pewno. Pan Phipps - oświadczyła dumnie swym dziecinnym głosem - ma bardzo dobrą pamięć.

- Była z nim pani, kiedy pierwszy raz podszedł do domku ogrodnika?

- Byłam z nim tego wieczoru przez cały czas.

- Czy w pobliżu domku nie zauważyła pani samochodu?

- Nie było tam żadnego samochodu - odpowiedziała panna Dunne.

- Czy wtedy, kiedyście państwo poszli do domku po raz drugi, trochę po dziesiątej, spotkaliście tam państwo pana Bellamy'ego i panią Ives?

- Ale wtedy, kiedy już wychodzili - skrupulatnie odpowiedziała panna Dunne. - Nie widziałam ich twarzy, kiedy wchodzili.

- Czy słyszała pani, o czym rozmawiali?

- Słyszałam, jak pan Bellamy mówił: „Sue, to całkiem obojętne, że jesteśmy zupełnie niewinni. Gdyby kiedykolwiek ktoś się dowiedział, że byliśmy dziś wieczór w tym pokoju, na całym świecie nie znaleźlibyśmy ani jednego człowieka, który uwierzy w naszą niewinność. A tym bardziej dwunastu. Muszę cię odwieźć do domu”.

- Tak. Jest pani zaręczona i ma pani wyjść za mąż?
- Nie wiem - prosto odpowiedziała panna Dunne. - Byłam zaręczona, ale mój... mój narzeczony nie chciał się zgodzić, żebym występowała jako świadek w tym procesie. Rozumie pan, on studiuje teologię. Może uważa, że już nie jesteśmy zaręczeni.
- Czy pani sama chciała zeznawać?
- Chciałam zrobić wszystko, co pan Phipps uważał, że powinniśmy zrobić - odpowiedziała panna Dunne. - Ale niestety nie jestem na tyle odważna, żebym sama tego chciała.
- Czy często wybierała się pani z panem Phippsem na te... te pikniki?
- Och nie, sir. Byliśmy tylko na dwóch czy trzech krótkich spacerach - wie pan, po szkole. Pan Phipps pomagał mi w literaturze angielskiej, bo chciałam zostać pisarką. Wycieczka tego wieczoru była poze-gnalna.
- Pożegnalna?
- Tak. Szkoła skończyła się w piątek i my... to znaczy pan Phipps myślał, że może będzie lepiej, jeżeli przestaniemy się widywać. To moja wina, że pojechaliśmy tego wieczoru do Sadów. Bo to wszystko jest moja wina - wyjaśniła panna Dunne cichym, czystym głosem.
- Pani wina?
- Tak. Bo rozumie pan, pan Phipps myślał, że jestem naprawdę bardzo romantyczna i że zaczynam zanadto go lubić, więc będzie lepiej, jeżeli przestaniemy się widywać. Bo ja rzeczywiście jestem wielką romantyczką - oświadczyła z powagą Sally Dunne - i rzeczywiście zaczęłam za bardzo go lubić.
- Ile razy widziała pani pana Phippsa od tego wieczoru?
- Dwa. Raz we wtorek po tym... tym morderstwie, ale tylko pięć

minut w parku. Błagałam go, żeby nic nie mówił, żeśmy tam byli, aż do chwili, kiedy to będzie absolutnie konieczne. A drugi wczoraj wieczór, kiedy powiedział, że to konieczne.

- Tak, doskonale. Dziękuję, panno Dunne. To będzie wszystko. Nie mam więcej pytań.

- Chciałbym zaznaczyć, że nie prokuratura ponosi odpowiedzialność za to pożałowania godne widowisko, w którym brała udział ta nieszczęsna młoda osoba - oświadczył prokurator z tak świętoszkowatą miną, że można się było spodziewać, iż lada moment nad jego głową rozbłyśnie aureola - i nie zamierza go przedłużyć. Nie mam żadnych pytań.

- W takim razie to wszystko. Może pani opuścić miejsce dla świadków, panno Dunne - powiedział sędzia Carver widząc w jasnych oczach dziewczyny wyraz bezgranicznego zaskoczenia.

- Prokuratura nie ma żadnych uwag odnośnie zeznań, któreście panowie przed chwilą usłyszeli - zwrócił się prokurator do dwunastu sędziów przysięgłych z najzupełniej obojętną miną - poza tym, że chce panów prosić, abyście pamiętali, że mimo wszystko tych dwoje ostatnich świadków to tylko zwykli ludzie, którzy mogą się mylić, którzy ulegają wszelkim ludzkim pokusom i słabościom. Jeśli będziecie, panowie, o tym pamiętali, nie wydaje mi się, abym potrzebował dodać do tego choćby jedno słowo.

Przez chwilę sędzia Carver przypatrywał mu się z namysłem przez okulary, które poprawił na swym pięknym nosie. A potem niedbale uderzywszy młotkiem, zajrzał do papierków, które trzymał w ręku.

- Panowie sędziowie przysięgli, długie i burzliwe postępowanie dowodowe, w którym braliśmy udział, dobiega końca i w tej chwili mam obowiązek do was przemówić.

Postępowanie dowodowe, mimo że bardzo przykre, było niewątpliwie ogromnie interesujące i jestem pewny, że każdy z was śledził jego przebieg z największą uwagą. Nie będziecie żałowali wysiłku, jaki was ta uwaga kosztowała, kiedy już bardzo niedługo staniecie przed zadaniem rozważenia przedstawionych wam dowodów.

Na samym początku pouczenia, jakie mam zamiar wygłosić, chciałbym możliwie najdokładniej wyjaśnić kilka kwestii. Panowie i tylko panowie jesteście jedynymi sędziami. Każda uwaga sądu na temat doniosłości albo wartości jakiegokolwiek szczegółu postępowania dowodowego jest jedynie formą sugestii i w żaden absolutnie sposób nie może wiązać sędziów przysięgłych. Również i oświadczenie stron procesowych odnośnie niewinności lub winy oskarżonych lub jakiegokolwiek inne ich stwierdzenia i wnioski niczego nie dowodzą i nie posiadają znaczenia dowodowego.

Żaden oskarżony stojący przed sądem w tym okręgu nie ma obowiązku udowodnienia swojej niewinności. Obowiązek udowodnienia winy ciąży na prokuratorze. Jeżeli macie, panowie, uzasadnioną wątpliwość, czy prokuratura udowodniła tę winę, obowiązkiem waszym jest wydanie werdyktu stwierdzającego brak winy. Takie jest prawo tego kraju.

Aby skazać któregokolwiek z oskarżonych w tym procesie, prokuratura musi wykazać w sposób wykluczający uzasadnioną wątpliwość, że:

Po pierwsze: Madeleine Bellamy nie żyje i została zamordowana.

Po drugie: morderstwo to zostało popełnione w okręgu Bellechester.

Po trzecie: oskarżeni albo sami dokonali tego morderstwa, albo brali w nim udział w sposób bezpośredni.

To, że Madeleine Bellamy nie żyje, jest sprawą zupełnie jasną. Tego, że została zamordowana, nie kwestionowała ani obrona, ani

oskarżenie. Nikt nie podaje w wątpliwość, że morderstwa dokonano na terenie okręgu Bellechester. Jedyne zatem rzeczywisty problem, jaki staje przed wami, to odpowiedź na pytanie trzecie: czy pani Ives i pan Bellamy brali udział w zamordowaniu tej nieszczęsnej kobiety?

Prokuratura twierdzi, że tak, i na poparcie tego oświadczenia przytacza następujące fakty:

Dziewiętnastego czerwca 1926 roku, mniej więcej o piątej po południu, pani Ives otrzymała od Elliota Farwella informacje na temat stosunków łączących pana Ivesa z panią Bellamy. Wiadomość ta wywołała u niej tak bolesną i gwałtowną reakcję, że...

- Nie jestem w stanie słuchać tego od początku - odezwała się rudowłosa dziewczyna, cichym, złowrogim szeptem. - Nie jestem w stanie, mówię panu. Jeżeli on zacznie znowu opowiadać, że Sue Ives poszła do domu i zatelefonowała do Stephena Bellamy'ego, to wstanę i zacznę tak krzyżeć, że usłyszają mnie w Filadelfii. Ja...

- Wie pani co, lepiej niech pani stąd wyjdzie - zaproponował prawdziwie zaniepokojony reporter.

- Dobrze - słabo odpowiedziała rudowłosa dziewczyna.

Reporter ostrożnie rozejrzał się dokoła.

- Byłoby bardzo dobrze, gdyby pani w obie strony przeszła na czterech łapkach. Sędzia bardzo nie lubi myśleć, że nudzi kogoś z prasy, i kiedy widzi, że ktoś z nas się wymyka, gotów jest wezwać na pomoc karabiny maszynowe. Niech pani głęboko wciągnie powietrze i udaje, że już jest pojutrze.

Rudowłosa dziewczyna spojrzała na niego wzrokiem, w którym oszołomienie mieszało się z pogardą, i ruszyła ku drzwiom w sposób tak

przypominający chodzenie na czworakach, na jaki tylko pozwalało zachowanie godności członka prasy. Gruby policjant spojrzawszy z przerażeniem na jej maleńką, wyblakłą twarzyczkę natychmiast otworzył drzwi. Rudowłosa dziewczyna wymknęła się przez nie, odnalazła schody i posłusznie usiadła na szóstym stopniu od góry.

Słyszała, jak w dole po drugiej stronie głównych drzwi wejściowych tłum przewala się, wre i szumi. Uf! Uf! Wzdrygnęła się, oparła łokcie na kolanach, głowę ujęła w dłonie, zamknęła oczy, zatkała uszy i zaczęła szybko, głęboko oddychać.

- Jeżeli jeszcze kiedyś wybiorę się na proces o morderstwo... co się dzieje z człowiekiem, jeżeli nie śpi przez tydzień?... jeżeli jeszcze kiedyś... ja...

Ktoś krzyknął: „Halo!” Był to mały, piegowaty chłopak w czapce posłańca. Musiał najwidoczniej powtarzać to któryś raz z rzędu, bo coraz bardziej podnosił głos. Podał jej jeden z dobrze znanych blankietów telegraficznych i zniknął. Rudowłosa dziewczyna przeczytała kartkę z uwagą, starając się sprawiać wrażenie osoby całkowicie przytomnej i inteligentnej, jak każdy, kogo raptownie się obudzi.

Treść telegramu brzmiała następująco: „Proszę wracać do domu. Wszystko przebaczone, on skończył omawiać postępowanie dowodowe. Za chwilę sędziowie przysięgli pójdą na naradę. Niech się pani śpieszy!”

Szybko poderwała się na nogi. Nagle poczuła się najzupełniej rozbudzona, zadziwiająco przytomna i ogromnie podniecona. Była reporterem - znajdowała się na procesie o morderstwo - sąd przysięgłych miał lada moment rozważyć werdykt. Zbiegła szybko po białych marmurowych schodach, skręciła na pierwszym rogu i prześliznęła się przez lekko uchylone drzwi, które otworzył jej zdziwiony policjant.

Reporter popatrzył na nią z otwartymi ustami.

- Na litość boską, co się z panią stało?

- Wszystko w porządku? - dopytywała się gorączkowo. - Chyba powinni zaraz wrócić, prawda? Nie ma nic... - Dobrze znany głos zło-wrogo zabrzmiał jej w uszach; z niedowierzaniem spojrzała w kierunku tronu, z którego przemawiała sprawiedliwość. - Och, on jeszcze mówi! A powiedział pan, że już skończył. Przecież napisał pan! Napisał pan...

- Napisałem, że skończył omawiać postępowanie dowodowe, i to jest prawda. Naprawdę już kończy. Jeśli posiedzi pani spokojnie minutę, sama się pani przekonana.

- Chcę więc tylko po prostu panom przypomnieć - brzmiał zmęczo-ny głos - że chociaż okoliczności, w jakich złożone zostały zeznania dwojga ostatnich świadków, mogą się wydać panom niezwykle, drama-tyczne i wręcz sensacyjne, powinniście je potraktować tak samo jak wszystkie uprzednie zeznania składane w waszej obecności. Wiarygod-ność ich powinniście poddać takim samym sprawdzianom jak każde słowo, które padło w waszej obecności - ani mniejszym, ani większym.

Jeszcze tylko jedno słowo i zaraz skończę. Rodzaje morderstwa już panom zdefiniowałem. Zgodnie z tym sformułujecie swój werdykt. Wy-danie wyroku was nie dotyczy - wyda go sąd. Waszym obowiązkiem, i to wyłącznie waszym, jest zdecydowanie, czy Susan Ives i Stephen Bella-my, oboje lub jedno z nich, ponoszą winę za zamordowanie Madeleine Bellamy. Jestem przekonany, że sumiennie wywiążecie się z tego obo-wiązku. Panowie, możecie udać się na naradę.

Dwunastu ludzi powoli i sztywno wstało ze swych miejsc; stali roz-gładając się niepewnie, jakby nie mieli najmniejszej ochoty przystąpić

do oczekującego ich zadania.

- Gdybyście, panowie, potrzebowali dodatkowych wyjaśnień odnośnie jakiegokolwiek punktu, który jest dla was niezrozumiały - oświadczyl z powagą sędzieja Carver - będę w swoim gabinecie. Wszelkie dowody rzeczowe, które chcielibyście obejrzeć, są do waszej dyspozycji. Możecie, panowie, odejść.

Powoli, uroczyście sędziowie wychodzili z sali przez niewielkie drzwi na prawo od miejsca dla świadków, tuż za nimi ze zmarszczonym czołem postępował urzędnik sądowy z ramienia szeryfa, niski człowieczek z okrągłymi jasnymi oczami i rozszerzającymi się u dołu bokobrodami. Drzwi zamknęły się za nimi lekko, złowieszczo i nieodwołalnie; ktoś na sali westchnął głośno - zabrzmiało to jak zapowiedź dręczącej niepewności.

Rudowłosa dziewczyna zacisnęła ręce, rozpaczliwie starając się je rozgrzać. Dwunastu mężczyzn - dwunastu zwykłych, przeciętnych mężczyzn, na których twarzach malowało się wyczerpanie i ośpienie... Mocniej zacisnęła ręce i zwróciła bladą twarz w stronę innych drzwi.

Właśnie podeszli do nich Susan Ives i Stephen Bellamy; zatrzymali się na chwilę, uśmiechając się poważnie, z otuchą do kręcącego się niespokojnie na swoim miejscu Lamberta, a potem wyszli; zrobili to tak, jakby mieli zamiar zejść kilka schodów w dół i wsiąść do oczekujących ich samochodów, a nie pogrążyć się w ciemne piekło niepewności.

Reszta osób na sali nadal siedziała w absolutnym milczeniu, nie mając odwagi odetchnąć pod surowym spojrzeniem sędziego Carvera. Ale po chwili również i on podniósł się ze swego krzesła; przez krótki moment wydawało się, że całą salę wypełnił szelest jego czarnej jedwabnej

togi, a potem odszedł, za nim zaś z kolei postępowała powaga.

Nie minęło nawet pół minuty, gdy na spokojnej, zsubordynowanej sali zapanowała atmosfera bardziej hałaśliwa niż na boisku piłkarskim w niedzielne popołudnie. Jeśli chodzi o stan umysłu osób znajdujących się na sali, przypominał on nastrój z boiska sportowego. Rudowłosa dziewczyna wpatrywała się w tłum okrągłymi ze zdumienia oczami.

Tuż za nią organizowano totalizatora. Ktoś o piskliwym głosie chciał się zakładać, że sędziowie przysięgli wrócą po dwudziestu minutach; ktoś inny z oksfordzkim akcentem zapewniał, że to potrwa dwie godziny; jakiś miły kobiecy głos zakładał się o pięć do jednego, że sędziowie przysięgli nie uzyskają jednomyślności. Ukazały się wielkie czerwone jabłka, powietrze wypełnił dym z setek papierosów, wszędzie z ust do ust podawano sobie najrozmaitsze pogłoski.

- Słyszałaś o Melanie Cordier? Ktoś dzwonił, że rozchorowała się w gospodzie w Rosemont i przyznała, że Platz to zrobił: koło pierwszej w nocy wszystkie taksówki z całego Redfield popędziły na łeb na szyję, żeby się tam jak najprędzej dostać. A tymczasem okazało się, że w ogóle nie było jej tam od piątku, więc niby kiedy się miała rozchorować?

- Ja bym nie wylażł z łóżka o pierwszej w nocy, nawet gdybym się miał dowiedzieć, że zrobił to Cal Coolidge.

- Słyszałaś, jaką awanturę urządziła ta irlandzka gospodyni, kiedy świadek oskarżenia zajął jej miejsce? Chłopie, powiadam ci, ta baba miała takie oczy, że żbika by ujarzmiła!

- Czy ktoś się chce założyć o dziesięć do jednego, że oni się będą naradzać całą noc?

Rozległ się donośny, władczy głos jednego z pełniących służbę policjantów:

- Nie palić na sali! Proszę nie palić!

Na chwilę zrobiło się cicho; słyhać było tylko, jak ludzie niedbale i z irytacją gaszą papierosy na poręczach krzesel. Zegar nad drzwiami wskazywał czwartą.

- Zje pani kawałek czekolady? - zapytał troskliwie reporter. Rudowłosa dziewczyna wzruszyła ramionami. - Ale pani, moje dobre dziecko, nie miała nic w ustach od rana i jeżeli nie będzie pani rozsądna, bardzo łatwo może pani nie zjeść niczego i na obiad. Bóg jeden wie, jak długo to towarzystwo będzie tam jeszcze siedziało.

- Jak długo? - z furią powtórzyła rudowłosa dziewczyna. - Ależ dlaczego, na litość boską, to miałyby trwać długo? Dlaczego, na litość boską, nie wyjdą zaraz i nie powiedzą: „Niewinni”?

- No cóż, istnieje dobry staroświecki obyczaj, że sędziowie przysięgli powinni się dobrze zastanowić nad przedłożonymi dowodami. Być może to właśnie celebrują.

- Nad czym oni się mogą zastanawiać? Przecież słyszeli, co Phipps powiedział?

- Oczywiście, że słyszeli. Ale mogą spędzić następne dwadzieścia cztery godziny zastanawiając się, czy powinni uważać Phippsa za męczennika, który Bóg wie co przecierpiał, czy za dobrze opłaconego kłamcę.

- Och, niechże mi pan da spokój! Niech mi pan da spokój. Znieść pana nie mogę!

- Nie może mnie pani znieść - spytał z niedowierzaniem reporter. - Mnie?

- Nie...tak... zresztą mniejsza z tym. Niech pan sobie stąd idzie. Opowiada pan zupełnie potworne rzeczy!

- Na pewno nie tak potworne jak pani - odrzekł reporter. - Doprawdy nie może mnie pani znieść!?! Przecież nie twierdzę, że uważam

Phippsa za kłamcę. Jeśli chodzi o ścisłość, wydaje mi się najmilszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem, mimo że biedaczysko czytuje głośno *Idyllę królewską*... nie może mnie znieść!

- Niczego nie mogę znieść - powtórzyła z rozpaczą rudowłosa dziewczyna. - Niech pan już sobie stąd idzie!

Kiedy reporter odszedł, rudowłosa dziewczyna nagle poczuła, że musi za nim pobiec i błagać go, żeby ją zabrał ze sobą wszędzie, gdziekolwiek pójdzie - wszędzie - zawsze. Wciąż jeszcze przerażona i zdumiona zastanawiała się nad tym swoim odruchem, kiedy siedząca o trzy krzesła od niej reporterka z Louisville pochyliła się w jej stronę. Był to miła, cyniczna, sensownie wyglądająca dziewczyna, ale w tej chwili wyglądała dość blado.

- To chyba niemożliwe, żeby oni uznali ich za winnych, co? - spytała ostrożnym, obojętnym tonem.

- Ach, sędziowie przysięgli! - sucho odpowiedziała rudowłosa dziewczyna. - Po nich wszystkiego można się spodziewać. Przecież to tylko prości, przeciętni, najzwyczajni, zajęci swoimi sprawami ludzie, a przeciętni, zwyczajni ludzie zdolni są do wszystkiego. I właśnie dlatego mamy morderstwa, a potem procesy o morderstwa.

Dziewczyna z Louisville nagle wstała.

- Wyjdę chyba odetchnąć trochę świeżym powietrzem - powiedziała i dodała zaraz, jakby się chcąc usprawiedliwić: - To mój pierwszy proces o morderstwo.

- A mój ostatni - ponuro stwierdziła rudowłosa dziewczyna.

Policjant pełniący służbę gdzieś zniknął i na całej sali znowu zaczęły wzbijać się w górę niebieskie spiralki dymu - kadziłto spalane na

ołtarzu odprężenia. Dlaczego on nie wraca?... Zegar nad drzwiami wskazuje piątą.

Na podłodze piętrzył się wciąż przybierający zalew gazet, blankietów telegraficznych, kartek z notesów i bloków do pisania - dziesiątki nerwowych rąk niefrasobliwie darło i mięło w szale niszczenia narzędzia swojej pracy.

Drzwi na lewo od miejsca dla świadków nagle się otwały i na moment w ich obramowaniu ukazała się wysoka, surowa postać sędziego Carvera w czarnej todze. Pod jego oskarżającym wzrokiem jabłka i papierosy zniknęły jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej; wszystkie rozmowy umilkły jak nożem uciął. Sędzia stał chwilę, wpatrując się uporczywie w siedzących na sali ludzi, a potem zniknął równie nagle, jak się ukazał. Głęboka cisza trwała zaledwie moment, a potem znowu dym papierosów i głosy zaczęły się wznosić i opadać... Zegar nad drzwiami sądowej sali wskazywał szóstą.

Rudowłosa dziewczyna obróciła się. Reporter nachylił się nad oparciem sąsiedniego krzesła z jakimś dziwnym wyrazem na wcale miłej twarzy.

Dziewczyna odezwała się cicho, prosząco, głosem, który szokował ją do głębi:

- Niech pan nie odchodzi, niechże pan znowu nie odchodzi!

A reporter niepokojąco błady w blasku lamp stwierdził z całkowitą obojętnością:

- Coś mi się nie wydaje, żebym się z panią po tym wszystkim ożenił!

Rudowłosa dziewczyna poczuła, że najpierw robi się bardzo biała, potem gwałtownie się czerwieni i znowu blednie. Gdzieś za uszami czuła łomotanie serca. Tonem jeszcze bardziej obojętnym niż reporter zapytała:

- Po czym wszystkim?
- Po wszystkich nonsensach, jakie pani wyprawia - surowo odparł reporter.

Rudowłosa dziewczyna odezwała się tak ulegle, że prawie nie było jej słychać:

- Proszę, niech pan tak nie mówi!
- Ale co my właściwie tu robimy? - spytał reporter czystym głosem.
- Co robimy tu, na tej sali sądowej, na procesie o morderstwo, gdzie obserwuje nas dwustu pięćdziesięciu czterech ludzi? Gdzie plaża? Gdzie sad pełen jabłoni? Gdzie ogród zalany światłem księżyca, gdzie słowiki? Niech pani zaraz wstaje i ubiera się. Wychodzimy stąd.

Rudowłosa dziewczyna podniosła się potulnie. Pomijając wszystko, rzeczywiście, co oni tutaj robią? Czym był proces o morderstwo, werdykt czy artykuł gazety w porównaniu z... Zatrzymała się oniemiała ze zdumienia.

Nagle w jakiś tajemniczy i niepojęty sposób na sali zapanowało poruszenie. Nikt do niej nie wszedł, nikt niczego głośno nie powiedział, ale tłum rzucił się do ucieczki, jakby poderwany ze swych miejsc ręką giganta. Ludzie przypuścili jeden szturm do drzwi, drugi, setki głosów zaczęło coś wykrzykiwać nie zważając na przepisy prawa i porządek.

- Trzymaj tę linię! Nie wyłączaj się!
- Już idą, idą!
- Dorothy! Dorothy!
- Stan, zajmij kabinę!
- Gdzie Larry? Larry!
- Złapcie Reda - na litość boską, złapcie Reda!
- To moje krzesło. Zechce się pani stąd wynieść, dobrze?
- Pilnuj fleszu - Bill da znak.
- Dorothy!
- Stań przy tych drzwiach!

A potem cisza zapadła tak nagle, jak nagle wybuchła wrzawa. W drzwiach po lewej stronie ukazały się dwie opanowane, znajome postacie, a w drzwiach z prawej strony sędzieja Carver w czerni. Zegar nad drzwiami wskazywał za piętnaście siódmą.

- Gdzie jest strażnik? - Głos sędziego Carvera drżał gniewem. - Proszę tam stanąć i nikogo nie wpuszczać ani nie wypuszczać, dopóki werdykt nie zostanie ogłoszony.

Pełne rozpaczy oczy wymieniały gorączkowe spojrzenia. Dobrze, ale co z ostatnim wydaniem? Wstrzymują druk do siódmej. Co z ostatnim wydaniem? Prędej, prędzej! Ambasador majestatycznego prawa bynajmniej się jednak nie śpieszył.

- Chciałbym powiedzieć kilka słów do osób znajdujących się na sali. Jeżeli po ogłoszeniu werdyktu nastąpi jakakolwiek demonstracja, winni zostaną doprowadzeni przede mną i bezzwłocznie pociągnięci do odpowiedzialności za obrazę sądu. Strażnicy, proszę pilnować drzwi.

A przez inne drzwi - małe drzwiczki za fotelem sędziego - jeden za drugim wchodziło dwunastu umęczonych mężczyzn; szli ciężkim krokiem, ponurzy, z powagą malującą się w oczach - farmerzy, kupcy, sprzedawcy, którzy w swoich niezgrabnych dłoniach dzierżyli straszliwą władzę życia i śmierci. Rudowłosa dziewczyna uchwyciła się silnego, obciążonego w tweedową marynarkę ramienia obok siebie, jak gdyby tonęła.

Dwunastu mężczyzn w bezlitosnym blasku lamp ustawiło się w formne półkole; na ich uniesionych ku górze twarzach widać było zmęczenie i napięcie.

- Panowie sędziowie przysięgli, czy uzgodniliście werdykt?

Chór niskich głosów odpowiedział uroczyście:

- Uzgodniliśmy.

- Oskarżeni, proszę spojrzeć na sędziów przysięgłych. Sędziowie przysięgli, proszę spojrzeć na oskarżonych.

Niewzruszone białe twarze obróciły się, posłuszne poważnemu głosowi.

- Panie przewodniczący ławy przysięgłych, jaki jest wasz werdykt odnośnie Stephena Bellamy'ego: winny czy niewinny?

- Niewinny.

Po sali przebiegło drżenie, ale natychmiast się uciszyło.

- Jaki jest wasz werdykt odnośnie Susan Ives: winna czy niewinna?

- Niewinna.

Przez chwilę nikt się nie poruszył, nie drgnął, nie odetchnął. A potem dziennikarze zapomnieli nagle o dostojności prawa i przypomnieli sobie o dostojności prasy. Za trzy minuty siódma - trzy minuty na wypuszczenie wieczornego wydania. Obląkaną gonitwą ku drzwiom dzielnie usiłovali powstrzymać strażnicy, którzy z pełnym poświęceniem trwali na swoich posterunkach. Ze wszystkich stron rozległy się okrzyki: „Proszę nie opuszczać miejsc”, „Spokój!”, „Porządek! Porządek”, „Niech pan weźmie ze mnie te ręce!”, oraz grzmot młotka sędziego Carvera.

Raz jeszcze przychwyceni przez gromy prasy i prawa ci dwoje stali nie zdając sobie z niczego sprawy. Wymęczona twarz Stephena Bellamy'ego zwracała się uporczywie w stronę małych drzwi, za którymi leżała wolność, natomiast Susan Ives odwracała od nich głowę. Jej spojrzenie biegło w kierunku ciemnej, nisko schylonej głowy w kącie sali, a na

widok nieustraszonego, dzielnego i pełnego napięcia wyrazu, jaki się malował na tej twarzy, rudowłosa dziewczyna poczuła nagle, że płacze, rozpaczliwie, nie wstydząc się swych łez płacze wtulona w coś, co pachniało tweedem, tytoniem i rajem.

Zegar nad drzwiami wskazywał siódmą. Proces Bellamy'ego był skończony.

Sędzia wszedł do niewielkiego pokoju, który służył mu jako gabinet w gmachu sądu, krokiem o wiele lżejszym, niż przekraczał jego próg od kilku dni. Pokój był przyjemny; ciemna boazeria sięgała po sam sufit; były tu dwa szerokie okna, stały dwa głębokie fotele i wielkie biurko, na którego błyszczącej powierzchni wysoko piętrzyły się książki i papiery. Pod ścianami ciągnęły się szeregi oprawnych książek, a nad drzwiami wisiał wielki sztych przedstawiający Sprawiedliwość w powiewnych białych szatach, uśmiechającą się z powagą na widok trzymanej w rękach przepaski, którą człowiek uważał za właściwe umieścić na jej oczach. Po drugiej stronie pokoju, naprzeciwko niej, z odrzuconymi do tyłu połami wspaniałej szaty siedział John Marshall, prawdziwy i wielki dżentelmen, utkwivszy na wieki ciemne oczy w oczach Sprawiedliwości, jakby łączyło ich jakieś tajemne porozumienie.

Kiedy sędzia Carver wszedł do pokoju, trochę niepewnie spojrzął na dwa obrazy, ale obie postacie uśmiechały się do niego uspokajająco. Od trzydziestu lat tę trójkę łączyła serdeczna przyjaźń.

Przyśpieszając nagle kroku, sędzia zbliżył się do biurka. Lampy były zapalone, a w ich kloszach jak w lustrze odbijała się krótka, krępa fajka koloru orzecha, ogromna mosiężna popielniczka, do której olbrzym mógłby wytrząsać popiół, stare pudełko zapalek przymilnie ziewające w stronę jego zmęczonej twarzy. Czarna toga ciążyła sędziemu na ramionach

i już podniósł niecierpliwie rękę, żeby się od niej uwolnić, kiedy zatrzymał go widok stosu papierów ułożonych na środku biurka.

„Panowie sędziowie przysięgli, długie i burzliwe postępowanie, w którym braliśmy udział...”

Zaraz, zaraz, co to on im powiedział na temat tego, że sprawca i udzielający pomocy w sprawie o morderstwo ponoszą tę samą odpowiedzialność? Oczywiście, praktycznie rzecz biorąc, miał najzupełniejszą rację. A jednak - smukłymi palcami przerzucał leżące papiery - jest! „Udzielający pomocy przy dokonywaniu czynu jest ten, kto...”

Ktoś zapukał do drzwi. Sędzia odezwał się głośno, z irytacją:

- Wejść!

Drzwi otworzyły się ostrożnie i pod postacią uśmiechniętej Sprawiedliwości pojawił się mały chłopak, piegowaty, niebieskooki, czarnowłosy, w lekko zrudziałym zielonym uniformie posłańca. Z tyłu za chłopcem sędzia dostrzegł zatroskaną twarz starego Martina, sekretarza sądowego.

- Nie mogłem sobie z nim poradzić, wysoki sędzie. Powiedziałem mu, że pan jest zajęty, mówiłem, że pan pracuje, i ostrzegałem go, że pan wyraźnie zabronił sobie przeszkadzać, ale on nic, tylko wciąż swoje: „Przysięgłem, że oddam to do rąk sędziego, i oddam mu do rąk, choćbym miał tu czekać, aż zajdzie księżyc i słońce wszędzie”.

- Właśnie tak obiecałem - odezwał się piskliwym głosem mały, przestraszony i uparty chłopak przy drzwiach. - I zrobię to, żeby się nie wiem co działo...

- Dobrze, dobrze, połóż to tam i zmykaj. - Głos sędziego nie zdradzał zbytnej cierpliwości.

- Powiedziałem, że do rąk własnych, i oddam tylko do rąk własnych...

Sędzia wyciągnął piękną, szczupłą rękę z uśmiechem, który rozświetlił jego chłodną twarz jak płomień. Drugą ręką sięgnął do kieszeni.

- Masz, jeżeli w dalszym ciągu będziesz dotrzymywał obietnic, na przykrzając się ludziom, możesz kiedyś zrobić karierę. Dobranoc, Martin, proszę odprowadzić tego młodego dżentelmena do drzwi. Jeśli dziś wieczór jeszcze ktoś mi będzie przeszkadzał, wyrzucę go z pracy.

- Tak, naturalnie, wysoki sędzie. Dobranoc, wysoki sędzie.

List był gruby, wypchany, zdradzający wyraźnie apoplektyczne tendencje. Na odwrotnej stronie koperty dumnie rzucały się w oczy trzy czerwone pieczęcie. Sędzia niedbale odwrócił kopertę. Staranne, wrażliwe, zamaszyste pismo powitało go jak wyzwanie:

„Sędzia Carver

Doręczyć bezwarunkowo do rąk własnych”.

Wyglądało to niezwykle imponująco. Sędzia bez ceremonii rozerwał zapieczętowaną kopertę i wysypał jej zawartość na biurko. Wielki Boże, przecież to powieść w trzech tomach. Strona za stroną zapisana pięknym, starannym, kaligrafowanym niemal jak druk pismem. Sędzia podniósł kartki z ciekawością i wtedy spomiędzy nich wyleciało coś, co upadło na biurko przykuwając jego wzrok. Był to niewielki kawałek niebieskiego papieru, cienki, wymięty i zabrudzony. Sfatygowaną powierzchnię kartki pokrywało niedbale, okrągłe, dziecinne pismo:

19 czerwca, 10 rano

Pat, pojedę albo autobusem o ósmej, albo o pół do dziewiątej...

Sędzia bardzo powoli i bardzo ostrożnie podniósł kartkę: uśmiech zamarł w jego niedowierzających oczach.

Pat, pojedę albo autobusem o ósmej, albo o pół do dziewiątej. W ten sposób w domku ogrodnika mogę być najpóźniej przed dziewiątą. Będę tam czekać do pół do dziesiątej. Możesz sobie wymyślić, jaką chcesz wymówkę dla Sue - ale przyjdź - i koniecznie przywieź to, co obiecałeś. Chyba równie dobrze jak ja zdajesz sobie sprawę, że nie ma już sensu rozmawiać na ten temat. Skończyliśmy ze słowami i od-tąd ograniczymy się do czynów. To nonsens przypuszczać, że Steve będzie coś podejrzewał. Mogę mu wmówić absolutnie wszystko, co zechcę, i skoro tylko ustalimy dziś wieczór szczegóły, będziemy mogli wyjechać każdej chwili, kiedy się zdecydujemy. Kalifornia! Och, Pat, ja już nie mogę czekać! Kiedy uprzytomnisz sobie, jak bardzo będziemy szczęśliwi, na pewno nie będziesz niczego żałował! Zawsze mówiłeś, że chcesz, żebym była szczęśliwa - pamiętasz?

Mimi

Sędzia Carver przyciągnął głęboki fotel bliżej lampy, usiadł w nim ciężko i przysunął gęsto zapisane stroniczki ku sobie. Wyglądał jak zmęczony, stary człowiek.

Pótnoc

Drogi Sędzio Carver!

W pełni zdaję sobie sprawę, że pisząc ten list postępuję jak tchórz. Ale jest to z mojej strony po prostu chęć przerwania ciężaru z własnych barków na cudze, chociaż powinnam już być do tego czasu

dostatecznie przyzwyczajona do dźwigania ciężarów. Ten jednak jest tak dziwny, tak trudny i tak straszliwy, że muszę się go pozbyć narażając na szwank moją duszę, zasady fair play i Pański wewnętrzny spokój. Jeżeli jutro ogłoszony zostanie werdykt „winni”, rzecz jasna, iż nie wyślę tego listu, lecz po prostu przedstawię fakty prokuratorowi. Dzisiejszą noc poświęcam na spisanie tego na wypadek, gdyby werdykt brzmiał „niewinni”.

To ja zabiłam Madeleine Bellamy. Wydaje mi się czymś całkiem nieprawdopodobnym, że nikt się tego już dawno nie domyślił.

Kathleen Page, Melanie Cordier, Laura Roberts, Patrick, Sue i ja sama mówiliśmy to wam niejednokrotnie. Czy to możliwe, żeby pan Fair, człowiek tak nieprzyjemny i zwracający na wszystko uwagę, niczego nie podejrzewał nawet wtedy, kiedy powiedziałem, że o godzinie dziewiętej byłam w pokoju na kwiaty i myłam ręce? A przecież zaledwie kilka minut później pytał mnie, czy w kredensie jest kran, pod którym moja biedna Sue mogłaby zmyć z rąk krew Mimi Bellamy; widziałam, że na twarzach wszystkich na sali pojawiła się odraza i przerażenie na samą myśl o tym.

Mówiliśmy wam wszystko, tylko że nikt nie chciał tego słuchać.

Kto wiedział o tej ścieżce przez łąki wiodącej do altanki? Ja, a nie Sue. Kto mógł dokładnie obserwować z rozarium okno gabinetu? Ja, a nie Sue. Kto spędził półtorej godziny między ósmą trzydzieści a dziesiątą absolutnie sam, nie obserwowany przez nikogo? Ja, a nie Sue. Kto miał wszelkie motywy przypisywane Sue, i to jeszcze

dziesięciokrotnie mocniejsze? Ja, ja, która wiedziałam, co to jest bieda, i to taka, przy której lata spędzone przez Sue w Nowym Jorku są niefrasobliwą przygodą. To mnie przypadło walczyć nie tylko o swoje dziecko, to ja po całych latach koszmarnego życia znalazłam wreszcie raj i to ja wiedziałam, że nie anioł z ognistym mieczem nadchodzi, żeby mnie wygnać z tego raju, ale pusta smarkula, bez serca, sknera, chciwa na pieniądze i tak nieubłagana, jak tylko może być człowiek pusty.

Wiem, Sędzio Carver, że ciężar, który próbuję przerzucić na Pańskie barki, powinien być najcięższy ze wszystkich, jakie istnieją, z powodu ogromu wyrzutów sumienia; mogę jednak Panu przysiąc, że odczuwam tyle wyrzutów sumienia, iż mogą się pod nim ugiąć barki silniejsze niż moje i na wet Pańskie - a jednak nie są to wyrzuty sumienia z powodu śmierci Mimi Bellamy.

Wyrzuty sumienia, jakie odczuwałam w ciągu tych ostatnich tygodni, zżarły mnie doszczętnie - wyrzuty sumienia z powodu hańby, groźby i niebezpieczeństwa, na jakie naraziłam moje dzieci, z powodu bólu i groźby, które sprowadziłam na tego szlachetnego człowieka - Stephena Bellamyego, a nawet z powodu śmierci biednego Elliota Farwella, myślę bowiem, że i to jest moim dziełem. Nie uchylam się i od tej odpowiedzialności.

Jestem osobą raczej starej daty. Wierzę w piekło i wierzę, że prawdopodobnie tam się znajdę, ponieważ zabiłam Mimi Bellamy i ponieważ tego nie żałuję, ale piekło, w którym żyłam przez wszystkie dni i noce od chwili, kiedy ona umarła, nie jest ani odrobinę mroczniejsze z tego powodu, że to ja zadałam jej ten niewielki cios, który

ją przeniósł z jednego świata w inny.

Kiedy ten tak niemily pan Farr wzywał pomsty nieba i ziemi na złoczyńcę, który na zawsze przerwał srebrzysty śmiech zmarłej kobiety, dobrze pamiętam, że po raz ostatni śmiała się ze starej kobiety błagającej ją na kolanach o szczęście i zapewniony byt dwojga dzieci - mnie osobiście nie wydaje się, żeby świat stracił tak wiele w momencie, kiedy ten śmiech umilkł. To straszne, co? Ale to prawda.

Postaram się cofnąć wstecz, żeby Pan mógł dokładnie zrozumieć to wszystko, co się stało; wówczas może potrafi Pan łatwiej osądzić, co powinnam była zrobić oraz jak Pan powinien postąpić ze mną. Muszę się cofnąć w bardzo odległą przeszłość - do niewielkiego fabrycznego miasteczka na północy stanu Nowy Jork.

Trzydzieści jeden lat temu ostatniego czerwca odszedł ode mnie mój mąż z dziewiętnastoletnią córką norweskiej gospodyni, u której mieszkałam. I nie można go nawet specjalnie za to winić. Trudie była tak ładna, jak wizerunki dziewcząt malowane na pudełkach z luksusowymi słodyczami, i tak pozbawiona wszelkich skrupułów jak Mesalina. Ja natomiast nie byłam ani ładna, ani bezwzględna.

Czując się chora, nieszczęśliwa, zawiedziona i pozostawiona sama sobie, zbyt zajmowałam się sobą, żeby się móc jeszcze zajmować czymkolwiek innym - odszedł więc z Trudie, zabierając z czajnika schowane tam dziewiętnaście dolarów i pięćdziesiąt centów, i zostawił mnie z sześciotygodniowym dzieckiem i obrączką ślubną, która nawet nie była złota. A norweska gospodyni nie zgodziła się

zatrzymać mnie u siebie bez zapłaty - ani jednego dnia, ponieważ była oczywiście trochę rozczłuszczona takim bezceremonialnym odejściem swojej córki; całkiem otwarcie obwiniła mnie o to i mówiła, że kobieta, która nie potrafi utrzymać przy sobie własnego męża, nie jest warta tego, by u niej mieszkać i się stołować.

No, więc podobnie jak kobiety w kiepskich melodramatach, owinełam dziecko szalem i wyruszyłam na poszukiwanie pracy w jakiejś fabryce. Rzecz jasna, nic nie znalazłam. W fabrykach panował zastój, a ja wyglądałam jak schorowane straszdyło i nie miałam nawet pieniędzy na bilet tramwajowy. Pierwszy wieczór mojej kariery żywicielki rodziny spędziłam żebrząc na bardziej uczęszczanych rogach ulic. To też jest jeden ze sposobów zarabiania na chleb.

W ciągu następnych dwudziestu lat próbowałam go zdobyć w bardzo różny sposób, łącznie z tym, że dwa razy go ukradłam. Ale tak działo się jedynie w pierwszym roku, potem zawsze już mieliśmy chleb, chociaż masła nie było wystarczająco dużo, ale chleb mieliśmy z reguły czerstwy i przeważnie nie miałam go czym posmarować.

Kiedy ludzie mówią o tym, że lękają się biedy, zastanawiam się, czy chociaż w przybliżeniu zdają sobie sprawę, o czym mówią. Gdy wychodziłam za Dana, nie byłam bogata; byłam córką prawnika, któremu nie powodziło się specjalnie dobrze, i zawsze myślałam, że jesteśmy całkiem biedni, ponieważ często zdarzały się okresy, że w żywieniu rodziny wybitną rolę odgrywała duszona wołowina zamiast kurcząt, a moja najlepsza sukienka była nie z tafty, ale z tarlatanu,

i miałam tylko dwie pary rękawiczek z kozłej skórki, jedną do łokci, a jedną do ramion.

W okresach tych bardzo, ale to bardzo roztkliwiałam się nad sobą i chodziłam z zaczerwienionymi oczyma głęboko przekonana, że jestem męczennicą. Bynajmniej nie byłam szlachetnego charakteru. Bardzo lubiłam wieczorami wybierać się na zabawy kotylionowe, a rano wylegiwać się w łóżku i doprowadzać nieopierzonych młodych ludzi, całkowicie ogłupionych blaskiem księżycy i dźwiękami mandoliny, do lękliwych oświadczeń. Oprócz tego, że grałam na mandolinie, umiałam całkiem dobrze robić dwa rodzaje ciastek, wcale nieźle haftować i tańczyć lansjera lepiej niż ktokolwiek w mieście- poza tym umiałam na pamięć prawie całą Lucile. Tak znakomicie przygotowana do stanu małżeńskiego zdecydowałam się na ucieczkę z panem Danielem Ivesem.

Nie będę pana długo zanudzać Danem. Był czołowym aktorem w trupie teatralnej, która przybyła do naszego miasta, i trzy tygodnie po tym, jak zobaczył mnie oniemiałą z zachwytu w pierwszym rzędzie krzesel, doszliśmy do wniosku, że życie bez siebie byłoby pustą farsą, po czym na zawsze opuściliśmy miasteczko. Przez pierwsze sześć dni było to naprawdę bardzo, ale to bardzo romantyczne, ale potem przestało już być tak romantyczne.

Ponieważ ja, która umiałam tak pięknie haftować, byłam kiepską kucharką, złą gospodynią, złą panią domu i złą sportsmenką - krótko mówiąc, byłam złą żoną. Nie czułam się bynajmniej szczęśliwa, lecz wydawało mi się, że w tym, jaka jestem, nie ma nic szczególnie groźnego,

ponieważ po prostu nigdy do głowy mi nie przyszło, że jeden człowiek może mieć tak dosyć drugiego, że potrafi najspokojniej od niego odejść i narazić go niemal na śmierć głodową. Ale okazało się, że pod tym względem myliłam się tak samo jak pod każdym innym.

Opowiadam Panu o tym wszystkim nie po to, żeby się usprawiedliwiać, ale po prostu, żeby to Panu wyjaśnić; może po tym łatwiej będzie Panu zrozumieć, co mnie pchnęło na tę ścieżkę przez łąki i co sprowadziło mnie z powrotem o godzinie dziewiątej wieczór do pokoju na kwiaty. Wydaje mi się, że tego wieczoru wybrały się na spotkanie z Madeleine Bellamy w domku ogrodnika dwie osoby - miła, dobrze ułożona siwowłosa dama i przewrotna, zepsuta, przerażona dziewczyna, o której sympatyczna stara dama myślała, że zabiła ją przed trzydziestu laty. Powinnam to Panu wyjaśnić, żeby być w stosunku do pana w porządku, kiedy chcę prosić o coś, o czym Pan ma zdecydować. I powinnam o tym powiedzieć również po to, żeby być w porządku wobec samej siebie.

Przez dwadzieścia lat było mi albo za zimno, albo za gorąco; byłam zbyt zmęczona, chora czy słaba, żeby choć przez jedną chwilę czuć się naprawdę dobrze. Nie zamierzam bynajmniej udawać, że stało mi się obojętne, czy przyjdzie mi zrezygnować choćby z jednego przejawu wygody czy luksusu, które w końcu uczyniły moje życie o tyle piękniejszym. Alenienie to było powodem, dla którego zabiłam Mimi Bellamy. Proszę mi wierzyć, że nie.

Prawdziwy strach przed biedą odczuwamy nie z powodu naszych cierpień. Chodzi nam raczej o to, że jesteśmy całkowicie i

bezwzględnie bezsilni, jeśli chodzi o zrobienie czegokolwiek, co mogłoby ochronić i obronić tych, którzy są nam najdrożsi. Sędzio Carver, kiedy Pat jako mały chłopiec był chory, nie miałam dosyć pieniędzy, aby sprowadzić do niego doktora - nie miałam za co kupić mu lekarstwa. Kiedy szłam do pracy, musiałam go zostawiać u ludzi nędznych, marnych i brudnych zarówno zewnątrz, jak i wewnątrz - nie, ponieważ byli jedynymi, których mogłam opłacić.

Kiedys po powrocie do domu nie zdołałam się go dobudzić i kobieta, która przy nim siedziała, z przerażenia powiedziała mi, że mały strasznie płakał i dała mu coś, co poradziła jej mieszkająca obok Węgierka jako niezawodny środek uspokajający dzieci. Zaniostałam dziecko i butelkę z tym jakimś płynem do drugstore'u odległego o dziesięć przecznic, a tam powiedzieli mi, że płyn jest opium. Ona dała mojemu Patowi pół butelki. Ale nie mogę o tym mówić nawet po to, żeby mnie Pan zrozumiał. Nigdy nie miał żadnych zabawek oprócz blaszanych puszek, szpilek od nici i kawałków sznurka. Nigdy nie miał niczego poza mną.

A ja przysięgam sobie, że jak długo będzie miał mnie - musi mieć wszystko. Że będę dla niego pięknem, spokojem, pogodą ducha, powabem, radością i siłą. Nie byłam ani piękna, ani spokojna, ani pogodna, ani powabna, ani wesoła, ani silna - ale dla niego postarałam się być taka. To nie próżność, to prawda. Przysięgam sobie, że nigdy nie zobaczy łzy w moich oczach, że nigdy nie usłyszysz, jak podnoszę głos, że nigdy nie zobaczy, abym drżała przed czymkolwiek, co los

zechce zgotować czy jemu, czy mnie. I nigdy nie zobaczył! - nie, naprawdę nigdy. To było wszystko, co mogłam mu ofiarować, ale to dałam mu naprawdę.

Musiałam oszczędzać osiemnaście lat, żeby odłożyć tyle pieniędzy, by móc kupić bilety kolejowe i wyjechać z tego miasta. Wtedy przyjechałam do Rosemont. Zaczyna kobieta, dla której czasem coś szyłam, miała w Rosemont siostrę. Powiedziała mi, że to bardzo ładna miejscowość i że chyba są tam widoki na uzyskanie jakiejś pracy oraz że jej siostra przyjmuje lokatorów. Zabrałam więc te kilka dolarów, jakie zdołałam odłożyć, i pojechałam, co było potem, już Pan wie.

Oczywiście są jeszcze rzeczy, o których Pan nie wie - nie wie Pan na przykład, jaki dzielny, jaki wesoły i miły był zawsze dla mnie Pat; nie wie Pan, jak byliśmy wszyscy szczęśliwi w mieszkaniu w Nowym Jorku po tym, kiedy ożenił się z Sue i urodziło się dziecko. Sue pomagała mi w gospodarstwie i pracowała jako sekretarka na uniwersytecie, a Pat chwycił się wszystkiego, co mu tylko w ręce wpadło, i wszystko robił wspaniale. Zawsze mieliśmy pod dostatkiem jedzenia, było u nas czysto i słonecznie i byliśmy zdrowi i szczęśliwi. Sue jednak nigdy o tym dużo nie mówiła, bo jest dzieckiem bardzo zamkniętym w sobie, a w tym wypadku bała się, że małe mieszkanko bez windy w Bronx - bez służby i bez żadnych wygód - może stanowić dla Thorneów jakąś ujmę.

Pan Lambert w swoich pytaniach nie chciał się zdecydować na poruszenie jakichkolwiek tematów dotyczących tego okresu, bo bał się, iż podczas przesłuchiwania przez oskarżenie pan Farr mógłby

tak wszystko wykręcić i wyglądałoby na to, że Sue była wówczas narażona na nie wiem jakie tortury. Oczywiście nie przelewało się u nas, ale mieliśmy tyle, że nasze ówczesne życie mogło się wydawać bez troskie i pełne luksusu w porównaniu z tym, jak żyliśmy z Patem przez lat piętnaście.

Tych rzeczy nie zna Pan w ogóle. Ale nie zna Pan jeszcze czegoś. Nie zna pan Polly i Pete'a, prawda, Sędzio Carver?

To wspaniałe dzieci. Przypuszczam, że każda babka uważa swoje wnuki za wspaniałe - ale w tym wypadku nie chodzi o to, co ja uważam' - one naprawdę są wspaniałe. Każdy to Panu powie - każdy, kto choć jeden raz je widział. To najdzielniejsze, najszcześniejsze i najsilniejsze stworzenia. Może Pan spędzić z nimi całe tygodnie i ani razu nie usłyszysz Pan, żeby któreś płakało. Naturalnie raz na jakiś dłuższy czas mogłoby się to zdarzyć - na przykład, gdyby je Pan zbeształ - bo Pete jest ogromnie wrażliwy, ale właściwie to nigdy nie trzeba ich besztać; kiedy zeszłej zimy doktor Chilton składał Pete'owi złamaną nogę, powiedział potem, że jeszcze nie widział tak odważnego dziecka. A kiedy Polly miała zaledwie dwa latka, weszła prosto do morza aż po brodę i byłaby szła jeszcze dalej, gdyby ojciec nie wyciągnął jej z wody. Jeździ na kucu lepiej niż jakiegokolwiek siedmioletnie dziecko w Rosemont - a przecież dopiero w styczniu skończy pięć lat - kiedy zaś jeden jedyny raz zdarzyło się, że zleciała z siodła, nawet nie mruknęła.

Poza tym to bardzo piękne dzieci. Pete jest jasnym blondynem, a Polly dla odmiany ciemną brunetką, ale obydwójce mają niebieskie

oczy i bardzo ciemne rzęsy. Oboje są opaleni na brąz i wysocy. Wydaje się niemożliwe, żeby którekolwiek z nich mogło być chore czy nieszczęśliwe, ale mimo to trzeba na nich bardzo uważać. Polly dwa razy groziło mastoiditis, a Pete'owi trzeba trzy razy na dzień masować nogę, bo wciąż jeszcze lekko utyka.

I właśnie dlatego zabiłam Madeleine Bellamy.

Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że coś się dzieje między nią i Patem, prawie miesiąc przed morderstwem, gdzieś w początkach maja. Sue miała kilku gości na obiedzie, a ja, jak zwykle możliwie najprędzej, wysunęłam się do ogrodu. Postanowiłam ściąć trochę bzu i wróciłam do domu, żeby wziąć z pokoju na kwiaty sekator. Kiedy przechodziłam obok gabinetu, zobaczyłam na tle okna sylwetki - Pata i Mimi. Ona stała nachylona, udając, że przygląda się okręcikowi jego roboty, ale nie patrzyła na zabawkę - patrzyła na Pata. Zawsze uważałam ją za roztrzepaną gąskę i nigdy specjalnie jej nie lubiłam, a nawet za dawnych czasów, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w osadzie, czasami martwiłam się o nią. Za mocno się perfumowała i za dużo używała pudru, miała bezbarwny głos i okropnie nienaturalnie się śmiała. Ale myślałam, jeśli w ogóle o niej myślałam, że jest dobra i że chyba nikomu by nie zrobiła krzywdy; zawsze starałam się nie reagować, kiedy mówiła coś, co mnie kompletnie szokowało.

Powiedziała: „Pat, dostałeś mój list? A on odpowiedział: „Tak”. Wtedy spytała: „Przyjdiesz?” „Nie wiem - odpowiedział Pat. - Nie jestem pewny, czy mi się uda”. Wtedy znowu ona: „Na pewno ci się uda. Tu nie możemy rozmawiać. Stąd idzie się do domku ogrodnika

niecałe dziesięć minut. Musisz przyjść”. Na to Pat: „Dobrze. Przyjdę. Ale uważaj, ktoś idzie”. Wtedy oboje odwrócili się i usłyszałam, jak Pat woła do kogoś w hallu, żeby przyszedł i obejrzał ten jego okręciak.

Od tego momentu aż do teraz nie miałam ani jednej szczęśliwej godziny, minuty, czy choćby sekundy. Spędzałam cały czas na szpiegowaniu go - mego Pata - starałam się odkryć, jak daleko się posunął i jak daleko ma zamiar się posunąć. Ani razu nie spotkałam ich więcej razem, choć bez przerwy kręciłam się po tarasie pod oknem gabinetu, myśląc, że któregoś popołudnia czy wieczoru mogą się tam znowu zjawić. Ale nigdy tak się nie stało. Jeśli chodzi o ścisłość, Mimi bardzo rzadko przychodziła do nas do domu. Ale wieczorem dziewiętnastego czerwca, kilka minut po pół do szóstej ktoś podszedł do okna gabinetu i wtedy uchwyciłam wątek, którego tak długo szukałam. Była to naturalnie Melanie Cordier. Właśnie wracała z ogrodu, gdzie przywiązywałam do kraty pnące róże, kiedy zobaczyłam ją w kącie gabinetu koło biblioteki. Trzymała w ręku książkę - dużą, grubą książkę w jasnobrązowej oprawie; coś do niej wkładała i równocześnie dziwnie niespokojnie oglądała się przez ramię. Potem odstawiła książkę na półkę i poszła w stronę hallu, kiedy nagle cofnęła się i zatrzymała bez ruchu. Pomyślałam sobie: „Ktoś musi być w hallu. Kiedy Melanie wyjdzie, będzie oznaczało, że droga jest wolna”.

Nie minęła i minuta, kiedy stamtąd wyszła; okrążyłam dom, żeby się dostać do frontowych drzwi, a potem do gabinetu, i zobaczyć, co

ona włożyła do tej książki. Tak się spieszyłam, że prawie wpadłam na Elliota Farwella, który właśnie schodził schodami i w ogóle nie patrzył ani jak, ani gdzie idzie, jakby był ślepy. Powiedział: „Bardzo przepraszam”, i minął mnie, nawet nie podnosząc oczu, żeby zobaczyć, kogo potrącił, a ja przeszłam przez hali i znalazłam się w gabinecie myśląc, że nigdy w życiu nie widziałam człowieka, który by się wydawał tak okropnie i beznadziejnie nieszczęśliwy.

W hallu nie spotkałam nikogo; wszyscy byli w salonie i słyszałam ich głosy i śmiech - pomyślałam sobie, że jeśli chcę znaleźć to, co Melanie włożyła do książki, muszę działać bardzo szybko, bo goście mogą się rozejść dosłownie lada minuta. Zauważyłam, gdzie ta książka stała - na trzeciej półce przy ścianie - ale były tam trzy takie same tomy i to mnie chwileczkę opóźniło.

List był w drugim tomie, który otworzyłam. Adres na nim brzmiał: „Pan Patrick Ives - Pilne - Bardzo pilne”. Stałam wpatrując się w to „Pilne - Bardzo pilne” dobrą chwilę, a później włożyłam list do słomianej torby, której używam idąc do pracy w ogrodzie, i poszłam przez jadalnię do kredensu, żeby napić się wody, bo poczułam się trochę słabo.

W kredensie nie było nikogo. Przez dłuższą chwilę spuszczałam wodę, żeby się oziębiła, a potem bardzo powoli wypilałam trzy szklanki - piłam tak długo, aż ręce przestały mi się trząść i opuściło mnie to dziwne uczucie oszołomienia. Potem wróciłam do hallu. Kiedy byłam już w jadalni, zobaczyłam, że Pat stoi w rogu gabinetu przy biurku.

Pomiędzy drzwiami jadalni i gabinetu wisi zastona, ale nie

zasłania ona całkiem części gabinetu koło okna. I dlatego mogłam stamtąd zobaczyć Pata. Trzymał w ręce gruby plik białych papierów i przeliczał je. Były to długie, wąskie papiery złożone tak jak obligacje, które mi przed rokiem podarował na Boże Narodzenie - dokładnie takie same. Kiedy stałam przyglądając mu się, Sue zawołała do niego z hallu, żeby wyszedł na werandę pożegnać się z gośćmi; Pat wzdrygnął się lekko, wsunął papiery do lewej szuflady biurka i wyszedł do hallu.

Przeczekałam kilka sekund, żeby wyszedł na werandę, a potem przeszłam przez gabinet. Byłam przekonana, że jeśli wróci i tam mnie zastanie, domyśli się, iż mam list, i zarzuci mi, że go wzięłam - wiedziałam poza tym, że jeśli do tego dojdzie, wszystko, całe życie, za którego zbudowanie gotowa bym była umrzeć nie raz, ale dwadzieścia, rozpadnie się w gruzy po pierwszym jego słowie. Nie mogłabym znieść, aby wiedział, że podejrzewam, jak jest podły, że wiem, iż jest nowym wcieleniem Dana - jeszcze podlejszym i bardziej nikczemnym, bo Dan miał tylko mnie, abym go mogła utrzymać na prostej drodze, a Pat miał Sue. Czułam, że mam dość siły i że moja sytuacja jest na tyle rozpaczliwa, że mogę stawić czoło prawie wszystkiemu, z wyjątkiem tego, żeby Pat dowiedział się, że go przejrzałam. Przeszłam więc przez gabinet i hall i ani razu nie oglądając się za siebie poszłam na górę do mojego pokoju.

Tam zamknęłam drzwi na klucz, zasunęłam zasuwkę i podparłam je krzesłem, żeby potrójnie się zabezpieczyć. To jedyna rzecz spośród wszystkich, co zrobiłam tego wieczoru, która utwierdza mnie w

przekonaniu, że byłam trochę szalona. Ale nawet uprzedzony do mnie obserwator nie mógłby uważać mego stanu za jakieś zbrodnicze szaleństwo.

Podeszłam do obitego pokryciem fotela przy oknie i przeczytałam list. Fotel był tak ustawiony, że nawet z mego pokoju mogłam widzieć róże w rozarium, a trochę dalej, już za ogrodem, piaskownicę pod czerwonym bukiem, gdzie bawiły się dzieci. Ale nie było ich tam wtedy. Powiedziałam im dobranoc na dworze, dosłownie parę chwil przed tym, zanim skończyłam przywiązywać róże. Przeczytałam ten list trzy razy od początku do końca.

Oczywiście zrozumiałam go całkiem opacznie. Przypuszczałam, że Mimi proponuje Patowi ucieczkę do Kalifornii. Nie przyszło mi do głowy, że chodzi jej o pieniądze, które miałyby umożliwić Steve'owi i jej samej przyjemniejsze życie w jakiejś miłszej miejscowości, i że to, co pisze o zamydleniu Steve'owi oczu, oznacza po prostu ukrycie przed nim, skąd wzięła pieniądze. Gdybym zdała sobie z tego sprawę, nie kiwnęłabym małym palcem, żeby jej w tym przeszkodzić. Ale pomyślałam, że chodzi jej o Pata. Dałabym jej dwieście tysięcy dolarów, żeby sobie tylko poszła i zostawiła go w spokoju. Najbardziej potworną i pełną ironii rzeczą w tej całej tak potwornej i ironicznej sprawie jest to, że gdyby Mimi Bellamy tak nieostrożnie i beztrosko nie używała słowa „my” - jak to zresztą robiła od urodzenia - żyłaby do tej pory.

Oczywiście i ja popełniłam głupstwo. Kiedy czytałam ten list po raz pierwszy, zdumiewałam się nie widząc w nim żadnych czułości.

Pisała w nim natomiast, że nie może się już doczekać i jacy będą szczęśliwi; widać było, że list był pisany w pośpiechu - a poza tym zawsze uważałam ją za niezdolną do żadnych głębszych uczuć. Przypuszczam, że wszyscy wyczytujemy w listach to, co spodziewamy się w nich zastać, a ja osobiście spodziewałam się jakiejś całkiem innej historii. Przypuszczałam, że się dowiem, że Pat tak oszalał na punkcie tej kobiety, iż postanowił dla niej zniszczyć nie tylko swoje własne życie, ale i moje, i Sue, i Pete'a, i Polly. A ja nie mogłam, choćby chodziło nawet o zbawienie mojej duszy, wymyślić nic, żeby mu w tym przeszkodzić.

Czytam list po raz trzeci, kiedy do drzwi zapukała Melanie i powiedziała, że obiad podany; włożyłam z powrotem list do torby, odsunęłam fotel, otworzyłam drzwi i zesłam na dół.

Kiedy słyszałam, jak Pat, Melanie i Sue mówili, że atmosfera podczas tego obiadu była taka sama jak zawsze, zastanawiałam się, z jakiej dziwnej gliny jesteśmy ulepieni my, zwykli śmiertelnicy. Gdy uświadomiłam sobie, o czym myślał Pat, Sue i o czym ja sama wtedy myślałam, i kiedy przypominałam sobie, że potrafililiśmy śmiać się, rozmawiać i oddychać zupełnie normalnie - nie, wydaje mi się to czymś nieprawdopodobnym. A jednak tak właśnie było.

Później, gdy poszli do gabinetu obejrzyć okręciak, pomyślałam sobie, że mogę przecież pójść do rozarium i dokończyć pracy przy różach. Zauważyłam na dwóch krzakach uschnięte pędy, więc poszłam do pokoju na kwiaty i z szuflady na narzędzia wzięłam mały nóż. Był to doskonały nóż zarówno do okulizowania, jak i obcinania gałązek -

zawsze starannie go chowałam, bo się bałam, że dzieci mogą nim sobie pokaleczyć palce. A potem poszłam do ogrodu.

Przez jakiś czas pracowałam, starając się nie myśleć o niczym. Widziałam, jak panna Page wraca z piaskownicy, a w chwilę później przebiegła w stronę tylnej bramy Sue. Zawołała do mnie, że się wybiera do kina i że Pat idzie na pokera. Ucieszyłam się, że wychodzą z domu - będzie mi łatwiej myśleć i oddychać.

Jak pan wie, Sue wróciła do domu. Nie wydaje mi się, żeby była w nim dłużej niż pięć minut, kiedy znowu przebiegła obok mnie i znikła za tylną bramą. Usiadłam na małej ławeczce w najodleglejszym kącie rozarium i spróbowałam zebrać myśli.

Usiłowałam za wszelką cenę nie tracić głowy i rozumować chłodno i spokojnie, ponieważ jedna rzecz nie ulegała żadnej wątpliwości. Jeśli nie zrobi się czegoś natychmiast, będzie za późno na cokolwiek. Trzeba było tylko odpowiedzieć na pytanie, co robić.

Nie odważyłam się pójść do Pata. W gruncie rzeczy muszę być nędznym tchórzem, bo pójście do niego było w tej sytuacji najprostszą, najwłaściwszą i najbardziej naturalną rzeczą, a ja po prostu nie miałam odwagi zdobyć się na to, ponieważ myślałam, że mi odmówi, a nie mogłabym znieść czegoś podobnego. Byłam tym człowiekiem, który na całym świecie powinien mu wierzyć najbardziej, a nie wierzyłam mu ani na jotę. Bez przerwy kołacze mi się to po głowie, kiedy leżę w nocy i nie mogę zasnąć. Nie wierzyłam mu.

Nie odważyłam się również pójść do Sue, ponieważ bałam się, że jeśli pozna prawdę - lub to, co się wydawało prawdą - odejdzie od

niego, obojętne jak drogo będzie musiał za to płacić Peter, Polly czy ona sama. Wiedziałam, że jest kobietą ogromnie dumną i bardzo odważną, ale nie wiedziałam, czy te cechy będą więzami, które ją skłonią do pozostania przy Pacie. Jej także nie wierzyłam.

Bo, rozumie Pan, nie miałam wtedy przed oczyma Pata, Sue i Mimi Bellamy, ale siebie, Dana i Trudie, córkę właścicielki pensjonatu.

Siedziałam na ławce w rozarium, obserwowałam, jak blask słońca zaczyna mrocznieć, i czułam, że panika wzbiera we mnie jak lodowaty wiatr. Wiedziałam, że Sue nie ma ani grosza; ojciec nie zostawił jej niczego, a nie chciała się zgodzić, żeby Pat zdeponował na jej nazwisko choćby jeden grosz i zawsze mówiła, że strasznie lubi prosić go o pieniądze.

I przypominałam sobie... przypominałam sobie, jak Dan zabrał z czajnika na herbatę dziewiętnaście dolarów i pięćdziesiąt centów. Przypominałam sobie, że zaledwie przed kilkoma tygodniami powiedziano mi, że w najlepszym wypadku mogę mieć nadzieję nie na lata życia, ale na miesiące. Przypominałam sobie, że Sue nie ma pojęcia o gotowaniu i że nie kto inny, ale ja utrzymywałam w porządku ubrania dzieci w tych nowojorskich dniach, ponieważ ona nie umiała prasować. Ja sama zresztą wszystko szylałam, bo ona nie umiała nawet trzymać igły w ręce - a teraz już mnie nie stanie. Przypominałam sobie, że jedynym żyjącym członkiem jej rodziny jest Douglas Thorne i że on ma czworo dzieci i żonę, która uwielbia biżuterię i nie znosi Sue. Przypominałam sobie, że masaż kolana Pete'a kosztuje dwadzieścia

dolarów tygodniowo i że kiedy ostatniej zimy Polly miała jakieś historie z uchem, rachunek za pielęgniarki, lekarzy i za operację wyniósł siedemset pięćdziesiąt dolarów. Przypomniałam sobie spojrzenie Polly, kiedy jechała na czarnym kucyku, i głos Pete'a, jak śpiewał bawiąc się w piaskownicy.

I wtedy nagle wszystko stało się zupełnie jasne. Mimi, naturalnie - o niej całkowicie zapomniałam. Prawdopodobnie czeka teraz w domku ogrodnika i jeżeli tam do niej pójde i wszystko jej wyjaśnię o dzieciach, i powiem, jak ogromnie jest ważne, żeby miały opiekę, póki same nie potrafią się sobą zająć - wtedy zrozumie, co robi. Była taka młoda, piękna i bezmyślna, że na pewno w ogóle o nich nie pamiętała. To nie było z jej strony okrucieństwo - raczej po prostu nie Uczące się z niczym pragnienie szczęścia. Kiedy się jednak dowie - a powiem jej wszystko o straszonym dzieciństwie Pata i o koszmarze, jakim było moje życie - i kiedy będę ją błagała, żeby się wstrzymała i zastanowiła, co robi, to pomyśli nad tym. Poczulałam się młodsza o pięćdziesiąt lat i doznałam oszałamiającej ulgi.

Spojrzałam na mój mały zegarek. Była za dziesięć dziewiąta. Jeżeli poczekam do dziewiątej, zrobi się prawie ciemno i wciąż jeszcze będę miała dosyć czasu, żeby ją zastać, zanim stamtąd odejdzie. Droga do domku ogrodnika nie zabierze mi więcej niż piętnaście minut, bardzo mi zależało na tym, żeby nikt nie wiedział, co mam zamiar zrobić. Nikt nie zauważył mojej nieobecności, jeżeli wrócę o dziesiątej; bardzo często zostawałam do dziesiątej w ogrodzie, a w słomianej torbie miałam latarkę, która mi czasem służyła, kiedy się zasiedziałam w ogrodzie, i która znakomicie się przyda w czasie drogi przez łąki.

Postanowiłam nie wracać do domu, ale wysliznąć się przez małą furtkę koło piaskownicy i wyjść na ścieżkę, która ukośnie przecinała pola, biegnąc w stronę posiadłości Thorne'ów. Między naszym domem a Sadami nie było żadnych zabudowań, więc mogłam być zupełnie spokojna, że nikt mnie nie zobaczy. Kiedy zebrałam wszystkie przybory ogrodnicze i znowu spojrzałam na zegarek, było kilka min ut po dziewiątej i pomyślałam, że dłuższe czekanie mogłoby się okazać niebezpieczne.

Przez pola szło mi się bardzo przyjemnie-, wciąż jeszcze było dość widno, koniczyna pachniała słodko, rzekotki rechotały, a ja szłam różnym krokiem, obmyślając sobie, co powiem Mimi, i myśląc, jaka muszę być rozsądna i grzeczna i jakich użyję argumentów, żeby ją przekonać.

Ścieżka wychodzi na otwór w płocie na lewo od domku ogrodnika. Przcisnęłam się tamtędy i podeszłam do frontowych schodów. Świeciło się w oknie po prawej stronie. Weszłam po schodach. Drzwi były lekko uchylone, pchnęłam je i znalazłam się w środku. Od strony wewnętrznej tkwił w nich klucz. Zawahałam się sekundę, przekręciłam go, wyjęłam i schowałam do torebki. Bałam się, że może zechce wyjść, zanim jej wszystko wyjaśnię, a nie chciałam do tego dopuścić.

Wtedy mnie usłyszała i zawołała z drugiego pokoju: - Na litość boską, co się stało? Już myślałam, że w ogóle nie przyjdiesz!

Kiedy weszłam do pokoju, stała odwrócona tyłem do drzwi, patrzyła w lustro nad pianinem i poprawiała włosy. Na pianinie stała zapalona lampa i w jej świetle włosy Mimi wyglądały jak płomienie

- była naprawdę niezwykle piękna, jeżeli komuś podobają się takie czerwono-biało-żółto-niebieskie typy. Trudnie miała usta wygięte w taki sam sposób i takie same śmieszne rzęsy. I wtedy zobaczyła mnie w lustrze-, w kilka sekund jej promienna twarz zmieniła się w maskę, na której malowało się podejrzenie, okrucieństwo i złośliwość. Odwróciła się błyskawicznie i stanęła mierząc mnie wzrokiem.

- Co pani tutaj robi? - zapytała po chwili.

- Przyszłam w sprawie Pata, Madeleine - odpowiedziałam.

- Naprawdę? Taką sztuczkę wymyślił? Chować się za czyjąś spódnicą? Może pani wrócić do domu i powiedzieć mu, żeby się sam pofatygował.

- On nic o tym nie wie, że tutaj jestem - odpowiedziałam. - Znalazłam list.

- Mogę panią posłać do więzienia - powiedziała Mimi - za przejmowanie cudzej korespondencji. Żeby szpiegować i okradać własnego syna! Powinna się pani wstydzić! I jak pani myśli, co pani z tego przyjdzie?

Podeszłam do niej i powiedziałam:

- O mnie się nie troszcz, Madeleine. Przyszłam tu dzisiaj prosić, żebyś zostawiła mego syna w spokoju.

Roześmiała się. Zaczęła się ze mnie śmiać.

- Mogła sobie pani oszczędzić trudu i nie fatygować się tutaj. Jak Pat przyjdzie, to mu powiem, co myślę o was obojgu.

- On nie przyjdzie - powiedziałam. - Gra w pokera u Dallaśów.

Zrobiła się aż po szyję purpurowa z wściekłości i zawołała głośno:

- *To kłamstwo! Przyjdzie i pani wie, że przyjdzie! Czy zechce się pani stąd wynieść?*

- *Madeleine, posłuchaj - powiedziałam. - Przysięgam ci, że szczęście, które chcesz zdobyć za taką cenę, rozpadnie ci się w rękach, choćbyś go nie wiem jak kochała.*

Wtedy ona znowu się roześmiała.

- *Kochać go? Pata? On mnie tyle obchodzi, co zeszłoroczny śnieg. Wyduszę jednak z niego każdego centa, na którym uda mi się położyć rękę, i im prędzej oboje to zrozumiecie, tym lepiej dla nas wszystkich.*

- *Przypuszczam, że mówisz prawdę - powiedziałam - ale nigdy bym nie przypuszczała, że będziesz miała odwagę to powiedzieć. Nie możesz jednak, nie możesz nie zdawać sobie sprawy z tego, co robisz. Nie możesz okupić swojej przyjemności kosztem wygody, zapewnionej egzystencji, zdrowia i radości dwojga małych dzieci, które nigdy nie wyrządziły ci nic złego! Nie możesz!*

Zaśmiała się tym swoim złym, egzaltowanym śmiechem i wycodziła przez zaciśnięte zęby:

- *Naprawdę nie mogę? Może jasno pani wytłumaczę: jest mi zupełnie obojętne, czy pani ukochane dziecieczki zdechną w rynsztoku, czy nie. Może teraz już pani wyjdzie?*

Nie potrafiłam tchu złapać. Czułam się tak, jakbym się miała udusić.

- *Nie, nie wyjdę. Jestem starą kobietą, Madeleine, ale padnę przed tobą na kolana i będę cię błagać, żebyś nie niszczyła życia tych dwojga dzieci.*

Na to ona zawołała:

- *Mam już wyżej dziurek od nosa pani, pani dzieci i tych*

melodramatów. Ostatni raz pytam: wyjdzie pani stąd, czy mam panią wyrzucić?

Podeszła do mnie tak blisko, że poczułam te jej okropne perfumy - zdaje się, że to był zapach gardenii - coś duszącego, słodkawego i wstrętnego. Cofnęłam się o krok i powiedziałam:

- Nie ważysz się mnie dotknąć... nie ważysz się!

I wtedy zrobiła to - roześmiała się tym strasznym, histerycznym śmiechem, oparła obie ręce na moich ramionach i pchnęła mnie - popchnęła mnie tak mocno, że się potknęłam i upadłam do przodu na kolana. Próbowałam się jakoś pozbierać i wtedy wypadła mi z ręki torba, a wszystko, co było w środku, rozsypało się na dywan. Klęczałam i patrzyłam na te rzeczy, i czułam, jak krew huczy mi w głowie i łomocze w uszach.

Sędzio Carver, czym jest to coś w naszej krwi, kościach i ciele, co wznieca niepohamowane oburzenie, nawet w najstabszych i najtańszych z ludzi, kiedy ktoś brutalnie położy rękę na naszym buntującym się ciele? Słyszałam to - słyszałam, jak to coś krzyczy w moich uszach, a tam na dywanie w kwiaty, w zasięgu mojej ręki połyskiwał jakiś przedmiot. Był to mały nóż, którym obcinałam uszkie gałązki, żeby budzące się do nowego życia róże mogły lepiej rosnąć. Klęczałam i wpatrywałam się w nóż. Zawsze myślałam, że opowiadanie, jakoby przed oczyma tonących w jednej sekundzie przesuwano się całe życie, jest ulubioną bajeczką starych kobiet. Ale nie, to prawda. Widziałam rozarium, w którym zielone listki błyszcząły na tle wielkiego, srebrnego księżycy... widziałam Pata i Sue śmiejących się na tarasie - on obejmował jej ramiona, w oczach ich odbijało się słońce,

a wiatr rozwiewał im włosy... poprzez gałązki czerwonego buku widać niebieskie ubranka dzieci... Wstałam trzymając w ręce nóż...

Krzyknęła tylko raz - i to nawet nie bardzo głośno - upadając jednak uchwyciła się stołu i to spowodowało straszliwy hałas. Usłyszałam, że na dworze ktoś się głośno śmieje, pochyliłam się i zdmuchnęłam lampę stojącą na pianinie. Ktoś wchodził na frontowe schody. Stałam zupełnie bez ruchu. Gdzieś daleko na tyłach domku rozległ się dzwonek, a potem ktoś spróbował otworzyć drzwi.

Wtedy pomyślałam sobie: „Teraz to już koniec - już wiedzą, co się stało. Jeżeli nikt się nie odezwie, wyważą drzwi. Ale dopóki tego nie zrobią, nie ruszę się stąd ani na krok. A potem też się nie ruszę”.

Po chwili usłyszałam, że ktoś schodzi po schodach, potem rozległy się kroki na żwirowanym podjeździe, które się coraz bardziej oddalały i cichły. Oczekałam jeszcze moment, bo mi się wydawało, że coś się poruszyło w krzakach za oknem, ale po chwili zapanowała absolutna cisza; podeszłam do okna, zamknęłam je i opuściłam zasłony.

Wiedziałam, że znajduję się w bardzo niebezpiecznej sytuacji i że muszę bardzo szybko myśleć i działać. Prawie od razu znalazłam latarkę elektryczną, zaświeciłam ją, przesunęłam do dołu sprężynkę i postawiłam latarkę obok siebie na podłodze. Chciałam mieć obie ręce wolne, a bałam się tracić czas na zapalenie lampy. Bałam się, że ten ktoś, kto próbował otworzyć drzwi, może wrócić. Oczywiście natychmiast sobie uświadomiłam, że jeśli zabiorą biżuterię, będzie to

wyglądało na morderstwo w celach rabunkowych - a poza tym musiałam się przekonać, czy ona nie żyje.

Zabrało mi to najwyżej minutę; pierścionki dały się zdjąć całkiem łatwo, ale zamek przy naszyjniku zaciął się i musiałam rozerwać sznurek. Zawinęłam całą biżuterię w chusteczkę do nosa i włożyłam do torby, schowałam także łopatkę ogrodową i kłębek sznurka, które wypadły, list i małe srebrne pudełeczko, w którym nosiłam cukierki dla dzieci. Był tam również klucz od frontowych drzwi. Przypomniałam sobie, że muszę go zostawić w zamku, kiedy będę wychodzić. Poświeciłam dokoła latarką, chcąc się upewnić, czy niczego nie zostawiłam - i okazało się, że naturalnie zostawiłam. Nóż wciąż jeszcze leżał obok niej.

To dziwne, ale spośród wszystkiego, co się stało tego wieczoru, tej jednej jedynej rzeczy nie potrafiłabym wytłumaczyć. W ogóle nie przypominam sobie, skąd on się tam wziął - czy położyłam go w tym miejscu, czy rzuciłam, czy sam upadł - to bardzo dziwne, nie uważa Pan? W każdym razie podniosłam go, starannie wytarłam w jedną z jej białych koronkowych krez i z powrotem schowałam do torby. A potem spróbowałam wstać, ale nie mogłam. Po prostu nie byłam w stanie się ruszyć. Klęczałam pochylona do przodu, opierając się o zimny metal pieca, i czułam się tak śmiertelnie, tak rozpaczliwie rozbita, przez chwilę myślałam, że już nigdy nie będę się mogła ruszyć. Ale to nie przez krew, tylko przez te perfumy, zupełnie jak zwiędłe kwiaty - zapach potwornie słodki i straszliwie mocny... Po jakiejś

minucie jednak wstałam, wyszłam z tego pokoju, z domku, i znowu przez łąki dotarłam do naszej furki ogrodowej.

Zatrzymałam się tylko raz. Szłam wzdłuż żywopłotu; zanim doszłam do ścieżki, nachyliłam się, wykopałam tuż przy korzeniach dwie czy trzy łopatki ziemi, wyrzuciłam tam z chusteczki perły i pierścionki, przykryłam ziemią i poszłam dalej. W pierwszej chwili chciałam również wrzucić nóż, ale potem pomyślałam sobie, że może go ktoś widział w szafie z narzędziami i że będzie bezpieczniej położyć go z powrotem tam, skąd go wzięłam.

Jak oni potrafią odnaleźć sprawców przestępstwa na podstawie użytych przez nich narzędzi! Wydaje mi się, że ukrycie małego przedmiotu, nie dłuższego niż ręka, powinno być zupełnie proste, jeśli się ma do dyspozycji całą ziemię i wody pod ziemią.

To nóż myłam w pokoju na kwiaty. Do tej chwili są na nim jeszcze dwie małe plamki przy rękojeści, ale na rękach w ogóle nie miałam krwi. Bardzo uważałam.

Kiedy już wszystko poukładałam na miejscu, wzięłam list i poszłam na górę. Początkowo chciałam go podrzeć, ale potem przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby znaleźć jakieś strzępki i że najbezpieczniej będzie go przechować do następnego dnia, a potem spalić. Zanim jednak zaczął się następny dzień, wiedziałam, że Sue i Stephen nie mają alibi i dlatego listu nie spaliłam.

To chyba już wszystko. Kiedy leżałam tamtej nocy w ciemnościach, a później przez wszystkie następne noce, próbowałam ustawnie sobie powtarzać: „Morderczyni, morderczyni”.

Sędzio Carver, napisałam do Pana, ponieważ nie wiem, czy na osobach występujących w tym procesie ciąży jeszcze choćby najmniejszy cień podejrzenia. Jeśli Pan uważa, że tak, oddam się natychmiast w ręce odpowiednich władz i przekażę im te same fakty, o których opowiedziałam Panu.

Jeśli natomiast sądzi Pan, że podejrzenie nie ciąży na żadnym mężczyźnie czy kobiecie, żywym lub martwym, powiem Panu tylko tyle: nie boję się śmierci, naprawdę. Właściwie to nawet wolałabym umrzeć. Życie nie przedstawia już dla mnie wartości. Dwóch lekarzy powiedziało mi ubiegłego roku, że nie przeżyję następnego. Mogę, jeśli Pan sobie życzy uzyskać od nich urzędowe stwierdzenie tego faktu. Posyłam również na ręce mojego adwokata zabezpieczoną kopertę, zawierającą pełne przyznanie się do winy, na której zaznaczyłam: „Prześć władzom w wypadku, gdyby ktokolwiek został oskarżony o zabójstwo pani Madeleine Bellamy, zarówno przed, jak i po mojej śmierci”. Nie chciałabym, aby ktokolwiek przeżywał takie chwile, jak tych dwoje - nie, nawet za cenę uratowania mego życia ani nawet tego, co jest mi droższe niż życie.

Ale, Sędzio Carver, czy cel, jakiemu służy sprawiedliwość, zyska coś na tym, jeżeli chłopiec, który wierzy, że ze wszystkiego na świecie najbardziej cenię łagodność, życzliwość i sprawiedliwość, i który dlatego nauczył się sam być łagodny, życzliwy i miłosierny - jeżeli ten chłopiec dowie się w tej chwili, że musi nazywać mnie morderczynią? Jeżeli te szczęśliwe, tak bardzo szczęśliwe dzieciaki, które przybiegały do mnie z rozbitą głową czy skaleczonym palcem, żebym je

pocałowała, bo wtedy przestanie boleć - będą musiały dożyć chwili, kiedy nazwą mnie morderczynią?

Nie chcę, żeby Polly i Pete dowiedzieli się - nie chcę, żeby się dowiedzieli - nie chcę!

Gdyby Pan mógł ukarać mnie w taki sposób, żeby to ich nie dotknęło, nie prosiłabym Pana o litość. Ale jeżeli nikt nie ucierpi z powodu mego milczenia, błagam Pana - błagam - proszę zapomnieć, że reprezentuje Pan jedynie sprawiedliwość, i proszę okazać mi miłosierdzie.

Margaret Ives

Przez długi czas sędzia siedział w milczeniu, wpatrując się bez ruchu w stos białych kartek. W jego zmęczonej twarzy żarzyły się ciemne oczy, przenikliwe i nieznużone. Wreszcie z dziwnym skupieniem wzrok sędziego przeniósł się na inny stosik kartek, które czytał w chwili, kiedy do drzwi zapukał posłaniec. Tak, to brzmiało w ten sposób:

„Współsprawcą po dokonaniu czynu jest osoba, która mimo iż nie brała bezpośredniego udziału w zbrodni, w jakikolwiek sposób pomogła przestępcy uniknąć sądu i wyroku, czy to ukrywając go lub pomagając w ucieczce, czy też niszcząc istotne dowody rzeczowe. Jest to poważne przestępstwo samo w sobie, nie czyni jednak z takiej osoby sprawcy głównego...”

Sędzia siedział nieporuszony, wpatrując się spokojnie w słowa, które miał przed sobą, jak gdyby uczył się ich na pamięć... Po dłuższej chwili otrząsnął się, podniósł głowę i przysunął ku sobie stosik papierów kryjących tajemnicę życia matki Patricka Ivesa.

Najpierw niebieski papier; darte skrawki osiadały na lśniącej powierzchni biurka lekko i beztrudno jak motyle. Potem białe kartki - mały

kopczyk śnieżnych płatków pod szybko, sprawnie pracującymi palcami wyrósł w małą górkę - coraz wyższą i wyższą - niebieską i białą - a potem wszystko to zmiecione zostało do ogromnej mosiężnej misy, tak roztropnie przygotowanej na popiół. Rozbłysła zapalka, ku górze wesoło pomknęły małe płomyki i wąziutka smużka dymu uniosła się ku postaci biało ubranej damy nad drzwiami. Po drugiej stronie pokoju, między dwoma oknami, za którymi błyszcząły gwiazdy, uśmiechał się roztańczonymi płomyczkami John Marshall, a dama w bieli odpowiedziała mu uśmiechem poważnym i mądrym, jak gdyby łączyło ich jakieś tajemne porozumienie.